

WSTĘP

Józef Czechowicz utrwalił się w pamięci czytającej publiczności przede wszystkim jako poeta, i to jako jeden z najprawdziwszych, najczystszych liryków. Przypomniany został po latach także jego dorobek dramaturgiczny, ogłoszono szkice literackie oraz obszerny tom listów. Proza znalazła się natomiast jakby w cieniu innych, uprawianych przez autora nuty człowieczej dyscyplin. Powiedzmy wprost, iż uległa ona całkowitemu niemal zapomnieniu. Nieco więcej szczęścia miała tylko młodzieńcza *Opowieść o papierowej koronie*, o której wspomniano ze względu na jej związek z biografią poety oraz z historią czasopisma "Reflektor".

O sytuacji Czechowicza jako prozaika najwymowniej świadczy anonimowa nota, poprzedzająca zbiór nowel i opowiadań *Z teki dwudziestolecia*, w której napisano: "ciekawostką jest opowiadanie Józefa Czechowicza *Jama*, drukowane w 1939 roku. Obok noweli *Po latach* z roku 1937 był to j e d y n y [podkr. T. K.] wypadek znakomitego poety w kierunku prozy nowelistycznej"¹.

Tom niniejszy, obejmujący całość dostępnego obecnie dorobku Czechowicza w zakresie prozy, świadczy, jak powyższe słowa dalekie były od prawdy. Co więcej – Czechowicz przywiązywał do swych dokonań prozatorskich sporą wagę, o czym świadczy fakt, iż zamierzał on ogłosić zbiór swoich opowiadań w formie książkowej i nadać mu tytuł *Koń rydzy*, będący również tytułem jednego z utworów. Materiał, zamieszczony w niniejszym tomie, świadczy także o tym, że Czechowicz już u początków swojej drogi twórczej wiązał z prozą wielkie nadzieje, a czytając te młodzieńcze próby oraz informacje w nich zawarte w listach poety – odnosimy wrażenie, iż w tym czasie zainteresowanie prozą istotnie przeważało oraz że utwory prozatorskie z lat 1922-1923 górowały niewątpliwie wartością artystyczną nad poezją Czechowicza². Górowały literacką wartością tekstu, siłą i rozmachem koncepcji oraz umiejętnością ich artystycznego ucieleśnienia. Zresztą również pierwsza informacja, dotycząca prób pisarskich Czechowicza odnosi się właśnie do prozy³.

Najwcześniejszy okres prozatorskiej twórczości Czechowicza obejmuje kilka zachowanych opowiadań, powiązanych w jeden cykl, parę fragmentów, a przede wszystkim dwa główne, większe utwory: wspomnianą już *Opowieść o papierowej koronie* oraz *Opowieść o Hiramie Czarnoksiężniku*. Mają one zresztą wiele wewnętrznych pokrewieństw i to między innymi sprawiło, iż autor w pewnym momencie uznał pierwszy z tych tekstów za jeden z rozdziałów *Opowieści o Hiramie Czarnoksiężniku*.

Opowieść o papierowej koronie była prozatorskim debiutem Czechowicza, ale debiutem – wbrew woli autora – anonimowym. Zresztą – wydaje się – Czechowicz przystał niejako na ową anonimowość, bowiem w przeciwnym wypadku mógł łatwo sprostować niedopatrznie redakcji choćby w najbliższym numerze "Reflektora", gdzie *Opowieść* była drukowana. Jest też rzeczą prawdopodobną, iż pisarz po niewczasie spostrzegł, że ujawnienie swojego autorstwa może ujemnie zaważyć na odbiorze tekstu oraz przysporzyć kłopotu jego autorowi. Był to bowiem utwór – by posłużyć się późniejszymi słowami Czechowicza – "z zapachem skandalu"⁴.

Rzecz bowiem w tym, iż ujawnienie nazwiska autora pozwalało na lekturę *Opowieści* jako utworu autobiograficznego. Nie byłoby w tym nic niebezpiecznego, gdyby nie homoseksualne cechy osobowości głównego bohatera oraz podjęta, nieudana zresztą, próba samobójstwa na tle zawiedzionego uczucia. Wprawdzie Czechowicz nadał głównemu bohaterowi imię Henryk, co przenosiło sprawy osobiste na płaszczyznę literacką, ale wprowadzenie Lublina, a zwłaszcza Słobótki jako tła wydarzeń pozwalało na częściową przynajmniej identyfikację bohatera z autorem *Opowieści o papierowej koronie*.

¹ *Z teki dwudziestolecia. Opowiadania*, Warszawa 1959, s. 5. Dodajmy, iż nawet ludzie bliscy Czechowiczowi, tacy jak Waław Gralewski, nie mieli zbyt dobrej orientacji w prozatorskim dorobku Czechowicz i zbytnio go nie cenili. W *Stalowej tęczy* (Warszawa 1968, s. 200) Gralewski tak pisał o stosunku Czechowicza do swej prozy: "Kochał ją swym pierwszym gorącym uczuciem, ale nie związał się z nią. Nie zawarł związku małżeńskiego i nie miał dzieci legalnych. Bo te utwory prozatorskie, które popełnił, raczej na miano bękartów zasługują". Jest to jednak opinia wysoce niesprawiedliwa i nie oparta na znajomości całego dorobku Czechowicza w zakresie prozy.

² Takie były też oceny twórczości Czechowicza przez członków grupy Reflektor. Zob. K. Bielski, *Most nad czasem*, Lublin 1963, s. 137 oraz W. Gralewski, *Stalowa tęcza. Wspomnienia o Józefie Czechowiczu*. Warszawa 1968, s. 40-41 i 132.

³ Zob. zapis w tekście zatytułowanym *Notatki pamiętnikowe 1920 roku*.

⁴ W. Gralewski (*op. cit.*, s. 136) twierdzi jednak, iż Czechowicz własnoręcznie podpisywał swój utwór, ale na taki egzemplarz nie udało się natrafić.

Wybór konwencji autobiograficznej przez Czechowicza miał zapewne kilka źródeł, w tym literackie i osobiste, wiązał się bowiem ściśle ze strukturą jego osobowości. *Opowieść o papierowej koronie* można czytać jako swoisty "pamiętnik z okresu dojrzewania" autora. Potwierdzenie autobiograficznej substancji utworu znajdujemy w zachowanych okrucach dziennika Czechowicza, prowadzonego w Słobótce w 1922 r. Młody pisarz miał wtedy dziewiętnaście lat, ale - jak wspomniał po roku w liście do przyjaciela - był wtedy jeszcze "półdziecko, marzyciel z pojęciami i duszą bohaterów Claudela i z taką claudelowską prostotą"⁵.

Uwaga Czechowicza odnosiła się, być może, do jego życiowych doświadczeń, choć uczestnictwo w wojnie 1920r. odgrywało tu na pewno istotną rolę. Jeśli bowiem idzie o wtajemniczenia literackie, to sięgały one już dosyć daleko. Autor *Opowieści o papierowej koronie* wychodził zdecydowanie poza krąg właściwy dla jego wieku - sięgał do poezji europejskiego symbolizmu, interesował się włoskim futuryzmem, przede wszystkim zaś rozczytywał się w *Zbrodni i karze* Dostojewskiego (w języku oryginału) oraz *Fajdrosie* Platona, znał dramaty Claudela, prozę Klabunda i Rilkiego.

Dosyć dobry obraz świadomości literackiej Czechowicza przynosiła właśnie *Opowieść o papierowej koronie*. Była to - co należy od razu powiedzieć - świadomość budowana jeszcze na tradycji modernistycznej⁶. Tradycja ta obejmowała sferę problematyki światopoglądowej i filozoficznej, a także całego zespołu konwencji literackich i językowych.

Wyraziło się to przede wszystkim w kreacji bohatera. Henryk, główny bohater *Opowieści*, otrzymał cechy czyniące go osobowością wyjątkową, czy – mówiąc językiem Nietzschego – nadczłowiekiem. Świadczyło o tym m.in. przestrzenne usytuowanie bohatera, który wykazuje skłonność do izolacji. “Wyż”, “wyżyna”, “wieża” – to miejsca, które najchętniej on zajmuje, a towarzyszy temu niechęć wobec “tłumu”. W jednej z dyskusji z przyjaciółmi Henryk wyznaje: “Każda dusza jest samotna i odcięta od reszty świata. Każda dusza ma tylko siebie i w sobie żyje”.

Znamieniem wyjątkowości jest także przypisana mu rola króla. Henryk koronuje się w katedrze wawelskiej, występuje w całym blasku zewnętrznego przepychu i majestatu, ale jego status króla bywa zagrożony i podejrzany. Korona jest bowiem koroną p a p i e r o w ą, zaś przez jedną z postaci on sam określony został jako a k t o r t r a g i c z n y. Grana przez niego rola króla wymagałaby wielkich czynów, jednak jego moc wyraża się nie w działaniu, lecz w sile myśli i wyobraźni. “Czyny są w marzeniu”, “Błogosławiony jest bezwład i bezczynność, za którymi nie wlecze się tren następstw” – oto znamienne i zasadnicze wyznania bohatera. Wypowiedzi Henryka przekształcają się miejscami w traktat o winie i karze, a właściwie o braku winy człowieka za swe czyny, skoro o wszystkim decyduje fatalizm ślepego losu. Jedynie więc powstrzymanie się od działania może chronić bohatera przed jakimikolwiek następstwami.

Henryk jest osobowością kontemplacyjną, nastawioną na odbiór wrażeń i przeżywanie świata, a nie na jego przekształcanie. Bliższy mu jest więc stan biernego trwania i zapatrzenia niż życiowej aktywności. Te jego cechy łączą się jeszcze z jedną, pełnioną w *Opowieści* rolą. Dla osób, które go otaczają, jest on m i s t r z e m, a więc postacią wyraźnie wyniesioną ponad innych. Jest Henryk mistrzem jako mędrzec i człowiek wtajemniczony w sprawy świata, a także jako poeta, gdyż rola mistrza odnosi się również do dziedziny sztuki.

⁵ List do K. Bielskiego, najpewniej z listopada 1923 [w:] J. Czechowicz, *Listy*, zebrał i opracował T. Kłak, Lublin 1977, s.43. W dalszym ciągu wszelkie cytaty z tej edycji będą opatrywane w tekście skrótem oraz wskazaniem strony, z której pochodzi cytat.

⁶ W. Gralewski (*op. cit.*, s. 132) wskazywał na związki *Opowieści...* z prozą T. Micińskiego.

Znamienny był również wybór imienia bohatera. Miał on dwa źródła. Jedno – w historii piastowskiej Polski. Czechowicz imię to wprowadził już poprzednio do projektowanego dramatu o Henryku Pobożnym, a w *Opowieści* bratem króla będzie książę Henryk Głogowski. Sam zaś Henryk, jak świadczy jeden z listów Czechowicza do Wacława Gralewskiego, został utożsamiony z Henrykiem Lignickim, a więc Henrykiem Pobożnym. Mamy tu więc do czynienia ze swoistą reinkarnacją. Dodajmy jeszcze, iż po pewnym czasie Czechowicz wymieniał Henryka Lignickiego wśród pisarzy Reflektora⁷! Drugim punktem odniesienia dla imienia głównego bohatera *Opowieści* jest postać angielskiego króla Henryka VIII, na co zwracał uwagę Wacław Gralewski, wskazując na motyw ścięcia Marysi Dalekiej na rozkaz Henryka⁸.

Imię to będzie się w twórczości Czechowicza powtarzało jeszcze kilkakrotnie – m.in. w opowiadaniu *Lelela*, we fragmencie powieści *Samotnicy* (jeden z bohaterów nosi w niej miano Henryk Pan), a zwłaszcza w dramacie *Jasne miecze*. Henryk z tego

utworu, grający rolę cesarza, stanowił kolejne wcielenie mitu o artyście i mitu o sobie. Marzenie o koronie, władzy i znaczeniu wykazują więc wszyscy bohaterowie, noszący imię Henryk, i będący równocześnie sobowtórami pisarza. Henryk z *Jasnych mieczy*, ucharakteryzowany na cesarza, ale występujący już poza sceną, mówi: "Ciężka jest korona. Dalmatyka nawet w fałdy się nie zgina, bo jest sztywna od klejnotów. Ale dobrze mi w tym złocie"⁹.

Imię to słało się także drugim imieniem Czechowicza, a dla najbliższych przyjaciół było nawet imieniem pierwszym. Ta skłonność do utożsamiania się z kreowanymi przez siebie postaciami sięgała samych początków twórczości Czechowicza. "Pisać potrafię tylko o sobie, o sobie i jeszcze raz o sobie" (L., 38) – wyznawał w liście do Wacława Gralewskiego. A przy innej okazji do tegoż adresata pisał: "Co do mnie, tak jestem spleciony z moimi pomysłami, że nie umiem ich odłączyć od siebie" (L., 30).

W *Opowieści* mamy do czynienia z trzema płaszczyznami życia bohatera: czysto biograficzną, zresztą jawiącą się tylko epizodycznie w retrospektywnej wizji, gdzie para braci nosi nazwiska Czechowiczów – Józefa i Stanisława, a identyfikacji dokonuje Henryk, mówiąc do Juliana: "To my [...] to my". Drugą płaszczyznę stanowi rzeczywistość artystyczna, gdzie Henryk jest "mistrzem", a jego brat nosi imię Julian, i jest człowiekiem powracającym z niewoli, co jest rysem biografii Stanisława Czechowicza, trzecią zaś rzeczywistość marzeń sennych i gorączkowych, w których Henryk gra rolę króla, a jego brata można utożsamiać z księciem Henrykiem Głogowskim.

Zasadnicza część zdarzeń rozgrywa się w psychice bohatera albo też we śnie lub w chorobliwych, spowodowanych gorączką marzeniach. One wypełniają szereg scen, gdyż *Opowieść* ma bardzo wyraźną strukturę dramatyczną. "Teatrem widziadeł i snów" określa narrator to, co przeżywa Henryk w swoim wnętrzu. Czechowicz wykorzystuje podział na takie jednostki struktury jak prolog, scena, antrakt, zaś Henryka czyni aktorem, czego zresztą jest on świadomy. W całym utworze jesteśmy świadkami odwrócenia relacji między strefą rzeczywistości realnej i strefą snu czy stanów chorobowych bohatera. Sprawy dziejące się na jawie umieszczone zostały w antraktach, główna część zdarzeń natomiast rozgrywa się w "teatrze duszy". Przyjęte przez Czechowicza rozwiązanie wskazuje wyraźnie na hierarchię spraw – na wyższość rzeczywistości sennej i marzonej nad realną.

⁷ Zob. *Notatki literackie*, "Głos Poranny" 1929, nr 243 oraz notę poświęconą śmierci J. Malczewskiego, "Głos Poranny" 1929, nr 263.

⁸ Zob. W. Gralewski, *op. cit.*, s. 42 i 239.

⁹ Cyt. za: J. Czechowicz, *Utwory dramatyczne*, opracował T. Kłak, Lublin 1978, s.51.

W wizyjnych scenach Czechowicz za pośrednictwem swojego sobowtóra przeżywał własne rozdarcia, obsesje i lęki. Henryk śni m.in. własny obłąd, a scena ta przypomina okoliczności śmierci obłąkanego ojca pisarza, tak jak je przedstawił w *Stalowej tęczy* Wacław Gralewski¹⁰. *Opowieść o papierowej koronie* oprócz tych lęków oraz marzeń o wielkości i sławie ukazuje przede wszystkim konflikty o

erotycznym charakterze. Już we wcześniejszych utworach pisał Czechowicz o niemożliwości porozumienia między mężczyzną i kobietą, a miłosny pomiędzy nimi związek prawie w każdym z jego młodzieńczych opowiadań prowadzi do nieuniknionej i ostatecznej katastrofy. W utworze *Anna pocałunek* kobiety odczuwany jest przez bohatera jako rana i stygmat na jego ciele, w *Nelly* pieśniedoty bohaterki sprawiają, iż narrator-bohater odczuwa na sercu "latejską falę", zaś w *Teraz, gdyś odeszła*, bohater mówi: "Zgięty jest niby łuk, a ty prosta jak strzała. I tak tworzymy razem w marzeniu miłosnym zapowiedź śmiertelnego ciosu". Końcowi miłości i rozstaniom kochanków towarzyszy zwykle nastrój żałobny i grobowy, rysuje się perspektywa otwartej otchłani. Chłód, czerń oraz podobne motywy stanowią obrazowe odpowiedniki tragicznych rozwiązań.

Opowiadania Czechowicza mówią nie tyle o konflikcie płci, co o mizoginizmie ich bohaterów. "Czy ja kiedykolwiek kochałem te krwawe widma kobiet?" – zapytuje bohater utworu *W moim sercu*. W *Opowieści o papierowej koronie* zaś Julian, brat Henryka, mówi do niego: "Człowiek mocny musi gardzić kobietą". Tych słów, będących zapewne echem lektury Nietzschego, Henryk nie podziela, ale jest przekonany, iż miłość między kobietą i mężczyzną jest niemożliwa. Marysia pożąda ust Henryka, a on – tylko jej oczu. "Kocham ją jako posąg cudny, a ona mnie jako człowieka" – oto wyznanie króla.

Henryk gotów jest więc kontemplować piękno kobiety, ale nie chce się z nią wiązać i od niej uzależnić. W innych fragmentach utworu ujawnia się nawet lęk przed nią. Który – według wyznania bohatera – miał dwa źródła: jedno w doświadczeniu osobistym, drugie zaś w doświadczeniu artystycznym. Oto słowa Henryka, skierowane do siebie:

"O głupi człowieczku, coś trwoję przed kobietą wyniósł z rodzinnego domu!

O chłopcze, coś wierzył szkicom Ropsa i Beardsleya!"

Wacław Gralewski, cytując w *Stalowej tęczy* pierwsze z tych zdań, stawiał pytanie o jego sens, wszak serdeczny związek jaki łączył Czechowicza z matką, zdawał się treści tego zdania zaprzeczać¹¹. Ale dom rodzinny obejmuje nie tylko matkę, lecz i ojca. A ojciec Czechowicza był młodszy od jego matki o dziesięć lat. Może więc w tym układzie zawiera się klucz do wyjaśnienia tej zagadki? Może wchodziły w grę jeszcze inne jego negatywne doświadczenia? Nie jest więc wykluczone, iż postawa ojca wobec kobiety oddziaływała na późniejsze zachowania jego syna. Wolno wreszcie to zdanie z *Opowieści* przyjmować bez związku z biografią autora, a jedynie wyjaśniać je potrzebami logiki artystycznej.

¹⁰ Zob. W. Gralewski, *op. cit.*, s. 26.

¹¹ *Ibidem*, s. 239-240.

Drugie z przytoczonych powyżej zdań prowadzi nas na obszar sztuki, która – jak widać – odgrywała już we wczesnym okresie życia pisarza wielką, inspirującą rolę. Czechowicz i jego bohater szukali tam usprawiedliwienia dla swoich przekonań i zachowań. "Aubrey Beardsley i Félicien Rops utrwaliili swym bezlitosnym ołówkiem

brzydotę seksualną” – pisze Hans H. Hofstätter¹². W ich ujęciu kobieta jest wampirem, który wysysa z mężczyzny wszystką krew. Miłość do kobiety i cielesne z nią obcowanie również u bohatera Czechowicza wywołuje niechęć, a skrajnym tego wyrazem jest skazanie miłowanej przedtem kobiety na śmierć.

W tym kontekście pojawia się miłość “konkurencyjna”, czy – jak to określił po latach Czechowicz – bezpłodna, a więc i bezinteresowna, związana z postacią Diadumena, pazia króla Henryka. Słowo “diadumenos” oznacza młodzieńca wieńczącego głowę laurem; był to także czysty motyw klasycznej rzeźby greckiej. Diadumen jest do pewnego stopnia pierwiwzorem “wieńczonego” z wiersza o śmierci oraz z poematu *Hildur Baldur* i czas. W języku greckim “wieńczony” to tyle co “stefanos”, a takie właśnie imię – ciekawa zbieżność! – nosili obydwaj późniejsi wychowankowie Czechowicza. Pisarz i tu osobistym skłonnościom dawał uzasadnienie posługując się argumentami z dziedziny literatury. Obrona miłości heteroseksualnej oraz dyskusje prowadzone na temat życia, miłości i sztuki, mające kształt sympozjonu, nawiązywały niwątpliwie do *Uczty Platona*. Oprócz tego dialogu znał także Czechowicz Fajdrosa, o czym świadczy jego dziennik z 1922 r. W zapiskach dziennika pisał on o swoim “diadumenie”, a obok nich znajduje się też notatka następującej treści:

“Wieczorem lektura *Fajdrosa*. Wzruszające są te słowa o kochającym i kochanku, wypowiedziane z górą dwa tysiące lat temu”.

Miłość Henryka do Diadumena narażała go na ostry konflikt z otoczeniem, zrozumienie okazała mu jedynie rodzona siostra, pielęgnująca go w chorobie po samobójczym zamachu. Prowadziła też ona do konfliktu wewnętrznego, do rozdarcia sumienia. Henryk wiedział, iż swoim zachowaniem przełamuje społeczne i moralne tabu, zdawał też sobie z tego sprawę, iż jego uczucie ma charakter grzeszny i ono właśnie stanowi źródło poczucia winy.

Opowieść o papierowej koronie jest także utworem mówiącym o kryzysie wiary bohatera i jej utracie. Niezwykle znamienita z tego punktu widzenia jest rozmowa w Słobótce wracającego do zdrowia Henryka z przyjaciółmi na temat religii. Henryk wyraża przekonanie, iż nazwy bóstw z różnych czasów i przestrzeni odnoszą się do tych samych zjawisk, toteż trzeba – jego zdaniem – powrócić niejako do źródeł. Mówi on:

“Tak, tak, Madonno Mario. Zamiast wierzyć w Kupałę, wierzymy dziś w świętego Jana. Zamiast Łady, Nii, Dziedzilli mamy Tę, co chroni nas w dzień śmierci, co każe pola siał i polom błogostawi. Bądźże patriotką, idź między lud i szerszą prawdę. Każda ziemia własnym winna kwitnąć kwiatem. [...]

- Chrystus?... Nie, Jesse w postaci Zadumanego siedzi na skrajach dróg w złocistej i szerokiej Polsce. To jest nasz Chrystus. Na Litwie pod daszkiem zardzewiałym spotkasz Smutkielisy drewniane. To też on – Jesse”.

Bohater Czechowicza wzywa do ustanowienia jednej wiary na ziemiach polskich, aby doprowadzić do rzeczywistej jedności ze światem i pogodzenia życia z wiarą. Marzenie o nawiązaniu do wierzeń prapolskich i pogańskich stanowi tu kolejny trop modernistycznych odniesień utworu Czechowicza¹³.

W osobowości bohatera *Opowieści o papierowej koronie* zawiera się więc wiele sprzeczności. Odrzucenie wiary i jej pragnienie, marzenie o wielkości i niechęć do czynu, tęsknota do czystości i pozostawanie w grzechu. Rozdarcie to widoczne jest także w odniesieniu do spraw miłości. Pod koniec utworu do wymienionych

poprzednio odmian i przeciwstawień dochodzi jeszcze jedno – mianowicie opozycja miłości ziemskiej i niebieskiej. Pierwsza z nich związana jest z macierzyństwem, z rolą kobiety jako matki. Inaczej ma się rzecz z drugim rodzajem miłości, o której mówi Henryk w następujących słowach:

“- A niebiańska miłość – to Nieznane. Oto jest pole dla Zdobywcy: wydzierać Tajemnicy obszary terrae incognitae”.

¹² H. H. Hofstätter, *Symbolizm*, przeł. S. Błaut, Warszawa 1980, s. 70.

¹³ Ale, rzecz interesująca, podobną problematykę podejmował w swoich młodzieńczych wierszach także J. Przyboś. Zob. S. Zabierowski, *Autentyki [w:] Julian Przyboś. Życie i dzieło poetyckie*, pod red. S. Fryciego, Rzeszów 1976, s. 124-133.

Niektóre sceny *Opowieści* kształtował Czechowicz na kształt sympozjonów, uczt duchowych, wypełnionych rozmowami o sztuce, życiu i miłości. Wzorem dla nich była nie tylko Uczta Platona, ale i podobne dyskusje, jakie prowadzili bohaterowie Próchna Berenta oraz powieści Przybyszewskiego. Literackich odniesień można znaleźć w utworze Czechowicza jeszcze więcej, a niektóre z nich bardzo niespodziewane. Oto postać Jędrka Cajki przejęta została z utworu Stanisława Witkiewicza, zawartego w tomie *Z Tatr*, tam też znajduje się źródło góralskiej gwary, jaką posługują się niektórzy bohaterowie opowiadania Czechowicza. Również postać św. Franciszka pochodzi tyle z witraża Wyspiańskiego w krakowskim kościele, co z *Kwiatków św. Franciszka*, których fragmenty przełożył Witkiewicz na gwara góralską i nią właśnie posługuje się w *Opowieści* św. Franciszek¹⁴.

W utworze Czechowicza przenikały się – jak widać – różne plany: zjawisk psychicznych bohatera, jego doświadczeń “życiowych”, faktów czy postaci literackich i artystycznych, historycznych, mitologicznych, a nawet religijnych. Wprowadzenie zjawisk i postaci z różnych poziomów rzeczywistości prowadziło do wzbogacenia i komplikacji wewnętrznej utworu. Ogród, przez który idzie Jędrzek Cajka z Marysią, i w którym spotykają św. Franciszka, ma cechy rajy, ale jednocześnie znajdują się w nim i panny hesperydzkie.

Opowieść o papierowej koronie miała budowę polifoniczną, była zespołem scen i monologów głównego bohatera. Dramatyczna struktura utworu upodabniała go do prozy młodopolskiej. Luźność konstrukcji miała jednak swe źródło nie tylko we wskazanym powyżej kontekście, lecz i w dyspozycjach twórczych Czechowicza. Ujawniło się to wyraziście przy pisaniu *Opowieści o Hiramie Czarnoksiężniku*.

Z *Opowieści o Hiramie* zachowały się tylko okruchy, które nie dają wyobrażenia o zamiarze artystycznym Czechowicza. Na szczęście mówią o tym jego listy do Konrada Bielskiego i Wacława Gralewskiego. Nad utworem tym pracował pisarz od wiosny do zimy 1923 r. Do Konrada Bielskiego pisał w listopadzie tego roku: “pierwszy błysk mocy Hiramowej olśnił mnie 27 III 1923 r.” (L., 45). Pierwotnie miała to być bajka o Czarnoksiężniku, ale pomysł jej nie zadowolił Czechowicza. Z poprzedniego projektu zatrzymał tylko postać Hiram-czarnoksiężnika.

W tym miejscu, wobec zachowania się jedynie niewielkich fragmentów utworu,

należy oddać głos Czechowiczowi, który w listach do przyjaciół dosyć dokładnie i obszernie przedstawił koncepcję swego nadludzkiego – jak to określił – poematu. W liście do Wacława Gralewskiego pisał:

“W ciągu całego miesiąca przepracowuję ten temat w umyśle na arcydzieło. Sceny pojedyncze rodziły się w Wilnie, gdym chodził nocą wśród elektrycznych reklam tanbud, kin i teatrzyków. Inne w lasach wołyńskich, jeszcze inne, gdy pociąg z Litwy gnał w noc gwiaździstą ku południowym kresom Rzeczypospolitej. Pomysł monumentalny, obecnie nad moje siły. Gorączkowo kreślę całe sceny i drę, drę w szewskiej pasji. Na miły Bóg, dajcie mi ludzie do tych gigantycznych malowideł formę taką, jakiej mi potrzeba!

Moreau ze “Skamandra” to parodia tego stylu, o którym marzę, jego sceny to l i r y k i, a ja chcę dramatu. Tam w pomysłach moim jest kilku nadludzkich ludzi i każdy jest czerwoną tragedią. Los i fakty spiętrzą się, ich rękoma wznoszone ponad cały świat i ponad nich, aż runie wreszcie wieża babelska. Tu będzie cała synteza poezji między szczytem i otchłanią.

Kto zostanie po pogromie, nie półbogiem będzie, lecz półczłowiekiem – duszą kostniejącą za życia” (L., 30-31).

¹⁴ Zob. utwór *Jędrak Cajka* [w:] S. Witkiewicz, *Pisma tatrzańskie*, opracował R. Hennel, Kraków 1963, t. II, s. 194-224.

Czechowicz, posyłając Gralewskiemu parę szkiców z tego utworu, oznajmiał, że nie dorastają one jednak do wymiarów jego marzenia. W listach do tego samego adresata również tytuł całego utworu wiąże się z postacią Henryka, a Hiram jest tylko jednym z głównych bohaterów. W początkach czerwca 1923 r. Czechowicz miał ułożony już plan całości, o czym pisał do Gralewskiego:

“Widzę przed oczyma całe dzieło, co wieczór, nim zasnę, rozgrywają się w wyobraźni mej sceny z *Henryka*. Pierwszy raz w życiu z dalekiej jakiejś perspektywy patrzę na zaczęte (*Papierowa korona*), a nie skończone dzieło i widzę architektoniczną niemal jego budowę. Jeśli Cię to zaciekawi, przedsawię Ci plan i ideę każdej części *Henryka*:

- I – Opowieść o papierowej koronie.
- II – Hymny Henryka o Złotolicym.
- III – Dzieje bajeczne.
- IV – Misterium – Co się komu w duszy gra...
- V – Droga w nieznanne.

Pierwszą część znasz. Tytuł drugiej nie potrzebuje, zdaje się, komentarzy. Ta część jest najtrudniejsza. Trzeba tu ogromnego czucia artystycznego, by nie przebrać miary. Kto jest Złotolicy – wiesz dobrze – to jest owo «najgorzej», którym Ci powiedział w dniu odjazdu.

Dzieje bajeczne to znowu historia czarnoksiężnika Hiram, wodza – Włodzimierza i szaleńca Alwina. Wszystko splecione z życiem Henryka.

Po straszliwych przejściach, na których się kończy część trzecia, Henryk staje się żywym trupem – psychiką kostniejącą, umierającą. Nagłe rozbudzenie i ostatnie jak gdyby błyski są treścią części czwartej.

Wreszcie następuje droga w Nieznane” (L., 33-34).

Przywoływane wypowiedzi autora, jak i zachowane fragmenty utworu świadczą, iż miały się tu spotkać i przecinać różne płaszczyzny rzeczywistości – historycznej, legendarnej i teraźniejszej. Wprowadzenie postaci Hirama, mającej dar czarnoksięstwa, pozwalało na swobodne posługiwanie się czasem, przestrzenią oraz organizacją zdarzeń. Umożliwiało mu to poruszanie się bez ograniczeń po wielkich przestrzeniach czasu i historii, między niebem i ziemią. Także i tu wielką rolę odgrywa “diadumen” – Złotolicy, będący jak wynika z listu Czechowicza, artystycznie kanonizowaną wersją rzeczywistej osoby. Hymniczne ujęcie wypowiedzi Henryka w tej części utworu mówi o wywyższeniu i uwielbieniu “wieńczonego”.

Wydaje się, iż praca twórcza w tej fazie ograniczała się raczej do przeżywania i układania wszystkich spraw w wyobraźni. Czynności pisarskie odkładał Czechowicz na później, stając bezradny wobec ogromu zdarzeń. Mówił o tym list do Gralewskiego, pisany około połowy czerwca 1923 r.:

“Sprawa *Hirama et comp.* utknęła. Po prostu nie chcę teraz opracowywać tematu, bo wiem, że go zepsuję, a wiem także, że raz napisawszy coś, nie mogę się zdobyć na gruntowne przerabianie” (L., 38-39).

W listopadzie zaś tego roku pisał do Konrada Bielskiego:

“Co do mnie, dalej jeszcze obrabiam Hiramowe dzieje, ale praca ma się ku końcowi. Mówię praca, bo naprawdę tak w pierwszych pomysłach spiętrzyłem gigantyczność dusz, że z największym tylko wysiłkiem rozplątuje to na proste i jasne sytuacje. Pisać jeszcze nie zacząłem. Chcę, aby się to wszystko tak wyklarowało, jak barwy w starym winie” (L., 45).

Czechowicz zamierzał przystąpić do napisania utworu już w grudniu tegoż roku, ale odtąd głucho już raczej o nim – także w listach pisarza. Nie wiemy, czy rzeczywiście dalej nad tym utworem pracował, czy też go ostatecznie zaniechał. Ale na pewno praca nad nim stanowiła ważne doświadczenie pisarskie Czechowicza.

Wszystkie te utwory prozą, z *Opowieścią o papierowej koronie* włącznie, były w istocie utworami poetyckimi, sam Czechowicz zresztą określił jeden z nich jako poemat. Opierały się one na rozległych, kosmicznych niemal wizjach i na sposób romantyczny nieograniczonej wyobraźni. Cudowność, niezwykłość i przepych obrazów każą myśleć o twórczości Słowackiego. Kiedy Czechowicz posyłał Gralewskiemu jeden ze swoich utworów, wskazywał bezpośrednio na świadomą zależność od autora *Kordiana* i dodawał:

“Aby odczuć piękno tej drobnostki, nie należy jej czytać takim głosem jak zwykle, ale nastroić głos jak do Anhellego, na melodię monotonną i modlitewną” (L., 38).

Ta “instrukcja” czytania wiele mówi o poetyce ówczesnej prozy Czechowicza. Wzniosłości spraw i rozległości czasoprzestrzennej zdarzeń odpowiadała szeroka, patetyczna fraza oraz bogactwo i wyrafinowanie obrazowania. Wiele zawdzięczał wtedy poetyckiej prozie Klabunda oraz Jarosława Iwaszkiewicza z jej bizantyjskim i orientalnym piętnem. Jest wiele analogii tematycznych, problemowych i artystycznych między *Ucieczką do Bagdadu*, *Zenobią*, *Palmurą* i *Wieczorem u Abdona* a *Opowieścią o papierowej koronie*. Uwidacznia się to i w stylu prozy, w jej składni, a także w kompozycyjnych chwytach, polegających – jak np. w utworze *Teraz, gdyś odeszła...* – na wyodrębnianiu fragmentów, będących w poezji odpowiednikiem jednostek stroficzych¹⁵.

Przygody związane z powstawaniem *Opowieści o papierowej koronie* świadczyły, iż autor jej albo nie dorastał jeszcze do artystycznego ukonkretnienia swoich wizji, albo

też brak mu było odpowiednich do tego narzędzi. Czechowicz, jako prozaik, wcześniej uświadomił sobie, że oparcie się na modernistycznej tradycji i jej przedłużeniach zamyka drogę ku przyszłości. W jego poezji nastąpiło to w dwa lata później. O sytuacji i rozterkach młodego pisarza świadczył list, pisany pod koniec 1923 r. do Konrada Bielskiego:

“W wierszu nie jestem nigdy swobodny, w prozie rzadko kiedy czuję się naprawdę dobrze, może dlatego, że prześladują mnie tradycje dobrej prozy Żeromskiego, Berenta i Iwaszkiewicza. A tymczasem mnie się marzy mariaż wszelkiej opowieści z kinem. Nowa proza winna mieć w sobie zapaszek prostoty i lakonizmu scenariusza filmowego. Nawet wprowadzenie pewnych pojęć czysto filmowo. Nie ma dziś człowieka na świecie, który by nie znał kina i dlatego właśnie ten ogromnie ważny czynnik życia, wzięty w literaturę, nikogo by chyba nie zdziwił” (L., 45).

Wczesna proza Czechowicza wyraźnie odbiegała od projektowanej powyżej drogi. Daleko jej było do prostoty i zwięzłości. Wspólna im natomiast była zasada polegająca na dramaturgicznym kształtowaniu utworu. Opowieści o papierowej koronie i o Hiramie zmierzały bowiem wyraźnie w stronę dramatu, co uwidoczniło się nawet w czysto formalnych rozwiązaniach (sceny, antrakty, przewaga dialogowych struktur narracyjnych), natomiast w technice scenariuszowej również dialog stanowi element podstawowy i służy budowie widowiska dramatycznego.

Niezwykle interesującą sprawą jest łączenie przez Czechowicza jego przyszłej prozy z inspiracjami filmowymi. Trzeba bowiem wyraźnie podkreślić, iż w owym czasie w naszej literaturze nie mówiło się jeszcze właściwie o takich możliwościach. Czechowicz był niewątpliwie jednym z pierwszych, którzy pragnęli wzbogacić i unowocześnić prozę dzięki zdobyczom formalnym kina. Za kilka lat ukaże się *Psychoanalityk w podróży Jana Brzękowskiego*, w którym nawiązywał on do techniki scenariusza filmowego, oraz *Bankructwo profesora Muellera* tego pisarza z podtytułem “powieść sensacyjno-filmowa”, gdzie strukturę prozy przenikają struktury dzieła filmowego¹⁶.

¹⁵ Być może, iż jawny autobiografizm niektórych wczesnych utworów Iwaszkiewicza zachęcił Czechowicza do podobnego kształtowania swojego utworu. Por. podtytuł sceny III *Zenobii Plamury*: “Wspomnienia Zenobii spisane przez studenta filozofii, Jarosława Iwaszkiewicza”. Cyt. za: J. Iwaszkiewicz, *Proza poetycka*, Warszawa 1958, s. 165. Dodajmy także, iż we wczesnej prozie Iwaszkiewicza jak i w *Moreau Klabunda* znajdował Czechowicz bliskie sobie motywy homoseksualne.

¹⁶ Zob. T. Kłak, *Filmowa powieść Jana Brzękowskiego (o “Bankructwie profesora Muellera”)* [w:] *Film. Sztuka i ideologia*, pod red. J. Trzynadłowskiego, Wrocław 1981, s. 113-126.

Przejście Czechowicza ku prozie lakonicznej i uproszczonej odbywało się jednak po linii bardzo zawikłanej. W ważnym liście do Konrada Bielskiego, pisany w połowie 1925 r., w którym autor dawał wyraz swojej sytuacji jako poety, odzegnując się zarówno od nurtów nawiązujących do tradycji modernistycznej, jak i do doświadczeń futuryzmu oraz Nowej Sztuki, określił także swoje zamiary w odniesieniu do

twórczości prozatorskiej. Pisał tam:

“W prozie znalazłem już słupek, dokoła którego można się owinać: to Borys Pilniak. Śliczny i niezrównany. Ornamentyka Erenburga niczym jest w porównaniu z tymi opowieściami. Wobec tego, że zachwyty mój jest niekłamany, przewiduję większą ilość stronicy mojej prozy niż la Pilniak” (L., 61).

Pilniak należał do literackiego ugrupowania Braci Serapionowych i nawiązywał – podobnie jak i inni pisarze tego kręgu – do tradycji E. T. A. Hoffmana i Gogola, bezpośrednimi zaś ich mistrzami byli symboliści – Andrzej Bieły oraz A. M. Riemizow. Seweryn Pollak, na którego uwagi się powołałem, pisał o ideowo-artystycznej orientacji wspomnianego ugrupowania:

“Malując okrutną rzeczywistość w całej jej prawdzie, starając się być realistami, dochodzili do zaprzeczenia jakiegokolwiek realizmu, gdyż życie z całą swoją grozą i fantastycznością zmuszało do tworzenia nowych konwencji pisarskich. Dynamika życia narzucała im dynamikę formy. Ich rzekomo chłodny i bezosobowy stosunek do opisywanej rzeczywistości przeradzał się w efekcie w prozę bardzo szczególną, pełną wyrafinowanej ornamentyki, a jednocześnie utrzymaną w tonie silnego napięcia lirycznego”¹⁷.

Wydaje się, iż z wymienionych przez Pollaka cech prozy Pilniaka i związanego z nim kręgu pisarzy, bliska Czechowiczowi była niewątpliwie jej ornamentacyjność i nasycenie elementami lirycznymi, przy czym dodać trzeba, iż prozatorska twórczość autora *Sobowótów* miała swój drugi biegun w skłonności do narracji “urywanej”, do publicystyki i posługiwania się cytataми z gazet, a nawet do naukowej dokumentacji wybranego problemu.

Wskazanie na znaczenie twórczości Biełego i Riemizowa dla Pilniaka pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego twórczość tego ostatniego mogła tak zafascynować Czechowicza. Pollak twierdził, iż utwory Pilniaka właśnie Białemu “zawdzięczają muzyczną konstrukcję utworów, budowanych na zasadzie nawrotu motywów, wielopłaszczyznowość konstrukcji, odpowiadającą w ich pojęciu wielopłaszczyznowości życia, a poza tym niejednokrotnie nadszarpnięty, nerwowy ton narracji i skłonność do hiperboli”¹⁸.

Muzyczność, wielopłaszczyznowość i hiperbolizacja prozy, którą Pilniak znajdował u Biełego, Czechowicz mógł obserwować nie tylko u radzieckiego autora, lecz także w twórczości polskich pisarzy modernistycznych – Żeromskiego, Berenta i Micińskiego, a także u Jarosława Iwaszkiewicza – sukcesora i kontynuatora tradycji prozy młodopolskiej we wczesnym okresie jego twórczości. A więc można tu mówić o równoległości procesu rozwojowego, a nawet o wspólnych źródłach prozy symbolistycznej i impresjonistycznej.

We wspomnianym liście Czechowicz zapowiadał: “nabieram sił i rozmachu do prozy, którą chcę »Reflektor« zadziwić” (L., 62). Z późniejszych wzmianek epistolarnych Czechowicza wynika, iż rzeczywiście starał się iść w zapowiadany wcześniej kierunek. Już pod koniec 1925 r. pracował nad filmową powieścią, ale bez widoczniejszych wyników. “Ani czasu, ani ochoty, ani nowych myśli. Tak mi się wydaje, jakbym wypisał cały mój dorobek mózgowy z Lublina, a dalej choć łbem tłucz” (L., 66).

¹⁷ S. Pollak, *Wyprawy za trzy morza. Szkice o literaturze rosyjskiej*. Warszawa 1926, s. 142.

¹⁸ *Ibidem*, s. 142-143.

Zamiar napisania powieści filmowej został zapewne zaniechany, a łączyło się to z "wybuchem" poezji Czechowicza, zapoczątkowanym wierszami drukowanymi w ostatnim numerze "Reflektora", z maja 1925 r. a mającym przedłużenie w utworach z tomu Kamień, wydanego w dwa lata później. Źródła prozy Czechowicza zdawały się wysychać, gdyż – jeśli nie liczyć prac sprawozdawczych i dziennikarskich – Czechowicz między 1923 a 1932 rokiem ogłosił tylko jedno opowiadanie, i to pod pseudonimem¹⁹. Zresztą właśnie to opowiadanie świadczyło, iż jego autor istotnie zmierzał w kierunku uproszczenia formy i ograniczenia elementu emocjonalnego.

Projektów dotyczących prozy "filmowej" Czechowicz jednak całkiem nie zarzucił. W innej wersji powróciły one po kilku latach, czego świadectwem były informacje zawarte w liście do Kazimierza Miernowskiego:

"Pomyślałem sobie podczas ostatniej podróży plan opowieści prozą. Opowieści tym razem z akcją, nie zaś short story jak dotychczas.

Będzie to historia oparta na psychoanalizie, jeśli chodzi o treść, i na kinie, jeśli chodzi o formę (styl). Sprawa ponura, bo na tle homoseksualizmu. Rzecz się dzieje w Wilnie i okolicy jego. Zresztą będzie to tylko próba nowej roboty, przygotowanie do pracy nad epopeją. A nawet jeszcze gorzej, doświadczenie stylowo-konstrukcyjne" (L., 84).

Również o tym utworze nic nie wiemy i nie potrafimy niczego powiedzieć. Zamiar nie musiał zresztą przeobrazić się w dokonanie, a poza tym nie można wykluczyć, iż autor tu po prostu mistyfikował, a mistyfikacją jako chwytem nieraz się posługiwał. W przywołanej wypowiedzi niezwykle ciekawa jest natomiast wzmianka o przygotowywaniu się do napisania epopei. Wolno sądzić, iż informacja ta dotyczyła już Berła, powieści, nad którą pracował Czechowicz intensywnie od początku lat trzydziestych.

Zadziwiający może wydawać się upór, z jakim pisarz powracał do prozy, niejako wbrew naturze swojego talentu. O ile zrozumiałe były podejmowane próby prozy poetyckiej, opartej na przeżyciach wewnętrznych i nacechowanej emocjonalnie, o tyle zamiar napisania epopei wydaje się pozostawać w sprzeczności z artystycznymi dyspozycjami Czechowicza. Niemniej mamy wiele świadectw mówiących, iż zagadnienie epiki i jej perspektyw było mu w tym czasie bardzo bliskie. Trzeba tu dla jasności stanowiska dodać, iż mówiąc wówczas o epice, Czechowicz miał na myśli epikę p o e t y c k ą, ale można sądzić, iż epickość jako postawa oraz sposób widzenia i ujmowania rzeczywistości dała się odnieść także do właściwej prozy.

W szkicu z 1932 r., zatytułowanym *Oblicze nowej sztuki*, Czechowicz wyraził przekonanie, iż skala współczesnych zdarzeń i przeobrażeń społecznych jest taka, że tylko epika może dać im odpowiedni kształt artystyczny, i to epika we właściwym znaczeniu tego słowa. Pisał tam: "Dążenie do wielkości, syntezy, monumentalności zamienia się w nowej sztuce w istny szt. Synteza to epika. Życie nasze opętane szybkością, ruchem, aktywnością rozsadzającą ulice Paryża, Londynu nie może mieć innego wyrazu jak epiczny. Oto dlaczego w sztuce nowoczesnej dominują das neue saglichkeit, reportaż, faktowizm.

Sztuka nie analizuje, lecz konstruuje. Idzie wielkim marszem przy huku walących

się ustrojów, buduje nowe kształty, buduje człowieka, z daleka od lirycznych
żywiolowych chaosów” 20

*****nak, iż nie mogło ono
mieć kształtu epopei, albo też – co wydaje się prawdopodobniejsze – że pomysły
dotyczące powieści uległy w toku pracy nad nią różnym zmianom.

¹⁹ Chodzi o opowiadanie pt. *Dawne dni*, drukowane w “Nowym Życiu” 1925, nr 4 pod pseudonimem Józef Leśniewicz.

²⁰ Cyt. za: J. Czechowicz, *Wyobraźnia stwarzająca*, opracował T. Kłak, Lublin 1972, s. 24.

Tytuł powieści – *Berło* – pojawił się w liście Czechowicza do Józefa Nikodema Kłosowskiego z marca 1931 r. Do tego jednak utworu odnosi się informacja z wcześniejszego o miesiąc listu do tego samego adresata, gdzie Czechowicz pisał: “Ostatnio bardzo zajęty jestem moją prozą. Piszę akurat o rzeczach z 1863 r. na terenie Lubelszczyzny. Myślę, że pierwszy tom do Wielkiejnocy wykończę” (L., 146).

Słowa te zdają się świadczyć, iż miała to być powieść historyczna, może nawet “klechda” o powstaniu styczniowym? O tym, że sprawy związane z tymi wydarzeniami nie opuszczały pamięci i wyobraźni Czechowicza, świadczą zarówno teksty poetyckie (np. wiersz piłsudski), jak i zapiski dotyczące historii rodziny ze strony matki, gdzie wspominał, iż jeden z jej członków był bardzo czynny w powstaniu styczniowym. Pamiętajmy, iż w pobliżu rodzinnej wsi matki pisarza – Młynek – znajduje się Żyrzyn, miejsce jednej z głośniejszych i zwycięskich bitew 1863 r. I właśnie osiłą akcji powieści miała być owa bitwa pod Żyrzynem, tak jak stanie się później także przedmiotem opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza *Heydenreich*.

Określenie “klechda”, powtórzone za Żeromskim, ma w odniesieniu do *Berła* swoje uzasadnienie, wolno bowiem przypuszczać, iż tradycje rodzinne stanowiły jedno ze źródeł fabularnej strony powieści. Zdaje się na to wskazywać poetycki tekst, zatytułowany *notatka z opowiadań mamy*, pochodzący jeszcze z 1925 r. Jest to właściwie tak znamienne dla późniejszej prozy Czechowicza “streszczenie”, dające jedynie schematyczne, a więc najprostsze ujęcie zdarzeń.

Tekst ten, mimo wierszowego zapisu, ma wyraźny kształt epicki, z wyeksponowaniem roli zdarzeń, czasu i przestrzeni. Treścią “notatki z opowiadań”, jest historia miłości wiejskiej dziewczyny, występującej w roli przodownicy podczas obrzędu dożynkowego przed pałacem, do księcia. Uczucie to zrodziło się w czasie obrzędowego tańca z gospodarzem dożynek w pałacu. A oto główny moment opowieści, przedstawiający dalszy bieg historii:

z kołędnikami dostała się zimą do wspaniałych sal
i były GODY
gody jednej nocy

nie zapomniała mimo że jest już żoną jasia fornala żyje z nim ale
zasłuchana i zapatrzona w zjawę księcia

rok 1863
ranny książę umiera na jej rękach
lecz ona wciąż chodzi w czarach miłości²¹

“Notatka” zamyka się sceną pogrzebu księcia i wołaniem bohaterki: “matko ziemio oddaj go”.

Nie można twierdzić, iż podobny wątek znalazł się w Berle, choć nie można tego wykluczyć, bowiem podobne pomysły fabularne spotykamy również w *Opowieści o papierowej koronie*, gdzie Marysia, prosta góralska dziewczyna, także zakochuje się w Henryku-królu i nie rezygnuje z tej miłości mimo poślubienia góralskiego chłopca.

²¹ Cyt. za: J. Czechowicz, *Wiersze*, Lublin 1963, s. 225.

Inne nieco światło rzuca na powieść Czechowicza i jej koncepcję Waclaw Gralewski, który w *Stalowej tęczy* pisał:

“W jednym z pomysłów powieści *Berło*, którą chciał napisać, tłem akcji miała być dziedzina snu i niesnu, zakres, w którym życie zazębiałoby się z żywymi elementami wyobraźni, a te znów stanowiłyby most, po którym poeci przechodziliby na drugi brzeg i snuli swą balladę a tamtej strony. Bieg zdarzeń w wątku powieściowym byłby ten sam po jednej i po drugiej stronie, a mimo to różny. Obraz i jego wizja, zbieżność i przeciwstawność. Pragnienie i zapowiedź spełnienia, ale pojętego jako obietnica”²².

Więcej o zamyśle powieści mówi zapis Czechowicza z 1930 r., zawarty w jednym z jego zachowanych brulionów pisarskich²³. Według tego zapisu powieść miała stanowić trylogię o następujących tytułach i czasowej lokalizacji wydarzeń:

I – 1863 r.

Droga zwyciężonych

II – 1926 r.

Połów ognia

III – 1950 r. (około)

Zagłada cesarzy

Prolog – Zaduszki

Epilog – Wizja

Berło oparte więc było na bardzo rozległej koncepcji i obejmowało właściwie trzy gatunki powieści – historyczną, współczesną i przyszłościową.

Potwierdzenie rozmiarów powieści znalazło się w liście do Mariana Piechala z 11 V 1932 r., w którym pisał:

“Pracuję nad *Berłem*, ale równocześnie rozrywają mi czas różne sprawy publiczne i polityczne, a te skrawki kwadransów, które zostają, omal że w niczym nie posuwają naprzód 3-tomowej powieści. Rozpacz mnie bierze. Wycofa się z życia, zamknąć się w pokoju czy co...” (L., 168).

Wydaje się, iż w pracy nad *Berłem* napotykał jednak Czechowicz nie tylko przeszkody natury – by tak rzec – technicznej. Nie tyle bowiem brak czasu nie pozwolił na pisanie i dokończenie powieści, ile trudności o głębszym i poważniejszym charakterze, związane już bezpośrednio z procesem twórczym. Zapewne i teraz mógł Czechowicz powtórzyć wołanie, zawarte w liście sprzed dziesięciu lat:

“Na miły Bóg, dajcie mi ludzie do tych gigantycznych malowideł formę taką, jakiej mi potrzeba!” (L., 31).

Pisarz nie był w stanie uorganizować literacko swoich wizji, albo może inaczej: nie potrafił ich odpowiednio sfabularyzować. Sygnałem kryzysu twórczego przy powstawaniu *Berła* były słowa, wypowiedziane pod koniec 1933 r. w liście do Kłosowskiego: “Powieść moja zamarła. Nie mogę” (L., 240).

²² W. Gralewski, *op. cit.*, s. 95.

²³ Znajduje się on w zbiorach Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie. Wydaje się, iż powieść, i to trytomowa, była ponad miarę możliwości twórczych Czechowicza, po prostu tworzenie wielkich form epickich kłóciło się z lirycznymi, a w prozie raczej kameralnymi dyspozycjami autora. Jest jednak rzeczą interesującą, iż właśnie w owym momencie tym wyraźniej ujawnił Czechowicz także zmiany w swoim warsztacie poetyckim. Nie spełnione marzenia o epopei w prozie próbował przenieść właśnie na teren poezji. We wspomnianym liście do Kłosowskiego pisał:

“Plany artystyczne mam bardzo szerokie. Uznałem, że dość już liryki, która jest ekshibicją “duchostanów”. Czasy dzisiejsze warte są i epickiej poezji, a jeżeli jej dotychczas nie było, to dlatego, że ci, co próbowali to robić, nie umieli zrozumieć, że współczesna poezja epicka musi się różnić od dawnej tak, jak np. liryka Przybosa od liryki Tetmajera.

Piszę poematy i namawiam wszystkich do tego. [...] Zobaczy Pan, że wkrótce będziemy świadkami renesansu epiki w Polsce” (L., 240).

Jeszcze w lutym 1934 r. obiecywał Czechowicz przysłać Jaworskiemu fragment *Berła* do “Kamieny”, ale zapewne nie dotarł on do redakcji, gdyż nie pojawił się – jak wiele wcześniej zapowiadanych – w druku. Jesienią 1935 r. powiadomił Czechowicz redaktora miesięcznika, iż *Berła* już nigdy nie napisze. Pojawiła się natomiast w tym liście sugestia, iż – być może – niektóre fragmenty *Berła* dadzą się ująć w kształty poetyckie. Zamiar taki byłby zbieżny z sygnalizowanymi wcześniej wypowiedziami, odnoszącymi się do epiki poetyckiej. Ale i co do losu tych przedsięwzięć nie mamy żadnych informacji. Być może udałoby się to wyjaśnić, gdyby ocalało w pełni literackie archiwum Czechowicza, a dysponujemy obecnie tylko jego okruchami.

Pomysły, związane z *Berłem*, zarzucane i zmieniane, powracały jednak nadal i kusily Czechowicza. Nie mogąc otrzymać kształtu prozatorskiego – przeobrażały się w poezję. Gdy i ta próba się nie powiodła, nasunęły się możliwości rozwiązania problematyki *Berła* w dramacie. O takiej możliwości pisał autor do Marii Maćkowskiej-Wydrownej latem 1938 r. Przedstawiono tu dosyć szczegółowo sprawy związane z dziejami *Berła*, gdyż chodziło o bardzo istotne zagadnienia dotyczące literackiej biografii Czechowicza. Próbowano udokumentować istnienie tej powieści i historię jej powstawania. Sceptyk natomiast mógłby zapytać, czy z *Berłem* nie było tak, jak z rozmową dwojga zakochanych z wiersza tego poety eros i psyche (“mogłoby nie być jej nigdy”), czy z bohaterem wiersza *mały mit*:

syneczku syneczku
sobie nuce
siebie nuce

ciebie

nigdy nie było.²⁴

Sceptyk mógłby powołać się także na wspomniane już skłonności Czechowicza do mistyfikacji w życiu osobistym i literackim, a także wyrazić przekonanie, iż gdyby te wszystkie zapowiedzi oraz informacje pisarza dotyczące *Berła* odpowiadały prawdzie, gdyby istniało ono rzeczywiście w jakiejś części, to na pewno coś z tej opowieści by się zachowało. Tymczasem pozostał nam tylko tytuł jej oraz poszczególnych części tomów, informacje o jej rozmiarach oraz o czasie akcji każdego z przewidzianych tomów.

Prawie wszystko więc, co dotyczy *Berła*, pozostaje w sferze domysłów i hipotez. Trzeba więc na koniec przywołać słowa Czechowicza dotyczące ostatecznego losu powieści. Jej pisanie wynikało z potrzeby poszukiwania twórczego i sprawdzania swoich możliwości na różnych płaszczyznach, z pragnienia utrwalania wizji w coraz to innym artystycznym kształcie. Ważne jest z tego punktu widzenia wyznanie, uczynione w liście do młodego poety, Janusza Różewicza, w odpowiedzi na zarzut o rutynę literacką. Wyjaśniając zasady swojej postawy poetyckiej pisał Czechowicz:

“Nie ma w tym żadnej «rutyny». Gwiżdżę na rutynę. Gdybym jej słuchał, do śmierci pisałbym wiersze takie jak w tomie Dzień jak co dzień, który wielu moich przyjaciół, niestety, uważa do dziś za szczytowe osiągnięcie. A przecież porzuciłem to dla napisania powieści *Berło*. Zniszczyłem ja. Powstała *Ballada z tamtej strony* i inne tomy. Potem wróciłem do prozy, napisałem kilka opowiadań z pogranicza snu i jawy. Teraz znowu tkwię w liryce innej niż dawniej i szukam absolutu poetyckiego w formie dramatycznej” (L., 384).

“Z pogranicza snu i jawy” – to określenie wyjątkowo trafnie wskazuje na charakter niektórych późniejszych opowiadań Czechowicza. Odnosi się ono zarówno do cyklu “bajek”, a raczej baśni, urzekających swoją pomysłowością i fantastyką, jak i – przede wszystkim – do utworów nazywanych przez autora “skrótami powieści”. Oparte one były na wyobraźni, czy – jak to nazywał Czechowicz – na fantazjotwórstwie, mimo iż każda z tych powieści miała w zasadzie inny charakter (powieść etyczna, powieść obyczajowa, powieść sentymentalna, powieść legendarna).

Nazwy zaproponowane przez Czechowicza są nieco mylące, gdyż wszystkie te “skrótów powieści” mają ze sobą wiele wspólnego. Wszystkie one mówią o dziwności istnienia i o przenikaniu się ze sobą różnych płaszczyzn rzeczywistości, a raczej układów wielu rzeczywistości. Czechowicz był uwrażliwiony na “drugą stronę” egzystencji ludzkiej, co wyraził dobitnie w tytule zbioru *ballada z t a m t e j* [podkr. T. K.] *strony*.

²⁴ Cyt. za: J. Czechowicz, *Wiersze*, s. 135.

Tym aspektem osobowości i psychiki Czechowicza wiele uwagi poświęcił Wacław

Gralewski, sam interesujący się kręgiem zjawisk, które nazywał fenomenologią psychologiczną. W książce pt. *Stalowa tęcza* pisał on:

“Czechowicz wierzył w możliwości wychodzenia poza granice rzeczywistości. Był przekonany, że w snach następuje jakby konkretyzacja elementów abstrakcyjnych i zamiana w obrazy realne. A nawet całkiem nieświadome wkroczenie w granice psychologicznej przygody. Przecież w samym sobie można przeżyć niezwykle rzeczy. Sen jest ekranem, na którym uwidoczniają się najbardziej subtelne odcienie naszych pragnień i myśli”²⁵.

Wypowiedź Gralewskiego chyba jednak niezbyt ściśle przekazuje intencje Czechowicza, a w każdym razie wymaga uzupełnienia i modyfikacji, przynajmniej w odniesieniu do jego tekstów literackich, mówiących o rzeczywistości z p o g r a n i c z a j a w y i s n u. Swoje przekonania zawarł Czechowicz w niektórych omówieniach książek prozatorskich, zwracając przede wszystkim uwagę na relacje między rzeczywistością, ukazywaną w dziele literackim, a rzeczywistością codzienności. Te wypowiedzi dają też coś w rodzaju małej teorii prozy autora *Opowieści o papierowej koronie*.

Pisząc szkic *Truchanowski i towarzysze*, Czechowicz przeciwstawił się próbom określenia prozy autora *Tramwaju Wszystkich Świętych* mianem “fantastyki marzeń sennych” sen bowiem “oparty jest na nieciągłości dziejących się w nim zdarzeń i to jest jego cecha zasadnicza, cecha snu, natomiast powieści fantastyczne, o których mówię, mają ciągłość kompozycyjną, mają cele artystyczne, mają świadome założenia i są zrodzone, jak może żadna inna sztuka, z intelektu”²⁶.

Czechowicz działanie wyobraźni łączył z pracą świadomego umysłu, toteż wyobraźnia, skłócona z “rzeczywistością namacalnej powierzchni” przetwarza tę ostatnią, rzuca na nią nowe światło, odkrywa w znanych obszarach cienie niewidzialnego. “Wyobraźnia bowiem nie ograniczona i wolna ma to do siebie, że nie tylko stwarza nowe układy, nowe sieci spraw i nowe maski bohaterów, ale także, jako produkt uboczny, niemal zawsze daje coś w rodzaju mimowolnej interpretacji świata zastanego”²⁷.

Wieloznaczność nowoczesnej fantastyki, tak jak pojmował ją Czechowicz, polegała nie na wprowadzaniu postaci i elementów świata nadzmysłowego, lecz na odkryciu egzotyki codzienności. Pisał Czechowicz:

“Fantastyka codzienności ma w sobie coś narkotycznego i kto raz zagłębił się w jej martwym, słonym jeziorze, nieprędko i niełatwo wyjdzie na brzeg. Pisarze jej poddani mają do pokonania straszliwą trudność: muszą przecież wyrażać to samo a nie to samo, codzienność a niecodzienną”²⁸.

²⁵ W. Gralewski, *op. cit.*, s. 95.

²⁶ Cyt. za: J. Czechowicz, *Wyobraźnia stwarzająca*, s. 235.

²⁷ *Ibidem*, s. 234.

²⁸ *Ibidem*, s. 237.

Powyższe uwagi Czechowicza można odnieść do jego opowiadań fantastycznych. Interesowały go szczególnie, i to jest widoczne w utworach, będących tu

przedmiotem uwagi, drogi przypadku i losu, fatalizmu zdarzeń równoległego do nieświadomych tego stanu rzeczy bohaterów. Wie o tym fatalizmie narrator, który jakby z odległego dystansu obserwuje drogi i przebieg historii życiowych uczestniczących w grze postaci. Szczególną rolę w organizacji zdarzeń odgrywa czas, który posiada tu wiele wymiarów, jest niejako w duchu Einsteina relatywizowany, a niekiedy jakby uprzedmiotowiony i ukonkretniony. Dotyczy to zresztą i przestrzeni. Znakomitym przykładem takiego ich ujmowania może być ten choćby fragment *Kół Archimedes*:

“Oto ganek u szczytu dzwonnicy. Krzysztof szepce do siebie.

- Unieś się...

Zachwycone oczy dziecka widzą, jak stopy obcego pana odrywają się od posadzki i pan ów nad wieżę i nad miasto ulatuje w powietrze pionowo, majestatycznie i wolno. Tymczasem przed unoszącymi się ku niebu filozofem przeobrażają się wymiary czasu i przestrzeni. Przede wszystkim widzi on kulę karabinową lecącą od strony Alkazaru. Lot jej jest zwolniony. Można obserwować precyzyjny ruch gwintowy, z jakim wkręca się ona w powietrze. Na przedłużeniu linii strzału nietrudno przewidzieć punkt, w którym przetnie ona linię lotu Krzysztofa Doskonałego.

Ale on poznaje, iż dla wszystkiego istnieje mianownik jednakowy i nie czyni nic, aby kuli uniknąć. Odwraca głowę ku Salamance. Widzi tam biały klasztor. Teraz o tej właśnie porze kończy się w nim pyszny obrzęd obłóczyn. Piękna Juana składa śluby zakonne”.

Scena ta stanowi finał utworu mówiącego o wielkiej miłości Polaka i Hiszpanki, rozgrywającej się niejako przy akompaniamencie wojny domowej 1936 r. W opowiadaniu przenikają się płaszczyzny życia osobistego dwojga bohaterów z płaszczyznami snu, który projektuje i zapowiada nadchodzące wydarzenia, oraz wypadków zewnętrznych.

Jest rzeczą bardzo ciekawą, iż ta grupa tekstów Czechowicza znowu nawiązywała wcześniejszych jego zamysłów, polegających na sięganiu po inspiracje filmowe. Skrót powieści zbliżał się do formy scenariusza, a ta z konieczności – na planie prozy – ulega kondensacji, natomiast z perspektywy filmowej, gdyby scenariusz miał stać się podstawą dzieła filmowego, musiałby ulec rozwinięciu. W tym wypadku obszar miejsc niedookreślonych, zaprojektowanych, ale możliwych do wypełnienia tylko za pośrednictwem ujęć wizualnych, byłby dosyć duży.

Wydaje się, iż w utworach z lat trzydziestych “filmowość” prozy pojmował Czechowicz już inaczej. W tekstach dawniejszych opierał się on na doświadczeniach i konwencjach filmu niemego, gdzie literatura (dialogi i właściwa narracja) była integralnym składnikiem dzieła, choć wewnątrz niego wyodrębnionym, później zaś miał już na uwadze film dźwiękowy, a więc o innych założeniach i bogatszych możliwościach. Większy więc musiał być położony nacisk na aspekty fabularne utworu i na bogacenie jego zdarzeniowej strony.

Widać to wyraźnie nie tylko w “streszczeniach” powieści, lecz i w dwu zachowanych projektach scenariuszy filmowych. W tych ostatnich sfera cudowności i niezwykłości została wyraźnie ograniczona, ale pozostała zasada polegająca na powiązaniu ze sobą ciągu szczęśliwych przypadków w jeden uporządkowany układ. Oba projekty scenariuszy odchodziły od koncepcji filmu poetycko-fantastycznego, zbliżając się do melodramatu. Oba też zawierają w swoim końcowym przesłaniu dyskretny sens dydaktyczny. Opowiadania o charakterze baśniowym oraz utwory z “pogranicza snu i jawy” świadczyły o trwałym powrocie Czechowicza do prozy. W

ostatnich latach życia pisarza zdaje się ona brać górę nie tylko nad dramatem, ale i nad poezją. Dokonało się to, można przypuszczać, dzięki odnowieniu w biografii pisarza kompleksu wojennego.

W poezji Czechowicza sprawy te ujawniły się o wiele wcześniej, choćby w takich wierszach jak *Front z Kamienia, w boju z tomu nic więcej*, a także w *autoportrecie* ze zbioru *w błyskawicy*. W tym ostatnim czytamy:

tak tak to po kolei
tupały dni lata nadzieje
aż zaczęły i mnie dudnić armaty

litwa raz pierwszy
ciekła przez marszów smugi jak przez palce
przeciekła z frontu do wierszy²⁹

Przeżycia wojenne i frontowe Czechowicza, acz krótkie, stanowiły w jego biografii ważne doświadczenie. Zostało ono wzmocnione przez fakt, iż starszy brat poety, Stanisław ("brat w mundurze/taki duży/piłsudskiego żołnierz" - czytamy we wspomnianym *autoportrecie*), również miał za sobą legionową przeszłość i walki na Wołyniu, potem brał udział w wojnie polsko-radzieckiej 1920 r., przeżył niewolę i powrót z niej z nadwyreżowanym gruźlicą zdrowiem. Niewola i powrót brata znalazły swoje rychłe echa już w *Opowieści o papierowej koronie*, natomiast z własnych przeżyć zrobił Czechowicz użytek dopiero po upływie kilkunastu lat³⁰.

Dlaczego uczynił to tak późno? Przyczyn tego stanu rzeczy można się tylko domyślać. Przeżycia wojenne chyba dopiero po latach stały się źródłem pisarskiej inspiracji, a więc w momencie, gdy dojrzały do literackiego kształtu. Myślę, że oddziaływały tu m.in. mechanizmy, o których wspominał Zbigniew Grabowski, prozaik i eseista, a przy tym rówieśnik Czechowicza, w szkicu zatytułowanym *Pogłosy wojny*. Grabowski posłużył się w nim liczbą mnogą, a więc wolno uznać jego wypowiedź *n i e t y l k o* za wypowiedź osobistą, lecz i za głos pokolenia, do którego Grabowski i Czechowicz należeli. Autor *Anny* pisał tam:

"Wojna - owo żywiołowe doznanie, była zbyt bliska, zbyt groźna w czasie swego trwania, by o tym pisać. Musieliśmy się odsunąć od niej, ochłonać z niej, by móc o niej mówić. Byliśmy oszołomieni jej obuchem - teraz, gdy stajemy znowu na nogi, przychodzi czas na męski rachunek sumienia³¹."

²⁹ Cyt. za: J. Czechowicz, *Wiersze*, s. 122.

³⁰ Warto przytoczyć tu uwagę K. Bielskiego, zawartą w szkicu *Z moich wspomnień. W 29 rocznicę śmierci Józefa Czechowicza* ("Kamena" 1968, nr 18): "O swoich przeżyciach związanych ze służbą wojskową nie mówił nic - nie chciał mówić. Ani do mnie, ani do nikogo ze swoich przyjaciół. W całej jego twórczości ten okres życia nie pozostawił żadnego śladu, bo przecież te kilka linijek w autoportrecie się nie liczy, a wiersz ze zbioru *Kamień* pt. *Front* mówi o czymś zupełnie innym". Wypowiedź ta zdaje się wskazywać, iż Bielski nie znał w ogóle opowiadań Czechowicza

poświęconych jego przeżyciom wojennym.

³¹ Z. Grabowski, *Pogłosy wojny*, "Kurier Literacko-Naukowy" 1930, nr 9.

Wolno więc sądzić, iż przeżycie wojny działało paraliżująco przede wszystkim na tych pisarzy, dla których była ona pierwszym i głównym biograficznym doświadczeniem. Urazy były zbyt głębokie i – by tak powiedzieć – osobiste, że nie nadawały się w takiej postaci na tworzywo literackie. Znamię takiego przeżycia wojny znajdujemy właśnie w opowiadaniu Czechowicza *Dwa kierunki*, gdzie jeden z bohaterów, porte-parole autora, wracający z frontu do rodzinnego Lublina na szkolną ławę i wspominający szkolną lekturę *Irydiona*, mówi, iż "teraz już nigdy karty książki nie będą dla mnie tak świeże, tak piękne...", "ze stronic książek patrzeć będą na mnie twarze zabitych". W tym samym opowiadaniu znajdują się także obrazy, które podkreślają pokoleniowy charakter wojennego doświadczenia:

"Zabici – nie można zapomnieć – zabici – usta pełne krwi, oczy zasypane kurzem marszu, ręce przebite kulami, stygmatyczne, tułowia podarte! [...]"

Pokolenie wracające z placu bojów śpi, wagon niesie nas pod kulę ognistą i jest w tym coś z symbolów niedomówionych, coś z fantazji cofającej się przed granicą. Jarzyk i ja nie śpimy, to jednak nic nie znaczy, bo w sobie, wewnątrz tacy sami jesteśmy, jak ci, których zamknięte powieki przypominają świeże drewno raczej niż ciało. Wióry, heblowiny, kloce białe, co przeszły przez piłę to my, siedemnastoletni, osiemnastoletni".

Inaczej było z pisarzami wcześniejszych pokoleń – Juliuszem Kadenem-Bandrowskim czy Eugeniuszem Małaczewskim. Urodzeni, wychowani i dojrzewający w niewoli – w wojnie napotkali szansę odzyskania swojego obywatelstwa i człowieczeństwa. Pisarze z rocznika Czechowicza i zbliżeni doń datą urodzenia, przeżywali już wojnę inaczej, bardziej jako doświadczenie egzystencjalne i osobiste niż historyczne i zbiorowe. Bardziej akcentowali to co ludzkie, niż to co polskie.

Warto w tym kontekście przywołać uwagi Leona Kruczkowskiego, pisarza zaledwie o trzy lata starszego niż Czechowicz i Grabowski, świadczące również o odczuwaniu porażenia grozą wojny. Wypowiedź autora *Pawich piór*, mająca także znamię reprezentatywności pokoleniowej, świadczy o istnieniu wewnętrznego rozdarcia, wynikającego ze świadomości uczestnictwa w wydarzeniach o ogromnej skali i – jednocześnie – ceny, jaką za to uczestnictwo należało zapłacić:

"Gorzką, naprawdę gorzką jest дума, z jaką powiedzieć możemy my, m ł o d z i – że czoła nasze owiewa i serca rozdrapuje od dni najpierwszych naszej młodości, huragan najstraszliwszy ze wszystkich, jakie przewiały przez Europę. W dniach wspaniałej i urzekającej grozy i posępnego piękna, w dniach, które d z i e j ą się naprawdę – przypadło nam w udziale: być czującym sercem olbrzyma, ukrzyżowanego na łądach ziemi. Mówimy otwarcie: jesteśmy pokoleniem godnym zazdrości wieków – i pokoleniem nieszczęśliwym, miażdżonym, jak żadne dotąd, potężną stopą naszego czasu"³².

³² L. Kruczkowski, *W pierwszym szeregu*, "Gazeta Literacka" 1926, nr 6.

Stosunek Czechowicza do wojny kształtował się nieco inaczej, mniej odczuwał on

historyczny patos, więcej tragizm i absurd wojennych wydarzeń. Dodajmy zresztą, że zarówno on, jak i pisarze z jego pokolenia uczestniczyli na ogół nie w Wielkiej Wojnie Światowej, lecz w bitwach 1920 r., a więc w wydarzeniach, jakie nastąpiły już po wojnie, zamkniętej datą 1918 r. i traktatem wersalskim, oraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Czechowicz, 17-letni uczeń Seminarium Nauczycielskiego, wziął udział w wojnie 1920 r. jako ochotnik. Po niespełna miesięcznym przygotowaniu uczestniczył w walkach 4 pułku piechoty Legionów, najpierw w okolicach Zamościa i Hrubieszowa, a następnie na froncie północno-wschodnim, w okolicach Białegostoku i na Wileńszczyźnie. "Marsze, potyczki, bitwy etc. obejmują okres na tym terenie od 22/IX do 7/X 1920 roku" - zapisał zwięźle Czechowicz w swoim notatniku.

Czechowicz nie dał się zresztą pochłoniąć całkowicie sprawom wojny, do której - jak zobaczymy - miał stosunek niechętny i nie przewidywał dla Polaków dobrego jej obrotu. Na równi ze sprawami żołnierskimi interesowały Czechowicza książki napotymane na miejscach postoju bądź znajdujące się w wojskowym plecaku (czytał m.in. już *Tako rzecze Zaratustra* Fryderyka Nietzschego) oraz własne projekty literackie. Zamierzał m.in. wydrukować opowiadanie w "Żołnierzu Polskim". Ciekawsza jednak od tej informacji jest notatka zapisana pod datą 15 września:

"Od kilku dni noszę się z projektem napisania dramatu o ks. Henryku Pobożnym, który bije się za nic. I ginie za nic pod Legnicą, bez wiary w zwycięstwo. Naturalnie wiąże się to z moim odczuciem obecnej wojny. Nie wierzę w zwycięstwo, ale uważam, że należało pójść na wojnę, jak szli powstańcy 1863 roku, przed którymi również nie było zwycięstwa".

W osobnym zeszycie prowadził też Czechowicz notatki, w którym zapisywał swoje uwagi i pomysły pisarskie. Zapewne ten materiał, obok wspomnień, posłużył mu jako tworzywo opowiadań wojennych, które miały się złożyć na tom zatytułowany *Koń rydzy*.

Pobyt Czechowicza w szeregach żołnierskich trwał równe dwa miesiące, z tego około miesiąca na samym froncie. Był to więc bardzo krótki okres, nie pozwalający na zbyt głębokie poznanie spraw wojny. Ale dla młodego i wrażliwego chłopca - wystarczająco długi. Zetknął się wtedy Czechowicz z życiem koszarowym i na postojach, poznał trudy wielokilometrowych marszów oraz doświadczył emocji związanych z udziałem w bitwach. Widział okrucieństwo wojny, przeżywał niezwykle mocno i emocjonalnie wszystkie krzywdy, jakie na niej spotykały człowieka.

Taki zakres osobistych doświadczeń wyznaczał też horyzont poznawczy przyszłego autora *Konia rydzego*. Horyzont ten wyznacza perspektywa najmniejszej jednostki wojskowej - drużyny, plutonu czy kompanii. Przyjęte przez Czechowicza rozwiązanie było bliskie tendencjom prozy pacyfistycznej. Bohaterami powieści Hemingwaya, Zweiga czy Renna byli najczęściej "zwykli żołnierze frontowi, zmobilizowani ze swoich warsztatów rzemieślniczych, chat chłopskich czy mieszkań inteligentkich. Unikanie człowieka dużego formatu jest zresztą charakterystyczne dla literatury okresu powojennego. [...] Autorzy powieści wojennych zarzucali zasłony na istotnych autorów dramatu wojny i na stojących w głębi reżyserów dyplomacji - i nie dyplomacji"³³.

Jest na przykład rzeczą charakterystyczną sposób prezentacji jednego z bohaterów, który wyraźnie wykracza poza przeciętną socjologiczną typowość biografii żołnierzy występujących w opowiadaniach Czechowicza. Zastawski nazywany jest zawsze hrabiątkiem, a cudzysłów, pojawiający się przy tym określeniu,

ma zapewne i odcień ironiczny.

³³ W. Pietrzak, Literatura o wojnie, w tomie tegoż, *Miscellanea krytyczne*, Warszawa 1957, s. 243-244. Warto tu dodać także niezwykle popularną w dwudziestoleciu powieść H. Barbusse'a *Ogień*.

Jeśli chodzi o sposób ujmowania wojny w opowiadaniach Czechowicza, to można do niego odnieść słowa, które napisał Włodzimierz Pietrzak przy okazji powieści Rembeka *W polu*, iż autor ten "operuje w granicach widzialności zakreślonych zasięgiem wzroku żołnierza"³⁴. Istotnie – taka perspektywa przyjmowana jest przez narratora i bohaterów prozy Czechowicza. Ich uwaga skupia się na najbliższym kręgu ludzi i ich życia, a o sprawach wojny i bitew mówią na ogół wtedy, gdy się z nimi bezpośrednio stykają.

Jest rzeczą uderzającą, iż podobne podejście do spraw uwidacznia się również w prozie Jarosława Iwaszkiewicza. W utworze o reportażowym charakterze pt. *Wiosna i wojna 1918*, dotyczącym walk na Wołyniu, pisze autor: "pojechaliliśmy do Tywrowa na walki. Do dziś dnia jest mi geneza tych walk niejasna. Mówiono: chłopci idą, chłopci zamęczyli ułanów pod Niemirowem. Ja, żołnierz, cóż mogłem widzieć?"³⁵

Czechowicz ukazywał przede wszystkim los żołnierza i los człowieka. Nie wychodził w zasadzie poza rolę sprawozdawcy i świadka. Wizji artystycznej nie podporządkowywał żadnej ideologii, obraz literacki nie miał służyć żadnym doraźnym celom – ani politycznym, ani propagandowym. Te zasady dotyczyły pojmowania zadań sztuki przez Czechowicza, a przypisywał on jej cele wyłącznie własne, autoteliczne.

Autor *Konia rydzego* odbierał wojnie jej heroizm i wielkość, ale starał się natomiast o pokazywanie godności żołnierza, a w nim – godności człowieka. Ale i o tych aspektach postaw bohaterów mówi się w opowiadaniach Czechowicza powściągliwie, rzeczowo, bez zbytejnej egzaltacji. Ekspozuje się raczej zwykłość zachowań, oczywistość gestów, potoczność słów i naturalność mowy, choć nie ociera się ona nigdy o brutalność czy wulgaryzm. Rozpoznamy tu te cechy żołnierza, o których – przy innej okazji i w oparciu o inne doświadczenia – pisał Adam Majewski – żołnierz, lekarz i pisarz w jednej osobie:

"Żołnierz walczy, milczy, przeklina, zwyczajnie po ludzku woła, porozumiewa się codziennym, często bardzo uproszczonym i niewybrednym językiem. W czasie działania kryje się, stara się zabić przeciwnika w ten sposób, by samemu nie zostać trafionym [...]. Żołnierz nie lubi górnolotnych przemówień nawet w ustach najwyższych dowódców [...]. Jeśli myśli o rzeczach wzniosłych i wielkich, to raczej ukrywa te myśli w głębi swojej duszy jako coś bardzo osobistego, intymnego, coś, co się nie daje na pokaz i nie pasuje do normalnych czynności i rozmów"³⁶.

Czechowicz opowiadał się przeciw wojnie, uważał ją za zjawisko złe w całej jego rozciągłości. Nie mógłby on chyba przyświadczyć słowom Zbigniewa Grabowskiego, który we wspomnianym artykule dokonywał apologii wojny, uzasadniając to następująco:

"Wojna bowiem jest jakby esencją życia, opartego na walce. Dała ona właśnie w potwornym przejawieniu zarówno siły zła i zniszczenia, zarówno obraz walki o

był, jak i te siły dobra, poświęcenia, wielkie chwile natchnienia, bez których ludzkość żyć nie może”³⁷.

Grabowski zwracał w swej wypowiedzi uwagę, iż wojna przekazała to doświadczenie ogromnej rzeszy ludzi. Zresztą co do “dobrej” strony wojny, to i Czechowicz w swoich opowiadaniach uwypuklał raczej te zachowania żołnierzy, które świadczyły o ich wrażliwości na krzywdę i o ich człowieczeństwie³⁸. Wprowadza nawet pisarz motywy niemal sentymentalne, jak w opowiadaniu pt. *Kwiatek*. Czechowicz wielokrotnie – poprzez kreowane sytuacje i ukazane zachowania bohaterów – akcentował wspólnotę ludzką i solidarność żołnierskiej gromady. Odnosiło się to i do przeciwników: są oni wrogami na polu walki, w innych sytuacjach (np. niewola) dochodzą do głosu całkowicie ludzkie uczucia. I w tym przypadku Czechowicz zbliża się do ujęć tych spraw przez Rembeka, o którym Pietrzak napisał, iż “rozumie postawę polskiego żołnierza – i rozumie nieprzyjacielskie okopy: tamci także nie chcą ginąć, chcą zwyciężyć”³⁹.

³⁴ W. Pietrzak, *op. cit.*, s. 245.

³⁵ Utwór zamieszczony w zbiorze *Pejzaże sentymentalne*, Warszawa 1926. Zbieżny u obu pisarzy jest także motyw konia rydzego. Czechowicz mógł się inspirować ujęciem tego motywu w *Legendzie o świętym Merkurym Smoleńskim*, znajdującym się w tomie *Legendy i Demeter*, Warszawa 1921.

³⁶ Cyt. za: J. Bełkot, *Wojna i medycyna. O pisarstwie Adama Majewskiego* [w:] *Tematy*. II toruński almanach literacki, Łódź 1982, s. 222.

³⁷ Z. Grabowski, *op. cit.* Warto tu przytoczyć także słowa E. Małaczewskiego z *Konia na wzgórzu* (Warszawa 1934, wyd. 4, s. 283): “Bo oprócz ohydy, mrożącej krew w żyłach, czyż nie rozkwita z Wojny najszczytniejsze bohaterstwo, poświęcenie się, szlachetność, to wszystko, co jest posągowym, heroicznym kształtowaniem Miłości czynnej? Jeden dzień Wojny daje tego więcej niż sto lat zbrojnego pokoju”.

³⁸ Na niektóre dodatnie skutki wojen wskazywał Czechowicz w artykule *Uwagi o wojnie*, “Myśl Polska” 1939, nr 15.

Akcja opowiadań Czechowicza rozgrywa się częściowo na tych samych terenach, co i powieści Rembeka, a także – Izaaka Babla. Zamość, południowa Lubelszczyzna to wspólny teren, a rok 1920 – to wspólny czas zdarzeń utworów pisarza polskiego i radzieckiego. W notatkach z tego samego roku pod datą 4 września zapisał Czechowicz:

“Noc pod dachem. Nocleg w Wólce Kraśniczyńskiej, w chacie na słomie. Dostałem żołąd półpolowy. Doszły wieści o pogromie 4 i 24 pułku piech. przez Budionnego. Jem śliwki. Nachodzą mnie refleksje, że z taką kompanią jak nasza niewiele da się zrobić na froncie”.

Te zdania przypominają oschłą, rzeczową prozę Babla, a – przede wszystkim – wspominają o dowódcy Armii Konnej, jednym z bohaterów radzieckiego pisarza. Babel ukazywał wojnę, bitwy i żołnierzy jednej strony, prezentował swój punkt widzenia. Czechowicz, na swoją miarę, dawał spojrzenie strony przeciwnej i jest to ujęcie niejako dopełniające obrazy tworzone przez Babla. Dodajmy, iż w wersji pamiętnikarskiej sprawy te niedawno zostały przypomniane i oświetlone dzięki

opublikowanemu *Pamiętnikowi* Władysława Broniewskiego, który kampanię 1920 r. odbył w całej rozciągłości i na froncie wielokrotnie spotykał się z żołnierzami Budionnego⁴⁰.

Niektóre utwory Babla ukazały się w Polsce już w 1927 r., ale wtedy były czytane inaczej. Kiedy w 1961 r. wydano je ponownie w obszernym wyborze, stały się jedną z najpoczytniejszych w Polsce książek. Na pewno ważną rolę odgrywała tu kwestia "Babel a sprawa polska..." Ze względu na potrzebę oświecenia pewnych, podejmowanych w wojennych opowiadaniach Czechowicza spraw, warto przywołać obszerny fragment wstępu Jerzego Pomianowskiego do utworów Babla:

"Utwory Babla spotykały się z najwyższym zainteresowaniem w Polsce. Wypada to podkreślić, zwłaszcza z tej racji, iż liczne fragmenty *Konarmii* dotyczą spraw znanych nam tutaj, ale zwykle w całkiem innej, przeciwstawnej relacji. Tak, rzecz dzieje się w 1920 roku i cały czas tam mowa o potyczkach z Polakami. Polakiem jest zastrzelony jeńiec i Polakiem zarąbany generał, który nie chciał oddać szabli komu innemu, jak samemu Budionnemu. Ale okazało się, że polskiemu odbiorcy współczesnemu bardziej odpowiada ta prawdomówna i nie ukrywająca własnych słabości relacja Babla - pełna zresztą kombatanckiego uznania dla dzielności przeciwnika - niż błyszczące sztabowym lakierem relacje oficjalne z jednej i drugiej strony. Gdzież one zresztą? Prócz prac Piłsudskiego i Tuchaczewskiego - tylko kilka przebrzmiałych już sprawozdań dziennikarskich i powiastek pisanych dla doraźnego użytku. A chwila była ważna, jedna z najtragiczniejszych w długich i bolesnych dziejach ludów Polski i Rosji. Trzeba znać koniecznie rzetelne o niej świadectwo"⁴¹.

Sądzę, że w imię tych samych racji czytelnik polski winien poznać wojenne opowiadania Czechowicza, gdyż i one są rodzajem świadectwa, ukazując - podobnie jak i pamiętnik Broniewskiego - dramatyzm polskiego losu w pierwszych latach niepodległości.

³⁹ W. Pietrzak, *op. cit.*, s. 245.

⁴⁰ Mimo, iż Broniewski był od Czechowicza starszy o kilka lat i jako żołnierz bardziej doświadczony, to jednak w jego *Pamiętniku 1918-1922* (Warszawa 1984) można znaleźć ujęcia i motywy zbieżne z tymi, jakie spotykamy w zapiskach i utworach autora *Konia rydzego*. Por. zapis z 15 VIII 1920: "Pragnę spokoju, książek i zamknięcia się w sobie. Pragnę pisać o tym, co się jeszcze nie przeżyło, o tym czymś tkwiącym w głębi duszy, co trzeba przerafinować, przeżyć, przelać na papier, aby nie zabijało i nie truło" (s. 198).

⁴¹ J. Pomianowski, *Wstęp do: I. Babel, Utwory wybrane*, Warszawa 1964, s. 19.

W niniejszym tomie pomieszczono także dwie grupy prozatorskich tekstów Czechowicza. Pierwsza z nich obejmuje utwory opisowo-wspomnieniowe, zbliżające się niekiedy do poetyckiego reportażu. Utwory te świadczą o trwałych upodobaniach pisarza do pewnych wątków i motywów oraz o równoległym ich opracowywaniu za pomocą odmiennych artystycznych sposobów. Artykuł o kaplicy św. Trójcy na Zamku lubelskim oraz szkic o cmentarzu lubelskim mają swoje odpowiedniki tematyczne w wierszach z tomu *Stare kamienie, Dawna chwila* - w utworze pt. *piłsudski*, a szkice

poświecone pieśni i gwarze młynkowskiej – w wierszu pt. *dzieciństwo*. Inne teksty poświęcone Lublinowi, jego zabytkom, przeszłości i teraźniejszości korespondują z utworami ze wspomnianych już *Starych kamieni* oraz z *Poematu o mieście Lublinie*, który stanowi jakby sumę tego, co Czechowicz miał do powiedzenia o miejscu, gdzie przyszedł na świat i z którym związany był prawie całym swoim życiem.

Znamienne są również szkice dotyczące Francji – jej pejzażu i architektury. Czechowicz był tym krajem zafascynowany, miał zresztą okazję poznać go bliżej, choć nie na tyle, na ile pragnął. Wśród nich na uwagę zasługuje przede wszystkim wspomnienie związane z Norwidem oraz z budynkiem przytułku, w którym mieszkał przez ostatnie lata swego życia i gdzie je zakończył Cyprian Kamil Norwid. Szkic ten, kilkakrotnie przez Czechowicza przedrukowywany, stanowi ważny klucz do poznania genezy i kształtu znakomitego poematu *dom świętego Kazimierza*, jednego z najpiękniejszych utworów Czechowicza.

Grupę następną obejmują teksty autobiograficzne w postaci fragmentów dzienników oraz zapisków opartych na tradycji rodzinnej i własnych wspomnieniach Czechowicza. W sytuacji, kiedy nie dysponujemy pełnym archiwum poety i dokumentami odnoszącymi się do jego życia, okrucy dzienników i zapiski do biografii mają bezcenne znaczenie, gdyż przynoszą one wiarygodne i niezastąpione źródło informacji dotyczących osobistych spraw pisarza. Dzięki temu wiemy nieco więcej o młodości Czechowicza (epizod wojenny z 1920 r.), jego nauczycielskich losach (Słobódka, Lublin), wreszcie o jego literackich początkach.

Teksty odnoszące się do 1920 r. mają jeszcze jedną dodatkową wartość, pozwalają mianowicie dostrzec, jaki użytek pisarski czynił Czechowicz ze swoich autobiograficznych dokumentów. By się o tym przekonać, wystarczy porównać rzeczywiste zapiski z dziennika z 1920 r. z ich wersją drukowaną później pt. *Przypomnienie tamtych dni (Z notatnika studenta-ochotnika)*.

Tekst drukowany obejmuje czas od 27 września do 6 października, a więc zdaje się odpowiadać częściowo zapisowi *Notatek pamiętnikowych...* z 22 września, gdzie wymienia się nazwy miejscowości, przez które prowadziła trasa marszów oraz informuje zwięźle: “Marsze, potyczki, bitwy etc. obejmują okres na tym terenie od 22/IX do 7/X 1920 roku”. Powstaje więc pytanie, czy drukowany tekst opiera się na innej, nie zachowanej części dziennika? Niezależnie od odpowiedzi na to pytanie wydaje się, iż przygotowując swój tekst do druku, Czechowicz poddawał go już obróbce literackiej. Zapisy w *Notatkach pamiętnikowych...* są bardzo zwięzłe, ale przy tym bogate w informacje natury geograficznej, a przede wszystkim – personalnej. Na trzech stronach maszynopisu wymienia Czechowicz aż 15 nazwisk swoich kolegów z oddziału i zwierzchników, natomiast w *Przypomnieniu tamtych dni* zapisy są bardziej rozbudowane, sporo miejsca poświęca autor przeżyciom frontowym oraz mijanym krajobrazom, natomiast nie ma w tekście już ani jednego nazwiska czy imienia ludzi z otoczenia autora dziennika.

Co ciekawsze – w wersji drukowanej Czechowicz przeniósł zdarzenia w okolice Hrubieszowa, gdy tymczasem – jak wynika z *Notatek pamiętnikowych...* – w tym czasie Czechowicz-żołnierz znajdował się już na froncie litewsko-białoruskim. Wygląda więc na to, iż Czechowicz albo pisał opierając się na wspomnieniach utwór literacki, stylizowany na dziennik, albo też opracowywał i modyfikował jakieś fragmenty rzeczywistego notatnika. Jego narrator nie jest już uczniem seminarium nauczycielskiego, lecz studentem uniwersytetu.

Niezależnie od rozstrzygnięcia, dotyczącego praktyki Czechowicza, można powiedzieć, iż w zapiskach dziennych znajdowało się jedno ze źródeł jego prozy, a zwłaszcza opowiadań z cyklu *Koń rydzy*. Można to nawet zauważyć na przykładzie nazwisk bohaterów – kapral Stachurski staje się Staszewskim, zaś plutonowy Megger – Eggerem. W opowiadaniach pojawia się też Zastawski – późniejszy pseudonim pisarza, a raz tylko wprowadził do nich swoje własne nazwisko. Opowiadania wojenne Czechowicza stawały się wyraźną kompozycyjną całością, stanowiły cykl utworów, dotyczących podobnych wydarzeń z udziałem często tych samych bohaterów. Powtarzały się zresztą nie tylko postacie, ale niekiedy i sytuacje czy pewne motywy.

Tom prozy Czechowicza zamykają jego przekłady z obcych literatur. Trzeba od razu powiedzieć, iż są one bardzo znamienne i do pewnego stopnia odpowiadają jego zainteresowaniom jako tłumacza poezji. Obejmują mianowicie języki słowiańskie (tu ukraiński, a literatura pisana w tym języku zawsze była bliska Czechowiczowi), francuski oraz angielski.

Czechowicz wybrał nazwiska najwyższej wagi, choć z dobieranymi utworami było nieco inaczej. Przełożona przez Czechowicza proza Prousta pozostaje w cieniu jego wielkiej powieści, natomiast przekład fragmentu *Ulisses*a Jamesa Joyce'a należy uznać za niezwykle ważny i pionierski. Było to chyba pierwsze i jedyne w okresie międzywojennym tłumaczenie prozy tego pisarza na język polski. Czechowicz przełożył też kilka wierszy Joyce'a, pierwszy również udostępnił polskiemu czytelnikowi utwory poetyckie Thomasa Stearnsa Eliota.

Wybrał Czechowicz nazwiska dwu największych prozaików XX w. Jego wybór oznaczał też przejście od dotychczasowego zainteresowania literaturą francuską do odkrywania literatury anglosaskiej. Jeszcze w 1935 r. pisał do Jaworskiego: "Odkryłem Coleridge'a. W Blacku kocham się od dawna. I wiesz, Anglicy biorą mnie bardziej niż Francuzi-sojusznicy" (L., 295). Autor *nuty człowieczej* wykazał w tym zakresie zarówno dużą intuicję, jak i odpowiednią znajomość rzeczy. Wybory te wystawiają mu więc jako pisarzowi jak najlepsze świadectwo.

Tadeusz Kłak

TERAZ, GDYŚ ODESZŁA...

1

Teraz, gdyś odeszła już na zawsze, powiem ci słowo najświętsze: Kocham. Bo wiem, już nie wrócisz.

A smutny wiatr znad cmentarza przyniesie mi twoje słowa: Kochałam cię

Przepełniony dni szczęśliwe na umajonych łodziach. Zniknęły i próżno wypatruje oczy - nie ujrzę ich więcej. Na imię im było: Dni niepowrotne.

Zima. W oknach podwójne ramy. Nie słychać żadnego głosu ze świata. Tu, w tej ciszy, żyje szczęście moje ostatnie, szczęście wieczornego wspomnienia. Ono jest wierne i trwałe.

Ileć patrzę w okno, widzę biały ogród, a wśród ram okiennych kępy kwitnących wrzosów - twój ostatni dar. Schną tam i marzną. Kiedy na wiosnę otworzy się okna i wyjmie je, wraz z piaskiem rozsypią się i pokruszą. Może wtedy zapomnę o tobie.2

Przeszłej zimy całowałaś me usta w zapachu ciszy nocnej. Miłości naszej przygrywały echa muzyczne z domu naprzeciw. Rozrzewniały się skrzypce i drżały w rękach grajka jak ty w moich ramionach.

Gdy u mych stóp siadałaś zamyślona, nachylałem się z tyłu nad tobą i, zamknawszy twe oczy, całowałem cię krótkimi, dziecinnymi pocałunkami.

Zgiętym jest niby łuk, a ty prosta jak strzała. I tak tworzymy razem w marzeniu miłosnym zapowiedź śmiertelnego ciosu.

Twym nagim stopom poświęciłem cały wieczór. Siedzieliśmy na futrach okrywających podłogę. Blask świecy złocił nas lekkim złotem. Śpiewałem miłosną improwizację o tych maleńkich, opalonych na bursztyn stopach.

Gość tej zimowej nocy - szron, przystroił nam okna w fantastyczne girlandy. Stanąwszy przy zamarzniętych szybach, żarem gorących ust psułaś haft mroźny, jak płomień psuje pajęczynę.

Pod koniec zimy złożyłem ci ofiarę, jak bogini. Wydałem na śmierć listy pisane czyjąś drogą, ongi najdroższą dłonią.

O zmierzchu, gdy w kominie czerwienił się szepczący żar, rzucałaś te liliowe kartki na węgle. Zapalały się jasno i ginęły. Na czarnych, spopielonych kartkach, powyginanych jak blacha, żarzyły się jeszcze przez chwilę litery i słowa:

“Przyjdź dziś... wieczór taki biały...”

Miłość nowa zabija miłość dawną.3

Gdzie się kończy nasz sad, ujrzałem cię klęczącą nad martwym ptakiem. Klęknąłem na śniegu obok, pytając: czy serce żyje? Uniosłaś zdziwione oczy i powiedziałaś z naciskiem: Wiosna. Lecz ptak nie żyje.

Raz, gdyś szła do domu, pod czarnymi, dalekimi sosnami zobaczyłem, że twe ślady błękitne w ostatnim śniegu mają w sobie smutek bez przyczyny. Dłonie moje zadrżały od żalu przeczuwając.

Złota grzywa rozwiewa się jak płomienie. Cwałuję do ciebie, a rytm kopyt raduje serce, bo przecież jesteś wciąż bliżej.

Przyszłaś i odejdiesz. Noc letnia jest krótka i upalna. Całuję tym goręcej, im bliżej rozstanie. Nie wiem, dokąd pójdziesz. Dla mnie - odejdiesz w krainę purpurowego mitu, we wspomnienie nocy jedynej.⁴

Cisze nocne nie zawsze są spokojem lub burzą. Czasem głębinę miłości nakrywa fala pełna niewidzialnych skrótów mrok uśmiechów i dotknięć, które przechodzą po nas jak majowy deszcz po runi.

Jestem z tobą. Marzą się ognie, jak ongiś, nad jeziorami. Lecz wiatr trzepocze w twoim liliowym welonie, słońce nie chowa się za czarnego boru Hades, sztandary jodeł nie wieją nad nami za wichrem.

Jest noc, jest nagość pachnąca w mroku.

Zanim ważymy się na rozkosz ostatnią, niech się łańcuchami złotymi aż do świtu przeciągnie szereg pieszczot, ujęć i przegieć.

Kochanko gibka i smukła, ja już nic nie wiem o tobie, tylko że pachniesz, że rozśpiewana jesteś nocą i mrokiem. Przesuwasz kark okryty puchem nad moimi ustami i jest, jakby wiatr, idąc po chłodnej fali, chyże stopy zagłębiał w niej lekko, z zakochaniem.

Krótką noc ma godzin za mało, aby zagłuszyć mosiężne misy i drewnianych głosów wrzawę, którą pieni się dzień. Pamiętając o tym, sączymy słodycz leniwym strumieniem. Niech dusza przywyka do szmeru źródlanego. Niech umie się weń zasłuchać i w dni pogwarze.

Więc najpierw poróżwiałe od pocałunków skronie twe przylgną do mnie jak przedmiot żywy, tętniący i płaski. A usta zwrócone ku górze, w noc, rozewrą się lekkim uśmiechem oczekiwań. Całując uśmiech, wiem poprzez linię twych warg, że uśmiechałaś się zmrużywszy oczy, wśród dwóch cieni trzepoczających rzęs.

Ręce drobne przywrą nagle do moich policzków, razem chłodne jak kwiat i żywe niby serca ptaków. Na skrzydłach swych białych unoszą moją głowę i przechylając ją w tył, wydadzą na żer pocałunkom.

W tym wieńcu rąk kochanki niosę się gdzieś ponad sny, ponad noc, ponad nieustanny opad twych krótkich pocałunków, aż na dalekość jakąś wieczną.

Rozkosz, rozkosz... Grzęznę w tumanie. Już nie przy tobie, nie z tobą, ale z obłokami na obłoku obłokiem istnieć zacząłem przejmująco od wilgoci ust., pocałunkowo...

Ach, wtulić się w ciebie i w świat, i w noc wonną! Ach, wejść w Nieznane przez wieniec twych rąk zaciśnięty na głowie, przez pieszczoty twe kwiatowe a drapieżne...

Gdy tak pragnę, przesunęłaś dłoń jedną na barki moje i niby globu dziwnego badaczka poznajesz linie, w które ja jestem zamknięty. Dłoń druga opada na szyję - smuga chłodna, ałłasowa. Przegub rąk, kąty powiek, śmiesznie ciepłe dolinki pod kolan przegięciem, pierś i tors, i linia grzbietu - wszystko ma pieszczotliwą melodię, umie rozkwitnąć i stać się rozkoszą pod ochłodą i spieką, burza i ciszą twych drażnień, upieszczień, zacałowań. Jestem instrumentem zmysłów, na których księżyc nawet nucić potrafi.

Zbyt wielkie wezbranie radości gnało nas na szkliste, zamarzłe jeziora. Przebiegaliśmy je rozbijając tuman śnieżny w nieustannym śmiechu, zgiełku i ekstazie.

Gdy przybywały wraz z chmurami godziny smutku, siedziałem w pokoju, ułożywszy głowę na twojej piersi, aby słyszeć twe najukochańsze życie. Słyszałem je dzwoniące rytmicznie.

Oto lód się już kruszy, odwilż dokoła. Z bieli śniegów ostro czerni się nurt rzeki. Staliśmy pod drzewami, po których ciekła wilgoć. Schwyciłaś mnie nagle za ramię. Ujrzałem oczy twoje zapatrzone w czarną głębinę i poznałem w nich błysk tajemnicy.

Mówiłem ci już nieraz, że śmieszne jest słowo tęsknota. Lecz jakże nazwać mój żal za tobą i wierne czekanie, aż wrócisz? Chodzę wtedy z kąta w kąt i załamuję dłonie. Niekiedy zaś stoję przy oknie i patrzę w ciemną noc.

Śnieżyca szalała przez trzy dni. Tak długo cię nie widziałem. Lecz dziś jest złoty ranek na śniegach i słońce cieszy mnie jako twój zwiastun. Przybywasz i ty ze złotym porankiem - radości moja bezmierna.

Miłujące dłonie złożyłaś na mych ramionach i z bliska patrzysz w me oczy. Godzina jest nieziemską, aż do bólu. Trwamy tak, a ust. Moich nie mogę zbliżyć do ciebie, bo kwitną między nami szczerosrebrne lilie zachwyty.

Bawimy się na cmentarzu, śpiewając wśród nagich drzew i krakania wron. Na starym grobie znaleźliśmy drewnianą figurę świętego. Wzniósł do góry ciemne dłonie i błogosławił śniegi. Klęcząc prosiliśmy go, aby błogosławił i nam.

Gwiazdy nocy grudniowej zasypały nam okna. Wszystko jest jak co dzień i jak zwykle. Gdy pytam, czy mnie kochasz, pochylasz głowę nisko, aby gwiazdy nie widziały wstydu przyznania się, i szepczesz cicho: tak. Jak co dzień.

A ja zarzucam ci ramiona na szyję i z bliska patrzę w twe oczy. Potem zamykam je pocałunkami - jak zwykle.

Twój dom cichy i pusty. Twa izba ciemna. Przez szpary zamkniętych okiennic wpada jasne, zimowe słońce. Wśród złotych strun widzę twą głowę promienną, jakby się na nią lały blaski Miłości. Ktoś cię obdarował dziś wielkim smutkiem - przychodzisz milcząca i chmurna. Na próżno staram się ciebie ucieszyć. Usiłowania me są daremne, ponieważ nie wiem, co jest zasmucenia przyczyną. Po godzinie słów

i milczenia rzekł: smucę się o Ciebie.

Nachylam się nisko i ze złożonych twych dłoni piję długi pocałunek. Jest to, jak gdyby jeleń przyszedł na wodopój do świętego źródła.

Płynąca wiecznie rzeka, której szum słyszę, ilekroć cisza jest wokół - niesie naszą łódź. Ku przepaści dążymy na wątej łupince i nie uratuje nas nic. Lecz wsparci wzajem na naszych ramionach jesteśmy silni jak przepaść.

Skroń twa, jabłkom granatu podobna, dzwoni w pobliżu skroni mojej. I znów czuję rozkosz wysoką, rozkosz bliskości twego życia. Z jednego źródła ku jednej dążymy zgubie.

Smutek. Siedzimy w ciszy, nieruchomo, unikając swych oczu. W pokoju mroczno. Wilgoć wiosenna. Nieprzytulność. Wołam: "Goń mnie, maleńka". Czyż nie widzisz, że pragnę być schwytanym? Tak, a teraz ukarż mnie pocałunkiem.

O radości myśli się najlepiej, gdy zapatrzę się w twe opalone, złote dłonie. Spokój jest wówczas większy niżeli na zielonym półwyspie wśród jezior w samo południe.

Niekochane niedziele, w które cię nie widzę. Jesteście przesłonięte smutkiem jak gwiazdy obłokiem. Ale dni, w które jesteśmy razem, bardziej są kolorowe niż te idące przez niebo pagóry pełne kwiecia.

A ty? A zachwyty twoje delikatniejsze od zmierzchu? Czy chciałaś czego więcej od tajemniczych godzin rubinowej nocy. Za czym tęsknić, co wymarzyć, gdy marzenie ciałem się stało - i jesteśmy razem w ciemności i pocałunkach...5

.....
.....

Cicha wieczorna chwila.

Ta noc już dawno zginęła, a otchłań blisko.

Samotna płonie świeca u mnie, u samotnika.

O tej samej godzinie, w zmierzchu zimowym, w śnieżystej tęsknocie, kto pięści twe maleńkie, ukochane ręce?...

GDY PISZĘ TO...

Gdy piszę to przy wschodzącym na niebo świcie, łuny zimowe rozlewają się nad białym od śniegu Lublinem, tak pełnym brzęku sanek i śniegowej cichości.

Jestem sam. Jak zza obłoku spoglądam na ludzką gromadę, oczom ich ukryty, bo któż mnie zna? Skąd jestem na mojej wyżynie, daleki i obcy tanecznym korowodom życia?... Ja, który przeczuć nawet nie znam, że może tam, w tej dolinie ziemi, jest kwiat całego istnienia, że może ten szalony karnawał, scena, maski i żelazo to jest jedyny i najwyższy sens... Takich myśli nie trzymam na dłoni. Niech fruną - są nie moje. Patrzę jak od trumny, wstecz, na sen prześniony.

Widzę wiatr, pod którym kłonicie się całymi narodami jak trawy.

Kiedyś, ponad pieśnią błagalną ludu, wielką, orkana, poznałem wyż moją po raz pierwszy. Upoiłem się wichrem i snem o potędze.

Nie tak dziś. Kocham tylko swoją ciszę wyżynną. Przeobraziłem się i ustami odmienionymi smakuję owoce wiecznie te same. Melancholia, nieznaność rzeczy i cisza moja oplatają mnie szarymi strugami dymu. Rozdzwoniłem się melodiami samotności i psalmów. Jasna wyżyna słucha.

W MOIM SERCU

W sercu moim paliły się nierówne płomienie. Wysokie fontanny ognia, sypiące w przegięciach swego frywolnego tańca garście całe skier, a obok płomyczki małe jak ogródek jakiś chryzantemowy lub jeszcze mniejsze, przypominające oczy sów, Tak, tak - rzekłem samemu sobie - co płonie, spalić się musi.

I spojrziałem znowu w siebie, szukając czegoś chłodnego i błękitnego. Było - jasne i bezbronne jak chrupki szron na zimowych sadach. Było - dobre, patrzące niegrzesznymi oczyma. Zapach... aromat kolorowy, kochany jak niespodziewane spotkanie z Piękną.

Począłem rozważać, przechodzić wspomnieniem wszystkie noce ogniste, uściski pod krwawą łuną, pocałunki oszalałe jak dzwony, skłębienia się Dwojga bezkształtne, bryłowe i ponure w swym obłąkaniu żądzą i czerwienią. Czy ja kiedykolwiek kochałem te krwawe widma kobiet?

Wstawały - orkanem - na stepach szerokich i pustych, które ktoś nazwał mną, życiem moim. Zrywały się, przysiadały na tygrysiach zadach, pieśczośliwą dzikość swoją wgłębiały we mnie, miłośnie i rozkosznie dusiły mnie, rozkrzyżowanego na łożu, które płynęło między przestrzenia i czasem w jakiejś ciężkiej, gniotącej sobą wieczności. Niby korab nędzy i niziny żeglowało do grzmiącej dali, gdzie czekał malstrom., dolina bez zbawienia, gehenna mroku i krzyku.

Ogień zapalił mnie w tym czerwonym tumanie. Lecę jak meteor, do dna. Białym bogom ukazuję swe skrzydła obłoczone i ciężkie, na chwilę, pod ich spojrzeniem rozkwitam chłodem, błękitem i bielą. Na cały dzień nieraz gaśnie mój pożar otchłanny i z niziny ognia staję się doliną pogorzelsk. Oto wszystko.

Na próżno plotę wianeczki z młodej dębiny. Nawet pod ich zapachem głowa moja cięży i boli. Ani przez wieniec, ani przez łakę do lazuru wejść nie można.

Tylko przez lazurowe serce.

PURPUROWE

ANNA

I. Zimą to było. Maleńkie saneczki niosły nas do domu, wrzynając się wyraźnie w przesypane księżycem i mrozem powietrze. Na drodze, dobrze znanej, liczyłem, jak długo jeszcze będziemy tak jechali w cichości przez te białe, zaświatowe niemal równiny zamarzłych jezior. Pióropusz pary z chrap zmęczonego konia trącał nas raz po raz ciepły, pachnący życiem. Zaś kryształowe powietrze ścinało się jeszcze mocniej w mróz i głuchość pod nieustannym brzękiem janczarów. Milczeliśmy.

- Mimo że nie mówiliśmy o tym nigdy, jest między nami smutna jakaś łączność - rzekła wreszcie Hanka, gdy już świeciły nam wieże słobódzkiego tumu.

- Jak gdybyśmy nie my działali na naszych działaniach - podchwyciłem równie bezosobowo. - Jak gdyby rzeczywiście istniała jakaś druga, lewa strona życia, na której cały mózół rozplątywania zawiłych jego deseni nagle można by zrozumieć... A potem może i samemu układać. Jak los sam, jak bóstwo!

- I tam, i tu jest smuga jakaś ode mnie do pana i na odwrót. Żadne z nas nigdy nie jest samo - mówiła patrząc w księżyc. - Przez całe życie marzyłam, żeby tak znaleźć kogoś, kogo się będzie znało mi mimo mrok, mimo wieki. Ale teraz, kiedy jesteśmy oto tak blisko i jednym owiani wiatrem, smak bólu czuję dobrze całą moją chorą, umęczoną duszą. Nie ma we mnie nic żywego. Ci ludzie, dokoła mnie krążący, są takimi samymi akcesoriami jak ta noc, śniegowiska, to zagubienie w białej przestrzeni... Jeden tylko pan żyje i jeden tylko ból jest jeszcze mocnym moim uczuciem. Zrobię z niego królewski dar - dla pana. Nie pozna pan prawdy moich słów, gdy ona się w pańskie łyzy ubierze...

- Jest jakaś łuna w tych słowach - rzekłem cicho - i brak w nich kobiety. Mówi pani, odkrywając losy i idee. Nie wiem, czy to po to, żeby nimi osłonić inną wyrazistość, czy też naprawdę męsko, hektorowo...

- Jesteś pan jeszcze strasznym chłopcem, dzieckiem... Jeśli kobieta staje tam, gdzie sam los powinien stać, jest poważna jak on. I mówi tylko prawdę. Dusza wtedy obumiera, draperie usztywniają się, kamienieją w posąg, życie zatrzymuje się u stóp, aby uciszyć się i wypłakać. Rzadko stajemy się losem, my, kobiety, rzadziej jeszcze wiemy o tym, ale gdy wiemy, to wierz mi pan, nie jest on od nas dostojniejszy...

Sanki stanęły. W głębokiej nocy, gdy ustało dzwonięcie janczarów, przewiały jakieś białe skrzydła. Ganek pełen śniegu, porzniętego cieniami słupów, okna zasnutę ślepotą od mrozu i księżycą, wreszcie Wielki Wóz, nad domem zawieszony - zionęły ciszą, chłodem i spokojem.

Wysiedliśmy. Czekala na ganku, aż konia ustawię w stajni. Gdy wróciłem, powiedziała jeszcze:

- Księżyc mnie bieli, naprawdę staję się posągowa.

- Nie. Nie biało! - zaprzeczyłem. - Gdy mówiła pani o sobie, ze śniegów, z granatowego nieba zapachniało mi nagle grobowym, czarnym marmurem. JAK JASIŃSKI GRAŁ HANCE

II. Długo, długo grał. Niejedną Trójkę wytęsknił, niejednego przepłakał Chrystusa. A później na karbowanych obłokach popłynął w zmierzch i legendę. Dwa sine ognie trzymały straż wieczną nad jego duszą, nad ustami bladymi jak u starca, mądrymi wiecznie, duchowo.

Hanka przewiesiła przez poręcz fotela sypkie bogactwo żytnich swoich włosów, a

białe ręce zaplotła na kolanach. Uleciała przez oczy. Skroś otwarte niebiosa jej źrenic widziałem, że jej nie było.

Stać bez niej, sam na sam z tą nawałnicą drzeń, cieniów, skrzypcowego łkania i uśmiechów - straszno było, bardzo straszno. W dzieciennym swoim lęku patrzyłem na gasnące świece, na tę falę skrzydlatą, która zalewała pokój przy mrugnięciach światła. Bo noc była znowu księżycowa. A może po `prostu gołębice przyleciały, ducha wystanki, i tłukły się u szyb jak kostniejące palce?...

Ciemność.

Smutne dymy na pustych lichtarzach. I straszne kroki. Hanka wstała, ogromna w mroku i melodii, i podeszła do grajka. Ujrzałem swoimi niewinnymi jeszcze oczyma, jak ustami wbiła się w jego twarz - na długo. Beznamiętnie go piła. Głowę jego przechylała w tył jak martwotę jakąś i całowała wiecznością.

Struchlałem. Mroźne czyjeś oczy patrzyły sponad ich głów i krzyczały ku mnie straszliwym, gorejącym bólem.

III. Przyszła, gdy pisałem o życiu i śmierci, a za oknem w brzozowym gaju szumiała zielona wiosna. Pisząc, pełen byłem marzenia o bursztynowych zjawach, które przed zejściem ducha na ziemię, tańczą na trawnikach nocnego pałacu, a księżyc przygląda się spoza ich mętnoprzejrzystych głów. Właśnie na dalekim horyzoncie już mi się zwidywał ich korowód rozplątany bez muzyki, osypany deszczem lazurowych i różowych jętek znad ciemnej wody.

Przyszła, klęknięta u moich stóp, zanim się otrząsałem z nawiedzenia duchów. Włosy rozszeleściły się jak jasny łan, okrywając ją, moje kolana i ziemię. Płakała tak, jak czasem jesienna noc płacze. We łkaniach, jak pierścienie złote, zaczęła toczyć słowa smutne i dziwne, spowiedź żałobną...

- On odszedł... słyszysz... on odszedł! Rozpaczałam nad nim złowieszczo. Nie do innej, nawet nie do sztuki swej boskiej, odszedł w jakieś zamyślenie, które, jak mówił, ja mu stworzyłam. Bo pierw nie znał takich zadum nigdy... Odszedł... A ty jak chmurne bóstwo milczysz! Nie cierpisz ze mną, nie łkasz... Wszystko jest głucho, nawet ty... Aaa!... Tam, gdzieś, jest białoskrzydły anioł. Czemu nie weźmie mnie stąd... Ach, spać spokojnie pod wodą... pod letejskim wylegiwać się nurtem i nie wiedzieć, nie wiedzieć, że on... stracony... Wiosna szumiała. Portrety patrzyły ze ścian mijając oczyma moje spojrzenie. Czułem wyraźnie, że tuż przy mnie faluje zasłona nieuchwytna, a poza nią mrok i krew potokiem w mroku bulgocącym. A przecież krzyża nie było w tym pokoju.

Wstałem.

Od kolan mych spojrzała smutnymi łzami - nie rozumiejąc. Rzekłem jej:

- Patrz. Oto ja nie lękam się, choć na tron mój wstępuje myśl z nieznannej głębiny. Nie przyszła z żadnego mojego zmysłu ni uczucia. Zerwała się z nicości wojennie i zbrojno. Odejdę stąd. Oplątujesz mnie swoimi dziejami jak setką krwawych rąk. Już i tak nieznanne płomienie palą się we mnie dniem i nocą. Odejdę stąd. To nic, że ty myśli mojej słuchasz. Słuchaj dalej pustki i samotności, obłąkana żalem, strachem i groza tego, co jednak się zbliża.

Odejdę stąd...

Ledwiem rzekł, zaczęła się magia. Dłonie miękkie, ciepłe objęły moje bose stopy. Gorące przywarcie jej ust. Zabolało nagle jak rana, jak stygmat jeden jedyny na całym moim ciele.

Szepnęła nad stopami: Pan mój i Bóg mój.

Głowę jej uniosłem ostrożnie, ująwszy ją jak kielich, oburącz. I patrząc w usta jej

grzeszne, szkarłatne usta kobiety, wiedziałem już. Znowu przebaczę. Znowu zamilknę w bólu, którego tyle jest w c u d z y c h pocałunkach.

O Hanko! Mojej głowy nikt nie wzniesie ku niebu tak miłośnie, tak wolno. Cała niedola nasza nie może sprawić, żebym ja chłopięcymi wargami... musnął... twoje wargi... czerwone jak pieśń grzechu, jak dytyramb szału i miłości...

Przebaczam tylko, milczę i trwam.

IV. Tęsknota, żeby wróciło to, czego nie było nigdy. Tej dusznej czerwonej męki za dużo już, za dużo... Wśród myśli i drzew szumu, wśród białej piany, którą fale chlustają na brzeg, idziemy wzdłuż jeziora, tuż, tuż przy wodzie. Woda wzbiera, garbi się w ogromne wały, ugrzywione wściekłą bielą, przez wały toczy się do brzegu i robija w martwy, szary deszcz.

Brunatne olszyny, żółte niby palące się brzozy, sosny czarnymi sylwetkami przecinające jednostajnie szary step nieba. Sama tylko jesień i męka.

Idziemy wolno, dostojnie. Słowa Hanki są bardzo ciche w tym łoskocie fal i wichru. Trzepocą niemal tak bezradnie jak jej liliowa woalka. - Czy i ten raz przebaczyć potrafisz?

- Lecz milczeć nie potrafię - zawołałem. - Ty wiesz, ty dobrze wiesz, że ja ciebie pożądam, że nie kochałem cię nigdy. Gdybym kochał - nie żyłbym po pierwszym przebaczeniu, a ty wiecznie słyszałaśbyś zwycięski huk wystrzału. Pożądam cię - rozumiesz, Hanko - jak jutra i długich dni, tak bardzo cię pragnąłem i pragnę. Ale przeciągnęłaś strunę. Zamęczyłaś żądzą, bo umiesz być tylko mgłą lub kobietą, czymś bez duszy, jak twój chart, jak brzoza, jak skrzypce!...

- Gdzież wina? - zapytała cichutko. - Oto teraz czuję, że mgłą jestem, gdzież wina?

- A moja wina?... O czerwone ognie, śpiewające we mnie! O ty, jesieni smutna! Ona o winę pyta... Nie chcę ciebie. Przekląłbym, gdybym przebaczać nie umiał. Zatraciłbym cię w burzy i fali tymi oto chłopięcymi dłońmi, gdybym nie był smutny. Będziemy żyli dalej, bo i cóż, czy warto nawet... Ale nie zobaczę ciebie nigdy. Pośnij jak roślina choćby u moich stóp, będziesz mi tylko kwiatem, kolorowym niczym.

Usiadła na głazach, pod opieką rozwichrzonych jałowców. Patrzyła bez słowa w mgły i fale. Brzegu przeciwległego nie było widać w szarości tumanów. Myśli, wiatr, drzewa - wszystko przewalało się po sobie, szumiało, świstało i gięło się dokoła nas. Bryzgi piana osypywały nas, ilekroć fala lądowała u nóg.

- Starzeję się - rzekła Hanka - oto niejednym razem ginęły dusze dla mnie, dla mnie pięknej i władnej. Nikt nie zgadywał, że łatwiej mnie ujarzmić, niż wejść w moje jarzmo. Zgięłam cię do ziemi, wrogu mój, niewolniku nieszczęsny, a ty wstałeś i mój kark przychyłasz sobie do nóg. Starzeję się. Zwyciężono mnie po raz pierwszy. Nie masz litości. Ty nie rozumiesz, co to znaczy odwrócić się od kogoś i żyć, i istnieć obok niego jak obok muru. Jeśli dokonasz, jeśli pobijesz mnie w tej walce - mężem będziesz twardym, nie chłopcem.

- Hanko! Nie ty moim, ale ja twoim losem jestem. Położono cię niby próg, abym ja przeszedł do rajy purpurowego. Kiedy męką i bólem ochrzciłaś moją żądzą - musiałaś to zrobić. Los chciał, żebyś mi usłużyła. Lecz nie ty będziesz w tym rajy, Marto, troszcząca się o zbyt wiele. NELLY

Cisze nocne nie zawsze są spokojem lub burzą. Są niekiedy głębiną, nakrytą łuskami fali zmysłowych uciech, a pełną niewidzialnych, skroś mrok, uśmiechów i dotknięć słodkich, które przechodzą po nas jak majowy deszcz po runi.

- Otom jest cały przed tobą. Jarzy się coś i gdzieś szkarłatnymi ogniami, jak ongi, gdy na wzgórzach Słobótki rozpałał stosy miłości. Lecz wiatr nie trzepoce w

liliowym welonie Hanki, słońce nie osuwa się w czarnego boru Hades, sztandary jodeł nie wieją nad nami szumiąco, przeciągle. Jest noc, jest nagość pachnąca w mroku.

Zanim ważymy się na rozkosz ostatnią, niech się łańcuchami złotymi, aż do świtu, rozciągnie szereg pieśczoł, ujęć i przegieć. O, Nelly, gibka i smukła, wiem o tobie tylko tyle, że jesteś pachnąca, wonna, nocą i mrokiem rozśpiewana. Przesuwasz okryty puchem kark ponad moimi ustami i jest, jakby wiatr idąc po chłodnej fali, chyże swe stopy zagłębiał w niej lekko, z zakochaniem. Cała, o Nelly, jesteś taka - jak lekki wiatr i całowanie.

Długa noc ma jednak zbyt mało godzin, aby zagłuszyć mosiężne misy i czerepów nienawistny zgiełk, i drewnianych głosów ohydę, którą pieni się dzień. Pamiętając o tym nie bierzemy się wzajem jak zwierzęta - słodycz leniwym sączymy strumieniem, aby dusza do szmeru źródlanego przywykła, i w dni gwarnych targowisku zastuchać się mogła w szeleszczące miękko wspomnienia.

Więc najpierw poróżowiałe od pocałunków skronie twe przylgną do mej piersi jak przedmiot żywy, tętniący, płaski i chłodnawy. Włosy krótkie burza opadną na spadzistość mych bark, a usta zwrócone ku górze, w noc, rozerwą się lekkim uśmiechem oczekiwań. Całuje uśmiech i wiem poprzez linię warg, że uśmiechnęła się zmrúżywszy oczy, wśród dwóch cieni trzepoczących rzęs.

Ręce drobne przywrą nagle do moich policzków, razem chłodne jak kwiat i żywe niby serca ptaków. Na skrzydłach swych białych unoszą moją głowę i obsunąwszy ją w tył zostawiają na żer głodnym pocałunkom Nelly. W takim wieńcu pachnącym, jak w ciszy wieczornych wód - sen jest niemożliwy. Niosę się cały ponad sny, ponad noc, ponad nieustanny opad krótkich pocałunków, na dalekość mglistą, wchodzę w półcień jakiś, przenikam i trwam.

Rozkosz, rozkosz, rozkosz... Grzęznę w białawej topieli, w srebrnoomszałym tumanie. Nie na wznak, nie przy tobie, nie z tobą, Nelly - z obłokiem, na obłokiem, obłokiem istnieć zacząłem przejmująco od wilgoci ust., całunkowo...

Ach, wtulić się w ciebie i w świat, i w ten szkarłatny blask, w dole gdzieś powiewający dymami i zawieją skier! Ach, wejść w Nieznane i rósć w nim jak jego dziecię, wypełnić je jak matkę, aby radowało się, cierpiało i kochało! Idę tam przez mgliste trwanie, przez pocałunki twoje kwiatowe, lecz drapieźnie chciwe... przez wieniec twych rąk zaciśnięty na mojej głowie...

Zjawiam się, wracam z tamtych horyzontów. Bo oto przesunąwszy dłoń jedną na mój tors, niby globu dziwnego badaczka, poznajesz linie, w którą ja jestem zamknięty. Druga - na karku spoczęła leniwie i atlas palców szeleszcze, opada w monotonnych arpedziach na czułą, głodną pieśczoł smukłość limbową szyi. Cały, cały jestem skrzypiec tonem wysokim, lirycznym, srebrnie gorącym. Przeguby dłoni, kąty powiek. Śmiesznie ciepłe dolinki pod kolan przegięciem, pierś, tors i linia grzbietu - wszystko we mnie ma pieśczołliwa melodię, wszystko umie rozkwitnąć i stać się zmysłową mocą pod ochłodą i spieką, pod burzą i ciszą twych drażnień, upieszczień, zacałowań. Jestem instrumentem zmysłów, na których księżyc nawet nucić potrafi, więc śpiewaj i ty, Nelly, natchniona nie smutkiem czy radością, lecz zmysłów hymnem...

To nic, że one zagładę niosą! Gubić się w labiryncie twych ruchów, błąkać się wśród lasu dotknąć pełnych cudu i woni, i zginąć kiedyś naprawdę z ustami utopionymi w zagłębieniu twojej dłoni jak przy bajkowym jakimś wodopoju... o Nelly, tak, tak chciałbym umierać...

Letejską falę czuję na sercu, jakbym już umrzeć miał. Dobrze jest i cicho, przerzucony przez twe kolana, oddech twój lekki mam nad sobą, a na sobie twoje

błądzące dłonie. Zanim doślą do moich ust., abym mógł z nich pić całe szaleństwo tej nocy, zaśpiewam ci piosenkę:

Burza piorunne wbija ćwieki
W palmowy, pośród pustyń, gaj
I przeobraża go na wieki
W płonący, purpurowy raj.

Zawieją, złotym kłębem kurzu
Wbiegamy w tę ogniową głąb.
I cóż, że piorunowa burza
Dudni w globowy zrąb?

Niech się roznosi piach pustyni,
Niech ginie jej śmiertelna moc!
W raju rozkoszy - my jedyni
I nasza piorunowa noc!

Chociaż groza daje nam dziwne znaki płomienistymi dłońmi, przetaczamy się po łożu jak chmury po niebie. Żywymi kłębkami swoich jestestw czujemy tylko rozkosz śmiertelną, a znieruchomiałe, zahipnotyzowane oczy widzą jedną tylko zjawę: na różach - purpurowy raj...

Czegóż więcej chcieć od tajemniczych godzin rubinowej nocy? Za czym tęsknić, co wymarzyć, gdy marzenie stało się ciałem, gdy kobiece ramiona kochają nagość moją, gdy piją mnie zwycięskie pocałunki Nelly, a jej twardą pierś czuję obok siebie, jako kształt najdoskonalszy, mimo że mrok, że noc i ciemność.

Zachwyty, których w noc tę tyle powstało i zgasło! Pocałunkowe przegięcia, których nikt nie opowie! Świadczyć wam trzeba razem ze mną, jak wysoka była rozkosz ostatnia, którą poznaliśmy na przedświcie. Wiatr otrząsał wtedy z drzew rosę po nocnym deszczu. Szyby srebrzyły się cichutko, a my patrzyliśmy sobie w oczy po prostu i radośnie. II. Przechodziłem z brzegu na brzeg kolorową groblą, garbatymi wzgórzami pogrążonymi w szaleństwie kwiatów. Orgia rozkwitnięć i obumierań pachniała jakoś bardzo morsko w lekkim wietrze, wijącym od słońca. I poznałem natychmiast, że były to kraje snu i marzenia.

We śnie - chóry białych, bardzo białych twarzy, zranionych czerwonymi rozchyleniami ust. Wszystkie anioły zasłuchane w preludia samotnego pod pagórem źródła. Nieogarniona boskość jaśnieje na bladych czołach, póki dokoła cicho, niebiańsko i sennie. Bolesne drgnienia przefruwają pośród brwi złocących się jak iskry, ilekroć z podziemia doleci głos zatrzaskiwanych żelaznych wrót lub gdy mocniejszy wiatr zaszumi głębinowo w łąkach kwiatowych.

We śnie - ktoś wyszedł spod słonecznego czaru i stąpa pośród aniołów, niewidzialny ich oczom zacichłym, nieuchwytny ich białoduchowym dłoniom. Anielice patrzą w lustrzany rozlew źródła jak w głąb modlitwy, anioły - jak w oblicze Przeznaczenia. Zaduma ich jest nieśmiertelna - we śnie.

Wichr. Przysnuły się, potoczyły się grzechoczące gromami chmury. Ciężkie i rzadkie krople dżdżu porozbijają wodę na czarnosrebrne plamy. Mimo grzmoty - zaduma duchów odprawiała się nadal uroczyście.

Lecz oto czyjeś kroki zatrzaśniały na piasku jak iskry. Najpierw przy wodzie, potem

u żelaznej bramy. Ujrzały oczy niewidzące - usta szkarłatne poblady i zatrzęsły się.

Do lochów szło potępienie.

Przechodziłem z brzegu na brzeg, cudaczne oglądając zjawiska. Po obu bokach wąziutkiej mojej ścieżyny, z gąszczu olbrzymich geranii wybuchły wielkie, zielone kule i rozpryskując się na powietrzu w żałobne kwiaty z fioletu i srebra opadały w falę lian, przyczepek pąków gron i włośchatych, ogromnych liści.

Po burzy fala zieleni wzdyma się, faluje, urasta w oczach i widać, że żyje, straszliwie żyje. Błękit nad nami jest też przeraźliwie bujny, a obłoki ostro białe.

Oczywiście - kraj snu.

- Wracaj, wracaj! - woła na mnie srebrzysta anielica, wyciągając do mnie dłonie - sam nie wiem, lazurowe czy białe. Oślepiająco śnieżna jej aureola zjawiała się i znikwała jak płomyk gromnicy pod południowym słońcem. Skrzydła zaś z pawich utkane kolorów wołały mnie równie wyraziście jak te trzepotliwe ręce.

Chciałem wrócić. Odwróciłem się tylko, aby raz ostatni spojrzeć w te przepaści kwiatowe i góry zieleni. Lecz krajobraz odmienił się, gdy patrzyłem na wołającą. Falowało przede mną bezbrzeżne morze pąsowych róż. Poznałem mój purpurowy raj.

Miłośnie wyciągnąłem ramiona ku różom, by zagarnąć ich jak najwięcej i spocząć na ich miękkości i rozkoszy. Wiatr powiał i odsunęły się ode mnie. Wtedy skoczyłem w tę falę obłąkaną z mojej wąskiej, białej ścieżyny.

Pod masą kwiatów nie było gruntu... Przedarłszy się przez nie, pogrążyłem się w otchłani bez dna... bez dna...

Uratował mnie z niej przeciągły pocałunek Nelly. Spojrzałem oczyma ledwo rozbudzonymi, ale już smutnymi.

- Raj purpurowy kryje w sobie straszną tajemnicę - rzekłem. - Mogę ci odkryć z niej tylko tyle, że krwawe blaski przewiewające nad nami tej nocy były ogniami Stamtąd.

OPOWIEŚĆ O PAPIEROWEJ KORONIE

PROLOG

Zmienna jest w duszy ludzkiej fala unicestwień i stworzeń, a kolorowe miesiące wiosenne mijają w korowodzie słonecznych dni.

Lipiec - środek Lata.

Świt wstaje z mgieł i rośnie szara półjaśń w cichej komnacie. Nocna dysputa trwa dalej. Henryk, stojący przy oknie, mówi, patrząc na rozkwitłe grzędy maków, mówi, jakby do świtu wstającego, miast do ludzi, którzy go słuchają.

...Powiadacie, że jest los. Wierzycie w to straszdyło całą wiarą dusz głęboko przekonanych. Lecz ja nie umiem wierzyć w to, co ślepe. Zbyt byłbym wówczas podobny do ludzi, dla których najwyższym tragizmem jest tragedia winy i kary. - Przybyszewski wierzył w ślepy los, bo wierzył w konsekwencje winy. Powiadał, że kara jest, lecz winy nie ma. Wierzył jednak, że i wina jest, tylko ją uniewinniał i na niewspółmierność tych momentów skarżył się boleśnie.

Jeśli nawet uderza nas ta arytmiczna, nieharmonijna twórczość mimowolna, to wyolbrzymienie kary, to i tak musimy to złożyć na swe barki, a nie na barki losu. Tworzymy sami winę i karę. I nieubłagalność tego następstwa leży w nas samych...

Tu poruszył się niespokojnie ksiądz Clarus, tonący w stosie miękkich dywanów i futer, rzuconych w kącie.

- Mistrzu - rzekł - kocham twą duszę do szaleństwa, ale nie kocham twoich słów. One są inne niż ty. Czy ty nie czujesz wieczorem, gdy wschodzi księżyc nad pagórami, że jest On? Konieczność w nas samych, powiadasz; czemu ona nie przychodzi z zewnątrz? Od Niego?

Widać było, że Henryk uśmiechnął się lekko. Trzej jego przyjaciele patrzyli w niego, milcząc. Całą noc rozmawiali ze sobą, a on patrzył na gwiazdy, a teraz, gdy gwiazdy zbladły, mówił sam. -

- Jakże możesz mówić o czymś z zewnątrz, kiedy do nas nic z zewnątrz nie dochodzi. Każda dusza jest samotna i odcięta od reszty świata. Każda dusza ma tylko siebie i w sobie żyje. Jeśli jest błotem - błotem jest jej życie. A czasem jest jaśnią, a czasem dałą słoneczną, a czasem tytaniczną grozą. Bywają dusze, które szarpią na przemian szaf dionizyjski i spokojne piękno apollińskie. Każdy jest sam, jak nurek na dnie morskim. A ty mówisz o wpływach z zewnątrz. Głusiśmy i ślepi...

Kiedy umilkł, straszno i niespokojnie stało się w trzech duszach.

Ksiądz Clarus powtarzał w myśli: Każdy jest samotny...

Postumus Porco, ten, który zawsze sceptycznie traktował Henryka, zamyślił się głęboko. Pod zmarszczonym czołem czuć było pracę ciężkiej, znienacka logicznej myśli. - Ważyły się tam możliwości psychiczne jak matematyczne, dokładne wartości. Krytykował. Za to obok, w błękitnych, wielkich oczach Zygmunta błąkał się smętek, dający świadectwo prawdzie. Ten istotnie był zawsze sam, z melancholijnym pięknem swego życia. Dziecię pól na bruku miasta.

Znowu głos Henryka przyciszony, gubiący się w makowej woni, która płynie z ogrodu wraz z wilgocią poranną.

- Słońce?

Jeszcze go nie ma. Tylko blask, tylko przedświt, złocący się na jasnym niebie. ...Przedziwne piękno jest w śnie niedbałym pod jabłonkami pełnymi owoców. Błogosławiony jest bezwład i beczynność, za którymi nie wlecze się tren następstw.

Czyż nie tak, czyż nie tak, drodzy?

Lecz może być takiego spokoju czcicielem ten, w którym burzliwy wir się kłębi o każdej godzinie dnia? Obłąkańcze kroki moje dążą do ciszy, wiem to na pewno, ale dążą przez krainy, pośrodku których znika cel wędrówki. Teraz idę przez kraj grzesznej miłości.

Grzech powinien być wielki, jeśli się gra w duszy bolesnej. Powinien być widowiskiem z chórami, jak tragedia grecka. A mój jest jakiś dziwny, nie mierzący się miarą potęgi; jest tylko rozkoszny i straszny.

I powiecie znów, że wina - rozkosz, a poczucie grzechu - to już kara. Nie, nie, czyste duszyczki młodzieńcze. Ty, Clarusie, co dzień mówisz o grzechu *urbi et orbi*, lecz nie znasz jego istoty. Ani, ty, Zygmuncie. Zaś Postumus zna sprośność, ale grzechu i rozkoszy nie zna...

Wspomniany porwał się z miejsca i mówił urywanym głosem:

... Ja czysty, czysty! Wierz mi, Sztuka i Myśl były zawsze ze mną. To, o czym myślisz, to etap na drodze Poszukiwania Życia... Nie ma winy!...

Henryk patrzył nań oczyma przymglonymi nurtującą go myślą:

- Kłamiesz...

Tyś jest tym, który ważył się na czyny podłe. Tyś oderwał Marysię Daleką od Króla, by ją sobie rzucić pod nogi, a ona została sama z tęsknotą w sercu dziewczęcym. Tyś żądze wprowadził między nas czterech. Tyś głosił światu i rzucał na pośmiewisko miłość Achillea i Patrokla... Intrygancie!

Postumus skurczył się u boku Henryka i po chwili namysłu, patrząc na drgające gniewem Henrykowe usta, cedził przez zęby.

... Nie sądź innych, aktorze tra-gicz-ny...

I wyszedł.

A Henryk zwrócił się do księdza.

- Mówiliśmy o winie i karze. Zobaczycie wkrótce pokutę. On wróci. Bo serce jest w nim, tylko dusza spróchniała... **WIECZÓR ZE SOBĄ 1**

Cicho skrzypnęły drzwi.

Pokój Henryka. Na ścianach w półmroku ciemnymi plamami zawisły obrazy i portrety. Madonna kwiatów. Twarz ojca. Dzieweczka jakaś z nasturcją we włosach. Pod *Melancholią Durera - portret Henryka. Patrzy uparcie w sztylet. Myśli o śmierci. A kiedy skrzypnęły drzwi, zachwiał się płomyk przytłumionej lampy i z kąta błysły oczy Henryka.*

...To ty?

...Ja

Stanął z boku lampy, tak że widać, jak długie i gęste ma rzęsy. Blade czoło bieleje w półmroku, oczy lśnią. Miłość przynosi i siebie całego w darze...

Przyszedł na wezwanie Henryka. Pierwszy raz jest oko w oko z rozkoszą. Helleński kształt odcina się wyraźnie na tle mroku. Cienka jedwabna materia pokrywa jego tors. Nogi ma nagie, jeno w biodrach przepasany ciężkim, purpurowym pasem kaszmirowym. Na pasie haft: Trzy Marie u grobu.

...Mistrzu, czemuś smutny?...

...Myślę...

...Odgoń myśl, jam jest miłość...

...A ja ból i groza...

Siadł przy Henryku. Cisza. Dłonie Henryka szukają jego drobnych dłoni. Gdy siedzą tak obok siebie, prąd potężny płynie przez złączone ręce, które są najdoskonalszym

narzędziem rozkoszy. Szaleństwo zapala się w oczach Henryka, który w jego źrenicach widzi zarys swej twarzy płonącej gorączką.

I nagle pożar wybuchł w dłoniach drżących!

Słysząc namiętny szept: Chcę ciebie... Chcę ciebie...

W przegięciu niedorzecznym pocałunek. Gorący i nieprzytomny. Potem głowa o przepysanej rzeźbie legła na kolanach Henryka, a ten wżera się ustami w blade, rozchylone usta Diadumena.

Cisza dzwoni tętnem krwi rozszalałej i echem obłędu. Gorączka w skroniach. Ociężałość i ból w oczach. Lampa gaśnie.

I dobrze, niech będzie mrok.

Bije małe serce chłopięce, usta płoną żądzą całowania, jak omdlały mu leci przez ręce i u kolan bezsilnie się siania. Jak namiętna jest dusza ta młoda, jakże dziwne jest to miłowanie: spotkanie, rozstanie, spotkanie, gniew i rozkosz - kwietniowa pogoda.

Henryk wychodzi.

Skrzypnęły drzwi, potem stuknęła furtka - poszedł do sadu.

Księżyc nie ma, ciemność, cienie drzew, majaki urojone...

GROZA... 2

Henryk mówi:

Zbyt mało może człowiek i aż nazbyt wiele...

W taką noc nie może zwyciężyć samego siebie, nie może głębinę swej piaskiem zasypać. Nawet jeśli tam brud, nawet jeśli tam błotnisty grzech...

I tysiąc istnień sobie podobnych może zniszczyć: ogniem, dłonią krwawą, żelazem.

My tu daleko na wschodzie. Wichry wieją wieczne na tej wysoczyźnie, więc nie słysząc pochodu.

A gdy spojrzę na ciemne horyzonty, wiem, że przyjdzie stamtąd nawałnica. Zadudnią po drogach cielska dział i zatętnią kopyta hordy.

Może przyjdzie dzicz ze wschodu i w cichą noc rozżagwić niebo łuną. Zginą miasteczka nad smutnymi jeziorami, zgliszczą zostaną z wiosek.

I krew!... jak wiele krwi...

To może człowiek... Za wiele! za wiele!

I tak mało człowiek może...

Nie odepchnie obłąkania, które się zbliża ku niemu szybkimi krokami.

Nie pokona lęku przed Nieznanym...

Skończył, nie domawiając.

Potworna cisza oczekiwania.

Wrzask targnął powietrzem:

"A k t o r t r a g i c z n y ! ! ! H a ! H a !"

Kto krzyczy?

Wściekłość w sercu: Kto śmie mękę nazwać grą?!

Drapieżne serce się burzy, krwi łaknie. I nagle widzi Henryk, że w tym nieokiełznaniu tai się obłęd... i chce wybuchnąć. Lęk w sercu... lęk, chłód... Jakże blade jest to, co krystalizuje myśl, przeszedłszy uprzednio głębie duszy! A same uczucia jak silne!

W duszy przemyka myśl czająca się - czyhanie na siebie samego. Przemyka i znów wraca. Nurtuje i rośnie. Myśl szepcze: Po co to wszystko? Lęk przed obłędem... Groza

duszy ludzkiej... Świadomość grzesznej miłości... Tragizm niewiary twojej... Tyle czerwieni duszę twą toczy! Skończ z tym... Skończ z tym! Skończ!

Krzyczy już kusząco i łasi się, jak chimera o tygrysiach łapach.³

Skrzypnęły drzwi.

Pokój Henryka ciemny, pusty jakiś i straszny.

Przypadł uchem do drzwi, za którymi rozciąga się tęcza snów pani Hanki.

Lekki okrzyk: Koniec B A J K I ! . . .

I grzmot w czterech ścianach komnaty!!!

Krzyki... szmery... stąpania... Ktoś mówi: "Taki młody"... inny głos: "Bawi się".

Światła na korytarzu. Gwar.

Wnoszą lampę.

Dym się snuje. Proch pachnie.

Jak białe zjawisko, płynie ku niemu pani Hanka. Siedzi na łóżku jego i pyta: Gdzie krew? Boli?

Kobięcym, gibkim ruchem ukrywa w fałdach rewolwer i gładzi Henrykową głowę bolesną. Igra z jego włosami:

...Coś ty chciał zrobić, Heniu, Heniu... Tylu żyje, tylu się męczy, ty jeden nie możesz wytrzymać. Przrzeknij, że nie powtórzysz tego... Heniu...

A on milczy w gorączce:

...Ręka drgnęła... Sił zbrakło drugi raz... Przeklęte nerwy!...

Potem łzy płyną mu po białych policzkach i opadają na poduszkę. Zaciśnięte wargi szepcą pomstliwie: Tchórz!... tchórz!... tchórz!...

Potem otchłań gorączki i niepamięci, cały teatr widziadeł i snów.

Odruchy ostatnie dumnej woli:

...Precz... nie męczcie... nie chcę litości!...

I znów borykanie się ze śmiercią. Zjawy. Widma. Majaczenia. **TEATR W DUSZY**
SCENA PIERWSZA

Henryk jest królem.

Staną właśnie w katedrze wawelskiej, w dzień koronacji. Oczy ma spuszczone. U stóp tyle dywanów, na których nogi biskupów i książąt w opiętych, zgrabnych butach. Brat królewski, Henryk głogowski, ma na napiętkach srebrne, cudnie rzezane ostrogi.

Połycki... lśnienia atlasu... ostre smugi jaśnień brylantowych... pastorał arcybiskupa plonie jak miecz archanielski. Wszystko w smudze słońca.

Henryk machinalnie powtarza słowa przysięgi. Czuje, jak na łopatkach i barkach namaszczają go tłuste palce dostojnika Chrystusowego.

I jednocześnie niepokój w nim: pomazaniec boży?... monarcha?...

Wreszcie ciężar klejnotów przytłacza mu głowę: to korona.

Nie czekając końca ceremonii, powstaje z kolan, idzie ku wrotom katedry, rozwartym na słońce. Stąpa ciężko. Za nim tysiące kroków.

Cały orszak panów i comesów. Świta pozłocista w aksamitach, atlasach i jedwabkach.

Przed nim w dwóch szeregach dwunastu paziów, błękitnym jedwabem obszytych. I jeden, trzynasty, w purpurze.

- Odejdźcie wszyscy!

Król na zamku.

Zmierzcha się. Olbrzymie okna napelnione już są szarością wieczoru. Widać z nich

dachy katedry i sylwety wieżyc różnokształtnych.

Marmurowa posadzka lśni jak woda... Cień jakiś na niej...

Król klaszcze w dłonie.

Szelest u drzwi. Zjawia się paż purpurowy, twarzą w twarz z Henrykiem.

Boże! Ta twarz! Głębokie, orzechowe oczy - dwa światy! Włos jasnociemny przycięty nad czołem... Kogom ja znał?... Gdzie były te oczy?...

- Diadumen!!!

Biegnie król ku niemu, płacze się w płaszczu koronacyjnym, pada...

Gdy się budzi z omdlenia, leży na gronostajach w pustej komnacie...

Mrok... jakieś twarze...

A na marmurze leży korona,

korona ze z ł o t e g o p a p i e r u .

Jęk...

Przebudzenie...ANTRAKT - JAWA

Nad Henrykiem schyla się Jadwiga, jego smutna, kochająca siostra. Głowę jego umęczoną dźwiga... przy niej księdza twarz śniada i ostra. Przesiedzieli noc całą u łoża, przemyśleli całe jego życie... Zwalon oto mocarny wielmoża - ukazane jest pnia tego gnicie. Ani on, ani ona nie wiedzą, co się waży w tej duszy samotnej. Całą noc u wezgłowia siedzą, cały ranek posepny i słotny.

... - Korona, paziu, korona...

Clarus łamie dłonie!

- Co z tobą, co ci, mistrzu?...

I staje przed nim zjawa łąki pod Lublinem i tych rozjaśnionych oczu, które teraz czerwienią się w gorączce.

Henryk w gorączce odwraca się do ściany. Milczy. Osowiałe na gałęziach wróble ćwierkają smutno. Deszcz pada. Henryk znów zapada w marzenie, tym razem długie, niespokojne, przewlekłe...SCENA DRUGA

Śni mu się obłąd.

Gwar... gwar... gwar...

Krzyki, wrzask, co trzęsie wąską uliczką. Pogoń! Resztką sił w zdyszonym ciele pędzi on przed siebie. Za nim tłum. Świszczą kamienie, przekleństwa i drze opętańczy śmiech hołoty.

...Huź go!!! Zagnać tego jelenia!! Wrr! Weź go!

A on biegnie i pada na bruku.

Potem - chwila oszołomienia. Wrzawa nad nim, potem cichnie, oddala się... ginie. Przeleciało tysiąc stóp w wichurze dokoła niego. Nie zobaczyli - triumf!

Ale ta przekłeta cisza po tym wrzasku gromady. Słychać, jak serce dzwoni... Pulsuje krew w natężonych żyłkach na mózgu, odpływ i przyływ tego oceanu łomoce w końcach palców.

Nie chce się serce uspokoić...

...Pan nie tańczy?...

...Niestety...

...Przejdźmy się więc po ogrodzie...

...Służę pani...

Idą cichymi alejami, które są wysadzone ruchomymi drzewami. Kasztany po bokach alei uciekają pośpiesznie w tył, jak widok z okien wagonu. Henryk się niepokoi, lecz prowadzą dalej konwersację:

- Lubi pan muzykę? - Pasjami, szczególnie Bacha, Palestrinę, Händla...

Piękna Helena wydyma pogardliwie usteczka:

- A ja Skriabina i Szymanowskiego...

- Słowem, uwielbia pani świeże transporty, prosto z paryskiej kuźni artystycznych...

- Ach, panie!...

Nadąsana, idzie obok niego, piękna, pachnąca, lecz on ma serce zalane falą lęku. Bo drzewa uciekają w tył i tam, za jego plecami, gromadzą się w groźną hordę... Odwrócił się.

Wrzask! Znów tumult w ciasnej uliczce. On pędzi, pędzi rękaw rękę z piękną laleczką, której profil jest ukształtowany nie przez Pana Boga, lecz przez Żmurkę. Biegna na plac przed jakimś gotyckim tumem.

I naraz nogi zamiast błyskawicznego lotu plączą się w taneczny rytm. La, la, la, la, la, la, la...

Tańczą na placu. Tłum obstał koliskiem szerokim i patrzy. Nad dywanikiem cyrkowym unoszą się ich stopy. On gra na faunowej, wielogłosowej organce, ona poświstuje purpurowymi usteczkami.

...Przestań!

...Ty przestań!

...Nie graj!

...Nie świszcz!

...Mówiłeś, że nie tańczysz!

...Bo i nie tańczę...

Znów nadąsanie się. Ona zdjęła czapkę i obchodzi tłum. Ciemnowłosa głowa miga tu i ówdzie pod niebem pochmurnym. Grosze, dużo groszy... Idzie ku niemu i rozsypuje grosze u jego stóp. Dzwoni złoto...

...Korona się toczy!

Papierowa korona ze szklanymi klejnotami toczy się przez tłum, rozstępujący się. On biegnie za nią, za utraconą królewskością.

Wichr ją unosi nad wieże katedry. On wzlatuje w powietrze... Zabawa w chowanego. Złoty papier to osiadzie na jakimś łbie kamiennej chimery, to na smoku olbrzymich wodotrysków, to spocznie na balustradzie ganku lub we wnętrzu rozety nad portalem. Wirują oboje w szalonej igraszce wiatru. On i korona... Tłum ryczy z radości. Lot! Lot! - - - groza!!! Spadnie!!

.....
.....
- Pani Jadwigo, trzeba by już okład zmienić na czole.

- Panie Janie, przyniesie pan trochę mleka z kuchni. Dobrze?

Kroki, szelesty... Czemu ciemno? Aha, wieczór... Clarus i Jadwiga.

.....
.....
Pałac płonie? Niech płonie.

Czerwonym światłem nalały się szyby sali. Trzaskają okna przepalone. Ognista rzeka wlewa się do wnętrza... Co to? Zaświaty? Fale Acherontu i Kocytu, a tam, w mroku sklepień gotyckich, Lethe, rzeka zapomnień, ciszy i spokoju.

Zaświaty czy huta?... Może to lawa gorącego żelaza?

Pożar!!

Uciekać!!!

Lecz pałac jest bez wyjścia. Próżno biegnie po salach, nie kończących się amfiladach komnat. Nie ma wyjścia! Cichutka muzyka: *One step*. Marzące,

perwersyjne, niesamowite dźwięki... Znów wir tańca. Tańczy król wśród ognia języków płomienistych i fali złotogrzywej *One stepa*.

- ...Henryku! Henryku!

Zamiast słońca świeci na niebie znak kabalistyczny. Przed Henrykiem mędrzec Zmierzchoświł wykłada Bhawagadgitę.

...Werset 45 *Sāṅkha-yogi* zaczyna się od słów: w Wedzie są trzy gnuy... Nazwy tych gnu są: *sattva*, *radžas*, *tamas*... Człowiek w obłądzeniu, tak jak ty, jest *tamas*, to znaczy musi wierzyć w upiory, demony i inne *bhutas*; lękasz się ich i one to cię dręczą... jesteś w ich władzy.

Henryk odwraca się od mędrca i mówi pogardliwie:

Głupiś...

.....

- Bredzi, zupełnie nieprzytomny.

- Gorączka?

- 39,5.

- Źle, bardzo źle... Jednakże niech się pani nie martwi, panno Jadwigo. Brat będzie żył, choć doprawdy...

Lekarz potrząsa dziwnie siwą głową.

..... Łąka, słońce, tyle kwiatów.

...Co to? Skąd to dziwne ciało, co to za twory wokół mnie?

- Aha, to centaury. I ja też jestem właścicielem czterech kopyt i cudnego ogona. A jeśli się jest półkoniem, co się je: to, co ludzie, czy traw?? Słońce zachodzi.

Tabun centaurów biegnie do lasu na nocleg.

Henryk z nimi. Nagle buntuje się. Po co ja wśród tych koni?

Zawraca do miasta.

Kiedy się jedzie z Kalinowszczyzny, sylwety dominikańskich murów i katedry cudnie rysują się na niebie. Wieżyczki, dzwonnice, absydy. Wieża Trynitarzka tak drobnym, delikatnym haftem rzucone na tło szarzejącego nieba. A u dołu czerwieni!

W mieście pusto i głucho. Płoną już gazowe latarnie i półmrok zalał chodnik. Świecą szyby wystawowe sklepów.

Człapią kopyta centaury pod niskim łukiem Krakowskiej Bramy. Plac szeroki... Trzy stalowe fortece, trzy tanki. Na przedmieściach salwy. Centaur stoi, słucha... Wiatr powiewa czerwona flaga na magistracie... To rewolucja!!

"*Allons enfants de la Patrie*"...

Centaur wznosił jedno kopyto, jeszcze milczy, nasłuchuje.

Aż kiedy na zwycięstwo woli ludu zabiły, zatrzeszczały bębny, lubelski lajkonik runął w cwał Krakowskim Przedmieściem...

Jak grad spadają uderzenia kopyt ostro podkutych, rozwiewa się pyszny, jedwabisty ogon. Centaur przelatuje jak lipcowa burza i niesie się hen, za miasto, wieścił polom swobodę.

Łąka, słońce, dzikie kwiaty, rzeka.

Leży na trawie i patrzy w potok. Bo cos tam błyszczy w głębinie, cos za bardzo słoneczny ma blask. W krwawym słońcu się krwawi rubinie, obiecuje miód królewskich łask. Wśród namułu rzecznej rzucona, kołysana w takt sennego fal szmeru, przebłyskuje z dna głębin korona, Henrykowa korona z papieru... ły, ły, ły...

.....

- Heniu, czemu płaczesz?... Nie można, dziecko, nie można...

- Mistrzu... (jaka to musi być męka)...

Henryk otwiera oczy: Tak, to oni. Clarus i Jadwiga.

...Czemu ja płaczę?... a prawda... twarz mokra... to nic, to ja tak tylko... mnie nic nie boli, tylko dusza... Ale mi wesoło. Mogę nawet śpiewać:

La, la, lala, la, la...

- Znasz to, Jadziu? To gawot D-moll Bacha... Las mi się marzy...

Dom zatopiony w mroku w oceanicznym drzew szumie.

Gwiazdzisty strop jest ponad nim, jakby w gotyckim tumie.

Tony minorowe płyną z fali późnego wieczoru,

To fujarka się żali wśród ciszy bajkowego, uśpionego boru...

Tak urocznie gra drzewom i niebu, i pełnemu gwiazd białych jezioru...

Jakieś echa dolatują z głębi, z łysiejących do księżyca polan:

To się dziewczki wiejskie roztańczyły, podkasane wysoko do kolan.

Świeci księżyc i dzwoni fujarka, deszczyk lekki, lecz rześisty pada...

W tańcu nocy księżycowej tonie bezpamiętna, dziewczęca gromada!

A pod domem prześwietloną dłonią ktoś zakrywa świeczkę gorejącą:

Balladyna wychodzi do Grabca w noc majową, w letnią noc gorącą...

W wszystkich oknach domu ciemno, lecz dom nie śpi.

Szmary słyhać, ciche pocałunki.

Wszyscy chłopcy są dziś, jak półbogi - wszystkie dziewczki, jak leśne bogunki.

A na drzewie, wysoko, w gałęziach, oczy topiąc w księżycowej twarzy,

Siedzi mały, samotny Diadumen, i o dziwnym swoim życiu marzy...ANTRAKT -

JAWA I MARZENIE

- Pani Hanka, czemu on wciąż marzy o jakimś chłopcu?

- Pani nie wie?

Tu Hanka nachyla się do ucha lekarza i szepce coś z półśmiechem. Kobieta! Lekarz opowiada również sprawę po cichu trzem Dulskim, które uwielbiają talent poetycki Henryka i przyszły dowiedzieć się o jego zdrowie.

Siostra wie i Clarus wie, ale milczą.

A tam - śmiech. Gruby brzuch jowialnego staruszka podskakuje w śmiechu. Krzywi ironicznie usta przepyszna pani Hanka.

I nagle wybuch! Przysiadły, przykucnęły dusze przerażone... Nie trzymając się scen, w pośrodku antraktu, krzyczy Henryk:

- Kurtyna! Ja gram!!

.....

Rzym. Kazalnica papieska w bazylice św. Piotra.

Łachmany królewskiego płaszcza na Henrykowych barkach, brudne, zszargane gronostaje i papierowa korona na zwichrzonych włosach...

- Już wie czereda o mojej miłości...

Jakżeż bowiem mam nazwać to, co jest na tyłu ustach roześmianych, ucieszonych radością, że jest taki głupi, który nie kocha kobiety. W istocie głupi: przecież instynkt rozplodowy tylko w "miłości" ku kobiecie zadowolić można.

O głupi człowieczku, coś trwoję przed kobietą wyniósł z rodzinnego domu!

O chłopcze, coś wierzył szkicom Ropsa i Reardsleya!

Kochałeś raz i nie wiedział nikt głębi twej miłości. Męczarnią twoją nie dręczył się nikt - jeden tylko przyjaciel, Zygmunt... Kochałeś znowu kobietę, dziewczę,

pachnące jak chłopiec i świeże. Tym razem nie wiedział o tym nikt, prócz siostry...

Kochałeś teraz chłopca, wie o tym ludzi kilkoro i śmieją się do woli.

To ja, ten grzeszący głupotą, o najukochańsze moje bydło!

Głos w tłumie:

- Aktor tragiczny!

Lecz Henryk, zapamiętały w bólu, nie odczuł ciosu. Myśli jego szepcą: Zemścij się, wymierz cios w serce hołoty!

I naraz kąty ust. Henryka ściągają się bezgraniczną pogardą, a twarz staje się demonicznie brzydka w grozie zemsty. Mówi z urągowiskiem:

- Tyle jest słów ewangelii świętej na niedzielę dzisiejszą...

.....
.....
Ksiądz nachylił się nad potępieńczymi oczyma Henryka i woła:

...Mistrzu, zbudź się... ja się boję... co za dusza w tobie?...

Jadwiga płacze w kącie, a może i nie płacze, może tylko oczy zakryła przed grozą. Serce jej woła z lękiem: Brat...

Deszcz pada, chwieją się gałęzie za oknami, skrzypi brzoza na wicherze.

Prawda. To na jawie... Życie...

- Jak te sny mnie trują...SCENA TRZECIA

Maestoso:

Pan wyrzekł ostatnie słowa

Zwiła mu z ramienia głowa...

Słyszy Henryk jęk tysiąca piersi, tysiąca dusz, które wierzą.

Cóż to za wiara, że trwa wieki, nie przemija? Ani jednej gorzkiej nutki nie ma w jego duszy. Siedzi na wieży i słucha wielkopiątkowej pasji.

Ciemno. Gwiazd pełno w oknach strzelistych. Pełno śpiewu w ogromnym kadłubie kościoła. Jęk ludzki wchłaniają dzwony w muszle swe potworne i cichutko się skarżą.

W Henryku ogromna powaga.

Przebiegają myśli.

...Czemu nie mogę wierzyć? Wyrzuciłem się sam, rozpędem własnym poza koło wiar, a teraz tęsknię... Kościół?... Nie, tu wrócić nie mogę...

A ta wiara, co bezświadomie rośnie w duszy, jest jakaś zbyt prosta, krytycyzm mój nie chce jej przyjąć. Tyle, tyle miesięcy mego życia było szukaniem czegoś poza tym. Zawszem starał się zajrzeć poza lustra, które przypadek rozstawił dokoła. Szukałem czegoś, a tęsknota mówiła, że to będzie coś wyższego... znalazłem zaś teorię. O goryczy!

Cień na schodach wieży.

Pełźnie w mroku po rusztowaniach, wyżej, wyżej... dosięga Henryka.

Siadł naprzeciw na belce potężnego dzwonu.

To Postumus. Słowa jego płyną chrapliwym, mądrym szelestem:

- Ja! Ja! Jestem już tu, tragiku, i powiem ci, co było i co będzie. Chcesz? A choćbyś i nie chciał, powiem. Bo ja wierzę w los, w Los przez wielkie L. Odnalazłem formuły psychologii matematyczne i niewzruszone. Jestem jak mag. Po Twoich czynach wiem, co z tobą będzie...

- Nie ciekawym...

- Moja matematyka powiada: rzuciłeś wiarę - szukasz wiary. Oczywiście, znalazłeś zamiast niej teorię i wprowadzasz ją w czyn. Tu się łamiesz. Powiadasz, że sam świadomie tworzysz winę i karę. A czy wiesz, jaka twoja kara? A czy wiesz, że to, co ty za grzech poczytujesz, ta miłość do chłopca, to dziecinada?... A jeśli tym się tak męczysz, co będzie z istotną winą, jak wielka będzie kara? Znasz ją? Ty ją tworzysz?! Czerwiu! Robaku!

- Odejdź, kusicielu, ode mnie. Odejdź od posępnych mych źrenic...

- Gniewasz się, mistrzu? Pusz się i rób wielkim, póki cię wichr bólu nie złamie. Twa wyrozumowana wiara zgniecie cię. A nie zapomnij teoryj swych wprowadzać w czyn, bo pomyślę, że złąłeś się moich wróżb...

W ciemnych oczach Henryka wzbiera gniew. Zamiast bolesnych pieśni gorzkich żalów słyszy tylko swą krew wzburzoną i tętniącą.

- Milcz, nie szydź! Ty nie żyjesz! Tyś jest zjawa moich złych, czarnych myśli. Buntujesz się, ale jam twój pan. Kąsas, ale legniesz u stóp, zwierzu...

Płomień na włosach Henryka, burza nad czołem zmarszczonym. Postumus przypadł do dzwonu, niby pokorny i zgnębiony. Płaszczy się. Pełnie od dzwonu do dzwonu, ku schodom. Aż przy ostatnim porwie się i ryknie w dzwon, który echem odegrzmiał straszliwym...

...Groom!!! Groom!!! - ryczy dzwon - OOooOm!!! OOooO!

Zygmunt tętni... - niepokoją się inne dzwony.

Pękło wszystko w Henryku. I nerwy natężone, i rozpalony do białości gniew. Spadanie w dół... Otchłań... Przebudzenie. ANTRAKT - JAWA

Muzyka. Zapach kwiatów zmieszany, niewyraźny. Zdaje się, że heliotropy i astry. Menuet Mozarta jest tym zaczarowanym fletem, który każe płasnąć splecionym parom. Do ciemnego pokoju wpada przez drzwi smuga światła, zapachu i melodii.

Cień w jasnym czworokącie drzwi.

- To ty, Jadziu?

- Ja... Nie śpisz?... Może ci źle?...

- Nie, nie, tylko tak pali gorączka.

- Jedz pomarańcze... ugasisz pragnienie...

Zapach namiętny złotego owocu. Zjawa słonecznych italijskich sadów. Przelotna myśl o dłoniach Mony Lizy. Więc ją jeszcze pamięta? w gorączce...

- Jadziu, jakaś ty ładna w tym mroku, z tuberozą w czarnych włosach. Suknia rubensowska, bogata, uwydatnia twą kobiecość. I cała snujesz się w atmosferze balu, muzyki... Tam bal, prawda?

- Tak, Heniu, śpij już, śpij, braciszku, i nie mów komplementów... Dobranoc.

Wyszła.

Nowy cień w drzwiach. Maleńki, przesuwający się bez szelestu. To Diadumen. Gdy się ogląda za siebie, widać w świetle złote, rzadkie brwi i tajemnicze oczy. Bez oddechu płynie na bosych stopach leciutko jak zjawa.

Jest przy Henryku. Nachyla się nad nim i szeptem:

- Mistrzu...

Nie ma odpowiedzi, ale słysząc w ciemności oddech niespokojny, gorączkowy i żar bije od chorego. Drobną dłoń wsuwa się pod poduszkę i wyciąga stamtąd paczkę, wiązkę listów. Listy Maryli.

Lekkie kroki płyną do kominka, na którym czerwony żar pełnie po gasnących węglach. Przy tym świetle Diadumen przegląda listy i rzuca je po kolei w ogień. Gina słowa...

“Nie chcę niczego już od Ciebie... Smutna pogoda w moim sercu”...

“...przyjdź w wieczór wigilijny, biały, biały od śniegu, na tę ulicę, co zwykle. Będę czekała, dobra i kochająca...”

“...przyjdzie wiosna dla mnie i dla ciebie, tylko mi nie bądź smutny...”

Giną słowa.

Małe dzikie serce nienawidzi swej rywalki. Chce mieć całe jego serce i całą jego miłość. Schyla się nad Henrykiem, całuje rozpalone usta i znika. SCENA CZWARTA

1

Modlitwa skrzydlata mieszka w sercu króla. Patrzy na witraże franciszkańskie i zachwyca się. Tęcze barw świetlistych materializują się w postaci, linie i kwiaty. Krzaki cierniowe wybujały ponad ścięte głowy. Rajskie rozradowanie zamiast woni. Oczy tak są zasłonięte, tak rozjaśnione światłem barw, że nie widzą ścian mrocznych ani stropu strzelistego.

Witraże jakby wisiały w ciemnej nicości - zjawy niebiańskie. Szczególnie dziwny jest ten z biedaczną Chrystusowym. Promienieją blade dłonie, na których rubinowe stygmaty sączą krew...

Zapamiętał się król w zachwyceniu i marzy. Nie o czym innym marzy, ale o kwiatkach świętego Franciszka, o jego pięknych czynach i miłości, które tak kwitną tęczo na witrażu.

Szczęście mieszka w wierze miłowania i przebaczenia.

Po promyku słonecznej jasności schodzi święty z onego witraża. I podnosi z kolan króla, prowadzi go ze sobą. Przeszli pusty kościół wzdłuż, ku organom idą. Na chórze wskazuje mu święty ławę i powiada:

...Siądź, jeśliś nie jest człowiek.

Nie siadł król, lecz patrzy w świętego zdumionymi oczyma.

...Spójrz w górę...

Spokojna dusza króla rozrywa się orkanami upojenia, pijana jest wiecznością. Ponad nim sam Bóg-Ojciec w przepychu potęgi.

...Zwlecz bogactwo szat twoich - mówi święty - padnij w proch przed Stwórcą i nie myśl nic. Niech się w pyle korzy twoja dusza, aby snadź myśl buntownicza nie wypełzła z mózgu twego.

Król, posłuszny słowom źródła wiary i miłości, zrzuca aksamity i biel jedwabną. Zostaje nagi na chórze; tylko u przegubu lewej dłoni złoty łańcuch dzwoni i błyszczy.

Rzekł biedaczyna Pana Jezusowy:

...W proch! Ukorz się, jeśliś człowiek!

...A Ty?...

...Ja idę do sadu, do pszczoł złotych i nieba błękitnego - uśmiechnął się świetlisty cień.

Znów zdumienie w królewskich oczach. A Franciszek wyjaśnia sprawę, słodkim gestem bielutkich dłoni zakreśla różnicę:

...Ty, człowiek, - módl się; a jam święty...

I zostawił go samego.2

- Witajże, Julianie!

Julian powstaje ze stołka i ściska rękę brata.

- Powiadaj, kiedyś wrócisz?... Jakżeś żył w niewoli?

Siadł król na skrzyni bronowickiej, pstro malowanej i słucha. Na nim czarne,

chłopięce ubranie z białą koronek - strój Hamleta. Za przejrzystą oponą z tiulu, która przesłania otwarte okno, zapada zmierzch cichutki.

Julian opowiada mu swe dzieje: jak rozpacz i nadzieja brały się z nim za bary, jak go choroba zwała ciężka, ile było nędzy niewolniczej w dalekim, wschodnim kraju.

Powiada bajkę o moskiewskiej, złotej stolicy. Jak sen wygląda święty Kreml, jak sen..

Kiedy w pokoju już ciemno i przytulnie, bracia stają się istotnymi Braćmi i już ich wiąże szczerzłota nić odczuć i zrozumień. Król skarży się:

- Poszukuję życia istotnego i wielkiego; nie wiem, gdzie je znaleźć. Mój ból zamknąłem na kilku kartkach, by się go wyzbyć. Sądziłem, że gdy smutki moje wypowiem, lżej mi będzie, lecz nie... nie lżej...

Julian patrzy surowo na zmienioną gorączką twarz brata.

- Twardy bądź i mężny! Wszystko zbliża się ku śmierci i wieczności (może nicości). Przyjdzie ona mimo wszystkie zmagania nasze. Więc jeśli przyjdzie, lepiej ją mężną spotykać piersią, niż bolesnym uśmiechem.

- Twardy bądź!...

- A moje tęsknoty?...

- Ja wiem, trudno je rzucić, trudno... Czasem znienacka przychodzi nostalgia chłodnych, mglistych, księżycowych nocy w pustym mieście, rozbłyśniętym bladymi światełkami latarni gazowych. Tak smętnie wtedy...

- Tak, Julianie, wiem, są takie chwile... potem znów się kręci młynek: banalne uśmiechy, życie... jeśli to życie... Lecz późno już i czas na wieczerzę. Pójdiesz do stołu?

- Nie lubię gwaru biesiadnej sali twojej.

- Więc żegnaj, Bracie!3

- Namiętne, szerokie usta króla dotykają lekkim muśnięciem żałobnych oczu Marysi Dalekiej.

- Miczysz?...

...Czemuś mi smutno. Zawsze, gdyśmy sami i tak blisko, serce niepokoi się we mnie i dręczy. Ty mi się wydajesz jak los mój, taki jesteś niewyraźny i nieprzenikniony...

...Widzisz, droga: Ja się męczę sam tymi przeczuciami, którymi ty żyjesz. Miłość nasza spod złej gwiazdy... może to Arcturus...

Ręki gestem powolnym wskazał punkt na głębokim, nocnym niebie. I obojgu zrobiło się jeszcze smutniej.

...Maryś - zaczął znowu - czy nie lepiej byłoby nam się rozstać?

- Nie mów!...

...Ale pomyśl: Gdy ty przychodzisz radosna, we mnie gorycz; gdy ja w weselu tonący - ty gorzka i smutna. Czemu?... Rozejdźmy się. Nie będzie tego smutku.

Płacze Maryś. Głos jej drży.

Spojrzenia... spojrzenia... Westchnienie... Cichy szept.

...Nie rzucaj, wróć... Zobaczysz, następne spotkanie będzie radosne i piękne jak pierwsze liście, jak chryzantemy w twym ogrodzie...

A król myśli ze smutkiem: Nie mogę porzucić. Trzeba znów przyjść i męczyć się... Ech, doło!

...Odchodzę, Maryś. Straże mosty zwodzą...

...Ale wrócisz?... wrócisz?... - błaga głos nabrzmiały łzami...

Spojrzenia, łzy, szept...

Westchnienie...4

Usiadła Maryś do krosien. Wszystko jej leci z rąk. Żali się sama sobie, żali się ścianom ojcowej chaty...

Po co mnie spotkał? Po co wziął serce...

Kto kładzie te przepaści między nami? I śpiewa tęskno:

Ej, śpiewajze mi, śpiewaj, bracisku góralu,
Ej, coby moje serce nie pukło od zalu!

Ej, dejze nam, Maryjo, słonecka, pogody,
Ej, coby mnie zobaczył mój królewic młody!

Onci jest jako oreł na orłowej perci,
A ja - łania zraniona, cekająca śmierci!

Ej, zakochali my się, nie znając kochania,
A teraz zal i smutek serce nam osłania!

Śpiewa i tka na płótnie złociste chryzantemy. I za łez swoich deszczem rzęsiстым nie widzi, że pojaśniało w chacie. Stał przy niej święty Franciszek i mówi. Kieby leluje mówić mogły, nie insy by miały głos:

...Je coż se tak śpiewos, dziewce?...

...Śpiwom mój smutek...

...Jkiz on?

Lute ma serce mój ostomilsy, lute, jako u zwierza...

...Wicaska z Gubio uskromiłek i jego potrafiem. Kaz żyje?

...W zamku, dobry cłeku...

He, to ty pono wysy sięgas, niz dziewczki z okolicy. Pewno to król, Hendryk niesczęsny...

Nic Maryś nie odrzekła, patrzy bez okno do pola. Na rżysku, pod białym niebem psów cały kierdel jak owiec. Trąbki brzęcom, polowace goniom ku Tatarom.

Polowanie.

...Jeśliś haw święty i doli mej poradzić fces, lejdze ku niemu! On haw, na cornym koniu...

...Dy jo go juz znom. To on się mi cudował w krakowskim kościele u Franciskanów. To on w prochu leżał przed skalnym obrazem pana Wyspiańskiego! Trudno z nim, ale idem...

Myśli Maryś, gdy ten hipnon do dźwierzy: - Co by to prawda była, ze tymi go wrócis, choć na jeden wiecór, ej wiera, całabyk była twoja, mój święty!

Cień w chacie. Spoziera Maryś. Zbójnik wszedł. Włosy w kiecki, pas na trzy piędzie seroki, portki kraśno cyfrowane.

...Dziewce, wróce ci go na jeden wiecór. Potem moja bees...

...Jakoz?

...Moja rzecz. Będzie twój...

...Nie łzes? Przysiengnij! Na pistolce.

Kładzie zbójnik palce na główi pistoletu i przysięga:

- Na mój honor zbójnicki, na siubienice wiśnickie, na dusiu moju i te pistolce...

Wchodzi król do chaty. Stanął u proga. Poznał zbójnika.
...Psie, do nogi! Waruj, Postumie!¹

Za murami, w ciemną noc pochmurną, u stóp gmachów jakiegoś księcia jest uliczka, ogrodami pachnąca i cichutka, jak mury nad Wisłą. Tam ich dwoje.

Maryś: Czemu ci oczy płoną niesamowitym blaskiem?

Król: boś piękna i pachnąca. Gęstwina włosów twych pachnie, jak runo Goplany, jaskótkami obwiązane...

Maryś: Kochasz moje włosy?...

Król: Ciebie całą... jeno że cię nie znam.

Maryś: Tak jak i ja ciebie.

Król: Wiesz, nazwę ci dam: Maryś Nieznana albo Daleka...

Maryś: Dobrze, panie, kocham cię, więc poddaję się wszystkiemu, czego żądasz...

Król: Niewolnico...

Maryś: O żalu!... Tak, jam niewolnica twa...

Król: Tyś jest światłość świata - kobieta. Z takich jak ty rodzą się Manu, Zaratustra i Chrystus...

Maryś: Czemu mi nie wierzysz, próbujesz serca mego?

Król: Bo chcę wiedzieć, kto zawsze odtąd będzie ze mną...

Maryś: Chryste!

Król: Żono... daj usta... pocałunek to będzie pierwszy i ostatni... Jadę na szukanie Graala, a może otchłani...

Maryś: Usta?... Oto one...

Przechylił ją w tył, drżącą jak struny na skrzypcach. Przechylił ją, aż ciemna masa zamku odbiła się w jej żenicach, a grzywa ciemnokasztanowa zamiotła proch z bruku.

Milczenie.

Postumus powstał nagle. Dotychczas był cieniem króla. Stanął za nimi, krzywi usta i błogosławi dziwny pocałunek.²

Pod drzewami stanął ktoś. Czerwony blask kominka rzucał na postać króla fantastyczne światło i ślepił mu oczy. Widzi król zjawę - nie widzi, kto to. Sunie zjawa ku niemu. Pokłon do ziemi.

...Ty?

...Ja. Samżeś, królu?...

...Sam.

...Pogadajmy?...

Wsparł się o kominek i szepce z żalem:

- Królu, komedię grasz. Czemu ją dręczysz?...

- Nie mogę inaczej. Rzucąłem ją już trzy razy. Lecz tęsknota ciągnie mię ku niej. Wysoka, kościelna tęsknota...

- Ale ranisz ją, ilekroć ją widzisz...

- Bo ona ust. Pragnie, cichej rozkoszy. A ja pragnę tylko jej smutnych oczu. Kocham ją jako posąg cudny, a ona mnie jak człowieka.

- Ja ją kochałem kiedyś - rzuciłem...

Król milcząco patrzy na Zygmunta. Chmurnieją jego oczy.

Cisza.

...Alleluja, moje lilie kwitnące!...

Rozśpiewany wchodzi do komnaty biedaczyna Chrystusowy. Spojrzawszy na nich

uśmiecha się, szeroko otwiera okna.

...Niech wejdzie tu trochę światła.

I płyną wieczorne wonie z ogrodów i sadów. Majaczeje na niebie gwiazdzistym cień katedry.

Przechylił się za okno i dłonią obejmuje ogród różany.

...Patrz, Adamie, posępny myślicielu. Tu cię Ewa co dnia kusi? Jakież cudny ogród! Tyle róż! Godny jedynie miłości być świadkiem...

- Lub grzechu - rzuca ponuro król.

...Nie, miłości godzien ten raj i umiłowania. Bo na cóż by te róże i kwiaty, na co piękno boskie zieleni trawników i na co drzewa ciężkie od owoców? To świat - matka - miłość...

- A grzech stworzył człowiek...

...I człowiek go mocen zdeptać - powiedział z wiarą Zygmunt.

...Przyjrzał się słońcu ogromnemu. Na cóż tyle światłości - ? Czyżby na grzechu wyszukiwanie? Zaiste - miłości ono świeci... Świat! Świat! Kochane róże kolące! Drogocenne chwasty i popłochy! Robaczki świętojańskie, motyle i ptaki! Do was idę! Bywajcie zdrowi, ludzie!

I spływa w sad lekko, niesłysznie. Wionęła szata - znikł.

A oni patrzą na siebie.

...Ciężko mi - skarży się Zygmunt.

Król milczy. Serce ma twarde, powiada przecież Maryś.

...Och, ciężko...

Mężczyzna płacze; nie zakrywa twarzy; łzy płyną, wielkie, żalosne. Pycha królewska szepce: Co za sentymenty!

Lecz dusza czuje w sobie także łzy, może nawet cięższe...

...Henryku... ucałuj mnie jak brata...

Pocałunek braterski - będą przyjaciółmi na zawsze.

Głos Franciszka dzwoni w sadzie:

Żabki moje zielone!

Roso żywiąca!

Kielichy lilii zamknięte

Z zachodem słońca!

3

Tony gorącooranżowe. Spiekota. Zieleń przyprószona pyłem piasku i słonecznego złota. Ogród jakiś, czy wyspy szczęśliwe, bo wokoło wody białogrzywe.

Kształty dziwne - wysmukłe, jak topolowe. U stóp ich kłębią się płomienne krzewy. Trawa brunatna. Błądzą po ogrodzie przyciszone melodie i śpiewy.

...Magdaleno, pójdiesz za Chrystusem i porzucisz dawne ukochania; oczy cudne swoich królewiczów, noce pełne szału, opętania...

Jędrak Cajka, zwinny, gibki chłopak, prowadzi Marysię tymi cudnymi krainami. Naraz jaśń zorzy na drodze i staje przed nimi Seraf sześcioskrzydły. Wznosi znaczone stygmatami ręce i powiada słodko:

...Maryś, pódzi do skrzideł... Idź se mnom po górak i lasak śpiewający. Miłuj ino leluje a ptaki... Carny Staw i Morskie Oko... Ino cały świat, a nic więcy. Bo ludzi miłować nie umi...s...

A ona, smutna, powiada:

...Icie prec, święty Francisku. Razeście mnie zwiedli juz. Ja teraz z chłopcem igran, niek wie król...

...Nie zwiodłem ci ja - inom serca hardego złamać ni□ mógł. Przed Bogiem się korzył - widziałek. Przed kobietom nie kce...

...Coz będzie s nami?

Stożą, milczą. Jakieś pachnienie słodkie się donosi, jakieś ptaki purpurowe przecinają niebo lazurne. Ciężkie pomarańczeopadają do stóp drzew - w trawę porzewiają.

Aż wrzaśnie Jędredek:

- Je cozeście drogę zastompili!

Odszedł święty, popatrzysz w oczy Cajce.

Idom dalej po cudnym ogrodzie.

Trzok ludzi - dwa górale i baba figi obierajom z drzewa.

Jeden na drabce stoi i obrywa figi, rzuca je na podolek babie. Zaś trzeci pilnuje z ciupagom, cy zaś panny hesperydzkie nie idom, bo ten sad był ik. Kradnom.

Śmieje się Jędredek i chyli ku Marysi:

- Maryś, a tozbyk do ognia hipnon za cie; a tozbyk cie na recak nosieł, jako to dzieciątecko... Rada mie widzisz?

- Rada ci ja, rada... Cemu tu tak pusto.

- Chciałabyś, co by nas widzieli...

- Nie... ino tak... strasno.

- Strasno ci? Se mnom?

- Takie mas dziwne ocy, ozcerwienione...

- Maryś!...

- Cego wces?

- Ciebie! Ciebie!

Przysiedli na murze ogrodu. Pola złociste patrzą na nich, patrzą, jak Jędredek chwyta w ramiona Marysię, po chłopsku, od razu. Maryś płacze.¹

Spod srebrnych pian fontanny, bijącej na wyż niesłychaną, sączy się strumyk w dolinę pełną kwiatów. Krokusy, stokrocie, mlecze - biel, czerwień, złoto... Nad wodą jabłonka z maleńkimi, rajsłkimi owocami. Mały Józio usiłuje dosięgnąć gałęzi, wspina się, dziecinnego wdzięku pełen, ku owocom, których pożądam jego czarne oczy. - Staszek, starszy, błękitnooki chłopiec, staną na zakręcie strużki ciekącej. Pełne ręce ma krokusów. Po jednym rzuca na wodę i śledzi oczyma ruch zaczarowanych statków.

Patrzą z cieniastej arkady król i Julian.

...To my - mówią o sobie - to my...

Słońce znikło. Chmury...

Wiiichr... wiiichr świiiiiszcz...

Pochyliły się drzewa i zaszamotały w dłoniach wiatru.

Widać wśród deszczu skałę na morzu.

Na skale człowiek w czarnym płaszczu, którym burza łomoce jak żaglem. U stóp ma kilka postaci, które wołają ku niemu z rozpaczą:

- Mistrzu! Kochamy cię! czemu ty masz serce obojętne?

A on patrzy w góry dalekie na horyzoncie.

...Precz, ludzie, ja sam! Na wyżyny chcę, gdzie ostre, mroźne powietrze, gdzie moc, gdzie zdrowie.

Każdy ma prawo Postuma.

Postumus tego człowieka szydzi z patosem umyślnym:

...Idź! przez burzę! przez ocean! Giń!

- To ty na skale - mówi król - to ty, Julianie.

Rozpogodziło się... Słońce w zenicie. Ziemia świeża i wonna po deszczu, lasy dymią jak kadzielnice.

Zjawa hesperydzkiego ogrodu.

Zakłęte cienie błędzą po nim. Zakłęte, że wtargnęły do krainy fantazji, poezji i półszczęścia.

Chodzą tam i nazad chłopiec i dziewczyna.

Pośrodku polany spotykają się i rozchodzą znowu, by znów iść na spotkanie. I tak bez końca.

Ilekoć się rozejdą, tęsknota ich w postaci cienia wydłuża się niepomierne. Gdy przechodzą obok siebie, zaglądając w oczy, tęsknota maleńka, skurczona leży u stóp. Waruje jak pies.

...To ty - mówi Julian - Ty i Marysia, a może ty i Prawda.2

Julian zbliżył twarz do twarzy brata i mówi słowa dziwne. Stałowe źrenice lśnią twardo, nieubłagane.

...Człowiek mocny musi gardzić kobietą. Czy ty nie czujesz, że wszystko się w tobie załamuje tylko dlatego, że łudzisz się miłością? Jeśli ty kochasz - nic to, lecz jeśli ciebie kochają, działa to destrukcyjnie. Gniesz wtedy, a wyjścia nie znachodzisz.

Pamiętasz twoje słowa: "Nie mogę jej kochać i nie mogę nie kochać". Więc wydrzyj spod serca! Bo zginie twoja moc.

Zatargał się król bezsilnie i łamie ręce.

- Więc jak?... jak?...

- Porzuć!

- Nie mogę!

- Zapomnij!

- Ponad siły!...

- Musisz, bo zmarnujesz to, co w tobie!

- Zawsze mnie będzie wiodła ku niej tęsknota...

- Otóż to... ta choroba duszy ludzkiej...

Zamyślili się obaj. Wreszcie mówi brat głosem drżącym:

- Przebac, że nowe udręczenie wpuściłem w twą duszę. Widzę sam, że to nad twoje siły. Zostań sam. Myśl!

Wychodzi, wsparty na błękitnym paziu. Długo jeszcze słyhać kroki w olbrzymiej sieni zamkowej.

Północ dawno już minęła, bo dogasają świece.

- Paziu, *Biblię!*

Zjawia się chłopię, lazurowym jedwabiem strojne i jasnymi płowymi włosami. Na klęczniku rozkłada pismo i objaśnia świece.

Gest króla - komnata pusta.

Jak spod ziemi wyrasta z ciemnego kąta Postumus Porco i przewraca karty *Biblij*. Znalazł. Czyta głośno:

...Jeśli cię gorszy oko twe, wyłup je...

Porwał się król. Mierzy komnatę z kąta w kąt wielkimi krokami. Księżyc zgaś. Świeca się wywróciła. Ciemno. Nastrój jak w zamku Lady Makbet.

Postumus węszy myśli króla i mruczy: Krew pachnie...

A król szamoce się z sobą.

...Czyżbym aż tak był słaby? Nie, jest moc we mnie. Jest! Kto śmie mówić, że potęgi nie ma w tej piersi? Przez krew pójdę, przez grzech, przez wszystko, co noc i złe moce na drodze postawią! Kurtyna! Ja gram!

Znowu gram!!!3

Kosił siano Jędrak Cajka, kosił przy księżycu, bo w dzień gorąc dopiekał, co nie daj Boże! Kosi, a na chatę Marysi pogląda. Widzi mu się, że gwar jakiś i krzyki słyszą, ale kosi dalej. Wtem błysło, strzał! Gruchnęło echo po górach. Drugi grom, trzeci... Bitka.

Porwał kosę na ramię i pobiegł na nogach chybkich jak wiatr. W obejściu pusto... niesamowita cisza.

Stary Samek Rohacz leżał na progu z głową strasznie rozbitą. Krew chlupała i płynęła strużka z proga, a przy księżycu zdawało się, że jest czarna. Obok Samka drugie ciało, ciepłe jeszcze. Z ciupagą straszliwie wdziobaną w czoło rozkrzyżował się człowiek nieznan. Obejrzał go Cajka: rajtar, z królewskich rajtarów.

Lęk go zdjął.

Zajrzał do ciemnej chałupy i krzyknął: Maryś!

Cicho.

Siadł na kamieniu i zapłakał. Cóż on może proci królowi? Płace, płace, aż się ozaśniło. Świt. Prasnom kose o ziem.

- Pódem do króla! Zginiem - raz śmierć! I nie straszna mi ona. Nie raz ci jom widziałek w przepaści.

I ruszył wielkimi krokami do Krakowa.

Idzie i myśli: Śmierci się nie bojem, ale to król. Nohrubsy gazda nic proci niego. Dy to król.

...Pódzies i zabijesz - mówi Pomsta.

...Nie pódem - dy to król... szepce Jędrak.

Pojrzał na drogę, a tu w słonecznej zorzy wychodzi święty Franciszek i wyciąga dłoń ku niemu.

Wróc się... nie pódzies nikaj...

- Pódem! - siepnął się Jędrak - moja sprawa, nie twoja.

...A praca twoja?

Prawda! Jędrak ma jeszcze dzień pracy odrobić za dług w kamieniołomach. Zawrócił. Pusto przy skale. Wyjął ze skrytki naboje dynamitowe i oskard. Wykuł dziurę, założył nabój, podpalił i przypadł za głazem. Fukło! I odwaliło kawały kamienia. Jędrak założył drugi nabój, podpalił, uciekł. Myśli: dziś pracuję, to jutro póde do Krakowa... Czemuż to nie strzeliło... Podszedł... zgasło. Nachylił się, dmuchnął w tulejkę. Jak ryknie grom!!! Padł Jędrak na głazy bez oczu.

Pochyla się nad nim limba zielona i szemrze:

...Świętemu się prociwił nie bees. Nie pódzies juz, chudziaku, nika, jeno do grobu...4

Słońce krwawo zachodzi, jak nigdy. Na purpurowym niebie ponure sylwety drzew wysmukłych, żałobnych. I sylweta wysokiego wśród topól szafotu. Kat z mieczem - pień, czerwonymi plamami łyskający pod słońce. Na prawo zamek królewski, na lewo kościół franciszkanów.

Tłum szemrze - gwarzy - kłębi się i czeka.

Wyszedł król na taras. W czerwieni zachodu widać oblicze brzydkie, złe, z oczyma, w których mrok się przytalił. Opona złota, jedwabna, nad nim rozciągnięta, refleks

rzuca na twarz i koronę króla.

Złoty, żywy i ruchliwy jedwab.

W cztery strony świata grzmią surmy. Król chce, by umarła jego miłość wspaniale, jak królewskiej przystoi kochance. Błysły w dole hełmy. Rajtary wiodą Marysię na szafot, a z nią księdza, nie księdza - świętego Franciszka.

Gaśnie słońce, gdy wchodzą na czerwony pomost.

Ostatnie, przebaczące ziemskie całowanie bierze z jej ust. Biedaczyna w podartym habicie.

Pocałunek był czysty - zmienił się w białego gołębia, którego Franciszek ukrył w dłoni. Potem uśmiechnął się do króla i poszedł po powietrzu do okna franciszkanów. Wstał na witraż... znieruchomiał.

A król zdejmując koronę z głowy i daje paziowi w dłonie...

...Włóż jej na głowę...

Zabłysła korona złocista na ciemnych włosach Marysi. Wąskie i blade jej usta patrzą na króla, radosne, miłosne, zamglone.

Świst!

Runął miecz!

Grzmią surmy mosiężne, więc nie słysząc, jak toczy się głowa. Spadła korona i leci z wiatrem, daleko, na wodę wiślaną. Nasiąka wodą papierowa korona i tonie.

Król, przechylony przez balustradę tarczy, patrzy na te zjawy rozszerzonymi oczyma i za pierś się chwyta:

...Boli!...

Słońce zgasło... Mrok... Pożar chmur na niebie. **PRZYJACIELE**

W uroczej, cichej Słobódce zdrowie wraca Henrykowi. A że to wiosna, zebrał wokół siebie przyjaciół i razem kochają liście, rozwijające się dopiero na drzewach, maleńkie, lepkie listki topoli, brzozy czy dębu.

Dniami całymi leży Henryk na słońcu w mchu leśnych wzgórz i słucha rozmów serdecznych. Jest Zygmunt, ksiądz Clarus, Madonna Maria, ba, nawet Achilles i Patrokles. Henryk słucha właśnie jednej z takich rozpraw. O sztuce rozprawiają uczestnicy tego Symposionu.

Więc Clarus: Ja jestem tylko tęsknotą za twórczością. Co maluję - pełne jest myśli ociężałej i równie ciężkich, zawitych symbolów. A przecież tyle prawdziwego uczucia żywie dla wielkiej sztuki i tak pragnąłbym ją posiadać...

Zygmunt: Przez wielkie S zawsze ją piszesz, ale właśnie za wiele w tobie tęsknoty, za mało zdobycia się na czyn, urzeczywistnienie.

Clarus: Więc tworzyć, nie tęskniąc, nie myśląc o sztuce?

Zygmunt: Nie tworzyć sztuki, jeno siebie...

Achilles: To jak my: ja i Patrokles. Tworzymy siebie w naszym wojennym życiu miłosnym.

Clarus: Do rzeczy, drodzy, do rzeczy. Mówmy o sztuce.

Achilles: Jak to, czyż nie uważasz sztuki życia za największą ze wszystkich?

Madonna: Lub sztuki dobroci?

Zygmunt: Lub sztuki poświęcenia?

Lub sztuki bólu?... - szepce Henryk.

Clarus: Ach, pięć głów i pięć zdań. Chciałem tylko rzec, byśmy wrócili do rozmowy o sztuce w mniej szerokim pojęciu.

Madonna Maria: Trudno rozmawiać na zadany temat. Czemuż to jednak nasz drogi Patrokles siedzi milczący i rozmarzony?

Patrokles, który siadł z dala, odwraca głowę.

- Ja o miłości myślałem... Że jest dobra, przedziwna, choć gorzka...

Madonna: Skąd to wiesz, mały?

Patrokles: Nie uczyłem się z ksiąg... Sam wiem.

Boleśnie krzywią się usta Henryka. Spozrzegli. Zamilkli. Innego znów dnia siedzieli nad jeziorem Henryk i Madonna Maria. Opowiadała mu swe dzieciństwo. Dużo było w opowieści zapachu wsi polskiej, rannego piania kogutów i nocy pełnych gwiazd. Lubiła gdy słuchał jej ciekawie, jak dziecko. Oburzała się tylko na jego bolesną ironię. Widziała jeszcze te kolory, które dla niego już spłwowały.

Gdy rozmawiali tak w ciszy wieczornej, wspomniała o Bogu.

- Wierzę, że czuwał nad moim dzieciństwem i nadal czuwał będzie.

- Który?

Nie rozumiał, więc zapytał powtórnie.

- Który, czy Zielna, czy Anielska, czy Gromniczna?

- Jak możesz, Henryku? Więc jest tylu bogów?... Czyż my poganie?

- Tak, tak, Madonno Mario. Zamiast wierzyć w Kupałę, wierzymy dziś w świętego Jana. Zamiast Łady, Nii, Dziedzilli, mamy Tę, co chroni nas w dzień śmierci, co każe pola siał i polom błogosławi... Bądźże patriotką, idź między lud i szerz prawdę. Każda ziemia własnym winna kwitnąć kwiatem.

- Nie, kłamiesz, Henryku! Chrystus jest w duszy tego ludu!

- Chrystus?... Nie, Jesse w postaci Zadumanego siedzi na skrętach dróg w złotej i szerokiej Polsce. To jest nasz Chrystus. Na Litwie pod daszkiem zardzewiałym spotkasz Smutkielisy drewniane. To też on - Jesse.

- Więc wracasz do pogaństwa?

- Nie, ino w nowe życie idę. Nowe życie musi być zwarte z wiarą, żeby nie było tej męki rozbratu, którą my teraz żyjemy. Żeby nie było tej pozornej jedności świata, ale rzeczywista. Dozwołmy ludowi wierzyć w pogańskiego Chrystusa, bo to łączy wiarę z życiem. I stwórzmy tę jedną wiarę na całym obszarze ziem naszych. Bo u nas ty żyjesz czym innym niż ja, Clarus, czym innym niż Zygmunt. A lud też się szarpie, niemocny. Stąd sekty, stąd bajka o narodowym kościele, mariawici, buddyści polscy i nietscheaniści. Stąd tołstojowcy i mistycy.

- Więc skrzepić lud. Niemal stworzyć naród na nowo...

- I potem mieć go w dłoni, jak miecz - jednolity, potężny, straszny...

Zapłonęły mu oczy, znienacka spojrzął poza siebie i rzucił cichutko:

- Ja chcę mieć ten największy, najsilniejszy z narodów...

- O czym ty myślisz? Co potem? Henryku! - drżał jej głos, sama nie wiedziała czemu.

Lecz on zląkł się samego siebie. Jakoś bezsilnie machnął ręką i głowę spuścił na piersi. Długo patrzyli w jezioro, wreszcie rzekł! - A czy wiesz ty... co to jest... papierowa korona...

Kiedy siedział wieczorami przy oknie z półprzymkniętymi oczyma, piosnka mąciła mu marzenia.

Skrzypiały huśtawki i ze wszystkich końców Słobótki leciała ta białoruska piosenka, wesoła w treści, a smętna w przeciągłej, jesiennej zaiste melodii:

...Kagda ja była ma-a-a-a-ła,
Mienia mama kałycha-a-a-a-ła!
Kagda stała podраста-a-a-a-ti,
Stali chłopcy kałycha-a-a-a-ti!...

W tej ciszy muzycznej marzą on i Zygmunt. Słysząc też oddech jeziora, które już roztajało i pełne jest błękitu wieczornego.

- Oto jest miłość ziemską - rzekł Zygmunt.

Słowa te przywodzą obydwu na myśl przedziwny obraz Tycjana. Na umarłej fontannie basenie siadły dwie postacie: jedna w szacie o fałdach łamliwych, długich, nieco sztywnych. Oparła się na krawędzi wazy, w drugiej dłoni pęk kwiatów trzyma. Ma oczy pełne tajemnicy, a na ramionach złote, precudne włosy.

Za to druga postać jest w całym bogactwie nagości. Twarz ta sama, jeno oczy bez tej nieziemskiej powagi. Nad wodą basenu amerek, a za nim kępa drzew i rozległe krajobrazy. *Trawa - vert d'□meraude. Cokół basenu - blanc chinoise.*

Miłość ziemską i niebieską.

Zygmunt snuje dalej swą myśl, pewny, że Henryk o Tycjanie pamięta.

- *Miłość na ziemi jest tak naga, jak ziemia-matka, bo macierzyństwo jest celem miłości ziemskiej. Wszystkie kobiety na ziemi - to matki. Wszystkie służą swemu bogu wedle sił swoich, a że tu i ówdzie znajduje się dusza istotna w kobiecie, to wyjątki potwierdzają tylko regułę. Wspomnij twą siostrę, Madonnę Marię.*

Henryk powiada:

- *A niebiańska miłość - to Nieznane. Oto jest pole dla Zdobywcy: wydierać Tajemnicy obszary terrae incognitae.*

- *O tym marzysz?*

- *Nie, dalej marzenie moje sięga.*

- *A czyn, czyn? - pyta gorączkowo Zygmunt.*

- *Czyny są w marzeniu - z niewiarą i niechęcią odpowiada Henryk. I milczą.*

NOWINA

Jedli obiad. Pełno było woni groszku i nasturcji w cienistej altanie ganku. Fantastycznie krojone liście dzikiej winorośli spływały kaskadami na kraty. Na ganku przy stole zasiedli wszyscy, radośni i dziwnie cisi.

Wnoszono właśnie na talerzu drewnianym olbrzymie, pękate granaty, gdy tętent rozległ się przed gankiem na drodze do Słobótki.

Cwałował jeździec wspaniały na niesłychanej piękności koniu. Włosy rozwiane złotą aureolą zapalały się i gasły na greckiej głowie, dłonie mocne dzierżyły twardo potężnego rumaka.

Jak zjawa! Bellerofont na Pegazie!

A koń przed gankiem piętrzy swe siwe cielsko, kłębi się, staje dębem, aż wiszą nad stołem potworne kopyta. Poskromił go wreszcie jeździec. Zeskoczył. Idzie do Henryka. Ściskają sobie dłonie. Poznali się.

- Włodzimierz!

- Potocki! - woła Madonna Maria, która go widziała, gdy stał w zadumie orlej w kaplicy wawelskiej.

Reszta w milczeniu pożera oczyma cudną postać i wspaniałą głowę.

Ściska dłonie wszystkich.

- Ja z wami - mówi - ja z wami.

A w dzień Wielkanocy to było, w dzień Wielkanocy.

OPOWIEŚĆ

O HIRAMIE CZARNOKSIĘŻNIKU

(fragmenty)

TĘCZA NA KSIĘŻYCU

Leżał w trawie, pod białą hermą Dionizosa, z głową wspartą na rękach i oczyma pełnymi łez. Płakał cicho, bez łkań, patrząc w księżyc wśród chmur. Rosa łez jaśniała i srebrzyła się na jego policzkach, jak łzy nocy na puszystych trawnikach parku.

W ciemności, ponad skłębionymi chmurami koron drzewnych, zalegała niebo olbrzymia czarna budowla pałacu. Dwa okna świeciły żółtym blaskiem na wysokim piętrze. Płomyki gromnic chwiały się tam żałobnie, jak złote liście jesienne.

Naraz okna zagasty. Księżyc przesłoniły smutne obłoki nocne. Dreszcz przebiegł po chłodnych od rosy drzewach i czyjeś szybkie kroki zatętniły na żwirowej ścieżce. Groza się utaiła w mroku.

- Ona umarła! - krzyknął wśród nocy, zrywając się z murawy.
 - Lecz On się narodził - powiedział jakiś spokojny, mocny głos.
- I jednocześnie czyjaś dłoń chwyciła go za ramię.
- Spójrz na księżyc - rzekł ten sam głos.

On jednakże spojrział przedtem na tego, kto mówił mu te dziwne rzeczy. Szary człowiek, wsparty na czworogrannej hermie, wyglądał jak każdy w zmroku. Więc oczy zapłakanego wzniosły się ku białemu księżycowi.

A tam działy się cuda. Na bladym półłuku księżycowej tęczy w szalonym pędzie cwałowali jeźdźcy na widmowych. Siwych jak mgła koniach. Gdy stanęli u szczytu tęczy, konie ich wspięły się nad przepaścią, jak rumaki z jakiegoś mauzoleum. I wyraźny, trzykrotny okrzyk zabrzmiał w kopule nocy: Sława! Sława! Sława!...

Znów runęli w cwał, ze szczytu tęczy w dół, ku otchłani. Tęcza spurpurowiała, stała się obłokiem czerwonym i wszystko zginęło.

- To bieg wypadków jego życia - rzekł Szary człowiek.
- Czyich?...
- Twego syna, w tej godzinie narodzonego. Zginie we krwi. Lecz szczyty jego losu ponad wszelką sławę ludzką i ponad wieki. POWRÓT

Gdy się wsparł na słupach ganku i twarz uniósł pod księżycowe spojrzenia, jakaś ciepła cisza zaległa jego serce. Oczy się same zawarły, ku marzeniu tym cudniejszemu, dłonie opadły na zaśnieżony płot.

Chorym i bezsilnym się stawał w tej atmosferze wzruszeń miękkich, skrzypcowo lirycznych. Tu był kres jego wędrówki. To był rodzinny dom.

Przywiera plecami do drewnianego słupa i coraz mu boleśniej, a łzawiej. Poprzez mął łez widzi białą twarz księżycową w rozgwieżdżonej czerni nocy. Kamienne serce ma tylko jeden zakąt miłosny, jeden angulus animae, gdzie kwitnie kochanie. Miłość do swoich.

- Szemerzące nieukoje brzoź.
- Nieustanna, srebrna topiel jasności.

W trupim tchnieniu mrozu rozbłysnęły śniegi tęczowymi ziarenkami. Rosistość łagodnego wieczoru zakrzepła w białe, nieskalane sopte, niby miecze zawieszane ponad osądzoną przez Losy głowę.

Hiram, człowiek mocarnny, smuci się rozłękaniem nocnym po raz pierwszy może

w swych bujnym życiu.

Postać na skraju wzgórza. W baranym kozuszkę na wysmukłym ciele, błyszcząca w smugach księżycy, idzie, cała w kłębie pary, w skrzypieniu twardego śniegu i chwierutaniu kubek. Te rozskrzydlone u ramion na drewnianym pałaku, kołyszą się w rytm jej kroków, pełne jasności. A to woda tak lśniła.

Ujrawszy Hiramę w bieli miesięcznej, przystąpiła na chwilę. On rzekł:

- Kogo szukasz?

- Panie - pytacie tak, jakbyście wiedzieli, że umiłowanego szukam...

I tu rozplakała się przed nim, bowiem zawsze pełna była smutku, który on na nowo obudził. Postawiła kubek w śniegu i klęka przed Hiramem z zapłakаныmi oczyma. Chusta zsunęła się z jej głowy i widać było ciemne, gładko rozczesane włosy.

- Spotkaliście go może, dobry Panie? - pytała wśród łkań. A wtedy on rzekł głosem cichym, smutnym, takim jakim się dusze woła po imieniu:

- Thygater!...

Poznała go. Z rozwianymi włosami przypadła mu do kolan:

- Mistrzu!!...

Jasność była nad nimi księżycowa, zaś woda rozhuśtana w wiadrach pluskała coraz cichszym szelestem.

Podniósł ją z zasy śnieżnej, patrzy jej z bliska w oczy, nie wita, nie całuje. - Co robisz? Co znaczy ten pałak, uwierający plecy?...

- Sługą jestem u ojca twego. Latem pasę jego trzody u brzegów jeziora, zimą służę przy chacie, wodę noszę, drwa rąbię w lesie... Trudem rąk głuszę mój smutek... Zasmęciłam się na śmierć, Hiramie, i nie umiem się już radować. Po coś mi radość dał?... Po coś wrócił?...

- Thygater, ja do sławy wieńczonej wróciłem. Wyszedłem z puszczy, by ziemią władać i stanąć nad królów karkiem, jako Pan świata...

- A jam ciche szczęście w domu ojca marzyła. Gdy wrócisz - myślałam - zostaniesz tu, karczować puszcze i role orać, jak dziad i ojciec twój. Myślałam, będę ci sługą najwierniejszą w głuchej Słobótce...

- Porzuć miarę. Pójdź ze mną, w glorię nieśmiertelną...

- Po coś ty do mnie wrócić? Lepiej mi było z smutkiem niż z tobą...

- Wielkość ci dam!

- Nie serce?... O, raczej, mocarny panie, smutek mi daj co największy... Patrz, ja szara, ja co noc łzawa, przyrosłam duszą do butów i kozucha. Brudna mię przepasuje szmata, a trud uczernił me ręce...

- Ty nazbyt smutna, by żyć...

I milczą. Jak wśród ptaków świergocących na dzwonnicy nagła uczyni się cisza, tak oni zamilkli. Ona głowę skłoniła ku ziemi, srebrzy księżyc opadł w smutku ramiona. Nogi w wysokich, męskich butach tkwią w głębokim śniegu.

Poza nią były śnieżne pustki i drzewa cmentarza, a za ich ciemnym zwałem wież gotyckich grozenie ku wyżom. On, z zachmurzeniem u żałobnych brwi, oburącz się broni od jej smutku... Mówi wierząco:

- Ty nazbyt smutna, by żyć. Nie bożo-chmurna, nie zgnębiona trafieniem niedoli, ani też osmęcona chwilą. Ty smutek masz zamiast duszy, jak ja mam wysokie żądze. Sławy i krwi żądam! Wielkiego na świat cały trumfowania! I przeto odejść od ciebie muszę, bo widzę, że ty nie ze mną...

- Zostanę, juści zostanę, smucić się aż do śmierci...

Błysły mu oczy, zadrgały wąskie, okrutne usta.

- Chceszli śmierci?...

Spojrzała w jego oczy. Smugi fioletowego cienia tryskały z nich w księżycowym jaśnieniu. Dłoń smukła spoczęła na jej głowie. Patrzyła z ufnością, poddając się jego woli.

Hiram poruszył dłonią, jakby chwycił jakiś płomyk nad głową Thygater. Ciemne krzaki z cmentarza zdawały się patrzeć na dłoń jego gorejącymi oczyma. Targnął chwycony płomyk.

Thygater padła martwa. TAWERNA

Podwórko było głębokie jak studnia. Biała topiel księżycy zalewała jego połowę, druga - tonęła w czarnym cieniu. Niewyraźnie majaczyły się tam pogaste okna, drzwi się zdawały ciemnymi do piekieł czeluściami. Chłodna groza wiała z tego zakąta. Brama, z dala zionąca wilgocią, świeciła wylotem na jasną, miesięczną ulicę.

Jasność poświaty srebrnej na drugim krańcu dziedzińczyka oświetlała niskie, nad ziemią i kratowane okna lochu, drzwi jakieś okute żelazem różowym od rdzy, i występ górnego balkonu, wsparty na czterech kroksztynach. Poza tym ściana była ślepa. Jeszcze gdzieś, na trzecim piętrze domostwa, migały szybki okna żółtym blaskiem świecy, bladej w księżycu. Henryk wyszedł z podcienia bramy, ostrożnie przeszedł podwórko i zastukał czterokrotnie do ordzewiałych podwoi.

Otworzył mu drzwi gospodarz tawerny, Ippolyto Cena. Gdy stanął w jasności, zapraszając Henryka do wejścia, krucze włosy jego zaśniły czarnym srebrem. W otwartych drzwiach ujrzał Henryk izbę w żółtej mgłę dymu z kopcącej lampki. Pod piecem, zajmującym dużą część izby, na murowanej ławie siedziało kilkoro ludzi. Twarze mieli zmęczone, ubiór nędzny, nogi w łapciach i sznurkach z konopi. Oparci głowami o piec, z rozwartymi we śnie ustami drzemali w ciepłe izby. Lampka na wprost nich wisząca oświecała wyraźnie te twarze o barwie ziemisto-woskowej.

Cena, wskazawszy na nich, rzekł półgłosem: "Pątnicy z Jerozolimy. Ci nam nie przeszkodzą..."

Po czym usunęli się obaj w kąt izby, za stół i zasiedli, jak przyjaciele.

- Jakże nastrój w mieście? - zapytał Henryk.

- Co prawda mojej tawerny nie odwiedzają wybitni wodzowie tłumu, jednak z całodziennych rozmów i pogawrodek wiem to i owo. Dziś na przykład rozprawiano tylko o zniknięciu van Hursta, wodza i lidera partii ludowych antymonarchistów. Całe miasto oburzone, tym bardziej, że ktoś puścił plotkę... Podobno tej nocy słyszano głos van Hursta z wieży Archaniola Hiram. Słyszeli to rybacy na morzu, którzy wracając z połowu płynęli pod wieżą...

- To nie plotka, to prawda. Sam byłem przy tym, jak mordowano van Hursta na wieży Hiramowej.

- Tym gorzej, tym gorzej, Panie. Lud chce wysłać do zamku delegację o wydanie im wodza. Co mu oddacie? Storturowanego trupa?

- Gdzie dowód, że on był u nas? Wyprzemy się...

- A ja, o ile mi wolno przed wami, Panie, mówić otwarcie, prorokuję, że lud oszaleje pewnego dnia i wtedy zapłoną Krasnołuki strasznym ogniem...

- Lecz Hiram nic nie wstrzyma od okrucieństw...

Zamilkli, zamyśleni o przyszłości niepewnej i smutnej. Dumali, dumali, pochyleni nad stołem, łokciami wsparli się na nie malowanych deskach. Cena wreszcie się ocknął i krzyknął:

- Aldo! Z drugiej izby wyszedł chłopiec tak samo czarnowłosy i kędzierzawy jak Cena. Był tylko w brudnej koszuli i granatowych, wypłowiałych spodenkach, ale na biodrach jego lśnił jedwabny, wzorzysty pas. Wielkie, ogniste oczy wzniosł pytająco

na gospodarza tawerny.

- Aldo, synku mój, przynieś nam wina.

Gdy chłopiec wyszedł, Cena rzekł do Henryka:

- To mój jedyny syn.

Henryk, zamyślony, nie odrzekł nic, ale Cenie zdawało się, że utkwione w jeden punkt oczy Lignickiego patrzą w ślad za chłopcem. Mróz przebiegł Włocha przy tym zwidzeniu.

Przymknął na chwilę oczy, aby się opanować i ciągnął dalej relację.

- Dołęga wyjechał potajemnie do Moskwy, razem z Rubinsternem...

- Gdzie się zatrzymają? - ożywił się Henryk.

- W hotelu Woroneskim, ulica Targowa. Nocą będą agitowali w koszarach, w dzień ukryją się w owym hotelu.

- Kogo wzięli ze sobą?

- Pojechali autem, sami, numer auta L. K. 18.620.

- Dobrze, dobrze... - mówi Henryk - za trzy dni powiesi się ich za żebra na Wieży Archanioła Hirma...

- Czemu wyście tacy okrutni?... Potężni Archaniołowie...

- Hiram okrutny jest z natury, bez mordu żyć by nie mógł i z cudzej krwi jego siła nieziemska. Condotier Henryk jest okrutny, bo to żołdak, a ja... - tu głos jego przycichł i osmutniał - a ja z nimi, bo chcę ochronić Cezara... Wrogów jego metłbym w wiatrakach, na samą myśl, że oni chcą mu coś złego zrobić...

- A co robi Archanioł Krzysztof?...

- Szaleństwo swe gubi we krwi. Lekarze dawno mu przepowiedzieli, że skończy w obłądnie. I mści się za swój los okrutnie, jak Bóg...

- Tak - szepnął Cena - krew dokoła was pachnie i czerwieni się powietrze rubinową mgłą, gdziekolwiek stąpniecie...

Aldo wniósł wino i przerwał rozmowę swoim wejściem. Włoch spojrzął z niepokojem na twarz Henryka i dreszcz przeszedł go po raz wtóry. Tym razem się nie mylił. Posępny Archanioł patrzył na chłopca ciemnymi, zamglonymi oczyma. Cena walczył ze sobą. Czy paść do nóg Henrykowi i prosić o łaskę? Czy uderzyć sztyletem w tę pierś pod szarym płaszczem? Lecz wtedy okrutny Hiram i jego, i chłopca rozedrze na sztuki lub zaszczuje na śmierć psami.

Cicho było w izbie. Falowały oddechy śpiących pod piecem pielgrzymów, trzaskała lampka pod nimi i świerszcz gdzieś strzykał w kominie. Z bukietu piwonii stojącego na stole osypywały się z wolna purpurowe płatki.

Ktoś zastukał cztery razy.

Zerwali się obydwaj. W ręku Ceny błysnął sztylet. Zbliżył się do drzwi i spojrzął przez szparę. Na podwórzu zalanym poświatą ujrzał jakiegoś chłopca.

- Nieznajomy - szepnął do Henryka.

Lecz ten skinął ręką.

Skrzypnęły rygle i wszedł ów nieznany. Miał na sobie jasnoblękitny, jedwabny strój z haftowanym na piersiach wieńcem dębu. Złożył ukłon w stronę Henryka i rzekł:

- Przejasny Archaniele, czy pozwolisz mi mówić?

- Mów.

- Cezar cię prosi na noc do pałacu...

Henrykowi pociemniało w oczach. Marzenia spełnione. Jest nareszcie u szczytu. Ten niezdobyty, jak "turrus eburneus", sam go wzywa do siebie. Otulił się płaszczem i wyszedł wraz z paziem. Przeszli ponure podwórko, jak duchy. Przed bramą, gdy stanęli w blasku księżyca, Henryk rzekł:

- Idźmy innymi drogami.

Paź ruszył na prawo, Henryk na lewo i znikli w zaułkach.NOC

Szedł skroś jasne do połowy ulice, na zakrętach jaśnienie księżycowe lało się potokami, lub czarna otchłań cienia rozwierała się z nagłą.

Do zamku było dosyć daleko, niemal kilometr, bowiem tawerna znajdowała się na drugim krańcu miasta.

Szary donżon u bramy zamkowej rozniósł się przed nim na szerokiej, bezludnej ulicy. Straże we wrotach oświetliły go kratowaną latarnią, lecz zaledwie poznano smagłą, zagorzałą twarz, pochyliły się przed nim nagie szable, w ciemnej czeluści bramy mignęły odblaskami latarni.

Zwiodły się pomosty, rozwarły kraty i stalowe wrzeciędzie zapadły się pod ziemię.

Tak samo w drugiej bramie donżonu.

Rozłożył się przed nim olbrzymi plac dolnego zamku, plac parad wojskowych. Cicho tu było i uroczyście w tej ogromnej, białej pustce nocy. Minął dwa budynki koszar gwardii, tonące w ognistym kwieciu malw, nagietek i amarylisów.

Potem zaszumiał rozbiegający się w dwie strony dziedzińca sznur młodych, zieleniejących dębów. Zapachniało rosą i sławą.

Potem jaśniejące od księżycy szyby dwóch parterowych pałacyków, rzeźbionych jak cacka, wyraźne wieżyczki zegarowe na jasnym niebie. Wśród nich brama, straż, podwoje ze stalowego pancerza. Henryk przeszedł wzdłuż dolny zamek.

Tu, za bramą, szumiał park pałacowy, szemrały cztery fontanny. A u końca szerokiej wśród topól perspektywy, bielił się fronton cesarskiego pałacu.

Pośród drzew, tu i ówdzie wysmukłe urny i białe hermy tonące w wysokiej trawie, baseny fontann granitowe, zielone od mchu i wilgoci.

Koniec alei.

Teraz tylko przejść dokoła sztucznego stawu z białą od miesięcznego blasku wodą. Rwące się do lotu rumaki z białego marmuru wspinają się i przysiadają na zadach - zakłęte, nieruchome a ogniste.

Białe kolumny, czarny cień portyku, znów hasła, odezwy i latarnie błyskające przez kratę. Straże błysnęły mieczami.

Henryk jest w Pałacu.

Wędrówka przez ciche sale i schody, przez amfilady milczących komnat, rozjaśnionych mistyczną jaźnią miesiąca, skroś posadzki połyskliwe kute ze stali i układane z marmuru, skroś bagdadzkie i damaskie kobierce. Gdzieś, w zakęcie korytarza, paź błękitny się zjawia. Skłania głowę, dłoń lewa przy piersi. Szepce cicho, by nie zmać Tajemnicy Zamku:

- Cezar czeka w różowej sypialni.

Jeszcze amfilada trzydziestu komnat i oto drzwi hebanowe, rzezane w promieniste krzyże. A tam, za czarnymi drzwiami - Cezar.

Henryk przystanął w białoszarym pokoju, wsparł się o drzwi i oddycha ciężko. Wzruszenie chwytą go pod gardło i zdusza oddech.

- Jeszcze czas, wróć się - szepce cichutko głos Clarusa.

- Obiecuję ci miłość i wieczne potępienie - czerni się głos Hirama.

Henryk walczy z sobą. Gryzie usta, by nie wybuchnąć gniewem lub łkaniem, rwie się ku drzwiom i wraca. Chce odejść i nie może.

I naraz za drzwiami słyszy kroki, ktoś chodzi z kąta w kąt męczony oczekiwaniem. Wsłuchał się. Tak, to jego najukochońsze kroki.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

W półblasku lampy osłoniętej błękitnym jedwabiem, salon był cichym dla ludzi [?] zakątkiem. Jasne ściany, białe na stołach obrusy, ta lampa równo płonąca - atmosfera dobrej przystani dusz. Przed wygasłym kominkiem, w głębokim fotelu Hanka Człuchowska marzy, cała w czarnym atłasie. Łańcuchem złotym się bawi, zwieszonym na szyi wysmukłej. Jej jasne włosy błyskają na zgięciach miedzianym odcieniem, ilekroć się zwróci ku światłu. Nuci sobie z cicha rosyjską, tęskną piosenkę i marzy.

Ty sidisz u kamina i smotrisz z taskoj...

Opodal, twarzami ku niej zwróceniu jak słoneczniki ku słońcu, siedzą Henryk Lignicki i Henryk Głogowski. Głowy ich jaśnieją na tle ciemnego jak ziemia gobelinu. A tam jakaś smutna pani w pokoju przybranym kirami i zielenią czyta pożółkłe listy. Wszystko w barwach przyćmionych starością, niby zwid gasnących już oczu. Dziwny gobelin.

W kącie pokoju, przy oknie białym od śniegu i księżycu, staną pan Hubert. Widzi za szybami sad cichy i gałęzie białe, zaczarowane, zwieszane nad ziemią. Głęb sadu pełna jakichś altan śniegowych, białych tuneli i kopuł. Kruki na gałęzi jabłonkowej połyskują w księżycu jak srebro.

Zaś w głębi komnaty zasmuca się jasny głos Hanki:

A pastuchniet lubow', w sierzdze chołod adin.

W pieredi wsio stradanje i slozy...

- Pani Hanko! - prosi Głogowski - a teraz proszę nam zaśpiewać o Iwanie Groźnym i carewiczcu. Albo pieśń o Hiramie, budowniczym króla Salomona...

- Przede wszystkim śpiewam nie wam, tylko sobie - dąsa się Hanka. Zresztą zaśpiewam o Hiramie.

Założyła dłonie na tył głowy, ramiona błysnęły nagością młodą. Przymknęła oczy szare i śpiewa:

Salomon, wierny sługa Pana,
Królowi Tyru listy śle...

Słuchają, widzą przed oczyma cyklopowe głazy wyrwane z łona gór. Widzą tysiące budujących ludzi i wielkiego, okrutnego Hiram. On, jak Cheops, piętrzy głaz na głazie w mur przeogromny. I śmierć piętrzy na śmierci. W białych dziedzińcach świszczą bicze na krnąbrnych niewolnikach krwawione. Na każdym kamieniu budowli śmierć ludzka, na każdej kolumnie krew. I wznosi straszny budowniczy chram Boży na krwi, na męce, na śmierci. Na końcu śpiewa się, jak Hiram w sławie i bogactwie wraca do Tyru, a stary ojciec wita go u bram grodu. I mówi starzec:

Żagle okrętów twoich wyżać,
A krew poleje się na toń...

Zgasta pieśń. Milczenie pod czarem wizji wielkiej.

Targnął się płomień lampy, skoczyły na ścianach cienie ludzkie, przenikliwy mróz wionął przez komnatę. W rozwartych drzwiach stanął człowiek.

Głowa odkryta. Na ciemnych włosach śnieg topniejący. Ramiona szerokie, silne w białym kożuszku. Na plecy i pierś spada kołnierz kożucha długowłosa. Twarz błękitem lampy rozjaśniona wydawała się blada i niesamowita.

Starzec, ujrawszy odbicie tej twarzy w szybie, krzyknął głośno:

- Hiram!

- Wróciłem - odrzekł Hiram, schylając głowę. Ojciec podbiegł ku niemu i witali się czule i szczerze. Oto jak wszystko mija, myślał Hiram. W tym pokoju przyszedłem na świat. Tu także konała matka moja. Dużośmy razem przeżyli, mój ojciec, w tej samej komnacie! I milcząc tulił się ku starcowi.

Lignicki wstał i podszedł do Hanki ze zdumieniem na twarzy.

- Czyż pan Hubert miał syna?

- Tak - odrzekła pani Hanka - przed pięcioma laty zaginął bez wieści.

- A teraz wyczarowała go pani z głębi piekieł pieśnią swoją...

- Może... Na imię mu Hiram.

Starzec Hubert przedstawił syna swoim gościom, po czym rozsiedli się wszyscy wygodnie wokół lampy.

- Synku, opowiesz nam, coś robił przez te lata - rzekł pan Hubert - ci państwo, których widzisz dokoła siebie, nie powinni cię krępować. Ja i oni jesteśmy dawnymi przyjaciółmi. Sądzę, że pokochasz tych, których ja Kocham.

- Tak, ojciec, będę ich wiernym przyjacielem.

- Ta zaś żałobna panią to moja chrzestna. Ta sama Hania, której oczy zasypywałeś piaskiem na dziedzińcu w Człuchowie, gdyś był maleńki.

GRUDNIOWY MARSZ

Przez białe marzenia śniegów wędruje się tak samo, jak przez koralowe niebo. I czy aniołem się jest, czy też człowiekiem, czy białe przed oczyma bezdroże ściele się obok wietrznych smug na niebiosach, rytm kroków ten sam jest - marzący.

Gdy zimowy, czerwony zachód przyświeca na białej równi, a bliski wieczór powiewa nad ziemią jak welon, myśli przyciszają się, zbliżają się miłośnie do tego, co żołnierz kocha jak rzecz najpiękniejszą a daleką - do domu.

Grudzień - wigilijna gwiazda - drzewko i szopka z kolorowymi szybami, za którymi płonie dziecinne, małe światełko choinkowej świeczki.

A do szopki, przez świętokrzyski bór, pachnący igliwem i mrozem, jadą Trzej Królowie, otoczeni gromadą polskich pastuszków, ze skrzypcami wyróżnionymi z gontu, z ligawkami; w wesołości i muzyce wiedzie się cały ten korowód pod gałęziami ciężkimi od śniegu. A żołnierzowi wędrującemu wchodzi do serca błogostawiona melodia kolędy.

Po prostu, z marzenia do serca.

I jeśli teraz z zapadającego zmierzchu wyrwą się ognie i strzały, jeśli nagle na śniegowe pola rozbiegnie się strzelecka tyraliera i ktoś z niej padnie, skulony, na rozpostartym płaszczu, jak na skrzydłach, legnie na zawsze - to w oczach będzie miał cichość uroczystą i białe, wigilijne obrusy, i rajskie, purpurowe jabłuszka z nieznannej choinki.

Zamiast świeczek zapalą się grudniowe gwiazdy, a sen dobry ukołysze go srebrzystą melodią:

“Lulajże, Jezuniu...”

DAWNE DNI

1

Gdy będzie mniejszy upał, pójdziemy nad rzekę słuchać grania żab.

Lecz teraz, choć już słońce zachodzi, żar suszy usta.

Zostańmy tymczasem tu. Bo przecież dobrze jest leżeć w trawie przed jasnym, sosnowym domem, dmuchać na wietrzne główki białych mniszków, o kwiatach jeno mówiąc. Spozrzega się nagle błękitny lot ważki w złotym powietrzu, dojrzy się na ręce swej lśniące od słońca włoski, które mają barwę pól pszenicy idących pod kosę.

Upał się zmniejszy i żaby zaczną swą muzykę.

2

Godzina spokojna. Wiosła łódki giną pod falą zieloną i wznoszą się nad nią, perliste, w szumie kapiących bryzgów.

Ramiona aż dzwonią w rytmie dobrej pracy.

Oczy me spoczęły na dalekim brzegu jeziora, na wyginanej linii leśnego horyzontu. A nad tym skrawkiem ciemnej ziemi - tyle nieba! Nieba, które jest złote, seledynowe i niebieskie. Bo to zachód już bliski.

A jezioro lśni od spojrzeń tego nieba jak lustro w słońcu.

Złożę wiosła. Niech sama płynie łódź po nieruchomych wodach. Nachylę się nad tonią i krzyknę: "Ohej!"

Głos mój ponad tonią poleci na drugi brzeg, gdzie Ona pasie długorune owce.

Lecz nie, nie krzyknę. Szkoda mącić te barwy, ciszę i jaśń na wodach, szkoda poruszać serce, które śpi. Godzina jest spokojna i złota...

3

O, dobrzy ogrodnicy! Ku którymś imieninom niesiecie wielkie kosze kwiatów. Nad zaśnieżonym trotuarem wieczór zimowy płynie na tych koszach jak na łodziach.

Kępy herbacianych róż, żałobniki - kosańce fioletowe, gwiazdy narcyzów, hiacyntów garście białe, zaciśnięte na łodygach... Smuga woni zostaje w mroźnym grudniowym powietrzu.

Idąc za karawaną kwiatów, marzę: to jest dar mój dla jasnowłosej księżniczki Illayali. Ona czeka w marmurowym portyku (śnieg zasypał sfinksy).

Pantofelki ma jak papużki kolorowe i maleńkie. Otuliła się w płaszcz z futer, brokatu i złota. Jest zimno, ona czeka, a ja nie przychodzę...4

Były, były co rok choinki!

Kolędnicy zachodzili do nas ze złocistą szopką! A kiedy patrzyłem, jak po ciemnych schodach idą z gwiazdą nad głowami, wyobrażałem sobie rzeczy dziwne i myślałem, że zawsze tak będzie.

Lecz nie, lecz nie! Ponad wszystkie marzenia fantastyczne przypląwa Ona i giną wszystkie cuda szopki dzieciństwa.

*

W noc wigilijną, gdy wszyscy spali, kładłem się na dywanie pod choinką i wdychałem zapach boru i zielonych igieł, wybuchający w ciemności odurzająco. W oknie za błękitnymi firankami widziałem gwiazdy.

A rano budzono mnie pod drzewkiem i ubierano, prowadzono sennego przez mroźne, białe ulice do kościoła.

*

Gdy babcia mi przynosiła jabłka małe, całe purpurowe, siadałem w kącie ze starą *Biblią* na kolanach.

I zapiętym oddechem patrzyłem na drzeworyty, wyobrażające chłostę, ukrzyżowanie dobrego Pana Jezusa. Było wtedy koło mnie dużo ludzi złych. Dlatego dobro? Jego była mi czymś bardzo świętym.

*

A raz trafiłem na obraz Sądu Ostatecznego. Przeraziły mnie zjawy piekieł i ogień wieczny.

Odtąd oglądałem już tylko *Stary Testament*, gdzie była Zuzanna w kąpieli i Salome-tanecznica, i kuszenie czystego Józefa.<

*

Potem - umiałem czytać i powiedziała mi ta księga, że Ona jest silniejsza niż śmierć...

W TAWERNIE

Na dziesięciu tysiącach hektarów tłoczy się masa domów skromnych i wspaniałych, płaczą się setki wąskich, średniowiecznych uliczek, kipią wrzawą wielkie bulwary. W alejach, na placach i ulicach krąży 4 628 637 ludzi, 92 408 pojazdów mechanicznych i konnych. Z dwunastu dworców kolejowych każdej doby odchodzi kilkaset pociągów. Metro, czyli kolejka podziemna, sprzedaje co dzień ponad trzy miliony biletów. U zbiegu ulic Royal i Saint Honore naliczono między godziną 15 a 19 około osiemnastu tysięcy samochodów i motocykli.

Te cyfry to - Paryż, wielki Paryż, miasto światła i świata, pulsujące najbardziej nowoczesnym rytmem życia. Potężne reklamy świetlne w postaci wież zapalających się i gasnących, wiatraków płomienistych, rakiet, fontann, kół wirujących i sylwet - zalewają czarny asfalt olśniewającą bielą, czerwienią, błękitem. Niebo nad Paryżem, czyste czy chmurne, zawsze stoi w rudawej, mglistej łunie.

Z tarasu kawiarni "Le Dame", z gwarnych i oszałamiających przepychem magazynów "Luxembourg" lub "Lafayette", z przesyconego wonią rozgrzanych ciał tunelu matra nagle zatęskni się za czymś innym. Na chwilę, na chwilę bodaj porzucić ten raj nazbyt jasny i hałaśliwy, bijący brutalnymi dłońmi w witraże Notre Dame.

A jest takie miejsce, zakątek wieków, do którego żaden głos z zewnątrz nie dochodzi, ani tramwaju zgrzyt, ani trąbka automobilu. W sercu Paryża, w pobliżu katedry, oddzielony od jej ciemnej sylwety rzeką, za niewielkim skwerem, na którym igrają w piasku dzieci, a starzy emeryci wygrzewają się w południe, stoi prastary kościół greckokatolicki pod wezwaniem św. Juliana Szpitalnika; opodal, na lochach i podziemiach istniejącego tu ongi klasztoru, wznoszą się prywatne domy. Są to przeciętne domy paryskie, jakich wiele w każdym starym zaułku: wielopiętrowe fasady trzy- lub czterookienne, z facjatkami, łamanym dachem i żaluzjami przy każdym oknie. Tyle tylko, że na jednym z nich widnieją litery: "Le Caveau des Oubliettes Rouge"... Tam właśnie, w "czerwonej piwnicy", skryć się można przed zgiełkiem nowoczesnego Babilonu.

Oto niskie, łukowate wejście. Strome i wąskie schody w dół, wzdłuż kamiennej ściany. Rdzawy łańcuch za poręcz służy wstępującym w te progi. Ledwoś drzwi uchylił, już słyszysz zmieszany gwar głosów, melodie jakieś, brzękliwe instrumenty. W podziemiu tym, mającym lat 1400 z górą, konały ofiary władców frankońskich, królów Francji, wreszcie Wielkiej Rewolucji. Do dziś na jednej ze ścian, wśród brudnoczerwonych plam odczytujesz na gładkich napis: "Śmierć Maratowi". Teraz weseli Francuzi urządzili tu wieczory starofrancuskich piosenek. Codziennie, od godziny 21 do północy, gromadka goliardów bawi swych gości echami byłego wieku.

Wejście nic nie kosztuje. Trzeba tylko sięść przy stylowym, ciężkim stole na gotyckiej ławie i wypić puchar wina. Loch dnia każdego pełen jest gości i to nie tylko "etranżerów", dla których mnóstwo rzeczy w Paryżu robi się na pokaz, ale i Francuzów.

Zza stołu, znad szkła miło jest słuchać piosenek. Oto śpiewaczka ustrojona za mieszczkę z epoki Rewolucji śpiewa wesołą piosenkę ludową, której lekką melodię na koniuszkach palców, baletniczym sposobem tańczy na pięciolinii muzycznej:

Dans de jardin de mon pere...

Nie osłuchanych słuchaczy dziwi, że w dawnych piosenkach wymawia się "mon pere", nie zaś "mon per", lecz wkrótce orientują się, że to reguła i że wbrew pozorom "etage" wymawia się "etaże".

Piosenka rozwija się jak wstążka. Tymczasem inni artyści-towarzysze roznoszą wino, wprowadzają nowych gości, bowiem służby nie ma tu zupełnie. Przy melodyjnym refrenie, chodząc po sali lub stojąc u ścian w niedbałych pozach towarzysze wtórują pięknej śpiewaczce. Dwaj mają na sobie średniowieczne, obcisłe stroje, dwaj zaś są w kolorowych frakach ludwikowskich. Szafarką trunków jest starsza artystka, jak się zdaje, najgłówniejsza w zacnym goliardów gronie osoba. Powagę jej podkreśla wspaniała krynolina.

Zwrotki szybko biegną: właśnie kończy się ostatnia. Towarzysze podchwytną refren, lecz tym razem zmieszane głosy całej sali sekundują im dzielnie.

Oklaski.

I jeszcze kielich wina klarowanego.

Na estradzie o jeden stopień tylko wzniesionej nad posadzkę i zdobnej halabardami ukazuje się teraz pacholek średniowieczny, płowowłosa i smukły. Akompaniator wyzwolił z pudła staroświeckiego szpinetu kilka akordów prostej przygrywki. Łagodny, nieco matowy tenor:

Gentlitz gallans de France
Qui en la guerre allez,
Je vous prie q'il vous plaise
Mon amy salluer...

Język piętnastego wieku dobrze pasuje do kołyszących się latarń, dębowych stołów i mocnego wina słodkiej Francji.

Godziny płyną i pieśni. Fala melodyj opływa głowy tłustych Niemców, zbyt łatwo poddających się nastrojowi Polaków, uśmiechniętych obywateli USA i czarnych niespokojnych paryżan. Tonem dominującym w ponurym podziemiu tortur jest wesołość. Nie dosyć, że wiele tu piosenek wesołych, nie dosyć, że wino i miła kompania, ile razy nowy gość wchodzi do lochu, wita go chóralny, żywiołowy śmiech. U krańca schodów znajduje się bowiem zapadnia, pułapka, w którą łapie się każdy nowy przybysz bez wyjątku. Dawniej służyła ona do pozbywania się więźniów. Za naciśnięciem mechanizmu wtrącano nieszczęsne ofiary do podziemnych kanałów Sekwany. Obecnie tak ją urządzono, że głaz w posadzce pochyła się pod pewnym kątem, skoro tylko kto nań nastąpi. Każdy nowy gość w momencie, gdy posadzka usuwa mu się spod nóg, zachowuje się inaczej. Jedni wprost padają na ziemię, inni balansują, rękami i nogami czyniąc daremne wysiłki utrzymania równowagi, inni znów podskakują, chcąc ustać na miejscu. Najśmieszniejszy jednak jest zawsze wyraz twarzy ofiary.

Zapadni uniknąć niepodobna; ruchomy głaz umieszczono bowiem tuż przy ostatnim stopniu schodów.

Aczkolwiek publiczności na owe stare śpiewki zbiera się co wieczór sporo, a dowcip z zapadnią powtarza się raz po raz trzy godziny z rzędu, wszyscy ci, którzy sami już minęli Scyllę i Charybdę, siedząc za stołami do łez się zaśmiewają ze swych następców. Szczególną wesołość budzą poważni i elegancyj Angliści, z cierpliwym uśmiechem na twarzy wysilający się, aby utrzymać równowagę fizyczną i duchową w tak ciężkiej chwili, gdy dostojne nogi ich ślizgają się na zapadni w przedziwnych

pozycjach. Repertuar "Caveau des Oubiettes Rouge" jest wyjątkowo duży. Śpiewy żeglarskie chóralne, piosenki ludowe, pieśni historyczne, ballady, popisy starego Bretończyka na kobzie, wzruszające swą pierwotnością i prostotą. Po północy, gdy podziemie pustoszeje powoli i wyłaniają się w świetle gotyckich, często kratowanych latarni siwe mury piwnicy, nastrój zaczyna być romantyczny.

Właśnie baryton w tabaczkowym fraku i efektownie pudrowanej peruce wysnuwa melodię rokokową:

Król rozkazał bić w bębny
i zwołać dworskie damy

Epicko spokojny z początku głos nabrzmiewa liryzmem sentymentu, w miarę jak się rozsnuwa akcja ballady; nabiera tonu wiolonczeli przy słowach:

Bądź zdrowa, moja duszo,
bądź zdrowa, me kochanie...

Wreszcie tonem mogilnym głos się żali:

Bukiet z kwiecia liliji
królowa stała do niej.
Margrabina upadła,
skonowała od ich woni...

Ostatnią pieśń śpiewa się chórem dla kilku już tylko ostatnich słuchaczy. I chyba ta pieśń pod gasnącymi latarniami, gdy na stołach nie zasłanych struży się wino rozlane, jest najpiękniejsza. Zaczynają:

Jan Renaud z wojny powrócił doma,
jelita własne trzymał rękoma...

Snują opowieść o mrocznym zamku, gdzie dogorywa rycerz Renaud. W sąsiednich komnatach piękna żona konającego właśnie syneczka powiła, dziedzica włości i sławy. Chora nie wie, że "gdy północne zapadły cienie, Jan Renaud wydał ostatnie tchnienie". Matka czuwa przy chorej, a ta w gorączce pyta!

O moja matko, o matko złota,
jakie to słyszę kowanie młota...
- Moja córeczko, to młoty cieśli,
wrota do sieni nowe przynieśli...
- Proszę ja ciebie, najmilszej matki,
w jakie mam dzisiaj oblec się szmatki...
- Porzuć różową, modrą i białą!
dziś czarną suknię kłaść ci przystało...

Smutno się kończy pieśń, a gdy skończona, czas do domów.

Wyszędłszy z podziemia kierujesz kroki ku rzece. Przystaniesz, zamyślisz się, posłuchasz, jak Sekwana pluszcze w kamiennych brzegach. Echem brzękliwym dobiega cichość wybrzeży i bliskiej ulicy Saint Jacques. Dokoła sznury niskich lamp ulicznych podcinają wstęgę światła masywne bloki domów. Ciemna i olbrzymia Notre Dame piętrzy się najpiękniejszą o tej porze sylwetą. Miasto śpi, choć szaleją jeszcze Montparnasse i Montmartre, choć w zgiełku pociągów, wozów i samochodów pracować zaczynają Wielkie Hale.

Tu cicho. Tu gwiazdy nad katedrą.

Czas do domów.

W MAJU

I

Brzozy stały w mokrej zieleni. Między ich smukłymi pniami paliło się ognisko. W mglistym poranku wydawało się złotą kometą, której dymny ogon sięgał daleko w pola, aż do samotnego dębu na miedzy.

Obaj kucnęli przy ogniu. Głuchy wyciągnął ręce przed siebie. Przez te ręce i nad jego głową dym przelewał się siwymi bryłami. W źrenicach, które przenosił raz po raz od płomieni ku spętanym koniom, również snuł się dym. Śmigły i drapieżny chłopak z drugiej strony opierał się plecami o brzozę. Drzewo miało korę naciętą. Do dzbanka spływała kropla po kropli oskoła. Chłopak był, jak tamten, w kurcie nieco przydługiej, spod której szarzała lniana koszula, zdarta na strzępy. Portki, również lniane i zdarte, sięgały mu ledwie do pół goleni. Ale nad tymi łachmanami unosiła się twarz piękna, zuchwała, płomienna wśród brzóz od blasku ognia.

Ten śmigły uśmiechał się sam do siebie. Przeciągnął się, wstał. Oczy pogoniły po świetle, wciąż jeszcze zamglonym. Błysnęło w nich, gdy nad rosistymi trawami przeleciało rzenie.

- Ej, Jaśku, Jaśku, grzych - groził mu palcem głuchy.

Chłopak lekkim krokiem podbiegł do koni, zdjął pęta młodej klaczce, wskoczył na nią i kłusem wjechał w pobliski zagajnik.

Głuchy patrzył znad ognia. Dym falował w jego ciemnych oczach. Widział wśród małych, rzadkich drzew nagość chłopaka, widział też sam grzech. Trząst głuchą głową, żegnał się.

Tymczasem słońce wyszło wyżej, rozogniło mgły, rosę wypilo. Płomień przygast wyraźnie. Jałowcowe gałęzie paliły się teraz szaro i biało, nie czerwono. Jak gdyby spopielaty się bez ognia.

Konie rżały. Rzeka zaczęła prześwitywać za drzewkami zagajnika.

Chłopak wracał. Jechał wolno, bez kurty i koszuli. Miecz słoneczny upadł na niego spod chmur, niby płomień łaski, więc grał blask na zuchwałej, smagłej twarzy i nieco bielszej piersi. Białe ptaki znad wody przeleciały ukosem.

- Grzych... grzych... - szeptał głuchy.

Brzoza stała w obłokach młodej zieleni. II

Pod oknem kwitły maki. Potokiem płomienistym płynęły po zboczu ogródka ku płotowi, ku drodze.

Okno było małe, czteroszybowe, a te szyby przepalone słońcem i nierówne zniekształcały widok. Przez cały czas choroby, nie mając na wsi ani bliskich, ani książek, spędzałem dni na przyglądaniu się temu, co było na drodze. Bo w ogródku nic się nie działo. Niekiedy przelatywały wczesne motyle, niekiedy zaś wiatr kołysał maki.

Wskutek skaz i nierówności szkła widywałem na drodze konie z potwornymi jak u egzotycznych zwierząt szyjami, widywałem ludzi z głową dużą jak tors, a wozy przejeżdżające falowały, co robiło wrażenie, że są to przedmioty z jakiejś bardzo lekkiej materii. Może z dymu.

Tylko chmurne od pewnego czasu niebo i płomienny zagon maków nie poddawały się zniekształceniom.

Tego dnia grzmoty było słyszeć od rana. Jedząc śniadanie ujrzałem błyskawicę, a

nie było jeszcze dziewiątej, gdy gospodyni wystawiła w moim okienku Częstochowską. Ciemny zwał chmur zbliżał się. Na horyzoncie już stała bura ściana ulewy.

Poprawiłem sobie bandaż i siadłem w pościeli, by jednak widzieć coś między obrazem a ramą okna.

Dziecko jakieś przebiegło. Wiatr szarpał jego czerwoną sukienczynę, tak samo jak ogniste maki. Gęsiarek z witką w dłoni gnał swoje białe stadko. Wreszcie runęły fale deszczu, zmyły okno. Widzenie świata zmaćło mi się ostatecznie. Jak spoza łez dostrzegłem bite ulewą kwiaty. Zakołysał się na drodze pusty wóz drabiniasty, zaprzężony w potwornego konia, którego kontur sunął w deszczu jak widmo. Woźnica okryty workiem trzaskał z bata. A bat ten wyglądał jak kanciasty zygzak.

Wóz wjechał w nasze wrota. Słyszałem: pies ujadał. Po chwili mokry człowiek wszedł do sionki, zdjął tam worek i porzucił go pod ścianą. Potem przestąpił wysoki próg:

- Pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków - odpowiedziała gospodyni. - Leje, co? Siadajciez...

- Bóg zapłać!...

Wyjął bibułkę i paczkę tytoniu. Skręcił papierosa, poślinił go, zapalił.

- A to wicie, klacę sołtysów pierun zastrzylił... tę gniadą...

Zamknąłem oczy, Nie chciałem już patrzeć na izbę ani na błyskawice, które przecież tak bardzo lubię. Przypomniał mi się chłopak smagły, drapieźny i miecze chmur, i uśmiech szczęścia, i taneczne podrywanie kopyt. Z otchłani - a otoczyła mnie ona podstępnie, z nagłą - usłyszałem znowu wrzask moich snów ołowianych. W gorączce upadłem na łóżko.

III

Tak dowiedziałeś się, Jaśku, jaki ma smak miejskie słowo "bezpowrotnie", które mówiłem ci, gdy tęcza drżała nad zagajnikiem.

RODZINA

Płoty już gasną. Samotnik uniesie teraz ciszę wieczoru. Uniesie. Utuli. Poetyckie to słowa. Cierpki ich smak, gdy zgromadzić je w zwykłym wyliczeniu:

unoś, utulaj księżyc lilią w stawie
zdrojowe konnice - nie rozumiesz białych
ptaków - ranek twarz oknem obciera -
świecą ciała, błyskawice różańcem wzgórz
i jarów - tyżeś to? To taki smak.

Płoty już gasną. Wywieszki sklepów trwają w nicości wieczornej. Nie ma przecież ani wichury, ani mgły, ani szarugi, ani księżyc prawdziwego. Nicość. Przedmieście w małym miasteczku. I pies szczeka daleko, daleko.

Samotnik zamyka okno. Tuż, tuż początek przemian.

Dzieci stanęły pod oknem. W nieprzeobrażalnej nicości lecą słowa. O, słowa puste, nie wiadomo jakie:

- Ty masz psa.
- A mam. Taki łaciaty. Różyk.
- Za psa się płaci?
- Ja nie mam psa. Po co mi?
- Ile płacicie?
- Sto złotych!
- Ha! Ha! Sto złotych i serek!

Trzy głosy. Zna je samotnik. Odbudowują czas utracony. Słuchając ich, spływa we własne dzieciństwo. Ale to jest trudne. Nicość chłodzi. Czas miniony staje się płaszczyzną majaczącą bardzo nisko. Im tęskniej, tym dalej. W otchłań, niżej, niżej odsuwa się wspomnienie. Samotność nie ma w co spłynąć, gdy przepadło dno. Nie dogoni słodyczy grającej w przepaściach wieku dawnego.

Inny jest przemian początek. Początek srogich katastrof. Wrze słońce ciemne i jare w ciasnej uliczce. Wrze, pryska ogniem przez liście na wywieszkę, co skrzypi u bramy. Ach, nie trwa w nicości, nie! Skrzypi, zgrzyta w białym ogniu południa, zbliża się do czyścica i piekła.

Tam było* miejsce katastrofy. Uciekano. Warczący gniewem ludzie rozbiegli się promieniście. Po bramach się kryli. Pobratał ich przecież strach. Biegli z gniewu do strachu. Dwoje stanęło w tej bramie, nad którą żeglowała ku płomieniom wywieszka.

*Dlaczego zawsze było i było? Dlaczego brak innych słów? Samotnik poznał siostrę:

- Tyżeś to? - taki sobie wykrzyknik z poetyckiego wyliczenia.

Pochyliła się i oparła o parujące żarem powietrze.

- Tłumy - szepnęła - tłumy...

Wszyscyśmy ujrzeli w dali gromady przerażające. Olbrzymy ciemne szły z tych przestrzeni, które można nazwać głębią ulicy. Ale czym ona jest? Wystarczy zmienić stanowisko, punkt jedyny, a już owa głęb czy głębia przesuwa się. Mimo to - jest.

I stamtąd to szły tłumy.

Wywieszka szalała. Kto nie był tu nigdy, kto nie czytał pąsowego napisu, teraz nie mógłby dowiedzieć się, co głoszą jej litery. Zresztą, po cóż wikłać tę historię. Powiem.

Na wywieszce było - niestety, było - tylko tyle:
KRZYSZTOF KUNIG BUDOWNICZY SKRZYPIEC

Samotnik zamknął oczy. Ale wtedy siostra jego runęła na bruk. Spadła tak jakoś z niewysoka. Z czego spadła? Może zamknięcie powiek pana Krzysztofowych zachwiało słupem powietrza, na którym się wsparła?

Podał jej rękę. Dźwignął siostrę.

Widzenie spłynęło z oczu tłumy na tych dwoje. A kiedy wróciło - wróciło nasycone. Stał się pokój z balkonem. Mój Boże, stawał się tylko. Przemknął szybko.

Południe zgasło nagle. Płoty dawno pogasły. Dzieci jeszcze pod oknem. U ludzi ciągle: było, było; u dzieci ciągle: mam, mam...

- Masz zegarek?

- Mam w domu.

- Pewno nie chodzi.

- A ja też będę miała. Dostanę na imieniny.

- Od kogo?

- Od wujka. On ma pieniądze. On ma warsztat.

- A co robi twój wujek?

- O takie robi. O takie. Rozumiesz? Narysuję ci na płocie.

- Krzywo rysujesz. Po co to kredę psuć.

- A co, droga?

- Może ze dwa grosze kosztuje... Samotniku, samotniku, nie wiesz, do czego dojrzewasz. Zanucę ci, utulę niepokój, uniosę ciężar twój. Posłuchaj piosenki. To tak się mówi, to tak się nuci:

wysokopienny kłoni się bór - kłoni się
skośny deszcz - próżno się w sieciach
kryjesz - to cienia brat - poranek deszczem
tupie za oknem - w suterrenach tak smutno
żyć - świecą ciała i noże, no żeby nie TY -
ale tyżeś to?

Rozeznał Samotnik, iż leży w olbrzymim łożu. On leży, matka i siostra, kobiety ciche, podobne. Rozeznał świat nicości. Padały tam ściany straszliwego majestatu. Głusza kłębiła się na wysokości, gdzie w zwykłych izbach są sufity. Kąty rzprzegał mrok, bo doskonała szarość wypełniała istnienie. Co to: szarość, siwizna, piwniczna siwizna!

Piosenka także wspominała piwnice, sutereny. Po co?

Samotnik ma głowę wspartą o jedno wezgiłowie łoża. Kobiety - o drugie.

Była. Była... Był samotnik śniady, kędziory ciemne wiły mu się u czoła; spojrzenie jego jak spojrzenie mądrego zwierzęcia; bez litości a smutne.

Była siostra ciemnowłosa, ciemnooka, ciemnolica jak samotnik.

Była matka jasna. Nic innego nie można o niej powiedzieć.

Rzekła siostra: - Patrz! - i wskazała.

Rozeznał nowe rzeczy: na niezmierzonej ścianie naprzeciwko - zegar ośmiogranny.

Wskazówki zegara spadały jak topory. Ginał pod toporami czas biały i czarny. Sekundy to byliny, doby zaś - odyseje.

Przemierzył ten zegar dzieciństwo i południe z piekła i piekielną, wściekłą

wywieszkę. Znał jej trwanie i działanie i zniszczenie. Bo niszczyje wszystko. Pod zegarem utrwalił się krążek jasności. To nie łaża duża, to odbłysek z lusterka, nie zjawisko, tylko ślad dnia codziennego. Pod zegarem – drugie łożo. Jeśli promykowe kółeczko zejdzie niżej, ukaże się twarz ziemista zmarłego. Ale i tak trwogą nasycy się być, trwogą sączącą się z tego ludzkiego kształtu. Nakryto trupa płachtą, lecz twarz wisi nad bielą. Oto i promyk.

Głęboko w serce samotnika ten promyk zapada. Jak pchniecie złote i lodowate. Poznał bowiem ojca

Twarz. Twarz. Ojciec także był. Był. Był śniady, kędziory ciemne wiły mu się u czoła. Spojrzenie jego – spojrzenie potępionego.

Siostra, tym samym lodem złotym przeszyta, mówi:

- To on. Nie wolno nam spać równocześnie. Ktoś musi czuwać...

Samotnik odrzekł:

- Czy bardzo się boisz? Zamieńmy się miejscami. Moje miejsce będzie z jego strony, od brzegu...

Przesuwa się w łożu. Długo to trwa. Tymczasem światło się wzmogło, nasiliło, pobiełało jak o przedświcie. Ale szaro. Ale siwo. Może jeszcze ci zaśpiewać poetyckie słowa, Krzysztofie, Krzysiu, Krzyśku?

Śmierć – śmierć – śmierć

- starców gołębianych uśmiech

- dość niedoli zachód już splotną na włosach

- mieczem –błyśniesz, mieczeszmaragdowym

- pogasły i płoty – tyżeś to?

Samotnik rozeznał teraz sprawę trzecią: trup leży inaczej. Płachta sięgała rogiem podłogi. Spod tej ubogiej osłony sterczą stopy. Skóra przerażająca, szaroziemista, lśniąca (może wilgotna?), widnieje w nicości. Jest napięta na palcach i piętach.

Siostra dławi się z obrzydzenia i lęku. Krzyczy, choć szepnąć chciała:

- Te katastrofy były nie na darmo! On żyje!

Matka: - Tak, on żyje! W imię Ojca, Syna i Ducha...

I wówczas to wodoleje, wiry, ssące jamy czasu pochłonęły nas wszystkich.

KOŁA ARCHIMEDESA

Nota dla czytelnika:

Tekst poniższy, *Koło Archimedes*, to skrót powieści, skrót w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Inaczej mówiąc, streszczenie, coś w rodzaju zarysu scenariusza filmowego.

Wydaje mi się, że ta forma literacka nowa i bardzo jeszcze surowa, a przecież zasadniczo różniąca się od noweli (jak np. plan od fotografii - jest w tym pewna analogia) ma widoki rozwoju. Daleki jestem od myśli, że to mój wynalazek. Streszczenia były i długo jeszcze będą sztuką stosowaną, czymś użytkowym. Jedyna innowacja, jaką tutaj sobie przypisuję, to właśnie stosowanie streszczenia jako sztuki czystej, autotelicznej.

Napisałem takich streszczeń kilka. *Koło Archimedes*, powieść, że się tak wyrażę, etyczną, obmyślałem równocześnie z powieścią legendarną o pomieszeniu się światów i powieścią obyczajową pt. *Sektanci*.

Być może skróty tych powieści ogłoszę drukiem.

Magister nauk filozoficznych, Krzysztof, siedzi na werandzie cukierni w piękny majowy dzień. Ulicą przechodzi pochód polityczny. Transparenty i okrzyki głoszą hasła nienawiści. Krzysztof z zapałem wykrzykuje te same hasła.

Gdy pochód przeszedł, sfrunęła jakaś biedronka i usiadła na dłoni filozofa. Chciał ją zgnieść, ale powstrzymał się. Z oczyma utkwionymi w pięknych skrzydełkach nieoczekiwanej przyjaciółki zaczął ciąg myśli doprowadzający do bilansu bardzo smutnego: On, Krzysztof, jest filozofem, czyli wędrowcem po krainie mądrości, ale czuje się niepotrzebnym i marnym człowiekiem. Wprost - złym człowiekiem.

Kropki na skrzydłach biedronki to jakby koła, w których ukazują się malownicze obrazy własnej przeszłości. Potwierdzają mu one wniosek: tak, jestem człowiekiem złym. Ostatnim złym uczynkiem, jaki mu się zdarzył, były owe krzyki w imię nienawiści wznoszone wraz z motchołem. Pierwszym uczynkiem dobrym - oszczędzenie biedronki... Właśnie uleciała.

A pochód wraca tą samą ulicą większy, niż był, i bardziej do ślepego żywiołu podobny. Krzysztof staje na krześle i zaczyna przemówienie do tłumów. Naturalnie, nikt go nie słucha. Przechodzący tamtędy profesor logiki matematycznej ściąga go siłą z krzesła.

- Wstydz się pan! Filozof na trybunie?... Wstyd, cokolwiek pan miał do powiedzenia!...

Taki to moment zaczyna dzieje dążeń Krzysztofa do doskonałości wewnętrznej.

W początkowym etapie pracy nad sobą młody filozof pisze pamiętnik, liryczną historię duszy. Z przytoczonych w powieści kart poznajemy koncepcje perfekcjonistyczne Krzysztofa w ich stadium pierwotnym.

Krzysztof działa. Odwiedza ludzi, dla których był zły, niejako koryguje swoją przeszłość. Są to ludzie ze świata artystycznego, środowisko jego ojca, konserwatora zabytków. Starzy artyści, przyjaciele owego ojca i młodszy, entuzjaści tego wspaniałego i do dziś czarującego wszystkich starca, to otoczenie trochę monotonne,

ale ukazujące oblicze życia raczej od strony pozytywnej. Niektórzy z nich są mądrzy, niektórzy dobrzy jak gołębie, a wielu to prawdziwi kochankowie sztuki.

Krzysztof przez całe lata był wrogiem i prześladowcą dobrego aż do dna księdza Cecyliana, muzyka z zamiłowań. Teraz godzi się z nim i zyskuje w jego osobie serdecznego przyjaciela.

Uporządkowano akcesoria doskonalenia się. Następuje etap drugi: remont od środka. Bohater nasz powoli dochodzi do wniosku, że redukcja jest jednym z wielkich środków zdobywania wartości duchowych. Redukuje więc godziny snu, redukuje pożywienie, wprowadza posty. Redukuje patrzenie na świat przez umartwienia o charakterze praktyk średniowiecznych: zdarza mu się leżeć krzyżem całą dobę w kościele, powierzonym opiece przyjaciela, księdza Cecyliana. Daje to dziwny błogostan oderwania od świata. Ale trudno przekreślić urok dzieł sztuki wśród których wzrósł. Dawały mu one wielkie i silne przeżycia, zwłaszcza nieduży obrazek Giorgione, odkryty przez ojca w jakimś prowincjonalnym muzeum, Trzej Magowie. Jest on dla Krzysztofa czymś w rodzaju talizmanu. Przywołanie na pamięć tego ślicznego malowidła daje w chwilach wątplenia nowe siły. Czy i tego miałby się wyrzec? I muzyki?

Zresztą ksiądz Cecylian podaje w wątpliwość zbyt daleko idące redukcje:

- Kuszenie świętością - mówi o tych błogostanach. - To do świętości niemało brakuje. I jeżeli osiągniesz doskonałość lub jej poblizę, to innego typu, może magiczną...

Filozof godzi się ze zdaniem przyjaciela. Tak to szala złego i dobrego wznosi się i opada na przemian.

Śmierć ojca w okropnych akcesoriach obłędu ostro godzi w Krzysztofa. Nadłamuje się w nim coś, z umyślnej a programowej dobroci zaczyna wyrastać coś w rodzaju dobroci ludzi słabych. Krzysztof błądzi po ulicach nocą. Przebywa wśród wykolejonych i biednych, sam czując się jednym z bezdomnych nieszczęśliwców (to samopoczucie powstało po śmierci ojca). Gra wyobraźni każe mu długie godziny spędzać przed domem, w którym schodza się opryszki. Dostaje się pewnej nocy do piwiarni, w której oni obradują. Drugie przemówienie nawracające spełza na niczym, podobnie jak pierwsze. Gdy on przemawia o boskiej iskrze w człowieku, o doskonałości i o wierze, która góry porusza, oni na papierach okrywających stoliki piwiarni kreślą plany podkopu pod jego dom...

O bladym świcie pewnego dnia odnajduje ksiądz Cecylian swego przyjaciela między dziećmi idącymi do szkoły. Zwiastuje mu dwie nowiny: dom Krzysztofa okradziono doszczętnie z dzieł sztuki, tkanin, dywanów, słowem, wszystkich bardziej wartościowych przedmiotów; poza tym umarła w Hiszpanii daleka krewna filozofa i zapisała mu majątek niewielki, lecz powiększony w godzinie jej śmierci główną wygraną hiszpańskiej loterii. Jednego dnia ubytek majątności i wielokrotnienie ich zdarzają się przypadkiem naszemu bohaterowi.

Powinien by pojechać do ojczyzny Cervantesa i objąć rządy nad milionem... Gdy wracają do śródmieścia, uliczny fotograf robi zdjęcie. Tegoż dnia Krzysztof wykupił owo zdjęcie po południu i ze zdziwieniem ujrzał na nim prócz siebie i księdza trzecią osobę, najwidoczniej idącą za nimi. Twarz przypominała nieziemski jakiś kwiat. Urok tej twarzy podbija wyobraźnię filozofa. Znowu zaczynają się wędrówki ulicami miasta, tym razem celowe: chodzi o odnalezienie tej najpiękniejszej z pięknych. Ślad prowadzi do poselstwa hiszpańskiego. Śliczną dziewczę, to córka attaché wojskowego, spędzająca pierwsze dni jesieni u ojca, by na październik już

wrócić do Salamanki, jest bowiem studentką w tamtejszym uniwersytecie, ulubioną uczennicą mądrego starca, Miguela de Unamuno.

Krzysztof porzuca przyjaciela, porzuca Warszawę. Jedzie za nią przez Paryż 1936 roku do Hiszpanii. Bukiniści u brzegów Sekwany słyszą rozmowy tych dwojga. Wielka miłość spala Krzysztofa i Juanę. Zwierają się sobie wśród leących z plantów liści. To, co Krzysztof mówi o woli doskonałości, wzrusza jego kochankę. Z kolei ona wyznaje mu, że nie ma powołania do życia światowego i że tylko ze względu na rodziców nie wstąpiła jeszcze do klasztoru.

Razem opuszczają Paryż. W drodze do Salamanki, gdy ona śpi, on na tle nocnego pejzażu, przemyskającego w oknach wagonu, snuje myśli o przyszłości.

Cóż się stanie z doskonałością? Nie jest że miłość w dążeniu do niej zawadą lub "ciałem obcym"? Nie przeszkadza może, lecz i nie pomaga, jest zjawiskiem innego rzędu. Zresztą czy Juana, mając wolę poświęcenia się życiu klasztornemu (co jest przecież także formą dążenia perfekcjonistycznego), nie powinna by zostać przy swoim?

Krzysztof dokonuje największej operacji: redukuje miłość. Wysiada na małej stacyjce, opuszczając na zawsze ukochaną. Czas jakiś stoi nieruchomo w tym nocnym pejzażu, który przed chwilą jeszcze mknął za oknami wagonu. Co dalej? Następny pociąg przebiegł przez stację w godzinę po tym. Do Toledo. Uniósł i Krzysztofa.

W uliczkach dawnej stolicy wizygockich królów słońce praży ostro. W jego bezlitosnych blaskach, u szczytu zaułka za katedrą młody filozof zamieszkuje w domu staroświeckim i uroczym. Praca nad sobą, rozdzielanie dotacji dobroczynnych, dokonywane wspólnie z adwokatem, posiłki ze starą służącą, córką dzwonnika i jej bardzo mądrym synkiem - wypełniają mu życie. Krzysztof zrozumiał, że doskonałości nie daje się udzielać. Dotyczy to i jej samej, i nawet pędu do niej. Jest ona bowiem pewnym absolutem autonomicznym i celowym dla siebie jedynie, a przez to samo nie posiada doraźnej, namacalnej wartości społecznej. Jest skarbem bez obiegu, jak czysta sztuka. Dążenie artysty do pełni wyrazu własnej sztuki oraz ciężenie człowieka ku doskonałości - to analogia... Księgi i długie noce pod gwiazdami uczą Krzysztofa. Żyje on pustelniczo i zamknięty w sobie, a coraz lżejszy i jaśniejszy. Nie robi prób nawracania, przemawiania, choć ulice kipią. Do domku na szczycie stromego zaułka dochodzą ledwo dalekie echa zbrojnego powstania nacjonalistów, eksplozji bomb anarchistycznych w Madrycie i dział portowych.

W domku tym tryb życia nie ulega zmianie i wtedy, gdy zaczyna się bój w samym Toledo.

Pewnego dnia o świcie budzi filozofa ze snu salwa, salwa spod Alkazaru.

Siadając na tapczanie przypomina sobie miraż snu. Dziwnie mu na duszy, niematerialnie. Widział we śnie dolinę, po której snuły się obłoki, otaczające nieprzeliczony tłum pielgrzymów. Lud miał ręce wieszane ku górze. Wszyscy trzymali w dłoniach śliczne, małe, misterne modele okrętów żaglowych. Wołali:

- Mirra! Kadzidło! Złoto!... I przypomniał sobie Krzysztof, że śniąc, wpatrzony w tłumy owe, zrobił porównanie, że on między tą gromadą ze snu i dwójkami barbarzyńcami walczącymi ze sobą jest tak obojętny, jak Archimedes w oblężonych Syrakuzach, kreślący koła na piasku...

Gdy tak myślał, nad chór głosów mirra, kadzidło i złoto wołających, wzbił się piękny, a niezapomniany głos dziewczęcy:

- Unieś się...

Po śnie tym wychodzi nasz bohater na ulicę jak zaczadzony. W huku strzałów

zmierza ku katedrze. Żąda od dzwonnika kluczy. Chce wejść na wieżę, choć sam jeszcze nie wie, po co. Dzwonnik siwy dał mu klucze, ale przestrzega:

- Panie, tam niebezpiecznie. Czerwoni lub biali zauważą pana... Jedna kula wystarczy...

Filozof idzie na wieżę. Za nim przemyka się po krużgankach i schodach wnuczek dzwonnika, wysłany przez przypadek. Bo dwunastoletni chłopcy bywają z przypadku świadkami niezwykle nieraz wydarzeń.

Oto ganek u szczytu dzwonnicy. Krzysztof szepce do siebie:

- Unieś się...

Zachwycone oczy dziecka widzą, jak stopy obcego pana odrywają się od posadzki i pan ów nad wieżę i nad miasto ulatuje w powietrze pionowo, majestatycznie i wolno. Tymczasem przed unoszącym się ku niebu filozofem przeobrażają się wymiary czasu i przestrzeni. Przede wszystkim widzi on kulę karabinową lecącą od strony Alkazaru. Lot jej jest zwolniony. Można obserwować precyzyjny ruch gwintowy, z jakim wkręca się ona w powietrze. Na przedłużeniu linii strzału nietrudno przewidzieć punkt, w którym przetnie ona linię lotu Krzysztofa Doskonałego.

Ale on poznaje, iż dla wszystkiego istnieje mianownik jednakowy i nie czyni nic, aby kuli uniknąć. Odwraca głowę ku Salamance. Widzi tam biały klasztor. Teraz o tej właśnie porze kończy się w nim pyszny obrzęd obłóczyn. Piękna Juana składa śluby zakonne.

Odwraca się nasz bohater ku dalekiej ojczyźnie i widzi obrazek Giorgione, za który zatknięto wileńską palmę wielkanocną. Trzej magowie daronoścy wołają z obrazu: mirra, kadzidło, złoto!

- Jak we śnie... - szepce Krzysztof Doskonały.

W tej chwili kula przeszywa jego serce. Całe niebo pełne dymu i huku wystrzałów zajmuje ledwo widoczny zarys olbrzymiego żaglowca. Okręt jest srebrny.

“SEKTANCI” ALBO “MATKA”

Nota dla czytelnika:

Tekst poniższy, *“Sektanci” albo “Matka”*, to skrót powieści, skrót w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Inaczej mówiąc, streszczenie, coś w rodzaju zarysu scenariusza filmowego. Wydaje mi się, że ta forma literacka nowa i bardzo jeszcze surowa, a przecież zasadniczo różniąca się od noweli (jak np. plan od fotografii - jest w tym pewna analogia) ma widoki rozwoju. Daleki jestem od myśli, że to mój wynalazek. Streszczenia były i długo jeszcze będą sztuką stosowaną, czymś użytkowym. Jedyną innowacją, jaką tutaj sobie przypisuję, to właśnie traktowanie streszczenia jako sztuki czystej, autotelicznej.

Napisałem takich streszczeń kilka. *“Sektanci” albo “Matka”*, powieść, że się tak wyrażę, sentymentalna (bowiem chodzi mi w niej o mijanie się uczuć i sentymentów ludzkich, dowodzące, jak bardzo człowiek jest samotny), obmyślane równocześnie z powieścią etyczną *Koło Archimedes*a i powieścią legendarną pt. *O pomieszaniu się światów*.

ROZDZIAŁ I. PIERŚCIEN. Wczesna wiosna w Paryżu ma chłodne ranki i wieczory. Jest świt. Włóczędzy i bezdomni zwlekają się z legowisk pod mostami. Jedzą chleb oblepiony gazetą (tak, leżał w kieszeni przez całą noc, nasycając się skąpym ciepłem wynędzniałych ciał). Jedzą ów chleb, patrzą na Sekwanę, witają rybaków i gałganiarzy.

Jeden z bezdomnych, był człowiek, siedzi na brzegu rzeki, zwiesiwszy nogi. Jego myśli także wiszą nad ciemną tonią. Dawno już nie spał w łóżku. Dawno nie słyszał życzliwego słowa ludzkiego. Marząc o życiu, które minęło, wstaje z gładów. Nogi same niosą go na codzienną wędrówkę po przedmieściach i po bulwarach, aby na wieczór doprowadzić tułacza do dworca północnego lub wschodniego.

Idzie i świata nie widzi. W wąziutkich uliczkach niedaleko katedry Marii Panny znajduje w szczelinie bruku pierścien. Podjął go. Sprzedał paserowi za ćwierć ceny i wszedł do baru. Nareszcie coś zje!

ROZDZIAŁ II. LUDZIE PIERŚCIENIA. O krok od baru znajduje się sklepik staruszki, która jest matką Tułacza. Że rzuciła go ongiś jako niemowlę w śniegu, a potem doznała wielu klęsk życiowych, pokutuje za grzech młodości, modli się i pości gorliwie a surowo. Kochałaby go, gdyby wiedziała, że on żyje. Ale staruszka nie wie, iż dziecko jej przed laty znaleziono i wychowano w przytułku. Myślami tylko ściga cień zapłakanego niemowlęcia.

Tak żyje.

A oto jej syn wchodzi do baru i nie tylko je, lecz i pije za pieniądze uzyskane ze sprzedaży pierścienia. Przy alkoholu poznaje dwóch ludzi, którzy tam piją również. To szofer Alosza i jego niedoszły powinowaty, Jan, z opustoszałej wsi na południu Francji. Jan zapija wielkie zmartwienie: zgubił pierścień, drogi, po dziadkach przechowywany w rodzinie dar magnata, który ongiś tam, w górach, błądził. Jan

przekonany jest, że kiedyś schwyta złodzieja i zamęczy go u siebie, w górskiej sadybie. Alosza obraca to w żart i opowiada Tułaczowi o swej siostrze, Taisie. Miała ona wyjść za mąż za jedynego syna Jana, lecz narzeczony utonął w potoku wiele lat temu.

Naraz rozmowę przy stoliku przerywają policjanci, aresztujący Tułacza. Ledwo zdążył pieniądze ze sprzedaży pierścienia doręczyć Aloszy.

ROZDZIAŁ III. CIENI KRATY. Tułacz spędza noc w celi. Jest tam bukinista (podobno sprzedawał i kupował kradzione książki), jest dwóch robotników, aresztowanych podczas jakiegoś ulicznego zajścia oraz pijany do nieprzytomności filozof, Krzysztof.

Zawiązuje się nocna rozmowa o Bogu, przerywana ekscentrycznymi wykrzyknikami pijanego, który się budzi od czasu do czasu. Robotnicy są materialistami, starszy - ortodoksyjny marksista, młodszy zaś jest ateistą tylko dlatego, że wartościowanie chrześcijańskie i w ogóle teistyczne przeszkadza mu w wesołym i pełnym miłosnych sukcesów życiu przystojnego paryżanina.

Tułacz, jak się okazuje, wyznaje nieokreśloną wiarę w dobrego Boga. Bukinista wtajemnicza go w istnienie sekty synów bożych. Prorokiem ich jest starzec imieniem Gennadam, profesor historii. Stworzył on przez eliminację najpiękniejszych pierwiastków z nauk gnostycznych archiherezję syntetyczną.

O świcie bohater nasz wychodzi z aresztu. Zatrzymano go, jak się wyjaśniło, przez pomyłkę, bynajmniej nie w związku ze znalezionym pierścieniem.

ROZDZIAŁ IV. OTO DOM. Tułacz kieruje swe kroki do Aloszy. Młodego szofera nie ma w domu. Drzwi mieszkania otwiera mu Taisa. Jest to kobieta w średnim wieku, jeszcze piękna, z pałającymi, fanatycznymi oczyma.

Tułacz zamieszkuje na poddaszu rodzeństwa jako sublokator. Chory, przeziębiony podczas wędrówek po Paryżu, teraz odpoczywa i nabiera sił w zacisznym domu przyjaciół. Alosza oddał mu pieniądze. Suma ta pozwala żyć kilka miesięcy beztrudnie. Tułacz używa rozkoszy zadomowienia się. Chorego pielęgnuje pięknooka Taisa. Kanarek śpiewa w klatce na oknie. Rozkwitająca wiosna budzi go co rano słonecznymi promieniami. Wesoły i prosty, niemal dziecinny Alosza pogwizduje wieczorami rosyjskie piosenki.

Taisa jest hafciarką. Spod jej palców wychodzą ornaty, sztandary i kapy kościelne.

Pewnego wieczora, haftując kostium toreadora dla opery paryskiej, siostra Aloszy płacze. Tułacz powoli wyciąga od niej historię miłości dawno minionej: kochała Jana, syna Jana. Strój toreadora przypomniawszy jej ostatni ich wspólny dzień, gdy razem byli na corridzie w Briannon.

Tułacz kocha...

ROZDZIAŁ V. SYN BOŻY. Staruszka, matka Tułacza, nie wiedząca o synu, śni sen. Olbrzym z okrągłym zwierciadłem w ręku, olbrzym z milionów zeschniętych liści, rozkazuje jej ofiarować ornat do kościoła w Briannon, a grzech jej ulegnie w niebie zmazaniu. Oznajmiwszy to, olbrzym złoty rozsypuje się i wiatr rozpędza suche liście po łąkach i rozlewiskach wód.

Tegoż dnia staruszka zbiera wszystkie oszczędności i niesie je do Taisy, hafciarki.

Ma być ornat wspaniały, najpiękniejszy na świecie. Niech się na nim sypią błękitne i srebrne róże i niechaj w kołach złocistych sztuka hafciarska wywoła Dziecię Jezus, scenę Zwiastowania oraz scenę Nawiedzenia Marii Panny przez Elżbietę.

- Syn Boży - mówi z zachwytem staruszka.

- Syn Boży - mówi Taisa i śmieje się radośnie.

Kiedy wyszły obie, aby zakupić atlas oraz nici do haftu, Alosza mówi do Tułacza:

- Powiedziałałabym ci coś, ale boję się, że będziesz z nas szydził.

Tułacz daleki jest od wyśmiewania tej, którą kocha, więc dowiaduje się tajemnicy. W sekcie synów bożych, do której należą Alosza i Taisa, namaszczone lat temu 16 niemowlę, pogrobowego syna Jana i Taisy, na dziecko królewskie. To dziecko zbawi świat. Syn Boży - to ono właśnie, istota parakletyczna. A chowa się dziecko królewskie z dala od matki, pod opieką pradziadka, w górach, w ojczyźnie Jana. Jest tam dom nad potokiem w pustej, bezludnej okolicy. Pośród gór wyrasta syn Taisy, poświęcony przez wmatkę dla odkupienia świata. Tułacza przeraża ta opowieść. Nie może zrozumieć, on, cierpiący tak wiele, bez domu i matki, że ktoś mógłby dobrowolnie oddać dziecko podobnemu losowi.

- Tak trzeba - mówi wesoły i prosty Alosza - rośnie on tam, nie widząc prawie ludzi. Zachowuje nietknięte człowieczeństwo swoje i to mu da siłę...

ROZDZIAŁ VI. ZWYCIĘŹCZYNIĘ. Alosza wprowadził przyjaciela na zebranie sektantów. Obaj są świadkami doniosłej chwili. Oto dnia tego walka między prorokiem, który wielbi "cichą mądrość synów bożych", a Taisą i jej przyjaciółką, Fainą, kończy się zwycięstwem kobiet. Wizjonerka Faina głosi wyższość ekstaz i stanów zależnych od łaski samej nad rozumowanymi dogmatami Gennadama.

Prorok odchodzi w milczeniu.

Entuzjazm wybucha wśród sektantów. Wszyscy mówią o tym, że przecież Paraklet już jest, że lada dzień wystąpi publicznie, może nawet przed katedrą Paryża. Faina wpada w trans wizjonerski, wieszczyci dzień spełnienia niedaleki, żąda krwi. Sektanci w czadzie napiętej atmosfery zaczynają biczowanie się i taniec obrzędowy z uśpionym dzieckiem, które napojono makiem.

Tułacz nie poddaje się ogólnemu nastrojowi. Patrzy i stara się być chłodnym widzem. Rozważa siły, które miotają soborem sektantów. Ostatecznie jednak, przerażony wyrazem twarzy Aloszy (twarz ta jest zmieniona nie do poznania), ucieka z grona synów bożych.

Na drodze spotyka postać stojącą z oczyma utkwionymi w ziemię. Trudno rozeznąć w bladym świetle, kto to jest. A jest to Gennadam.

Nad dalekim Paryżem jeszcze błyskają światła.

ROZDZIAŁ VII. TRAWA ROŚNIE. Tułacz porzucił poddasze ukochanej i jej brata. Wiosna ciągnie wagabundę ku trawie. A trawa rośnie tak pięknie!

Po drogach Francji wędrują pojedynczo i gromadkami tacy sami jak on tułacze. Są tam "byli ludzie", są wykolejeni bezrobociem, są i Cyganie. Lżej naszemu Tułaczowi posród nich. Przy ogniskach cygańskich wspomina płomienne oczy Taisy, których blasku nie zgasił jakoś długi szereg lat hafciarskich prac.

Podczas jednej z wędrówek po górskich bezdrożach zastaje go burza. Ukrył się więc w grocie skalnej, gdzie zastał matkę swą pielgrzymującą z ornatem w tobołku do Briançon. Oczywiście nie wiedzą, kim są dla siebie. Przy huku piorunów toczącym

się długo między górami spowiada się wobec własnego syna z grzechu dzieciobójstwa. Mówi o radościach i udrękach macierzyństwa, o straszliwym szczęściu, jakie musi dawać miłość synowska.

Tułacz wzdycha!

- Nie zeszedłem przecież na świat znikąd. Musiałem mieć matkę! Matko, gdzieżeś?

ROZDZIAŁ VIII. ŚWIAT WIELKIEJ GŁUSZY. W domku, wśród pustki wymarłej wsi, rozgrywa się tragedia. Pradziadek królewskiego dziecięcia jest umierający. Sam Olivier to obłąkany. Opiekun jego skrywał to przed matką i przyjaciółmi z Paryża, aby nie zrujnować ich świata urojonego, lecz dającego przecież szczęście. Teraz, gdy ciężka choroba powaliła go, gdy służąca, twarda i chciwa chłopka, okradła ich i porzuciła, nadszedł wieczór ostatni. Starzec dogasa, chłopiec śpiewa piosenkę wraz z kurantem muzycznego zegara. W domu głucho i głodno.

Tułacz trafił do tej pustelni w samą porę.

- To dziecko jest obłąkane. Nie skrzywdź go. I nie krzywdź jego matki... - to ostatnie słowa umierającego.

Oliver mówi do Tułacza: Starcze. Nie rozumie wielu rzeczy, opowiada jakieś fantastyczne historie. W ten sposób rozmawiając opuszczają świat wielkiej głuszy i schodzą w dolinę.

ROZDZIAŁ IX. KSIĘŻYC. Stary Jan przyjmuje wędrujących niechętnie, lecz daje im gościnę na dni kilka. O chłopcu obłąkanym słyszał, bo ludzie i do tej pustelni docierali. Tułacza przypomniał sobie jako towarzysza pijatyki w Paryżu.

- Ach, gdybym spotkał złodzieja mego klejnotu! - wzdycha stary i bije grubym biczem psa uwięzionego na łańcuchu. Bije długo, bez litości i nie zważając na prośby Tułacza, któremu to przypomina okropne sceny wśród sektantów. Wieczorem gospodarz zagląda do szopy owiec, gdzie wisi na belce lanca, pamiątka z czasów, gdy służył w armii republiki.

Tułacz widzi z okna swej izdebki złowieszczy błysk ostrza lancy, pisząc dwa listy. Jeden list od siebie do Taisy, pełen miłości do niej i pięknych kłamstw o jej synu, dziecięciu królewskim, Olivierze.

Drugi list, pisany zmienionym charakterem, jest niby od samego Oliviera, wykazuje niezwykły rozum i natchnienie chłopca...

ROZDZIAŁ X. Rozdział ten zawiera teksty listów Tułacza oraz odpowiedź matki do Oliviera. Taisa pisze jako wyznawczyni spraw bożych synów, że Olivier powinien zapomnieć, że ma ziemską matkę. Skoro mądrości niebiańskiej nie poskąpiono mu, skoro łaska najwyraźniej jest z nim, niechże nie zapomina o swoim losie, niech zaczyna działalność, niech zbawia świat.

ROZDZIAŁ XI. O CZERWONEJ NOCY. Była to noc świętojańska. Pełnia świeciła w oknie, gdy chłopiec wstawał z łóżka i sennie, jak odurzony, zwał z siebie bieliznę. Potem stanął nagi w smudze księżycowego światła i szepnął do kogoś niewidzialnego ze smutkiem, którego wyrazić niepodobna:

- No więc męcz mnie...

Stał chwilę opuściwszy głowę na piersi, posłuchał nocnej ciszy. Z rękami wyciągniętymi przed twarzą poszedł do izby Jana. Tam lampa płonęła na stole. Jana nie było. Dumął nad lancą w owczarni.

Olivier schwycił lampę i z rozmachem rzucił ją na łóżko. Izba stanęła w ogniu, on zaś pognął ku góróm, do domu, do dawnego swego domu.

Zagroda Jana po długotrwałej suszy płonęła jednym wielkim ogniem. Noc zrobiła się czerwona. Nim pobudzeni domownicy oraz Tułacz wybiegli na dziedziniec, stary puścił się w pogoń za nagim chłopcem, a ostrze lancy błyskało w księżycu i łunie pożaru.

Któż by ich doścignął! Olivier zmęczony dopadł potoku w miejscu, gdzie woda przelewa się przez skały. Przystanął, aby się napić. W tej chwili grot lancy rzuconej z daleka ugodził go pod łopatkę.

Pod czerwonym niebem beczą oszalałe owce, ryczy byk, wyje pies odczepiony z łańcucha przez wędrowca.

ROZDZIAŁ XII I OSTATNI. SCHODY. W Paryżu na poddaszu u Aloszy odbywa się zebranie starszyny sektanckiej. Faina głosi tysiąclecie radości. Taisa odczytuje swój list do syna, wzywający go do zaczęcia wielkiego dzieła parakletycznego.

Pukanie do drzwi. Wchodzi sąsiadka ze sklepiku, staruszka. Początkowo nie orientuje się, co to za ludzie, i opowiada Taisie, że ornat zaniósła już do kościoła w Briançon i że wróciła koleją, bo bardzo ją znużyła wędrówka. Sektanci śmieją się z jej snów i ślubów. Usiłują nawrócić staruszkę na swoją wiarę, ale niefortunnie wyjawiają jej dzieje Oliviera, dziecka namaszczonego i odjętego matce.

Staruszka potępia ich, nazywając Taisę nieludzką. Ale Taisa wie, że co cierpi, rozstawszy się z synem, cierpi dla zbawienia świata...

Na schodach Tułacz idący na poddasze spotyka staruszkę wracającą stamtąd. Poznała swego towarzysza z grotty i przestrzega go przed złymi ludźmi, co się pysznie przezywają synami bożymi.

Tułacz wychodzi z domu za staruszką. Długo stoi na ulicy spuściwszy głowę, jak kiedyś prorok Gennadam i jak obłąkany Olivier. Wreszcie z powrotem wchodzi na schody wiodące do Taisy...

BAJKA DLA PANI ST. H.

Dzieci, czy nie słyszałyście kiedy o Panku ze Starego Miasteczka?

Panek to ja, opowiadacz bajek.

Są bajki ze mchu i są bajki z marmuru. A moje? Gdy pełnia księżycy wisi nad wodami jezior i mórz, złota pianka powstaje na łuskach fal. Z tej to pianki są moje bajki.

Był sobie stolarz. Mieszkał ten stolarz za miasteczkiem, w małym domku przy drodze.

Córka jego, Małgosia, znalazła pewnego dnia na drodze okruch lusterka. Dziewczynka łapała słońce w okruch lusterka, a to słońce odbijało się rozmaicie, czasem dwoma, czasem trzema kolorami, czasem zaś całą siedmiobarwną tęczę.

Stolarz, któremu te blaski i kolory skakały po deskach, rzekł:

- Ależ one skaczą! Zupełnie jak zajaczki!

Ledwie to powiedział, odbłask lusterka zrobił się z wielobarwnego biały i znikł pod piecem. A kiedy wyszedł stamtąd znowu, to już wcale nie był zwykłym odbłaskiem, tylko zajączkiem, prawdziwym zajączkiem.

- Tato, jaki on jest puszysty! A jaki biały! - zawołała Małgosia.

Ojciec obejrzał się, popatrzył na zajączka śmiesznie kicającego po podłodze i roześmiał się:

- Puszysty i biały, według przepisu! Wszystko jak należy!

Zajączek nadstawił uszu:

- Co to jest przepis? - zapytał.

- To coś pośredniego między przepisowaniem a kłamstwem - odpowiedziała Małgosia. - W każdym razie to bardzo ważna rzecz!

Zajączek pokicał na próg. Za progiem, w otwartych drzwiach, był piękny świat wiosny. Wiosenny wiatrak bawił się z wiosennym wiatrem, wiosenne gałązki jak małe dzieci przebierały piąstkami, to jest, chciałem powiedzieć, listkami, a wiosenna pszczołka gryzła właśnie śpiącego pod płótem Burka w wiosenny nos. Zajączek poruszył wąsami i spostrzegł wtedy w wiosennym ogródku wiosenną kapustkę. Ale w tej chwili usłyszał głos stolarza:

- Już co to, to nie. Przepraszam. Nie dla psa kiełbasa...

- Dlaczego? - zapytał zajączek.

- Nie powinieneś jeść wiosennej kapustki...

- Ależ dlaczego? Ja ją bardzo lubię! - Nie można. Przepis.

Burek, ugryziony przez pszczołę, wrzasnął nieludzkim i niepsim nawet głosem. W tej chwili zrobiła się awanturka. Małgosia, przerażona, spadła ze stołka, stolarz upuścił hebel, obłok znad wiosennego sadu popędził na zachód co siły w żaglach.

A zajączek jakby się ze sznura urwał! Dał susa na drogę i tylko się za nim kurzyło, tak uciekał! Biegł, biegł, biegł i biegł, ciągle w zachodnią stronę (jak i ten obłoczek). Wreszcie przystanął przed przejazdem kolejowym.

Na końcu drogi, daleko, zachodziło słońce. Naturalnie, zajączek od razu się domyślił, że to nie może być nic innego, jak tylko śliczna, wielka, złocista główka kapusty. Toteż podskoczył w górę i już miał się puścić z kopyta ku słońcu, kiedy zauważył dwie rzeczy:

1 że nie ma kopyta, o którym była mowa wyżej,

2 że przejazd jest zamknięty.

Zmartwiło go tylko to kopyto. Bo zamknięcie przejazdu kolejowego to dla

młodsze, zwinne zajaczka furda! Może przebiec między kratami i co mu kto zrobi?

Ale właśnie wyszedł z budki kolejarz, popatrzył surowo na zajaczka i powiedział:

- Dokąd ci tak pilno? Możesz zaczekać, aż przejazd otworzą...

- Ale dlaczego ja mam czekać, kiedy złota kapusta, śliczna kapuściana głowa...

- Sam jesteś kapuściana głowa! Przepis! Rozumiesz to? Przepis!

Zajaczek, szanujący przepisy, stał przed przejazdem i płakał. Bo tymczasem słońce zachodziło za widnokrąg, na lewo od miasteczka. Zachodziło, malało, już tylko półsłonkiem świeciło, ćwierćkapustką, listkiem złotym, wreszcie rąbkiem czerwonym i znikło!

Płakał zajaczek. Było na świecie śliczne, kapuściane słonko, to prawda, ale były też i przepisy, p r z e p i s y, PRZEPISY!

LELELA

Kiedy była, tak jak dziś, radości pełna, miało się ochotę sprawdzić, czy wąskie, silne dłonie jej pachną wiatrem niby zwierzę leśny.

- Tak mi dobrze u ciebie - mówiła. - O, dlaczego muszę do domu wracać. To jest mój prawdziwy dom. I ty jesteś mój.

- Dzisiaj.

- A jutro?

- Jutro także. Anna wróci dopiero za trzy dni.

Położyła się na tapczanie splatając ręce pod głowę. Promień włosów upadł na lewy łuk brwi. Złotawe przedramię odsłoniło się spod rękawa. Tak medal wód wybłyskuje zza gaju. Patrzyła w okno, za którym poszarzałe chochoły ogródka podpierały grudniowy zmierzch.

- Anna... Gdzież mi tam do ślicznej i mądrej Anny! Ona jest... Wiesz, widziałam w pewnym sklepie kwiaty ciągnięte ze szkła, fantastyczne i olśniewające. Taka jest Anna! I muzyczna.

- Cóż to znaczy?

- No, muzyczna, nieprawdziwa. Ty także jesteś trochę z nieprawdy, trochę jak za kartką książki, którą odczytać trudno.

- Wiesz, Lelelo...

Henryk stał przy szafce pełnej książek niepewny i rozdwojony. Brak Anny dokuczał mu, pozbawiając świat pełni i mieszał się z niepotrzebną urazą do Leleli. Mimo spokojnego układu zdarzeń mąciła ich miłość szczęśliwą. Świadomość, że ta trzecia, Lelela, w prostocie swojej, nie rozumie sprawy, powiększała jeszcze jego niepokój i rozdmuchiwała rozterkę. Dziewczynie w rzeczy samej dobrze było u niego. To, co przeżywała w rodzinnym środowisku, koszmary obcowania z ludźmi złymi i wykolejonymi, trucizną syciło wszystkie dni jej smutnej młodości z wyjątkiem tych, które spędzała u Henryka.

Był dla niej nie tylko miłym kochankiem - do tego nie przywiązywała wagi - zdarzało się jej rozmaicie w burzliwym życiu. Ale dobroć jego odczuwała jak wielką łaskę przywracającą blask wszechrzeczy. Tylko u niego i u Anny znalazła życzliwość serdeczną i schron bodaj chwilowy przed zalewem swarów, zawiści i namiętności, kipiących tam, w domu, jak w piekielnym kotle.

- Zaczęłeś coś mówić...

- Ale dokończyć niełatwo. Zawsze tak szczerze stawialiśmy wszystkie sprawy, a teraz właśnie nie mogę jakoś zdobyć się na szczerłość.

- O, więc to coś złego - szepnęła, kurcząc się na tapczanie. W nowej pozie nagość ręki zgasła, natomiast ukazały się w dwóch czy trzech fałdach sukienki czajenie się i gotowość do zaciętej obrony. - Czy pamiętasz nasz układ?

- Pamiętam.

- Dziś rano dostałem list od przyjaciela, któremu ufam, jak Annie.

- Przyjaciel pisze o mnie?

- Zgadłaś. Pisze o tobie coś złego.

Lelela opuściła głowę. Wszystkie promienie włosów zakryły jej czoło. Po chwili milczenia powiedziała smutno:

- Już pójdę.

Lecz nie wstała z miejsca, na którym wczesny zmierzch zimowy przyrzucił ją powoli szarością.

Henryk usiadł koło niej. Oto kilkoma słowami zburzył jedyne azylum dziewczyny żyjącej bez nadziei.

- Posłuchaj. Jeśli masz coś na sumieniu przeciwko mnie, powiedz to, wyznaj. Po cóż mam się dowiadywać o tych sprawach od obcych? Myślę nawet, że jakoś łatwiej będzie naprawić nasze popołudnia i wieczory, choćby się i stało coś niedobrego. Łatwiej, bo między nami...

Odsunęła się od niego. Patrzyła znów na rozplywające się w półmroku chochoły róż. Czuł, że zacina się w sobie.

- Cóż ci powiem? Jeżeli wiesz, to po co pytasz? Jeżeli uwierzyłeś, to czego chcesz ode mnie? Kajania się? Przysięgę poprawy?

- Nie! Nie! Chciałbym wyjść z kręgu niepewności i tobie ufać, jak dotąd.

Zrozumienie brało w nim coraz bardziej górę nad urazą do Leleli. Przecież wiązał ją ze sobą, a dawał w zamian tak mało: trochę pieniędzy, trochę dobroci i tę ucieczkę od jej świata. Cena ta wisiała na cienkiej nitce układu. Oto Lelela wyszła na chwilę z opętanego węzowiska, a on cóż jej uczynił? Ukazał tylko drogę powrotną.

Służąca wniosła na tacy herbatę w małych filiżankach z kruchej porcelany. Cukiernica w zмирzchu błysnęła matowo, srebrne szczytce do cukru zajaśniały węzami białymi na przegięciach zdobników.

- Czy zapalić światło?

- Nie. Posiedzimy sobie w szarówce. Przy herbacie to nie będzie przeszkadzało.

Biała plama fartuszka Zuzi i mniejsza - jej kokarda, zdematerializowały się za drzwiami gabinetu.

- Proszę, Lelelo, służę ci.

- Nie mam ochoty na herbatę.

Ton głosu dziewczyny był zacięty, ale już przełamywał się rozżaleniem. Z kolei Henryk również zmiękł. Pociągając łyk za łykiem aromatycznego mroku grzejącego palce przez porcelanę, zbliżał się myślami ku Leleli. Jeśli zdradziła go dla kaprysu, to i to niewiele znaczy. Poza kaprysem nie ma z życia nic, doprawdy nic. I gdyby nie takiż kaprys, nie trafiłaby do Henryka trzy lata temu. Poza tym od dłuższej chwili układ o niezdradzaniu wydał się sprawą nie pozbawioną odcienia śmieszności. Układ? Bezsens nie układ? Te zadawnione troglodytyczne pretensje do odgrywania roli "jedyne"...

- Wiesz - zaczęły się nagle zwierzenia Leleli - ojciec mi się narzuca. Nienawidzę tego wąsatego durnia. Matkę wpędził do grobu, z macochą szaleje po szynkach i piwiarniach, malcy płaczą z głodu. Już do szkoły nawet nie chodzą, bo butów nie mają. Bratowa opowiada sąsiadom, że ja żyję z ojcem. Wczoraj rządca kamienicy zrobił mi awanturę w bramie, że mu chłopaka uwodzę, bo ktoś tam widział, jak nad stawem zapalał mi ten jego Bronek papierosa. Ojciec - nie wiem - chyba już kradnie, bo skądże by miał pieniądze na wódkę! Zresztą przychodził do nas dzwonko, ten słynny Dzwonko. Na pewno starego idiotę w jakieś ciemne sprawy wciągnął. A do mnie wszyscy z pretensjami, choć od czasu, jak ciebie poznałam, żyję tak spokojnie! Wystarczy mi kilka godzin przedumanych tu bez względu na to, czy jesteś, czy cię nie ma, czy nawet gdy Anna ze mną rozmawia... Potem przez tydzień mam w sobie siłę wytrzymania tego koła udręczeń, choć wiem, że nic przede mną...

To, co mówiła, nie było dla Henryka nowiną. Żaliła mu się czasem, co prawda bardzo rzadko, by jej nie posądził o chęć wyproszenia pieniędzy. A chociaż i brała je niekiedy od męża Anny, oboje zachowywali się przy tym po przyjacielsku.

- Ile lat ma ten Bronek?

- Ach, o to chodzi? Czy ja wiem? Osiemnaście, może dziewiętnaście.

- Uwierzę, że między wami nie było nic, jeśli mi dasz słowo, że go więcej nie zobaczysz... Czy ten młodzik lepszy jest ode mnie? Czy pomoże ci? Czy da ci ochronę w złym przypadku?

- Już pójdę, Henryku. Może bym ci dała słowo, bo bardzo cię lubię za wszystko. Jesteś dobry. Jesteś trochę jak z muzyki, prawie tak, jak cała Anna. Ale czy warto robić cokolwiek? Czy warto? Prędeż, później nic mnie nie czeka...

- Nie odchodź.

Stanął przy niej, bo podniosła się z tapczanu. W zupełnej już ciemności głaskał jej głowę kształną pod miękkim hełmem włosów. Milczała. Choć nic o tym nie świadczyło, wiedział, że płakała.

Nie dość miała własnej niedoli, że i on ją także do łez doprowadził? Żal przejął go tak mocno, jakby ból strzaskanego przed laty nadgarstka odżył raz jeszcze.

- Lelelo, Lelelo - szeptał i gładził promienie włosów rozsypujące się pod palcami. O mało nie powiedział: moja biedna, mała Lelelo... Lecz czujna samokontrola powstrzymała go. Takie czułości brzmiałyby fałszywie i dla niej, nie tylko dla niego. A tę chwilę mroku wiązała jakaś potrzeba prawdy, nieokreślonej prawdy. - Ta rozmowa była zbyt uczuciowa. Żałuję wszystkiego, Lelelo. Przestań płakać. Napij się herbaty, proszę...

Usiadła posłusznie, dziecinnie i znowu Henryk wzruszył się ostro. Już gotów był stracić wiarę w informacje przyjaciela udzielone w liście.

- Ludzie tak mówią o tym Bronku. I rządca nagadał mi głupstw, że go odciągają od nauki, że matury nie zda. A ja tylko papierosa zapalałam jego zapałką i pytałam, czy ma przyjaciółkę, bo to ładnie, jak się ludzie kochają...

Słowa jej ciągle wibrowały matowością, jaką daje zduszony w gardle płacz. Ale mężczyzna zdjął dłoń z jej głowy. Niedobrze jest mówić o miłości młodych, kiedy się siedzi obok mężczyzny czterdziestoletniego. Henryk był wysmukły, pogoda i dobroć ujmowały mu lat. Lecz nie miał tego jednego: dziewiętnastu lat, dających blask bez względu na to, kim jest taki młodzik. Dalsza mowa dziewczyny umocniła go w nieufności.

- Nie myśl, mój drogi, mój dobry! Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo jakich niebylic. Cóż z tego, że tamten głuptasek ma zęby jak ser białe.

Cóż z tego, że tamten głuptasek ma zęby jak ser białe. I jeszcze tak śmiesznie zagarnia ręką powietrze, kiedy dowodzi, że ma rację. On, w przeciwieństwie do ciebie, nie ma racji naprawdę. On się tylko upiera...

- Już nie płaczesz? - zapytał powszednio. Gdyby słuchała uważnie, dostrzegłaby w tym tonie obojętność.

Wartkim tokiem opowieści płynęli jacyś ludzie z przystanku tramwajowego. Ludzie domu Leleli, dzieci z kolonii za wodą, ojciec i Dzwonko, Broniek i sąsiadka z facjaty, i znowu ojciec hulaszczy, zapity i niepoczytalny, frant i głupiec zarazem.

Nie słuchała Henryka. On także odszedł od tej godziny wieczornej, od nurtu słów Leleli i cieniów kołujących w nurcie.

*

Szedł już skrajem wzgórza, między kolumnami olśniewającej smukłości. Słońce podwójne i otoczone nimbami, co drżały jak koła na wodzie, przypominało oczy Anny. Nie widział tego słońca. Czuł tylko ciepłe dotknięcie na złotawej nagiej skórze własnego ramienia, bowiem nie miał na sobie nic prócz sznura związanego w pasie.

Stopy brnęły w mchach suchych a miękkich, a pełnych ważek olbrzymiego

rozmiaru. Owady usuwały mu się spod kroków i podnosiły ku jego twarzy wielkie, purpurowe głowy. Spoglądały jakby pytająco. Za kolumnadą roztwierał się widok na bagna nie z tego świata. Nisko, dotykając sierści półwodnych zwierząt, krążyły komety podobne zielonej szarfie blasku. Złe wygięcia karków bestyj ostrzyły się jak gdyby w seledynowej jasności rozbieganych okruchów gwiazd. A kolumny teraz dopiero, kiedy się Henryk obejrzał za siebie, odkryły swą istotę rzeczywistą, stały się słupami twardego światła tryskającego z czeluści ziemskich.

- Nie idź dalej - odezwał się skądś wesoły głos Anny.

Ale poszedł. Wkrótce stanął przed grota, której wnętrze było modre jak głębina i smutne jak drzewo bez liści lub dziecko bez najlichszej zabawki. W podziemiu oddychał ktoś głośno i ciężko.

- Czy to ty, Anno?

Na dźwięk jego głosu otwór pieczary zapełnił się jakimiś kształtami. To przelewała się gąbczasta i dymem zionąca zarazem paszcza niestworu, którego ciało tkwiło w grocie. Bezdenne, lecz ślepe oczy dziwołaga kryły się w cieniu granatowych rzęs. Człowieczeństwo gigantycznej istoty można było uznać tylko połowicznie.

- He... He... He... - dyszał pełen męki - kto tu przychodzi? Kto imiona ludzkie głosi? Jeszczem nie wzywał Dzieci Niezobaczenia...

- Troje nas jest. Ciebie nie ma - odrzekł Henryk nie bez trwogi.

- He... He... He... Troje. Dobra liczba. I któż to - troje?

- Nie, jest nas czworo: Anna, Lelela, ja i moja gwiazda szczęśliwa.

- He...

- Nie wierzysz?

- Wierzę tylko w to, że choćby was na dolinach i pagórkach ziemi stanął tysiąc samych szczęśliwych, samych gwiazdnych, zetrze was i w skrzydlate potwory zamieni Stopa Nocy. Jam jest Stopa Nocy.

Stanął Henryk i nie wiedział, co czynić. Niewidzące oblicze dało się wessać jaskini. Znowu powiewała w jej wnętrzu głębinowa modrość. Tylko że trudno było przemóc wstręt do podziemnej okropności. Tak, Henryk jasno zdawał sobie z tego sprawę, chodziło nie o lęk, lecz o wstręt.

Skierował się więc z powrotem ku kolumnom światłości, ale już znikły. Drożyna kamienna, którą tu był przyszedł, wzdęła się na garbach łańcucha pagórków. A te wyniosłości wypłynęły z gruntu, jak bańki powietrza z gładzizny wód.

Bezbrzeżna łąka kołysząca kwiaty wokół wzgórz upodobiła okolicę tajemniczym, tęczowym wodom. Kielichy żółte i białe, czerwone i lazurowe, wielobarwne i nakrapiane uchylały się nie za wiatrem, lecz za głosem dziewczęcym.

- To ja, Lelela... Maszyny prowadzę ku tobie. Niech służą. Niech ci służą...

Oglądał się pilnie. Zobaczyć jej nie mógł, tak jak poprzednio nie mógł ujrzyć tamtej, żony.

- To ja, Lelela... Zbuduję dla nas trojga dom z koralu i mleka. Może nawet we czworo się w nim pomieścimy z gwiazdą siarkowej barwy, twoją gwiazdą zwaną Ohortel. Czy znasz tę nazwę? Teraz ozwał się głos ślepego stworzyszcza podziemi:

- Kto imiona gwiazdne głosi? Nie wzywałem Dzieci Niezobaczenia. - Nie wzywałem ich ja, Stopa Nocy.

I jeszcze inne głosy. I jeszcze inne. Trzepocą lekko niby przelot jaskółek i opadanie rzęs. Mieszają się w brzęczeniu drobnym jak makowe ziarna.

- Henryku - wołają - Henryku!

- He... He... Imię ludzkie... He... He... Imię gwiazdy...

A on szedł między głosami i aromatem łąki radującej oczy tak bardzo, jak nic z

tęgo, co widział przez lat czterdzieści. Oto kwiat nieznanego koloru pulsuje puszyście wśród tysięcy odmiennych odeń braci. Tam znów bursztynowe i fiołkowe na przemian płatki tulą w sobie łagodny blask. Tam - grono maleńkich gwiazdek rozkwitłych bladą czerwonością strząsają z siebie czarne rosy, podpalane złotem. A blisko, że ręką sięgnąć tylko, cud najwspanialszy, bania opalizująca i wyrzucająca z siebie raz po raz, nieregularnie, pałkowate, srebrnawe kształty.

W tej chwili w polu widzenia Henryka ukazał się słaby, mgławczy zarys postaci dziecięcej. Byłoby to Dziecko Niezobaczenia?

Zarys na próżno się wzmacniał, daremnie narzucał się oczom błędzącego pośród piękności. Pragnienie pysznego kwiatu opętało Henryka, odbierając mu wszystko za obietnicę uchwycenia rośliny nieprawdopodobnej, baniastej jak obłok i wystrzępionej miejscami jak octopus.

Wyciągnął rękę ku łodydze i nagle stracił równowagę. Odpadając stopami od kamienistej ścieżki pomyślał tylko: oprę się dłonią o grunt łąki. Lecz pod kwiatami nie było dna...

WODY NIEBIOS I ZIEMI

I

W tym miasteczku nie było ludzi, którzy by rozumieli nauczyciela. Byli tu co prawda tacy, którzy się bali nocnej zmyry i dusz pokutujących, i wieczorów na żydowskim okopisku, ale Krzyś mieszkał tuż za jego murem i więcej go straszyla półsosna rozbita piorunem, a zawsze pełna szmerów i wiatrów.

Grywano tu na skrzypcach, owszem. Muzykę nieraz dobrą, można było usłyszeć w kościele i w cerkwi, w czasie wesel, ze dwa razy do roku - na koncertach mających na celu zasilenie pieniędzmi któregoś z tutejszych towarzystw. Lecz takich, co wychodziliby w mglisty ranek grać na łące - takich nie było prócz niego.

Lubiano go i nie lubiano. Ot, odmieniec.

Ostatni tydzień Krzysia był bardzo niewydarzony. Naszły go chmurą całą, jak to bywa, różne strapienia a znaki wszelakie przekazywały ów ciąg trosk z dnia na dzień. Każdego wieczoru czekał biedak jakiejś aluzji mocy codziennych a magicznych, że wszystko ma się ku lepszemu. Gdzie tam! Mrok w szybach stał nieruchomo, pukały i trzaskały stare sprzęty, zegar chrypiał złośliwie, sny zaś tropiły go mętne i męczące.

Gdy nadeszła niedziela, dzień, w którym mógł zobaczyć Joasię, stał długo pośrodku izby bosy i smutny. Nic nie wskazywało na to, aby dzień miał być lepszy od innych. A on przecież obiecał Joasi, że pojedą łodzią do Zamku. Nagle roześmiał się, aż matka drgnęła przy kominie!

- Zegar skrzypi! Zegar! - śmiał się chłopak.

- Ech, ty pomylony... - powiedziała matka - śmiejesz się, a sam nie wiesz z czego. Ubieraj się. Już późno.

Ale Krzyś wziął się do zegara. Ciągnął wagi, przekreślał wskazówki, otwierał błyskające trybami wnętrza tego młynka mielącego czas. Dmuchał, czyścił, oliwił. Po godzinie zegar tykał równo i spokojnie.

- Muszą być dobre znaki! - krzyknął Krzyś wesoło. II

Łódź kołysała się lekko, płynąc po krętej Łudze. Brzegi rzeki wspinały się ku górze i zbiegały w dół, szły nisko, nad samą wodą, piętrzyły się ku niebu wałami prehistorycznego grodziszczka lub kryły się w suchym gąszczu trzciny.

- Joaska, o czym ty tak myślisz?

Zagarnęła ręką po wodzie. Powstał przy tym nietrwały ślad, jakby ptak dotknął rzeki skrzydłem.

- Dobrze mi. Jesteśmy razem. Mamy cały dzień dla siebie tylko.

- Może ci zagrać?

- Nie. Płynmy dalej. Tylko czy to nie grzech wiosłować teraz właśnie? Posłuchaj: dzwonią: dzwonią na sumę.

To dla Krzysia nie grzech. Inne on sprawy widywał: dziecko pobite przez rodziców do krwi, staruszkę ociemniałą, którą pijacy wepchnęli w kałużę, widział też na łące, wśród mgieł, kota z poparzonymi łapkami i gwoździem w czaszce. Ale dzwony?...

Z łopata wiosła ściekały krople, dziób łodzi tarł się o kiście trzciny, pruć świat na dwoje.

Joasia patrzyła w niebo. Tam, na wysokości, spływały się w jedno, strzępiły się i dzieliły chmurki siwe i białe.

- Deszcz będzie - powiedziała.

- Niech będzie.

Wykrzyknął to wesoło, lecz w sobie zasmucił się nieco: że też nawet ta niewinna radość wycieczki musi być zepsuta przez to, co go już od tygodnia prześladowuje!

Zaczęło padać. Polały się z nieba rześiste strugi wiosennego płaczu. Pluskały na rzece, szumiały na liściach wierzb i olszyn. Krzyś zrzucił kurtkę i ostonił nią Joasię. Potem popatrzył na nią przez chwilę niepewny, czy się nie pogniewa i ściągnął także koszulę. Musiał przecie nakryć czymś i skrzyпки swoje, leżące pod ławką łódki.

Joasia nie gniewała się. Przeciwnie. Tak ciepło powiedziała, tak po matczynemu:

- Teraz wiosłuj ostro, bo mi się przeziębisz, chłopaku...

Ton jej słów sprawił, że deszcz nie był przykry. Wiosła podrywały się, lecąc nad wodą, zanurzały się i pchały przez toń opornie, po czym znów zrywały się lotnie, swobodnie i znów pogrążały w łudze.

Krzepkie ręce Krzysia wężliły się i napinały, gdy ciągnął rękojeści ku sobie. Grę mięśni na piersiach gmatwały początkowo strużki kropel. Ale gdy cały Krzyś był już mokry, wyglądał jak z metalu. I było w tym coś takiego jak pieśń. Joasia zaczęła śpiewać. Zawtórował jej. Jedna piosenka płynęła spod budki uczynionej z jego kurtki, druga - z ust mokrych i czerwonych, kropionych majowym deszczem.

Tak płynęli.III

Czworokątne wieże ruiny złociły blask zachodu, a oni jeszcze w ogłuchłych salach i dziedzińcach bawili się jak dzieci. Cóż z tego, że Joasia miała rok osiemnasty, a Krzyś starszy był od niej o całe dwa lata!

- Widzisz tę kalinę? - wskazała palcem drzewko rosnące w załomie murów.

- Widzę.

- Pobiegnę tam. Jeśli mnie złapiesz, zanim dotknę kaliny...

- To co?

- Nic. Uważaj: raz, dwa, trzy!

Pomknęli oboje ku kąтови podwórka, lecz nie doścignął jej. Śmigiała przez chwasty i gruzy ruin jak spłoszona łania. A kiedy stanęli pod kaliną, potrząsnęła zniecka drzewkiem i grad kropel po niedawnym deszczu obsypał oboje.

- Ach, ty! - chłopak rzucił się ku niej.

- Patrz! Patrz! Ktoś nam łódkę zabiera! - odwróciła jego uwagę alarmem.

Spojrzał w strzelnicę muru zamkowego. U stóp góry, pośród białych kamieni, na które wywlekli łódź, brodziła w płytkiej wodzie maleńka dziewczynka. Miała zadarty nosek, śmieszny warkoczyk, sukienkę w kraty i pęk kaczeńców w ręku.

- Zwodnico! Przecież chyba to dziecko nie zabierze naszego statku!

Odwrócił się od strzelnicy i spostrzegł, że jest sam.

- Joasiu!

Echo poszło po ruinie.

- Joasiu! Gdzie jesteś?

Była na stoku wzgórza. Usiadłszy w trawie podparła głowę ręką, a rękę kolanem. Krzyś widział wprost, że dziewczyna jedna się ze światem. Obłoki, świeża zieleń, woda na białych głazach, dziecko z bukietem - to był świat. I jeszcze ta kapryśna wstęga ługi raz szeroka, raz wąska, a zawsze bardzo kręta. Podbiegł do niej z tyłu i zasłonił jej oczy dłońmi.

- Teraz nie widzisz. Teraz musisz o mnie myśleć.

- Zaraz pomyślę, tylko wianki uwiję dla nas obojga.

Nazrywali kwiatów na wzgórzu i znieśli swój pachnący łup do łodzi. Dziecko patrzyło na nich, wetknąwszy palec w buzię.

- Jak się nazywasz?

Maleństwo wyjęło paluszek z buzi:

- Paraska...

- A gdzie twój dom?

Pokazało rączką w stronę zamku. Teraz dopiero zauważyli, że do jednej z ciężkich wieżyc tuli się lepianka, z komina której wywijał się wolno niebieskawy dym.

- Czy pomożesz nam wić wianki?

Nie powiedziało toto ani tak, ani nie, jeno usiadło poważnie na burcie łodzi, tak jak i oni. Zaczęli robotę.

- A tam, za ostrowem, są bardzo ładne kwiaty - powiedziała nagle.IV

Zmierzchało się. Wiosła znowu wlatywały nad wodą i znowu przedzierały się pod gładziną rzeki. Słońce już zaszło. Wieńce obojga bieleły się na włosach tym bardziej, im bardziej półmrok rozciągał się nad ługą.

- Mijamy ostrów - szepnęła Joasia, bo w mroku zawsze lepiej szeptem mówić niż zbyt głośno.

- Opłyniemy go dokoła. Może znajdziemy te kwiaty, o których plotła Paraska.

- Nie, nie, wracajmy już do domu.

- To niedługo potrwa.

Zaczął odpychać łódź od brzegu jednym wiosłem. Popłynęli kołem. Z drugiej strony wyspy stanęli w cichej zatoczce, gdzie tajemniczo jaśniały na toni wielkie lilie wodne.

Joasia uklękała w łodzi i wyciągnęła ręce po kwiat. Z nagła, sama nie wiedząc, jak to się stało, znalazła się w chłodnej topieli. Ręce jej plątały się w długich, śliskich łodygach lilij wodnych. Z trudem utrzymywała się na powierzchni, póki jej Krzyś nie wyciągnął. Trwało to kilka chwil za ledwie, ale wianek jej spadł na wodę i popchnięty kołami fal posunął się ku prądowi Ługi. Odpłynął w mrok.

Joasia leżała teraz w łódce drżąca z chłodu. W dłoni miała najpiękniejszą, największą z lilij wodnych.

Krzyś nachylił się nad dziewczyną i pocałował ją.

- Moja... szepnął.

- Zi...mno mi...

Zdjął kurtkę, jak w południe, zdjął i koszulę. Otulił Joasię jak umiał, po czym wziął się do wiosła. Zaskrzypiały dulki, zapluskana woda u wiosła.

- Raz, dwa, raz, dwa - liczył sam sobie półgłosem.

W mgłach, które wstawały znad łąk, łódź niosła się z prądem bystro i lekko. Skrzyp żelaza miarowy, nieustanny, kołysał Joasię i uspokajał oboje. W mlecznym тумanie majaczyły na przemian niskie łądy i kępy drzew nadbrzeżnych, wał grodziszcza i łagodne pagóry. Godziny biegingy jak psy.

- Raz, dwa, raz, dwa...

- Widać miasteczko.

Tak, to miasteczko. Sześć czy siedem bursztynowych światełek ledwo widocznych w mglistej otchłani, to domy przy klasztorze. Jeszcze przejazd pod niskimi gałęzmi matczynego sadu i ot, pomost.

- Koniec dnia i koniec wędrówki...

- I koniec niedobrego czasu - dodał Krzyś - dziś nie widziałem złych znaków i było mi bardzo dobrze.

- Może kto kocha, nigdy złych znaków nie widzi?V

Z drzwi otwartych na sad wybiegł stary głos:

- Czy to wy, dzieci?

- To my - odparła Joasia.

Za nią podszedł ku matce pólnagi Krzyś w wianku na głowie i z wiosłami na ramieniu. Złożył swój ciężar pod oknem, po czym zawrócił ku rzece.

- Dokąd idziesz? Chyba coś zjesz wraz z nami?

- Wrócę.

Postały przez chwilę u progu domostwa. Dobiegł je zza mgły nad łągą czysty, przejmujący ton skrzypiec.

- Ach, prawda - rzekła matka z uśmiechem - dzisiaj mgła. A mówił mi przecie któregoś tu dnia, że mgła łączy wody niebios i ziemi.

WAGON NR 16773

Nota dla czytelnika:

Tekst poniższy "Wagon nr 16773" to skrót powieści, skrót w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Inaczej mówiąc, streszczenie, coś w rodzaju zarysu scenariusza filmowego.

Wydaje mi się, że ta forma literacka nowa i bardzo jeszcze surowa, a przecież zasadniczo różniąca się od noweli (jak np. plan od fotografii - jest w tym pewna analogia) ma widoki rozwoju. Daleki jestem od myśli, że to mój wynalazek. Streszczenia były i długo jeszcze będą sztuką stosowaną, czymś użytkowym. Jedyna innowacja, jaką tutaj sobie przypisuję, to właśnie traktowanie streszczenia jako sztuki czystej, autotelicznej.

Napisałem takich streszczeń kilka: *Koło Archimedes*a - powieść etyczną, "Sekundanci" albo "Matka" - taki tytuł nosi powieść obyczajowo-romantyczna, prócz tego mam w tece skrót powieści legendarnej o pomieszaniu się światów, lecz nie wiem, czy to ogłoszę drukiem.

Wagon nr 16773 - przed czytelnikiem; niechże on sam określi rodzaj tej powieści. Co do mnie, jestem w głębi serca przeciwko rodzajom, przeciwko gatunkom, przeciwko odróżnieniu powieści od opowiadania i noweli od eposu. Jestem za Sztuką.

Mglista noc. Przez rozległe przestrzenie kresów mknie pociąg. Przeszywa lasy zalane białym tumanem, przebiega mosty wiszące w mglistych oparach, światłami okien przebiera po niskich krzakach, jest stworzeniem poruszającym się na dnie oceanu mgły.

W wagonach osobowych cisza. Głowy śpiących odrzucone w tył, na oparcia, przypominają pomordowanych nożem. Platformy ładowane drzewem, białe jak ciało i świeżością tchnące jak ciało, błyskają pod lampami zapadłych przystanków kresowych. Na końcu pociągu dzwoni żelastwem pusty wagon nr 16773. Pusty? Nie. Za czerwonymi deskami, w blasku drżącego płomienia świeczki - rozmowa.

Dwaj włóczędzy z gatunku wiecznych wędrowców opowiadają sobie wzajem dzieje żywota. Jeden z nich ma na imię Andrzej, drugi - Aleksy.

Pierwsza opowieść Andrzeja: Kiedy byłem w małym, wędrownym cyrku, życie miałem piękne, choć nieraz bardzo ubogie. W miasteczkach, a i po większych wsiach, rozbijaliśmy namiot i pokazywaliśmy ludziom szczyt naszej sztuki. Trupa to była niewielka: ja, Hanka - wołyżerka, pryncypał, profesor sztuk czarnoksiężskich, naprawdę niebywale zręczny prestidigitator, oraz śpiewak i grajek w jednej osobie, czarnowłose Cyganiątko. Poza tym - dziewczyna, służąca, ot, tłuk do wszystkiego.

Wędrowaliśmy wesoło, śpiewaliśmy nieraz nie tylko dla publiczności, ale i dla siebie, zwłaszcza wiosną. Zimować trzeba było w stolicy, ale i tam nie rozstawaliśmy się. Uczyłem Cyganiuka zawiloci czytania i pisanie, on zaś często śpiewał jakieś węgierskie i ojczyste pieśni.

Pewnej nocy odkryłem, że kocham bez pamięci małą woltyżerkę i że Cygan także ją kocha. Ale ubiegłem go i wziąłem zdobycz młodości pierwszej, najprzedniejszej.

Nazajutrz Cygan powoził, gdy nasz dyliżans cyrkowy jechał wśród rozlewisk letniej powodzi. Nie przeczuwaliśmy nic złego. Służąca gotowała obiad, pryncypał naprawiał swój kostium obszyty cekinami. Ja i Hanka siedzieliśmy za firanką z perkalu, patrząc sobie w oczy. Ot, młodzi.

Naraz konie pędem wjechały w wodę. Nim zdołaliśmy pojąć, co się dzieje, główny nurt powodzi wyrócił nasz wóz. Zaczęła się walka o życie. Utonął nasz dobytek. Utonął stary magik i Cygan, i mała woltyżerka.

Wśród połamanych wierzb ocknęliśmy się tylko ja i piegowata dziewczyna. No i koń, biały koń Hanki. Zastrzeliłem go.

- A co się stało ze służącą?

- I ją zastrzeliłem. Znacznie później, w kilka lat po naszym ślubie...

Koła pociągu biją o szyny. Mgła, wielka mgła. **Opowieść Aleksego.** Pięknie było w naszej wiosce nad jeziorem. Chata nasza była czysta i widna, rodzina dobra i bogobojna. Pochodzę ze starowierów. Nie tylko wódki nie pili, ale nawet tytoniu nikt z nich nie palił. Święci po prostu, czy co. Ja jeden gnany byłem niepokojem i burzą. Jako wyrostek kilkunastoletni także strzeliłem. Prawdziwe moje życie zaczęło się od nieszczęsnego wystrzału. Zabiłem ojca. Więcej w tym było przypadku niż złości. Kłóciliśmy się u stryjka w leśniczówce. Ojciec napominał mnie statecznie i surowo, wreszcie uderzył w twarz

- Pamiętaj - powiedział - ojcem twoim jestem.

I wyszedł z izby. A ja przez chwilę stałem wściekły z gniewu, potem porwałem ze ściany dubeltówkę i wypadłem na ganek.

On odwrócił się na ścieżce i pogroził mi palcem:

- Ojcem ci jestem. Tym mnie nie nastraszysz.

A ja - z obu luf!

Reszta młodości przeszła mi w domu poprawczym. Bunty i awantura nożowa doprowadziły mnie dalej. Do więzienia. Towarzysze z celi - jeszcze dalej, do przemytnictwa. Podobała mi się zielona robota. Alem rósł i myślał, i bardziej mi się podobała zielona wolność. Wędruję i niebo nade mną. Wędruję i dla mnie szumią pola, dla mnie potyska rzeka. Coś się odmieniło we mnie. Uspokoily się złości moje.

I wiesz, teraz, po tylu latach włóczęgi, to nawet czasem próbuję pieśni układać.

Po cóż zabiłem!

Żałuję, ale i usprawiedliwiam się. Nie mogłem znieść tej świętości życia rodziny, tej ich stateczności, tej wyżyny osiągniętej bez walki. To było jak stojąca woda, a mnie - człowiek jestem - żywej wody potrzeba!

- I zawsze jesteś sam?

Uśmiechnął się Aleksy, lecz nie odpowiedział.

Koła pociągu biją o szyny. Mgła, wielka mgła. **Ten trzeci.** Pociąg stanął. Zgasła świeca w wagonie nr 16773. Skroś mleczną ciszę nocy słyhać szum wody napełniającej zbiorniki parowozu. A gdy i to ucichło, Andrzej i Aleksy usłyszeli szybkie, lekkie kroki. Tak nie chodzą kolejarze, ludzie pracy. To jeszcze jeden "kunda".

Nic nie widać. Uczestniczą tylko w tym, co słyhać przez deski wagonu. A właśnie dobiegają i kroki kolejarzy. Gwizdki. Okrzyki. Szukają tamtego, gonią biedaka. Długo trwa wrzawa, długo stoi pociąg. Wreszcie rusza.

- Przepędzili go albo złapali i oddali policjantom - konkludują wędrowcy.

Ale w tej chwili w gęsto okratowanym okienku ukazuje się noga ludzka,

opuszczająca się z dachu. Noga szuka oparcia. Włóczędzy uchylają drzwi i pomagają nieznanemu zejść do wagonu.

- Ilu was, towarzysze?

- Dwóch.

- Zapalcie świecę.

Zamknęli drzwi, zapalili światło. Okazało się, że jest średniego wzrostu, że ma na policzku szramę od noża. Że oczy ma jak czarne oczodoły.

On zaś spostrzegł niebieskie spojrzenie Aleksego i twarz Andrzeja, przypominająca twarze gorączkujących.

Ułożył się na słomie z rękoma pod głową.

Koła pociągu biją o szyny. Mgła, wielka mgła. **Druga opowieść Andrzeja.** Na wiele lat przed sprawami cyrku i Hanki byłem nauczycielem gimnastyki. Przydało mi się to potem przy akrobacjach cyrkowych. Lubiłem gwiazdy i gimnastykę. Ciało moje sprawne i gibkie dobrze sypiało, ale zdarzały się takie białe noce, podczas których i ono nie chciało snuć. Miałem przyjaciela w obserwatorium. Niekiedy bywałem u niego. Z jakim żarem zapału opowiadał o astrofizyce, o tajemniczych przepaściach nieba!

Brat jego, czternasto- czy piętnastoletni chłopak, także odwiedził młodego astrouczzonego. Kochali się bardzo. Nie mieli już rodziców ani krewnych. Cały ród to byli oni: Jan i Adam.

Ten Adam był moim uczniem. W szkole, w której uczyłem, wybijał się na czoło lekkoatletów jako świetny skoczek. Miał rekord miasta w skokach w dal i wwyż, a niewiele mu brakowało i do rekordu w skoku o tyczce.

Pewnej nocy byłem w obserwatorium i patrząc przez refraktor na olbrzymią tarczę księżyca, słyszałem, jak braci rozmawiają o sprawach ciała. Starszy brat uczył chłopca: ciało jest jak kosmos, ciało wymaga harmonii wszechrzeczy wewnątrz siebie. Jeśli rozbijesz równowagę własnego kosmosu i może się zdarzyć wielka katastrofa...

Tak uczył brat brata.

Nazajutrz na boisku zbliżył się do mnie Adam z bladym uśmiechem:

- Pan słyszał naszą wczoraj rozmowę, prawda?

- Słyszałem.

- Zdaje mi się, że zgrzeszyłem. Nawet na pewno zgrzeszyłem. Ale nie było mi z tym źle, póki mi brat nie powiedział o moim własnym kosmosie. Może to naprawdę niszczy harmonię?

A na mnie napłynęły całą falą mętne przecucia czegoś, co się musi stać.

- Cóż takiego zrobił?

- Nic wielkiego - odparł i podjął z piasku tyczkę.

Wziął rozbieg, wbił drążek w skocznnię i wznosił się ku górze w pięknym, naprawdę rekordowym skoku. Lecz gdy był nad poprzeczką - czy wbił tyczkę zbyt mocno, czy może była nadwątłona, dość że złamała się w połowie i upadł na nią całym ciężarem, na te drzazgi i zadziory.

Żył potem jeszcze dwa dni.

- A co się stało z jego bratem?

- Nie zobaczyłem go już nigdy. Wtedy właśnie uciekłem po raz pierwszy w świat, na wędrowną. Nie chciałem żyć z tymi ludźmi, którzy rozumieją wszystko we wzniosłych przenośniach, a to innych kosztuje życie. Zachciało mi się powietrza i miłości, istnienia bez metafor. Chciałem być zwyczajnym człowiekiem, nie zaś chodzącym kosmosem.

- Wtedy przystałeś do cyrkowców.

- Nie od razu. Różne były moje koleje losu. Ale teraz wiem: jedno i drugie jest prawdą. Człowiek jest wszechświatem całym i jest równocześnie prostym, zwykłym trójwymiarowym stworzeniem...

Koła pociągu biją o szyny. Mgła, wielka mgła. **Opowieść tego trzeciego:** Chodziłem po ziemi od maleńkości z dziadami proszalnymi. Prowadziłem, siedmiolatek, ociemniałego staruszka, który tylko w jednym oku nie miał światła, ale udawał ciemnego. Zarabialiśmy dobrze. Litościwi byli ludzie przed wojną.

Widywałem zebrania dziadów w jarze nad rzeką. Rozgonną i pamiętam do dziś te oblicza zarosłe, w ranach i strupach, te nogi kalekie, kikuty rąk, jamy ropiejące bioder i pleców. Uczta dziadów to było coś wielkiego. Niestwory i okropieństwa chodzące, gdy wypity całe wiadra wódki, zamieniały jar w przedpiekle niepojęte.

- Opowiedz coś o tym.

- Ach, po co... Kiedym wyrósł, byłem czas jakiś ogrodnikiem w szpitalu dla obłąkanych. Widziałem straszliwe uczynki furiatów, widziałem dwoje szalonych kochanków, którzy wystawali w ogrodzie pod starym platanem po kilkanaście godzin bez ruchu, tylko patrząc sobie w oczy lub gaworząc jak dzieci o kwiatkach i morzu. Widziałem nocne bitwy Pawła, co za dnia pracował i śmiał się, i śpiewał, a przy pełni musiał walczyć z demonami. Raz bijąc drągiem dokoła siebie poprzetrącał dwóch dozorców. Pewnej pięknej nocy letniej - zdaje się, że to były jego imieniny - zabity został podczas walki.

- Pielęgniarze go zabili?

- Czy ja wiem... Pewno... Miałem lat osiemnaście, gdy karabin uderzył po raz pierwszy o moje ramię. W pochodach widywało się długie cienie wisielców, postacie chłopów pomordowanych żelazem i ogniem, jeńców, których żywcem wiązano nago drutami kolczastymi... Na postojach śniło mi się jedno i to samo: glob ziemski, wydrążony w całym swoim ogromie i napełniony stosami martwych ciał.

Kiedym miał lat dwadzieścia i już podleczyły mi się płuca po gazach, ocknąłem się na ulicach miasta głodny i bezdomny. W jamach i norach znalazłem istoty ludzkie potworniejsze od wszystkiego, com widział dotychczas. Nie było dla nich nic świętego i nic okropnego, i nic dobrego, i nic złego.

I po raz pierwszy spotkałem człowieka, który miał serce, dopiero w dwa lata później.

- Jakże to było? Jak się to stało?

Po cóż opowiadać...

Koła pociągu biją o szyny. Mgła, wielka mgła. **Wciąż mglista noc.** Teraz przerwały się opowieści. Aleksy słuchał ich współleżąc, Andrzej zaś - stojąc przy zakratowanym okienku.

Coś się stało. Oto koła wagonu uspokajają się, cichną, tocząc się jeszcze bezwładnie.

- Wyrzyj, Andrzej, zobacz, co się dzieje.

- Nie mogę. Drzwi ktoś zamknął z zewnątrz.

- Nikt nie zamknął. Rygiel sam na pewno spadł podczas biegu pociągu.

Gwiazdy w okienku wskazywałyby północ, ale nie widać ich we mgle. To już kres. To kres powieści wszystkich. Świeca się dopala. Wagon nr 16773 oderwany od pociągu został na torze, po którym od dalekiego miasta pędzi pociąg pośpieszny. Wędrowcy nie wyjdą z pułapki. Jedne drzwi są zabite gwoździami, u drugich rygiel się zamknął, a kraty w okienkach mocne są i nie do wyrwania.

Żal swobody wędrownej.

- Nie ma wyjścia. Rozbije nas ten pociąg pośpieszny na miazgę.

- Słyszycie: gwizdże w lesie.
- Towarzysze, przepadło wszystko. Nie ma wyjścia, ale można śpiewać?
- I tak nikt nie usłyszy. Stoimy w szczerym polu.
- Nie po to zaśpiewajmy. Dla nas samych. Przecież mówicie, że i tak wszystko jedno.

- Zaczynaj.

- Znaście pieśń o wielkiej swobodzie?

- Znamy, zaczynaj, Aleksy... **Różany świat.** Anna wyszła w mglistą noc z leśniczówki utopić swe nieślubne dziecko. Lecz usłyszała pieśń o wielkiej swobodzie i wydało jej się, że tak mogą śpiewać tylko ludzie bardzo szczęśliwi, dla których świat to miły dom. A ona? Ona chce własne dziecko pozbawić i domu, i świata, aby nie osiągnęło szczęścia ni nieszczęścia. Choć to dziecko może przecie stać się kiedyś takim człowiekiem, jak ci, co całą duszę wkładają w pieśń o swobodzie...

Podeszła do wagonu, który utknął we mgłach i pustce pól, otworzyła rygiel i uchyliwszy drzwi, zapatrzyła się na śpiewających. Ledwo ich widać było w mroku. Naraz urwali pieśń.

- Drzwi! - krzyknął jeden.

Gdy wyskakiwali ze swego czerwonego wiezienia, gwizd w dalekich lasach powtórzył się znacznie głośniejszy.

Aleksy podbiegł do jałowca tulącego się przy zboczu nasypu. Podpalił krzak. Buchnęły różowe płomienie i świat dokolny zaróżowił się, a mgła jakby cofnęła się o kilka kroków.

Ujrzeni wtedy Annę z dzieckiem na ręku i wydała się im jak obraz.

Pociąg pośpieszny stanął, skoro maszyniści dostrzegli we mgłach różowy świt gorejącego krzaku. Wyjaśniło się wszystko.

Kobieta ruszyła ku domowi. Wędrowcy dobrnęli razem do dworca kolejowego, tego pałacu ludzi bardzo ubogich, i rozeszli się. Nie wiemy, czy na długo.

PO LATACH Nowela

Rzeka stała się tego wieczora gniazdem świateł i światła dla miasteczka. Łodzie, pontony, tratwy rozbrzmiewały pieniemi, niefrasobliwością, muzyką, śmiechem toczącym się po wodzie, ku leśnym obrywistym brzegom. Niebo wisało nisko, rdzawe od blasków lamp. Pod to okrycie tajemnicze, pełne cichego ruchu chmur biegnących śpiesznie, wylatywały raz po raz ogniste linie rac.

Ich błękit, różaność, promienną zieleń i złote skry tłumy na przystani i łodziach witały radosnym okrzykiem!

- Aaaa...

Płomienie płynęły w górze jakby niewidzialnymi rynnami, spadały kapryśnie, pękały tęczą, świstały, rzucając się z wysokości na czarną toń.

Z dala od tego miejsca cudów ognistych, w bystrym prądzie rzeki stała na kotwicy długa łódź. Ilekroć blaski wzbijały się w niebo, ujrzeć można było pięć żeber stateczku, wydobytych z mroku nagle i nie w całości, bo część ich krył cień lewej burty. Po stronie oświetlonej, bliżej steru, siedzieli dwaj ludzie.

- Po coś tu wrócił? - pytał jeden z nich, patrzący surowym i chłodnym wzrokiem na roztrzaskującą się właśnie jasną kulę czerwieni.

- Czy myślisz, że lekko jest chodzić po świecie z nieszczęściem swoim i całym latami nie widzieć jedyne go na świecie domu?

- Ten dom nie dla ciebie.

- Wiem. Ale wolno mi chyba z daleka nań popatrzeć. Wolno mi chyba myślać tam przenikać, oglądać sypialnię matki z wieczną lampką przed obrazem.

- Matka już dawno nie żyje.

- Wiem. Łudzę się, że inaczej byłaby przecież świat schodziła, szukając mnie.

- Tyś ją sam wpędził do grobu.

- A przecież nie było dnia, bym o niej nie myślał, bym nie wspominał jej z miłością.

- Ale kiedyś, przed laty, nie pomyślałeś o niej.

- Moja wina - odparł drugi z pokorą. Nowa rakietka weszła na niebiosy, stanęła na chwilę w górze, niby gwiazda niebywalej wielkości, potem spłynęła w złocistych łzach ku toni, gdzie podobne złote krople podążały ku nim jak symbol pojednania.

- Wtedy, wtedy... - zaczął tamten i urwał. Nie wiedział, jak to wyrazić.

- Wtedy, gdym zabił Annę - odpowiedział siwy z przejmującym smutkiem w głosie, lecz spokojnie.

- Wtedy, a i do dziś jeszcze nie mogę zrozumieć, dlaczego to... dlaczego tak się stało. Przecież nie było człowieka w miasteczku, który by się nie uśmiechał, gdy ona szła ulicą. I nie było szczęśliwszych kochanków niż wy... Twoje milczenie naprawdę przerażało, bardziej niż sam czyn. Dlaczego?... dlaczego?

- Cóż miałem powiedzieć? Nie wiem, sam nie wiem. Wobec sądu, a potem wobec ciemnych krat nie umiałem zdać sobie sprawy, co to było. Miasteczko patrzyło na naszą miłość, ale nikt nie wiedział, że naprawdę była ona większa i piękniejsza, niżby to można było znieść.

- Pawle!

- Nie powiem tego, co teraz myślę...

Palma wielopalczysta, barwna i ognista, zakwitła w ciemności, zasyczała i szczyła niespodziewanie w wysokości. Była tak oślepiająco błyskotliwa, że po jej zagaśnięciu mrok wydawał się jakby gęstszy.

- Coś zerwało się we mnie, rozumiesz? Coś pękło z nadmiaru. Wyrośłem jako

jednak, to także ma duże znaczenie... Ty, jako pasierb, nie liczyłeś się...

- Do ostatka tak było. To ty, marnotrawny i nieszczęsny, byłeś przez matkę kochany, nie ja, na którego rękach umierała...

Siwowłosey patrzył w czarną wodę.

- Byłem kochany... - szepnął. - Byłem kochany - powtórzył - i stąd, stąd właśnie całe nieszczęście. Zrozum: ogrom, a bez wyjścia... Zrozum: wszystko - ale kiedy jest już wszystko, to czego można więcej pragnąć? Zostaje tylko jedna sprawa: zniszczenie wszystkiego! Zresztą to, co mówię teraz, to tylko formułki. Wtedy - kipiło we mnie... Lata minęły, starzyśmy już obaj, a ciągle widzę przed oczyma pokój Anny taki jak wówczas... Taki, jakim go ujrzałem, przybiegłszy tam na twoje obłąkane śmiechy. Te rozstrzaskane stoliki, podarte w walce firanki, płomień wspinający się po obrębie makaty...

- Nie mów o tym.

Ale nie mogli teraz nie mówić. Wizje minionych spraw raz rozlane w łodzi nie chciały ukryć się, były jak złośliwy geniusz z bajki, niebacznie wypuszczony przez rybaka z odwiecznego zamknięcia. - Walczyliśmy blisko godzinę - podjął znowu Paweł, gdy cała kolumnada "świec rzymskich" stanęła u wybrzeża przystani - Anna była silna. Z początku sądziła, że mój napad bez słowa, lecz przy ulewnym deszczu, bijącym o szyby, był to jakiś kiepski żart. Potem przeraziła się, chciała uciec z pokoju. Lecz nikogo nie było w domu, drzwi zamknąłem na klucz, sosny szumiały w nawałnicy wokół leśnego domu. Więc uciekła, tłukła się jak ptak w klatce. Skakaliśmy jedno za drugim po stołach, stolikach, kozetkach i łóżku. A przecież była młoda i silna... Mogła być równie dobrze mnie udusić...

- Pawle, przestań. Już nie mogę słuchać... Anna, Anna, dobra, śliczna Anna..

Na tratwach umajonych girlandami zieleni płynęła w ciżbie łódek, pontonów i czółen grzmiąca orkiestra. Tłumy w uciechu podchwytywały za muzyką refren znanej piosenki.

...i pod gwiazdami się ślania...
pamiętasz róże? Pamiętasz róże,
upalne święto kochania...

- Pawle, i ja ją kochałem...

Przez długą chwilę słowa te nie znaczyły dla siwowłosego nic. Rozszerzonymi źrenicami patrzył w łuski fal, osypane drobnymi ziarenkami świecącego błękitu, bo właśnie brzeg rzeki rozgorzał niebieskim ogniem bengalskim. Nagle zerwał się, stanął w łodzi drżący, straszny od tego, co się w nim działo i od upiornego blasku.

- Kochałem Annę - rzekł raz jeszcze ów drugi z pokorą taką samą, jak pokora Pawła, gdy mówił o swej winie.

- Pójdę dalej... Do brzegu! - wyszeptał Paweł.

Obaj chwycili za wiosła.

BAJKA DLA PANI M. W.

Szklane panienki - jak wiadomo - mają żywot krótki: od święta Zwiastowania do pierwszej wiosennej burzy. Jednak ta, o której dziś opowiadam, uchwyciła się dłużej. Może dlatego, że wiosna była pogodna, a co do letnich grzmotów, to, choć silniejsze, nie są szkodliwe dla szklanych panienek.

1

Mój przyjaciel, puszysty i leniwy Czarnuś, błędził pewnej marcowej nocy po ogrodzie. Oczywiście, nie miał pojęcia o owym tajemniczym święcie. Koty bowiem są poganami, nie znajdującymi się w dodatku na kalendarzu. Jak już powiedziano, błędził, kroczył, stąpał, kluczył, aż spostrzegł szklaną panienkę. Światło księżyca, rozplątując bezlistne gałęzie, lśniło na sukience z szyby.

Kot natychmiast przybiegł do mnie z dziwną wiadomością. A że rozumiemy się bez słów, wyszedłem za nim do ogrodu. Zjawisko trwało pod starą, powyginaną jabłonką. Błyskało lustrzaną twarzą, olśniewało falbankami ze szkła, migotało dłońmi, które przypominały cienkie tafelki lodu na ściekach ulicznych. Takie tafelki niszczą obcasem niedobre dzieciaki, idąc do szkoły w przymroźne rano.

Za sprawą mądrego, acz leniwego Czarnusia - a umiemy porozumiewać się bez słów - szepnąłem na powitanie:

- Jesteś piękna, szklana panienko... Bardzo piękna...

Zjawisko obróciło się dokoła, niby cicha karuzela, przy czym chwilami zniknęło nam z oczu na tle mroków ogrodu. Po obrocie szklana panienka stanęła i usłyszeliśmy, ja i mój przyjaciel, że mówi wierszem:

Zasmucona, w srebrnym półmroku,
Kotu obca, człowiekowi obca,
by się pozbyć nieludzkich uroków,
szukam brata, szklanego chłopca.

Spojrzałam na Czarnusia. Błysnął zielonymi oczyma i wypuścił w górę puszysty, miękki ogonek, niby kłęb dymu z fajki. Obaj wiedzieliśmy, że szklanych chłopców nie ma na świecie. Wiedzieliśmy, lecz jakże powiedzieć smutną prawdę tej, która żyje szukaniem nieistniejącego?

- Jesteś piękna, ale twój brat jest o wiele piękniejszy - skłamałem.2

Przez pewien czas szklana panienka przychodziła do mego ogródka co tydzień, pozdrawiając nas pięknymi a smutnymi wierszami. Zjawiała się tylko w pogodne noce, najchętniej przy smugach księżycowego światła. Bywała jednak również i wtedy, gdy tylko nikłe migotanie gwiazd stroiło fałdy jej sukni.

Z początku patrzyła na mnie zwierciadłem, czekając na wieści o bracie, bo przecież dałem jej do zrozumienia, że oczy moje widziały szklanego chłopca. Czarnuś podpowiadał mi różne przemyślane rzeczy: a to, że poszukiwany przesyła jej przez nas szklane koraliki, a to że ofiarowujemy jej mieszkanie wewnątrz podwójnego okna...

Szklana panienka nie przyjmowała darów. Obracała się dokoła jak cicha karuzela i mówiła:

Zasmucona, w srebrnym półmroku,
nie chcę pięknych okruchów świata,
muszę wyjść z nieludzkiego uroku,
odszukawszy szklanego brata...

Mijały miesiące. W jesieni, z nadejściem słońca, przestałem ją widywać. W ogrodzie mokły drzewa, woda zbierała się na ścieżkach, wyłożonych złotymi listeczkami. Nie, to nie był dobry czas dla szklanej panienki... Odetchnąłem, bo przecież ciężko kłamać i kłamać, a z drugiej strony - wyjawiać biednej czarodziejce, że nie istniał i nie istnieje szklany, wymarzony brat - o, to byłoby zbyt okrutne! I jakież by miało cel?3

Wróciła, gdy śnieg okrył schodki, framugi, gałęzie i klomby białym safianem. Skarżyła się, że niedobre dzieci dokuczają jej. Któryś tam urwis, zakradłszy się na jabłonce po rumiane owoce, podsłuchiwał raz rozmowę naszą. Teraz zimą namówił kolegów i do spółki z nimi zmajstrował na stawie z bryły lodu śmiesznego bałwana. Psotnicy chodzili dokoła poczwary kołem i śpiewali szyderczo:

Koniec udręki
szklanej panienki!
Oto jest ten szklany brat,
piękny niby róży kwiat!

Skarżyła się na te złośliwe żarty i na nieudolną piosenkę. Czarnuś błyskał gniewnie zielonymi oczyma i nerwowo wyrzucał w górę puszysty miękki ogonek. Wyglądało to, jakby dym buchał z komina parowozu. Tego dnia wróżyłem jej z ręki, no i naturalnie znowu kłamałem jak z nut. Według mojej przepowiedni miała zobaczyć najprzód wiele, wiele sióstr, a dopiero w kilka miesięcy potem - upragnionego brata. Dziwiliśmy się obaj, i ja, i Czarnuś, gdy w dzień wigilijny zjawiała się w białym od śniegów i księżycu ogrodzie, promienna i szczęśliwa. Tak była wesółą, że zapomniała nawet o swoich smutnych wierszach.

- Prawdę mówiłeś - rzekła - widziałam w wielu domach zielone siostry, ustrojone w szklane cacka i błyskotki. A to przecież znaczy, że i brat odnajdzie się niedługo...

Nie rozumiałem, dlaczego ona uważa boże drzewka za swe siostry. Czarnuś, który nie lubił choinek, od czasu, gdy mu gorący wosk ze świeczki kapnął na nosek, także nie mógł wczuć się w to pokrewieństwo. Szklana panienka wydawała mu się ślicznym zjawiskiem, a co do kolących, zielonych drzewek - innego był zdania.4

Nadeszła wreszcie tajemnicza noc Zwiastowania. Chmury gnały poprze księżyc. Szklana panienka zjawiała się i znikła w srebrnym mroku. Wyszedłem do niej przez okno. Podałem jej dwa puste kieliszki, a Czarnusiowi spodeczek z mlekiem. Sam, naturalnie, zaopatrzony byłem w kubek pokaźnych rozmiarów. Tam to właśnie, w czerwonym winie, które nocą wydawało się czarne, błyskało odbicie księżycy.

- Panienko, szklana panienko - zacząłem mowę, chrząkając jak wszyscy mówcy - dziś rocznica... więc - te kieliszki... mleko i wino... Tak, szklana panienko, rok minął... Drugi kieliszek to dla twego szklanego braciszka...

Panienko, szklana panienko - mówiłem dalej, nie bacząc, że niebo mrocznieje, a puszysty ogonek Czarnusia znowu upodabnia się do dymu z parowozu - szklana panienko... dobre wino... przyszło i do głowy, za sprawą Czarnusia, że źle robisz,

szukając brata w milczeniu... A gdyby go tak wezwać?

Zjawisko obróciło się niby cicha karuzela. Z lustrzanych ust. uleciał głos:

Przeczuwając w chmurnym półmroku,
niebyswałe jakieś przemiany,
wzywam, wyzwól mnie z uroków,
bracie szklany, braciszku szklany!

W tej chwili lunęła pierwszowiosenna ulewa i trzasnął ogłuszający grom. Gdy oczy moje po błyskawicy znów przywykły do mroku, ujrzałem, że szklana panienka znikła, lecz jej pusty kieliszek wolno, ptaszęco wlatuje ku niebu. Drugi, który w myśli przeznaczałem dla szklanego chłopca, leżał pod jabłonką.

Mój przyjaciel również znikł, lecz nie tak jak smutna czarodziejka. Po prostu dał susa w okno i skrył się w ostatnim pokoju pod szafką. Nie omieszkał przy tym roztrzaskać doniczki z kaktusem. Trzeba dodać, że i kaktus nie omieszkał ukłuć kota w puszysty, miękki ogonek, przypominający dym z fajki.

Kiedym tak obejmował rozumem, co się stało, drugi kieliszek także uleciał do góry, jakby ktoś niewidzialny chwycił go za rękę, i podążył za niewidzialną już szklaną panienką. Byłżeby to jej brat?

Do dziś nie wiem. Pamiętam jednak dobrze, jak srebrnie obracały się oba kieliszki, lecąc na wysokości obok siebie, niby dwa gołębie, w dziwną noc Zwiastowania.

PIERŚCIONEK Z MAJOLIKI BAJKA DLA PANI I. ŚL.

I

Płomienne kręgi wokół planety Saturna od dawna uważano za smugi palących się gazów. Ale co innego gaz, a co innego majolika. Toteż gdy w podolek dziewczynki spadł z ciemnej przestrzeni wieczoru błękitny pierścień z majoliki, nie zdziwiło jej to ani trochę.

Wzięta pierścionek w drobne paluszki, pomyślała przez chwilę o Saturnie i westchnęła, jak to dzieci czasem wzdychają, nie wiadomo czy z ulgi, czy z zachwytu.

Balkon, na którym się bawiła, oświetlał rześisty blask z okien mieszkania jej rodziców. Muzyka i toasty sprawiały, że dziewczynka nasłuchiwała wysokiego a cienkiego pobrzęku szyb. Naturalnie, nikt się nią nie zajmował, bo mamusia, jako gospodyni balu, musiała się zajmować gośćmi. Dziewczynka była sama i nikt nie wiedział o jej małym, błękitnym gościu.

Kwiat azalii, ujrawszy przedmiot bratniego koloru, nachylił się nad rączką dziewczynki:

- Fiu, fiu - zagwizdał - ależ to ładne...

Ćma puszysta i wielka jak liść klonowy przysiadła obok.

- Fiu, fiu - zadziwiła się i ona - ależ to śliczne...

- To śliczne - skrzypnęła poręcz balkonu.

- Śliczne - potaknął cichutki pobrzęk szyb.

Ogólny zachwyt powitał saturnijski pierścionek z błękitnej majoliki. II

Wnętrze ziemi zawiera rozmaite skarby i dziwy. Złote odlewy przedwiecznych paproci oraz bryły diamentów, którym kaprys dał kształty śmiesznych głów dziecięcych, nie są tam niczym niezwykłym. Pośród grot, mających barwę mroku, między strugami gorących rzek podziemnych, spoczywają rzeczy niebywałe. W tych rzadkich minutach, gdy jakieś dziecko powie sobie:

- Nie chciałbym być dorosłym...

Albo też:

- Nie chciałabym być dorosłą... ...w tych rzadkich minutach otwiera się serce ziemi, która kocha marzenie o wiecznej młodości. Wówczas wychodzi na świat ten czy inny klejnot, ten czy inny cud. Raz na tysiąc lat jest to pierścień z majoliki, nie ziemski rodem, przybysz z dalekiej planety Saturna.

III

Dziewczynka śpi. Gasną światła balu. Polewa pierścionka ciemnieje jak niebo po północy.

Brązowy potwór z pozłoconymi powiekami uformował się w kącie z mroków i cieniów pokoju. Oto uniosły się powieki, oto spojrzały na dziewczynkę orzechowe źrenice.

- Chodź ze mną, śpiąca... Ja gromadzę samotnych...

- Gdzie?

- Zbieram ich na wyspie czarnych gładów, prującej wody Zatoki Zapomnienia.

- Po cóż to robisz?

- Nienawidzę radości. Najsamotniejsi, póki nie są u mnie, potrafią się cieszyć. Zbieram ich tam, aby zgaśł bezsensowny płomyk wesela. Nie ustane, póki na świecie choć iskierka rozradowania tlić się będzie...

Rozmowa ta, w której dziewczynka tylko myślą brała udział, dla całego jej otoczenia była bardzo wyraźna:

- Ależ to dziecko wcale nie jest samotne! - wykrzyknął kwiat azalii.

- Nie jest samotne! - przytwardziły jednogłośnie ćma, poręcz balkonu i szyby.

- I cóż jest warte wasze świadectwo? Zabiorę ją... - rzekło monstrum.

- Ojczy Saturnie, pomóż mi, obroń maleńką - szepnęła pierścienek z majoliki.

A wtedy stało się coś tajemniczego. Dziewczynka roześmiała się przez sen, a na dźwięk jej śmiechu spadła pozłotka z powiek potwora, zaś on sam rozsypał się na wielką ilość atłasowych płatków sadzy.IV

Umywalnia się zepsuła. Z kranów płyną strumienie wody, zalewają łazienkę, zatapiają pałac i park.

Już dziewczynka umyła się, już i tysiące dziewczynek mogłoby się umyć, a woda leci i leci.

Od lasu błękitnych azalii do gliniastego lotniska puszystych ciem, wielkich jak klonowe liście, rozlewa się jedno wielkie morze wzburzonych wód umywalni. Dziewczynka płynie wśród kolistych fal. Prąd unosi ją na pustkowia, ale ona nie chce się poddać. Przepłytnie ponad zatopionym lasem, wtargnie przez okno do pałacu; przecież trzeba ratować tatusia i mamusię!

Płynie resztką sił. Przybór wody huczy. Zalew sięga ulubionego balkonu dziewczynki. Dobrze by było dopłynąć jeszcze troszkę, troszkę bliżej i przytrzymać się poręczy tego balkonu. Tylko że prąd rwie...

- Wzywaj pomocy! - zaszumiły skrzydła ćmy w pobliżu.

Lecz dziewczynka nigdy nie wezwała o ratunek, więc i teraz nie mogła tego robić. Bolały ją ręce i nogi, chłód wody zziębnił całe ciało. Tonęła.

- Już nigdy nie zobaczę pierścienka z majoliki - pomyślała pełna żalu.

Wówczas pierścienek błękitny i lśniący westchnął:

- Ojczy Saturnie, pomóż maleńkiej...

I stało się, że drobne palce dotknęły zbawczej poręczy balkonu, potop zaczął opadać, cofając się w głąb kranów umywalni, a słońce poranka osuszyło okolicę.

Co do umywalni, zdaje się, że nie bez winy były płatki sadzy, resztki ponurego a wrogiego dziewczynce potwora.V

Bał trwał i następnego dnia, bo dlaczegoż by nie, przyciągnął dziewczynkę! Stała w drzwiach sali, starając się zrozumieć istotę niesamowitej zabawy.

Chórek, zajęty przez kilku muzykantów, uginał się pod ciężarem grubych melodii - to łatwo było pojąć. Natomiast dlaczego mądrzy skądinąd goście tatusia i mamusi byli posłuszni tej głupawej, wulgarnej muzyce - oto zagadka. Bo przecież tatuś grywał czasem na pianinie bardzo marząco. Bo przecież nawet szyby dzwoniły bardziej muzycznie niż ów puzon, klakson, saksofon i rombifon. Niemniej prawdą było, że niemile tony i chrapnięcia źle wychowanych instrumentów doprowadziły (ale dlaczego, dlaczego?) tańczących do stanu ekstazy. Pary krążyły po błyszczącej wodniście posadzce, tonęły w melodii, o ile to można nazwać melodią, jak azaliowy las w potopie.

To było szczęście dorosłych.

Dziewczynka szepnęła z pogardą:

- Nie chciałabym być dorosłą...

I źle zrobiła. Skoro się już ma raz na tysiąc lat pierścionek z błękitnej majoliki, nie trzeba wymawiać zaklętego życzenia.

Pierścionek wypadł jej z ręki i potoczył się między tańczącymi. Na próżno dziewczynka usiłowała go schwytać. Mknął po parkietach, schodach, a potem po drózkach i gościńcach, aż umknął i przepadł, i nie ma go.VI

Dziewczynka dorosła, lecz nie jest osobą dorosłą. Nie lubi balów, ale kocha po dawnemu kwiaty, we snach widuje potwory ze złoconymi oczyma.

Jej małe, panieńskie biurko zdobi piękna podstawa pod binokle. Jest to surowa bryła złota z odlewem przedwiecznych paproci. Skoro muszą być binokle i musi być podstawa, niechże przynajmniej będzie piękna.

Niechże azalia, ujrawszy coś paprotnego, coś bratniego, zagwiżdże!

- Fiu, fiu, ale ładne!

Niechże i ćma puszysta, wielka jak liść klonowy, podtrzyma tę opinię.

To inna azalia, to inna ćma. Tylko dziewczynka jest ta sama. Tak samo późnym wieczorem wychodzi na balkon i spogląda w ugwieżdżone niebo. Pośród gorących rzek drogi mlecznej, między grotami olbrzymich mgławic, daleko, daleko, wirują płomienne kręgi planety Saturna.

Wzrok dziewczynki, uzbrojony szklami, odnajduje w otchłaniach nieba najmilszy punkcik Świetlny.

A ręce wspierają się na starej, przyjaznej poręczy balkonu.

LITERY

Byłem i ja z tych młodziutkich żołnierzy, co wyszedłszy z domu spod słodkiej matczynej opieki, stają nagle wobec łunnego wichru wojny niespokojni, a obcy sobie samym. Byłem z nich i rozumiałem to dobrze. Mundur jak warstwa czasu ochrania? mnie od wszystkiego, co zostawiłem w rodzinnym mieście. A był to mundur zbyt obszerny. Miał być strojem żołnierza Rzeczypospolitej, tymczasem okrywał siedemnastoletnie ciało chłopca, który niewiele miał wojennego animuszu, a mniej jeszcze wytrzymałości na trudy ostrych marszów i całego marszowego mozołu.

W roku 1920 my, tacy właśnie chłopcy od książek i samotnych wędrówek po parkach oderwani, dostawaliśmy do obrony Ojczyzny przeważnie karabiny starego typu francuskiego, długie i ciężkie maszyny z bagnetem odpowiednio olbrzymim. Kiedy stałem w szeregu, mój karabin "przerastał" mnie nawet i bez bagnetu. Dostawaliśmy też tornistry z łaciatej, cielecej skóry, która często we mnie budziła nieokreślony żal do świata, oraz chlebaki, granaty ręczne, zapas naboju. Z bielizną, menażkami, nawet pasami do karabinów, nie mówiąc już o łopatkach, różnie bywało. Pokrzepienia dla duszy tyle tylko mogliśmy zakosztować, że z rzadka, z okazji jakiegoś przetasowania oddziałów czy odjazdu na ziemie boju, przemawiał do nas któryś z dowódców.

Mundur i karabin były dla mnie zbyt duże. Nie czułem się żołnierzem. Maszerowałem ku niebu czerwonemu od pożarów w przeświadczeniu, że spełniam swój obowiązek. Zaciąłem się wobec ogromu spraw, które toczyły się burz?. Tak już było.

Byłem i ja z tych młodziutkich żołnierzy, co szli do boju na smutno, co potrafili przed czujnym okiem kontroli przełożonych ukryć w tornistrze obok przepisowego obciążenia mały dodatek - książeczkę. Mój naddatek by? nie taki mały: towarzyszyła mi Biblia. Pewnego wieczoru na litewsko-białoruskim froncie staliśmy w lesie. A właśnie było po bitwie i wielka gromada jeńców w oberwanych szynelach i kudłatych czapach grzała się u ogniska. Otoczeni byli stratą dość liczną ze względu na chmurne ciemności. Nie śpieszyło im się do ucieczki. Siedzieli wokół płonących gałęzi zamyśleni. Ten i ów nawet brał się do pieśni, ale jakoś to nie szło. Z dała widziałem tylko mur postaci tym czarniejszy, że na tle ogniska, przerwany gdzieś błyskami bagnatów straży. Podeszedłszy do gromady, rozróżniłem twarze. Przeważnie w połowie czerwone od blasku, w połowie widniejące w mroku czarną półbryłę. Jedna twarz, jastrzębia i kozacka, wyróżniała się rycerskością rysów. W niektórych wielkoruska łagodność spojrzenia nie licowała z bliznami i bandażami, w innych głębokie oczodoły mongolskie wypełniał mrok, upodabniając je do trupich czaszek. Jedna twarz, jastrzębia i kozacka, wyróżniała się rycerskością rysów.

Kozak stał blisko, rozróżniałem nawet ruchy rzęs opadających raz po raz na bystre oczy. Zachęceni przez straż jeńcy zaczęli śpiew. - Papierosów wam damy - mówili nasi.

- *Za papirosku spajom. Charaszko... Kola, tiani...*

W lesie, w którym już rdzawiły się liście, uderzyła o ciemne pnie pieśń:

Ej, ten obcy kraj, obcy kraj,
niedolą cały zasiany...
łzami polewany,

smutkiem zagrodzony...

Kozak nie śpiewał. Zresztą wielu nie śpiewało. Wśród tego ludu z różnych krańców świata niejedynemu choć i rad by było dostać papierosa, nie znał tej pieśni. Niektórzy mruzcili, kołyszając się rytmicznie, wsparci ramionami. Nie paliłem wówczas, więc miałem pełne kieszenie papierosów wydzielanych nam wraz z chlebem i innym zaopatrzeniem. Garść ich podałem dumnemu kozakowi. Popatrzył na mnie, zawahał się, lecz wziął dar, a potem uściśnął mi rękę. Zrobiło mi się nijako. Nie wiedziałem, na wpół dziecięcy żołnierz, czy to wypada ochotnikowi ścisnąć tę dłoń. I ja się zawahałem, i tak samo jak on zdecydowałem się: oddałem uścisk. Wówczas piękna twarz rozjaśniła się nieco w gorzkim uśmiechu. Kozak sięgnął do chlebaka, nim się spostrzegłem, wcisnął mi w rękę dużą książkę w czarnej oprawie i zniknął w ciemnym tłumie.

Na pierwszej stronie książki odczytałem napis: *Pismo Święte*. Było to berlińskie wydanie przekładu Wujka z roku 1861. Skąd miał kozak tę polską książkę ani kim byłnie dowiedziałem się. Natomiast Biblia owa i dziś mi jeszcze służy. Lepiej służyła mi na postojach. Gdy trzeba było wypocząć w marszu, siedząc w przydrożnym rowie nie zdejmując tornistra, ona właśnie sprawiała, że ciężar karabinu stawał się mniej uciążliwy albo i rozptywał się zupełnie w dziejach Saula i Dawida, w natchnionych strofach proroków izraelskich, w prostej a rzewnej opowieści o życiu Chrystusa z Nazaretu.

Zapadałem w książkę jak w sen i to była moja obrona przed rzeczywistością pełną pogrzmotu odstrzałów i wybuchów. Grały w niebie pociski dział, drobne ptactwo kul ścinało gałęzie nad nimi, sypało cetynę i liście, a mnie prócz tego dudniły w głowie wozy wojenne faraona i kopyta jeźdźców Gedeonowych. W oszołomieniu mijały dni, zapchane wypadkami i literami. Może, dlatego że mundur i całe moje żołnierzowanie za duże były dla mnie, pokochałem *Biblię* bardzo i nie tylko ją: wszystko, co z liter. Znów był wieczór. Skroś Niemen strzeliła smuga, odzew dalekiego pożaru na drugim brzegu rzeki. Ponieważ tam palił się jeden budynek i w pogodnym, bezwietrznym wieczorze świecił wysokim słupem ognia, pręga złocista na wodzie ustaliła się w kształcie wąziutkiego klina, co zaczynał się tam, przy kępie starodrzewu, a ginał u pluskających lekko pontonów.

Przez most rzucony był na owe pontony spieszenie i byle jak, most wąski, z desek i bali ledwo złączonych, prowadziliśmy działa. Zadanie było nie lada, bo konie bały się smugi ognia, czarnej wody, chwiejności mostu. Prychały, stawiały nogi ostrożnie, lecz płoszyły się byle wystrzałem. Trzeba było posuwać koła dział rękami, obracając szprychą, a idąc przy tym po wąziutkim skrawku desek, jaki zostawał dla stóp obok drogi tych kół.

W górze pierwsze gwiazdy wschodziły w poplątanej kracie zwałonego mostu kolejowego. – Ho, ho, cieś, cieś... – głosy koniowodów brzmiały łagodnie, dodając odwagi koniom. – Prędszej, prędszej, psia wasza nędza! – podganiał ktoś ze starszyny, przeciskając się obok ku przodowi. Patrzcie, a ja bym o sekundę wcześniej przysiągł, że prócz miejsca na koła dział i nasze stopy nie starczy już desek dla nikogo. Przecisnął się nie on jeden. Jakiś łącznik przeprawił się na brzeg, z którego wyruszyliśmy, jakiś oficer artylerii, nawet dość korpulentny, pogonił za tamtym, który żądał pośpiechu w przeprawie. Sam nie wiem, jak to się stało, czy owi przechodzący byli winni, czy zaczępiłem gdzie o jaszcz albo armatę, dość, że chlebak mój z galonem razowca i Biblię spadł w czarną wodę.

Nie można się było zatrzymać. Drżąc z wysiłku pchałem obłoczone szprychy kół, przekonany, że już tej książki nie zobaczę. Stratę odczułem tym boleśniej, że ona zastępowała mi przyjaciela. Jako jedyny ochotnik w tej kompanii, nie miałem rówieśników, zresztą byłem w tym wieku, w którym przyjaźń między mną a współtowarzyszami broni nie mogła się rozwinąć. Ja znałem świat tylko z ławy szkolnej i książki, oni zaś byli rolnikami, rzemieślnikami, ludźmi dojrzałymi. Ich rozmowy na postojach zbliżały ich wzajem, a mnie - jakże mi bywało smutno - oddalały. Bez książki byłem jeszcze bardziej sam wśród ludzi...

W kilka dni potem leżeliśmy na ściernisku pod laskiem, a przed nami wznosił się w bladym słońcu kościół wiejski obwarowany przez linie wrogów. Serie kul z karabinów maszynowych grały bardzo nisko. To nie lęk, bo byliśmy przecież zdecydowani na śmierć w głębi serca, to jakaś fizyczna siła tuliła nasze głowy do grud ziemi i rozdzierała uszy nadmiernie powiększonymi okrzykami rannych. Ci, dla których wojaczka nie nowina, ci, co z walki uczynili sobie dzień codzienny i zaszczytne rzemiosło, nie wiedzą, ile trzeba krzepy mieć w sobie, aby od myśli o zgubionej książce zerwać się i biec wśród kul tam, skąd wypływają ich ogniste strumienie. Gdy po jednym takim "skoku" runąłem w ogniste strumienie i przypadkiem twarzą do zamka karabiny, między krzakami: - Jezu! Trafili mnie! Matko, mamol... - spostrzegłem ostro, wyraźnie blady bławatek i obok niego strzępy gazety, w którym były zapakowane dwa magazynki naboji, dwie piątki. Złym byłem żołnierzem. Odrzuciłem naboje, choć zdatne do mego karabinu, i w bitwie, w strzałach i ogniu chwyciłem skrawek gazety. Krakowski "Czas" sprzed trzech miesięcy w pierwszych słowach donosił o odwróceniu naszych wojsk z Ukrainy. Ta mało krzepiąca lektura ożywiła mnie niebywale. Następny skok bojowy wykonałem bez ostrożności, biegnąc za daleko i za długo, a po drodze krzychałem jak w gorączce: litery! litery! Znow był wieczór. Skroś Niemen strzeliła smuga, odzew dalekiego pożaru na drugim brzegu rzeki. Ponieważ tam palił się jeden budynek i w pogodnym, bezwietrznym wieczorze świecił wysokim słupem ognia, pręga złocista na wodzie ustaliła się w kształcie wąziutkiego klina, co zaczynał się tam, przy kępie starodrzewu, a ginął u pluskających lekko pontonów.

Przez most rzucony był na owe pontony spiesznie i byle jak, most wąski, z desek i bali ledwo złączonych, prowadziliśmy działa. Zadanie było nie lada, bo konie bały się smugi ognia, czarnej wody, chwiejności mostu. Prychały, stawiały nogi ostrożnie, lecz płoszyły się byle wystrzałem. Trzeba było posuwać koła dział rękami, obracając szprychą, a idąc przy tym po wąziutkim skrawku desek, jaki zostawał dla stóp obok drogi tych kół.

W górze pierwsze gwiazdy wschodziły w poplątanej kracie zwałonego mostu kolejowego. - Ho, ho, cieś, cieś... - głosy koniowodów brzmiały łagodnie, dodając odwagi koniom. - Prędszej, prędszej, psia wasza nędza! - podganiał ktoś ze starszyny, przeciskając się obok ku przodowi. Patrzcie, a ja bym o sekundę wcześniej przysiągł, że prócz miejsca na koła dział i nasze stopy nie starczy już desek dla nikogo. Przecisnął się nie on jeden. Jakiś łącznik przeprowił się na brzeg, z którego wyruszyliśmy, jakiś oficer artylerii, nawet dość korpulentny, pogonił za tamtym, który żądał pośpiechu w przeprowie. Sam nie wiem, jak to się stało, czy owi przechodzący byli winni, czy zaczepiłem gdzieś o jaszcz albo armatę, dość, że chlebak mój z galonem razowca i Biblię spadł w czarną wodę.

Nie można się było zatrzymać. Drżąc z wysiłku pchałem obłoczone szprychy kół, przekonany, że już tej książki nie zobaczę. Stratę odczułem tym boleśniej, że ona zastępowała mi przyjaciela. Jako jedyny ochotnik w tej kompanii, nie miałem

rówieśników, zresztą byłem w tym wieku, w którym przyjaźń między mną a współtowarzyszami broni nie mogła się rozwinąć. Ja znałem świat tylko z ławy szkolnej i książki, oni zaś byli rolnikami, rzemieślnikami, ludźmi dojrzałymi. Ich rozmowy na postojach zbliżały ich wzajem, a mnie - jakże mi bywało smutno - oddalały. Bez książki byłem jeszcze bardziej sam wśród ludzi...

W kilka dni potem leżeliśmy na ściernisku pod laskiem, a przed nami wznosił się w bladym słońcu kościół wiejski obwarowany przez linie wrogów. Serie kul z karabinów maszynowych grały bardzo nisko. To nie lęk, bo byliśmy przecież zdecydowani na śmierć w głębi serca, to jakaś fizyczna siła tuliła nasze głowy do grud ziemi i rozdzierała uszy nadmiernie powiększonymi okrzykami rannych. Ci, dla których wojaczka nie nowina, ci, co z walki uczynili sobie dzień codzienny i zaszczytne rzemiosło, nie wiedzą, ile trzeba krzepy mieć w sobie, aby od myśli o zgubionej książce zerwać się i biec wśród kul tam, skąd wypływają ich ogniste strumienie. Gdy po jednym takim "skoku" runąłem w ogniste strumienie i przypadkiem twarzą do zamka karabiny, między krzakami: - Jezu! Trafili mnie! Matko, mamom!... - spostrzegłem ostro, wyraźnie blady bławatek i obok niego strzępy gazety, w którym były zapakowane dwa magazynki naboju, dwie piątki. Złym byłem żołnierzem. Odrzuciłem naboje, choć zdatne do mego karabinu, i w bitwie, w strzałach i ogniu chwyciłem skrawek gazety. Krakowski "Czas" sprzed trzech miesięcy w pierwszych słowach donosił o odwrocie naszych wojsk z Ukrainy. Ta mało krzepiąca lektura ożywiła mnie niebywale. Następny skok bojowy wykonałem bez ostrożności, biegnąc za daleko i za długo, a po drodze krzyczałem jak w gorączce: litery! litery! Po chwili miałem przy sobie starego porucznika Wójcika, który zmrużywszy chore oko, powiedział:

- Czego się drzesz? Ranny jesteś?.

A mnie się chciało śmiać:

- Nie wiem, panie poruczniku...

- Cholera - zaklął mój dowódca i ruszył śpiesznym krokiem, zresztą wcale się nie kryjąc, wzdłuż linii tyralierskiej ku naszej "maszynce". Strzelając i repetując karabin widziałem, jak strzał tamtych urwał mu rzemyk od szpicruty, zawieszony na prawicy. Ułożył się w bruździe za miedza i naprawił uszkodzenie z całym spokojem. Dobrze mi ten widok zrobił. Reszta boju minęła normalnie. Po zwycięstwie odpoczywaliśmy na stopniach poszczerbionego kościoła, a placek owsiany oblepiony okruchami chleba, zawsze obecnymi w kieszeni, odkąd nie miałem chlebaka, smakował mi jak widok bławatka i gazety.

Nie przeszkadzał mi nawet trup komunisty, leżący opodal. Na granatowym mundurze miał ciemną plamę tuż pod gwiazdą pięcioramienną na lewej piersi, a usta rozchylone i pełne czarnej krwi. Patrzyłem niewidzącymi oczyma w blade niebo. Siedziałem i jadłem, łykając z trudem, jako że jadło było za bardzo suche. Rzeczka płynąca opodal napoiła nie tylko mnie, ale i wielu towarzyszy. Tam, u brzegu, również leżał zabity, a twarz tulił do ziemi jak my nie tak dawno, tylko że twarz tę okalała szeroka, jasna broda, łopacie podobna. Ten wróg, a raczej były wróg, miał postrzał w głowę. Niewielka ranka znaczyła się dwiema kroplami w miejscu, w którym się włosy rozchodzą promienisto z czubka czaszki.

Przy zabitym ujrzałam pakę. W niej strzaskane lustro odbijało wrześniowy obłok, ale krzywo, ale nieprawdziwie. Spod spodu czerniały oprawy książek. Wyjąłem jedna z nich, przysiadłszy na rogu paki. Wówczas nim zdążyłem rzucić okiem na tytuł, usłyszałem nad sobą głos porucznika....

- Czy chcesz to zabrać? - nagana była w tym pytaniu.

- Przecie? to chyba niczyje teraz, panie poruczniku.

- Cholera... - zaklął i dodał z pogardą: - A jeszcze ochotnik... Nie rumieniłem się, gdy towarzysze broni opowiadali różne ludzkie sprawy, nie rumieniłem się wobec niejednego, co na wojnie zobaczyć można, lecz teraz wydawało mi się, że mi krew tryśnie z policzków: - Panie poruczniku - jęknąłem. Odwrócił się i poszedł ku kościołowi, a szpicruta kołysała się na rzemyku jak zawsze, w boju czy w chacie, w marszu czy przy posiłku. Odwrócony [porucznik] zatrzymał się, rozgniółł butem bryłkę ziemi, kopnął wystrzeloną łuskę i powiedział: - Twój chlebak jest u kucharzy. Odbierz sobie...

Pomknąłem ku szosie, gdzie naprawiano koła kuchni. Kościsty dobroczyńca żołądków kompanii długo mnie egzaminował: jakie były znaki na zgubie, co się znajdowało wewnątrz, o czym ta książka, czy są na niej podpisy. Wreszcie oddał mi chlebak i książkę oraz „porcję żelazną”. - Wasze. Sprawiedliwie zawyrokował. - Nie rozumiem tylko, skąd się wzięło u was? - zapytałem. - Znalazłem na Niemnie. Leżał ten chlebak pół w wodzie. A pół na belce, co się o pontony zaczepiła... Moжебym i nie podjął tego, co mi po chlebaku, ale zobaczyłem, że taki wypchany... A jak okazało się, że Biblia, to wiecie, nijako było rzucić *Pismo Święte* znowu do wody... No i tak... Porucznik Wójcik nie żyje. Czas wojny zaciera się we wspomnieniach. Jedno tylko coraz wyraźniej widzę: marnym byłem żołnierzem. Więcej mnie cieszył dar kozaka, nawet strzęp gazety, nawet bławatek na szarym ściernisku niż zwycięstwa, w których brałem udział.

Byłem samotny. Nie pamiętałem wtedy o gromadzie mego pokolenia, wojującej jak i ja w pamiętnym roku 1920, może także zakochanej w książce, może także żyjącej w mundurze nie tak szablonowo-patriotycznie, jak to się czyta w powieściach dla młodzieży. A przecież - ilu padło...

ZADUSZKI

Długo Jasiochowa szukała Weroniki. Znalazła ją wreszcie na górcie nad oborą. Dziewczynka leżała w sianie i płakała żałośnie.

- Co ci to, Weronka?

- Nie wiecie to, matulu? Tato powiedzieli, że mam w chacie zostać, gdy wszyscy na cmentarz pójda.

- I co, boisz się w zaduszny wieczór sama w izbie przesiedzieć?

- Bać się nie boję. Ale mi żal, że na grób babci nie pójde, że świeczek tam nie zapalę. A kupiłam je jeszcze dwa tygodnie temu w spółdzielni za moje własne zaoszczędzone pieniądze...

Jasiochowa przysiadła na sianie koło niej.

- Ja cię rozumiem, dziecko. Zrozum i ty tatę: przecie dom nie może zostać pusty, na opatrność boską zdany. Prawda?

- Prawda, matusiu...

- Jędrka nie ostawimy, bo to paliwoda i urwis. Jeszcze by jakiej szkody narobił. Małgosia znów za mała. Nie poszłabym ja, ale widzisz, twoja babka to moja matka... Czy mam u matki na grobie raz do roku światła nie palić?

Dziewczynka otarła łzy. Chlipnęła jeszcze w ciemności, wreszcie szepnęła:

- To już pójde do izby.

Zeszły po drabinie, płosząc kury, które zaczęły gdakać gwałtownie, nierade, że im ktoś spoczynek przerwał.

Przed progiem stanęły chwilę. Gospodyni powiodła okiem po obejściu przypominając sobie, co jeszcze należy zrobić przed wyjściem. Ale porządek panował w zagrodzie wzorowy. Budynek były pozamykane, u wrót siedział Burek, groźny dla niepożądanych gości. Tylko przebrać się odświętnie i ruszyć z mężem i dziećmi ku cmentarzowi.

Leżał ów cmentarz na wysokiej górcie koło kościoła. Widać go było stąd jak na dłoni. Nad złotolistnymi brzoźami i klonami wisiało niebo rozjaśnione ognikami, co już gęsto płonęły na grobach. Z mroku występowała ostro jedna ściana kościoła, ta od cmentarza. Blask płomyków lśnił na gzymsach i załomach murów, rzucając poza nie bardzo czarne cienie. Zdawało się, że reszty budowli wcale nie ma, tylko ten jeden aż biały od blasku front.

Patrzyła Weronka na niedaleki cmentarz i znów jej się załzawiły oczy. Tam tak ślicznie, a ona musi w domu zostać. I zostanie. Już obiecała.

- Matusiu - rzekła - to ja wam przyniosę moje świeczki. Zapalcie je sami na grobie babci.

Matka nie zdążyła odpowiedzieć, gdy naraz skrzypnęła furtka. Burek zamruczał, podskoczył, zamerdał ogonem, ale nie czekał. - Swój, Burku, swój - odezwał się w ciemności głos wujka Szymona.

- Witajcie, siostró. Witaj i ty, mała gosposiu!

- Witajcie - odpowiedziały obie.

- Dobrego wieczoru wam życzę.

- Nawzajem.

- U mnie w chacie aż dwoje siedzi: dziadek i chora Agata, to i myślę sobie: trzeba zajrzeć do Jasiochów. Oni tam pewno nie mają kogo zostawić w izbie, a przecie na cmentarz pójda jak i wszyscy. Jeszcze Weronkę zostawią i spłacze się dziewczyna z żalu. Pójde - tak sobie myślę - posiedzę, domu przypilnuję, póki nie wrócą.

- Wujku! - krzyknęła Weronka i rzuciła mu się na szyję.

- Ano, widać zgadłem! Zastąpię cię, zastąpię. No, nie bucz, głupia...

Weszli do izby. Ojciec siedział tam na ławie przy dogasającym ogniu komina.

- Zbierajcie się - powiedział.

Nim się Jasiochowa i Weronka postroiły, w co miały najlepszego, ojciec pogwarzał z wujkiem Szymonem o przyszłych plonach i o tym, że jesień pogodna, że śnieg nieprędko spadnie, ot, jak to gospodarze.

Wreszcie wdział sukmanę i spojrzał po rodzinie. Weronka z matką wyglądały odświętnie i pięknie. Ale chyba jeszcze piękniej wystrojona była Małgosia. Szubkę miała na sobie granatową i nowe buciki z miasta, a w ręku różaniec, którego ziarna były tak duże, jak niebieskie oczy dziewczynki.

- Gdzie Jędrzek?

- A gdzież by? Po drodze ugania.

Nachmurzył się ojciec i ruszył ku drzwiom izby, a za nim i cała rodzina.

W milczeniu doszli do furty cmentarnej, u której troje dziadów proszalnych, przybyłych skądś, z krańca świata, wyciągało rękę po datki. Przed każdym gorzała świeca, aby widać było, co kto daje. A dawano w ten dzień nieskąpo. Kto dawał za dusze w czyśćcu cierpiące, kto za tych, co nagłą śmiercią zginęli. Jedni wypominków żądali z imienia, inni tak tylko mówili: "za ojca, za siostrę, za matkę"... Weronka stanęła przed starą, zgarbioną żebraczką i wcisnęła jej w rękę pięć groszy, resztę swych oszczędności.

- Za babkę - szepnęła.

Jasiochowa obdzieliła wszystko troje grosiwem i jajkami, a Małgosia tylko uśmiechała się do nich, bo nie miała co dać.

Ledwo weszli na cmentarz, otoczył ich cichy gwar modlitw, a zawodzeń żałosnych oraz jasność żółtawa, bijąca od świec i złotych liści. Szli ostrożnie, stąpając wśród mogił, bo na tym ubogim, wiejskim cmentarzu nie było ścieżek ni drózek. Mijali sąsiadów bliższych i dalszych. Mijali też i obcych, co z innych wsi przyjechali tego dnia, aby "swoich odwiedzić". Za kościołem w pobliżu starej lipy, na której wisiał w rozwidleniu gałęzi cmentarny dzwon, żółcił się gliniasty kopczyk osypany liśćmi. Tu pod ziemią spoczywała snem wiecznym dobra babka Anna. Przyklękli do modlitwy.

Nie zmówili jeszcze pół pacierza, gdy naraz skądś się wziął Jędrzek ze śliczną, szklaną latarnią. Miała kolorowe szybki, z których, co prawda, jedna była nadtłuczona.

Jędrzek postawił latarkę na grobie, położył też krzyżyk z kasztanów i ukląkł.

- Amen - rzekł wreszcie ojciec głośno i zaraz zapytał: - Skądżeś to wziął, urwiesz?

- Ksiądz wikary mi dał.

- Za cóż to?

- Za wyrzynanie z drzewa. Jeszcze powiedział, żebym do niego przyszedł, to mi pokaże taką książeczkę, co w niej jest napisane, jak wyrzynać różności...

- Za wyrzynanie? - zdziwił się ojciec. - Coś mi się widzi, że łżesz...

Ale przypomniał sobie, że istotnie chłopak za byłem i w domu nieraz wyrzynał z drzewa kozikiem pocieszne figurki, koniki, pieski i owce. Nawet teraz za piecem leżała zaczęta figurka. Tym razem miał to być święty. Kto by tam jednak zważał na takie zabawki, ot drzewo psuje chłopak, nie wiadomo nikomu, po co!

- Coś mi się widzi, że łżesz - powtórzył ojciec.

- Tato, on mówi prawdę. Razem byliśmy na wikarówce, kiedy mu ksiądz tę latarnię ze strychu przyniósł. W niedzielę to było - broniła brata Małgosia.

- To czemu ja tej latarki do dziś dnia nie widział?

- Jędrrek schował ją za belkę. Bo to miała być niespodzianka.

Umilkli wszyscy. Małgosia zapaliła świece, chroniąc je drobnymi rączkami od powiewów nocy, Jędrrek otworzył drzwiczki od latarki i także chciał świeczkę wewnątrz niej zapalić, ale krzyknął:

- Tylko resztką została.

Przyjrząwszy się dokładnie powiedział zasmucony:

- Coś zjadło świeczkę... - Pewnie myszy! Na pewno!

- Dam ci ja jedną ze swoich. Masz! Zapal sobie! - Weronka podała mu świeczkę.

Długo płonęły światła na grobie pod lipą. Różnymi kolorami migotały błyski z Jędrkowej latarki.

Kiedy wracali do domu, ojciec, zazwyczaj milczący i surowy, odezwał się do dzieci spokojnie, tak prawie jak matka:

- Pilnuję ja was. I nieraz nakrzyczę, nieraz zgromię. Ale to przecie nie ze złości. Chciałbym ja, żebyście na porządnym ludzi wyrosli.

Niby to mówił do wszystkich, ale wiadomo było, że głównie do Jędrka, toteż chłopak szepnął cichutko, biorąc ojca za rękę:

- Wiem, tatulu.

I tak razem szli do chaty, z dłonią w dłoni.

W MIASTECZKU NAD WODĄ

I

Jeziro, oprócz kilku zimowych miesięcy, gdy okrywała je lodowa powieka, patrzyło w niebo. Błękit wiosenny, bladość upalnego firmamentu, stada chmur październikowych przeglądały się w toni dzień po dniu. Fale z białymi grzebieniami wolno szły do brzegu i mąciły obraz nieba, i zostawiały na wilgotnym piasku drobne kamuszki, zbutwiałe kolanka zeszłorocznych trzciny, muszle, a niekiedy szerniały od starości kawałek zgubionego wiosła.

Miasteczko nad wodą było nieduże, ot, cztery uliczki z rynkiem w cieniu kościoła. Za dnia jednak kipiło turkotem wozów, stukaniem młotów i śpiewaniem dziewczyn naprawiających sieci.

Szmer wód, oddech jeziora słyszało się dopiero nocą. Wówczas przybór fal poruszał owe odłamki, okruchy, żdźbła leżące w zrudziałej pianie u brzegu i to było jak mocne westchnienia olbrzyma.

Droga, wijąca się tuż w toni, podcinała miasteczko białozółtą kreską. Biegła z daleka, od wielkiej szosy, a kierowała się ku ciemnym borom, które można było zobaczyć wyszedłszy na pagórki za cegielnią.

W roku wojny cegielnia opustoszała. Wokół nie dymiących kominów świergotały ptaki, a we wnękach wygasłego pieca gnieździły się zdziczałe króliki, które przywędrowały tu z jakiejś opuszczonej zagrody.

Taki to był czas, czas pustki, czas nie oranych pól, czas dróg zatłoczonych uciekinierami i nocy czerwonych od łuny. Może dlatego w starej cegielni prócz królików zamieszkał jeszcze ktoś. Chłopak to krępy, obdarty, z wesoło zadartym nosem i parą orzechowych oczu w twarzy bardzo ciemnej od opalenizny, choć to dopiero kwiecień, dopiero Wielkanoc.

Właśnie słońce zachodzi za wodę wielką i gładką, a on idzie ku swej kryjówce, nie sam, z towarzyszem, o którym na pierwszy rzut oka da się powiedzieć, że jest znacznie czystszy. Ich długie cienie snują się wzdłuż jeszcze dłuższych, wieczornych cieniów drzew, co leżąc w poprzek drogi wyglądają jak szczeble drabiny.

- Ale masz pałac, no, no - żartuje ten czystszy.

- Pałac nie pałac, ale dach nad głową taki sam dobry jak każdy inny - odpowiada mieszkaniec pustkowia.

- I nie boisz się tak sam, po nocy? Przyznaj się.

- Czemu miałbym się bać? Może strachów? Za duży jestem na to. Już zacząłem czternasty rok, a półtora roku wędruję po świecie. I żebyś wiedział, że w pałacu także sypiałem, w prawdziwym! Tyle tylko, że był zrujnowany przez Rusaków. - I nigdy cię nic nie nastraszyło?

- Jakbym był takim strachajłą, tobym został gdzie u chłopca na robocie i za piecem bym siedział. Ale ja wolę biedną swobodę niż niewolę z sadłem. Chcę, to jutro wyruszę dalej. Chcę, to posiedzę tu jeszcze tydzień. Jak wyruszę, to znów się zagną wędrowni po zielonych polach, noclegi w sianie albo z żołnierzami w stodole. Z żołnierzami to dobrze. Oni mają czekoladę i bułki, a u was co? Całe miasteczko kiepski chleb z otrębami jada i to jeszcze na kwity, na kartki...

- Wczoraj pół dnia stałem za kolejką przed piekarnią. A kiedy dosunąłem się do drzwi, wyszedł piekarz i powiedział, że już chleba zabrakło.

- Widzisz. I co ci po tym? Dawno ci mówiłem, chodź ze mną. Świat jest szeroki i tyle na nim ciekawych rzeczy! Przecie ja, Stachu, dobrze ci życzę...

Bramy w płocie otaczającym cegielnię strzegł zardzewiały rygiel i kłódka olbrzymich rozmiarów, jeszcze bardziej ordzewiała. Płot za to prześwitywał czerwonym niebem wieczoru, bo desek brakowało w nim więcej niż połowę. Mieszkańcy najbliższej uliczki gotowali strawę przy pomocy tego darmowego opału, ile razy zabrakło pieniędzy na węgiel i drzewo lub też ilekroć odmówiono im kwitów na zakup tych dwojga.

Chłopak-włóczęga wszedł na dziedziniec zarosły pokrzywami i pełen gruzu, a poruszał się z całą sprawnością bywalca dobrze znającego te kąty. Stach usiłował go naśladować, lecz kroki jego nie były tak pewne. Potykał się coś ze trzy razy na rumowisku, ze dwa razy poparzył w gąszczu pokrzyw, a nawet boleśnie otarł sobie nogę o cegłę.

Gdy stanęli przy wnętrzu pieca zamieszkałej przez Wacka, Stach zdziwił się:

- Przecież tu pusto?

- No, pusto. To co?

- Myślałem, że masz jakieś rzeczy.

- A po co mi to? Ubranie i półkożuszek mam na sobie. A kto mi da jeść, to da i miskę, i łyżkę.

- No tak, Wacku, tak - Stach nie wiedział, jak wypowiedzieć swoje myśli. Ale włóczęga odgadywał je:

- Ty, maminsynku, chciałbyś zapytać, gdzie łóżeczko i w której komodzie leży czysta koszula na niedzielę? Prawda?

- Właściwie...

- Koszulę się pierze. Samemu się pierze. U rzeki.

- Robinson także sam to robił!

- O, właśnie. Trafieś.

- Wiesz, Wacku, pójdę z tobą na włóczęgę, ale...

- Oho, już jest i "ale"...

- Ale tylko wtedy, jeśli Józek z nami pójdzie.

- No to zrobione, bo Józek na pewno pójdzie. Umówiłem się z nim i zajrzy tu do mnie, jak się ściemni. To fajny kamrat i oblatany po śmietnikach, nie tak jak ty, boża krówko... - Józek już dawno mi obiecał, że razem wyruszymy do Gdańska, a stamtąd do Ameryki. Mam wujka w Brazylii... I pewno, nim dojedziemy, będziemy mieli niezwykle przygody.

- E, bracie, przygody to i u nas możesz mieć takie, że żywy nie wyjdiesz!

- Ale ja bym chciał zawsze zwyciężać w różnych strasznych okolicznościach...

- Stachu, ile ty masz lat?

- Dwanaście.

- Powiem ci tylko tyle: za dużo czytasz o Indianach i za często chodzisz do iluzjonu...

Stach zgnębiony umilkł. Jasne było, że towarzysz traktuje go nieco zbyt protekcyjnie i z wysoka. Ostatecznie każdy człowiek może mieć przygody, z których wyjdzie cało. Czyż to możliwe? Żeby wywyższyć się nieco w oczach Wacka, przyszły podróżnik po puszczech Brazylii wypalił:

- Mam nawet kompas! I mapkę sztabową okolic Radomia!

- Nosisz to ze sobą?

- Naturalnie.

- Miłe dziecko z siebie... A czy wiesz, co się z nami stanie, jeśli zatrzyma nas po drodze patrol niemiecki? Jak myślisz, jakie podejrzenia miewają żandarmi, gdy znajdą u włóczęgi wojskową mapę?

Stach opuścił głowę na pierś, po czym wyjął z kieszonki swe skarby. Wkrótce kompas - prawdę powiedziawszy, zepsuty - legł wśród pokrzyw, a wiatr poniosł drobne strzępki papieru aż na brzeg jeziora.

- Ot, to mi się w tobie podoba. Wszystko rozumiesz w lot. Cała bieda, że za bardzo na ciebie w domu chuchali...

Czerwone niebo mroczyło coraz silniej. Ciemność napływała od wschodu, zarzucając na komin cegielni rąbek swego płaszcza. Szła na wysokości bezgłośnie, jak niespodziewany atak i zdobywała od razu dwie pozycje: zenit i toń.

- Niedługo opuścimy to miasteczko - podjął Wacek - trzeba dokładnie obgadać z Józkiem, co i jak.!!

Tego wieczoru jezioro, jak zwykle, patrzyło w niebo i, jak zwykle, fale czesły się białymi grzebieniami wzdychając u brzegu. Woda obmywała kamienne drogi, bo wiosną zalewy sięgały aż do poziomu jezdni.

Józek stał nad pianistą linią, zarysowaną na mokrym piasku przez przybór fali. Zginał się raz po raz, podnosił z ziemi obtoczone przez nurt kamyczki, aby puścić je na jezioro zręcznym rzutem na płask. Jeśli rzut się udał, kamyczek skakał po wodzie pięcio- albo sześciokrotnie, odbijając się jak piłka. Biała, lniana czupryna rozczochrała mu się od tego pochylania i od zamachów. Pod czupryną w głowie Józkowej nic się nie działo. Ot, czekał na matkę, która wraz z siostrą poszła na stację kolejowa przebierać ziemniaki dla wojska. Józek czekał i rzucał kamyczki zapamiętane, ostro, całkowicie pochłonięty tą czynnością.

- Jak się masz, żrebaczk - usłyszał nagle za sobą.

Odwrócił się i oczy jego, jeszcze pełne czerwonego blasku zorzy i lśnienia wody, objęły postać młodą, zmienioną, lecz dobrze znaną!

- Jaśko! - krzyknął chłopak i rzucił się w ramiona przybysza. Zachręściły żelaza i rzemienie szarego munduru, przekrzywiła się w braterskim uścisku maciejówka z dumnym orzełkiem.

- Jaśku, urlop ci dali czy...

- Urlop. Byłem w szpitalu jakiś czas i ot, na dwa dni wpadłem do domu.

- Ranny byłeś?

- Nie, chorowałem jak cywil. Po prostu chorowałem. Ale już po wszystkim.

Bracia patrzyli na siebie. Osiemnastoletniego legionistę Pierwszej Brygady rozczulał spokój rodzinnego miasteczka, szept jeziora i to, że brat rośnie, a włosy ma jeszcze jaśniejsze niż dawniej. Józek znów wzruszony był widokiem starszego brata, który był dla niego kimś najważniejszym, najlepszym najbliższym. Zdawało mu się, że matka go zupełnie nie rozumie, a siostra - ot, dziewczyna, swoimi dziewczynskimi sprawami zajęta.

- Gdzie mama? - zapytał żołnierz.

- Na stacji. Ziemniaki przebiera.

- To pewno nieprędko wróci?

- Czasem to i koło jedenastej z wieczora, czasem wcześniej.

- A Zośka gdzie?

- Z matką.

- Tylko ty, żrebaczk, leniuchujesz, kamyczki po wodzie puszczasz? No, wezmę ja się do ciebie, nie bój się. Rozmawiając tak doszli do chaty i tam na wysokim progu usiedli obok kota, który popatrywał za śmigającymi przez sad ptakami.

- Burasek, kizia - uśmiechnął się legionista. Ręką stwardniałą od karabina pogładził puszyste futerko starego towarzysza zabaw. Ogarnęła go atmosfera dzieciństwa i domu. Zresztą, czy to tak dawno przestał być dzieckiem?

Józek siedział piastując karabin brata i rozważał w myśli, czy powiedzieć mu o zamierzonej ucieczce z domu. Przez chwilę milczeli obaj.

- Wiesz - zaczął Jaśko - chciałbym z tobą pomówić jak z dorosłym.

Biała czupryna uniosła się ku górze, siwe oczy spojrzały w twarz żołnierza.

- Jestem w Legionach, służę ojczyźnie, ale chwilami napadają mnie różne wątpliwości. Z kimże o tym pomówić, jeśli nie z bratem, choćby tym bratem był żrebaczek...

- Powiedziałeś, że to poważna rozmowa, a teraz znowu ten żrebaczek.

- Zawsze cię tak w myśli nazywam. Nieraz myślę w okopach o domu. Wyobrażam sobie, jak Zośka się stroi, jak ty pływasz, jak matka gotuje albo pierze, jak do kościoła idziecie w niedzielę całą trójką...

- Nic w tym nie widzę ważnego - mruknął Józek.

- Kiedy się leży w okopie i widzi gwiazdy, równocześnie kule świszczą i kopią w ziemię, i ścinają gałązki, to wszystkie sprawy domowe wydają się bajką wyczytaną z pięknej książki.

- Kiedy ostatni raz byłeś w boju?

- Na Reducie Piłsudskiego. Opowiem o tych wołyńskich bitwach później, jak mama wróci. A tobie, ty jesteś przecie mężczyzną, choć jeszcze mały, tobie zwierzę się z moich wątpliwości... Widzisz, niekiedy mi się wydaje, że źle zrobiłem, uciekając z domu do Legionów. Ojczyzna - każdy rozumie, wielka rzecz. Ale czy miałem prawo opuścić matkę w najcięższej chwili jej życia, gdy ojciec umierał? Została w jednym dniu bez męża i bez najstarszego syna. Czy dobrze się służy ojczyźnie, kiepsko służąc swej matce?

- Jaśku, ja to trochę rozumiem - szepnął Józek - ale mama nie ma do ciebie żalu.

- Tu nie chodzi o żal. Istnieją prawa i obowiązki. Jest prawo rodziców, ale jest i prawo dzieci. Czy ty wiesz, że kiedy miałeś dwa lata, mama uratowała cię z pożaru i że ta szrama, którą ona nosi na czole, to znak po płonącej belce?

- Wiem, tylko jakoś zapominam o tym... Zamyślili się obaj. Serce "żrebaczka", niepodległe nikomu i niczemu, nagle ścisnęło się boleśnie. Brat mówi prawdę: są prawa i obowiązki, są długi, których spłacić niepodobna. Może hasać swobodnie i nie myśleć o niczym, póki nie rozumie, co to matka, co ojczyzna, co prawo. A kiedy się zrozumie, przestaje się być "żrebaczkiem", bo to jest chwila narodzin człowieka.

- Nas jest dwóch - rzekł Józek, westchnąwszy ciężko. Ty będziesz służył ojczyźnie, a ja - matce.

- Wzdychasz, żrebaczku, jak miech kowalski...

- Nie nazywaj mnie tak.

- Dobrze, braciszku, ale powiedz mi, co znaczyło to westchnienie?

Chłopiec postawił karabin opierając go o ścianę. A właśnie mrok oblał niebiosa i wodę, a w ciemności łatwiej mówić o swoich planach.

- Jest tu jeden chłopak z uciekinierów. Bez ojca i matki... Ach, rozumiem, teraz rozumiem, dlaczego on taki - bo bez ojca i matki - myślał głośno Józek. - Ten chłopak i ja, i Stach, wiesz, ten od pani nauczycielki, mieliśmy dostać się do Gdańska, a potem do Ameryki.

- Ho, ho!

- Ty myślisz, że mnie chodzi o jakieś tam przygody czy inne dzieciństwo? Nie. Mnie tu nudno, Jaśku. Zawsze tylko to miasteczko i jezioro, i ten chleb z otrębami albo przemarzłe ziemniaki. I nic się tu nie dzieje! Pływam po jeziorze sam, bo inni chłopcy nudzą mnie także. U nich nic tylko organki, karty, papierosy. A ja, ja nie wiem, czego chcę, ale ja tak żyć nie mogę! Nie mogę!

Legionista gładził teraz jaśniejącą w mroku czuprynę.

- Uspokój się. Dorastasz i dlatego ci trochę ciężko, ale to minie. Myślę, że wstydziłbyś się sam za siebie, gdybyś uciekł z domu po inne życie, a matce zostawił chleb z otrębami, przemarzłe ziemniaki i w dodatku samotność.

- Troje nas, nie ja jeden.

- Ale ja jestem żołnierzem. Może wrócę do was z krzyżem, a może za dwa dni kula mnie zetnie jak badyl...

- Matka ma Zośkę.

- Zośka wyjdzie za mąż, pójdzie do obcych. Matce zostanie samotność. A przecie do starości już jej niedaleko.

- Ja wiem, Jaśku, ja zostanę. Tak tylko mówię o Zośce, bo mi żal tego Gdańska i Ameryki.

- Nie żałuj. Z cudzego kraju zawsze się tęskni do rodzinnych stron. A zresztą, nie wiem nawet, czy dojechalibyście do Ameryki. Teraz wojna. Łodzie podwodne zatapiają okręty...

Jaśko nagle urwał i wstał, ujrzawszy za płotem dwie kobiece postacie. III

Jezioro spoglądało ku niebu, na którym żarzył się duży, miedziany księżyc. Stał on za wzgórzami cegielni, sięgając kołem gruntu, tak że z miasteczka można było widzieć na jego tle ciemną sylwetkę chłopca. Stawiając wielkie kroki zbliżał się do dziury w płocie, gdzie las pokrzyw pokłonem go witał. Przy ciemnym księżycu pustkowie straszło ciszą niemą i głuchą.

- Józek! - odezwał się głos zabrzmiały lękiem - Józek, to ty?

- Przecież widzisz, że to ja we własnej osobie! Wyłaż z cienia, bo nie wiem, gdzie cię szukać.

Z mroku olbrzymiego pieca wysunęła się drobna figurka Stacha.

- Jak się masz, podaj grabę.

- Dobrze, żeś tu przyszedł. Tak tu straszno...

- A co, sam jesteś? Gdzie Wacek?

- Wacek poszedł od nas - objaśniał Stach. - Czekał na ciebie długo. Gadaliśmy o wyprawie. A potem powiedział, że kiedy ty nie przyszedłeś na umówioną porę, to widocznie z wyprawy nici... I poszedł.

- Ty, naturalnie, nie odważyłeś się ruszyć z nim razem.

- Nie byłem przygotowany na to, że to dziś, zaraz.

- On też nie był przygotowany.

- Ach, on! On to wolny ptak! A potem... zostałem sam... trochę się bałem...

- Wracamy do miasteczka. Późno jest. Będziesz miał w domu za swoje, że się po nocy włóczysz.

- Wszystko mi jedno. I tak często na mnie krzyczą. Niewola z sadłem - użył wyrażenia Wackowego. - Ale dlaczego ty nie przyszedłeś? Co? Dlaczego?

- Wacek zgadł. Z wyprawy - nici.

- Może jutro go dogonimy?

- Nie. Ja tu zostanę.

Było coś takiego w głosie białogłowego Józka, że mały a niedoszły Robinson nie pytał nawet, dlaczego brazylijskie plany rozchwiały się jak dym. Przez czas dłuższy szli w milczeniu. Naraz Stach przystanął i wykrzyknął:

- To po co ja podarłem mapę?

Ale ten krzyk nie wywołał u Józka współczucia. O mapie nic mu nie było wiadomo, a poza tym głowę miał nabitą ważniejszymi sprawami. Senny i zmęczony szedł, a chwilami wydawało mu się, że ciągle jeszcze rozmawia z bratem. Ocknął się nieco i

oprzytomniał przed bramą szkoły.

- Dobranoc, Józiu... I nie bądź taki jakiś, bo mi się wydaje, że gniewasz się na mnie...

- Kto by się tam na ciebie gniewał! Dobranoc, mały.

W domu Józka wszyscy już spali. Sprawował się więc cicho i nie zapalał światła. Zresztą ciemnoczerwony księżyc świecił w samo okno sponad strzelistych wież kościoła. W smudze stłumionego blasku zwieszała się sucha, z grubymi żyłami dłoń matki. Chłopiec rozbierał się szybko i spoglądał raz po raz na tę dłoń, jakby ją widział po raz pierwszy.

Wreszcie położył się na łóżku obok brata, pachnącego jakoś obco wojskowym mydłem i grubą bielizną.

- Jaśku, śpisz? - szepnął białogłowy, ale odpowiedziało mu milczenie, tym głębsze, że wpadały w nie ciche oddechy śpiących. Milczenie to pochłoneńo i Józka.

Nad domkiem w sadzie, nad drogą toczącą się tuż w toni i nad wałującym się od wiosennego wiatru obszarem wód stała noc. Pod jej płaszczem jezioro wolno szło do brzegów, mącąc blask księżycy i wyrzucając na mokry piach drobne kamyczki, przegniłe szczątki desek i połamaną, zesłoroczną trzcinę.

ŁUDZIE, KONIE, DESZCZ...

Wspomnienie z 1920 r.

I

KOMPANIA W MARSZU

Deszcz lał od wielu godzin chłodny, dokuczliwy, nieustający. Brnęliśmy w wodnym tumanie zmęczeni a przecież zziębnięci, choć chroniły nas grube płaszcze. Jeszcze rankiem, kiedy tylko odkomenderowano naszą gromadkę do ochrony taboru, kapral Staszkowski powiedział:

- Hrabiaćko, szykuj zęby!

Zasławski, przezywany hrabiaćkiem, od pierwszej chwili przybycia do kompanii, zapytał z wielką, jak zwykle powagą:

- Dlaczego?

- Będziecie zębami dzwonić na zimną noc.

Tu kapral poruszył głową, wskazując na wschód, skąd płynęła nie chmura, ale cała ściana szarzyny, mieniającej się tu i ówdzie, jak gołębie podgardla. Ten poranny mrok zbliżający się nieubłaganie, powolnie, miał w sobie coś groźnego. Popatrzyliśmy na niebo, dopinając rzemyki plecaków, a któryś mruknął:

- Trzydniówka, tego tylko brakowało.

Zaczął padać koło dziesiątej rano i od tej pory posuwaliśmy się jak w innym kraju. Pogasty pejzaż łąk, strugi deszczu postrzępiły kontury drzew złocących się już w sierpniowej urodzie, przejmujący ziąb wiał na nas jak z piwnicy.

O wczesnym zmierzchu zamazała się resztką widzenia. Idąc w nierównych czwórkach plutonu za furgonami, ledwo dostrzegłem ich zarysy. Wyraźnie odróżniałem jedynie kilku kolegów obok siebie oraz połyskujący metalicznie szlak drogi, która z natury mokra, teraz, po przejściu wielu oddziałów, była po prostu płytkim strumykiem błota bardzo rzadkiego. Szło się w tym błocie jak ku wieczności. Rozmokłe, za duże buty żołnierskie cmokały wydobywając się zeń i chlapały, pograżając się w brudno-żółtą strugę. Niekiedy wzdymał się z boku drogi nasyp czy może kraj pagórka, gliniasty, oślizgły, pobudzający do dreszczy.

Drobniakowski narzucił na plecy koc złożony we dwoje, lecz i tak trząsał się jak osina. Gdy zmrok stał z jego twarzy gęste ślady po ospie, wydawało się, że brwi tego łagodnego chudeusza ukazują jakieś mefistofelesowskie linie. Drobniakowski szedł obok mnie z prawej strony. Za nim - hrabiaćko. Po lewicy miałem Wicka. To było jego nazwisko, nie zaś imię. Kapral, Nyś i Knysz, dwaj odwieczni chyba wrogowie, oraz ogromny Carek stanowili czwórkę, oddzielającą nas od ostatniego furgonu taborów.

- Wiecie, ciągle mi chodzi po głowie: co też jest w tych wodach?... - zaczął Drobniakowski półgłosem.

- Bo co? - zapytałem bez zapału. Męczący marsz w plusze nie usposabiał do konwersacji.

- Bo jeśli aż specjalna ochrona im potrzebna...

Nie podtrzymałem rozmowy, ale to nie zraziło długonogiego piechura. Obrócił ku mnie twarz wyglądającą spod koca jakoś po babsku i po diabelsku zarazem, trochę niewyraźnie.

- Chcecie papierosa?

- Nie palę.

- To i lepiej. Pewnie jeszcze nie macie dwudziestu lat?

- Osiemnasty.

- A toż ja mam synka niewiele co młodszego... Czternaście skończył akurat tego dnia, kiedy ja na ochotnika...

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a że przy tym i kapral obejrzał się jakoś nieżyczliwie, milczeliśmy czas jakiś. Buty cmokały, chlupały, koła wozów dudniły, bo pod błotem droga była z twardego gruntu. Dlatego też pewno wilgoć nie wsiąkała w nią, tylko płynęła rzeką.

- Jakby tak teraz bolszewiki... Rany Jezusa! Akurat droga po równym idzie. Ani się gdzie ułożyć, ani za co głowy skryć...

Nie odpowiadałem. Patrzyłem w mokrą ciemność, obserwując kołysanie się białych plamek na wysokości czapek pierwszej czwórki. Plamki te to były skręcone papierki, którymi pozatykaliśmy lufy karabinów, aby nie zaciekły wodą. Przy odrobinie wysiłku wyobraźni mógłby się przypomnieć czas wymarszu na front, kiedy w słońcu pysniliśmy się jasnymi rzemieniami ryszpunku, pachnącymi tak krzepko, i kwieciami zdobiącym wyloty luf.

- Jakby tak teraz bolszewiki - ciągnął Drobniakowski - to śmierć. I nawet by człowiek nie wiedział, za co życie oddaje... Co w tych furgonach może być?...

Czekałem, czy "hrabiątko" nie palnie po swojemu, że "życie oddaje się za ojczyznę", do niedawna bowiem dużo takich powiedzeń rzucał między kolegami, póki nie zmiarkował, że oni myślą prawie t o s a m o, lecz nie t a k s a m o. I że nigdy o tym n i e m ó w i ą.

Ale Zastawski nie odezwał się. Widocznie już pełne zapału apostrofy miał za sobą.

Może sam odmienił się nieco. Może ujrzał dysproporcję między swoimi wypowiedziami zaczerpniętymi z lektury - a szarymi oczyma żołnierzy i dłońmi od pługa, młotka i maszyny, obejmującymi karabin jak niedobry, choć potrzebny, ciężar.

Cóż z tego, że sam całym sobą świadczył o prawdzie, w którą wierzył? Lubiano go za to właśnie. Wiedzieliśmy wszyscy, że opuścił pałace, siwą matkę i wszystko, czym żył dotychczas, że spokorniał i przystał do szarej masy żołnierskiej i z dniem każdym wtapiał się w nią coraz bardziej. W ukośnych smugach wody gibka postać "hrabiątka" ledwo zastugiwała na swoje przezwisko. Grubo sfałdowany płaszcz, furażerka naciągnięta na uszy bez cienia elegancji, za to z dbałością o wygodę - nie, to nie przypominało infanta olbrzymiej ordynacji kresowej...

Naraz pochód zatrzymał się. Kolumnę naszą rozdzielono i gdy czoło taborów sunęło dalej pod niskie niebo, pełne mroku i czegoś niewyraźnego jak groźny przedświt, kilka wozów utknęło przed cerkwią, a my razem z tymi wozami. Po gościńcu krzyżującym się z naszym szlakiem wędrówki - z łoskotem, krzykami koniowodów, świstem batów leciały w cwał baterie konnej artylerii, odcinając nas od reszty transportu. Gnali jak jeźdźcy piekieł. Błoto tryskało, konie rżały, chrzęściły uprzęże, kołatały jakieś łańcuchy. W ciemnej zawierusze widzieliśmy tu i ówdzie jasną pręgę i wtedy wiedzieliśmy, że to szleje zerwane powiązane sznurami. Widzieliśmy jabłkowitego konia - to chłopskiego chowu siwek zarekwirowany naprędce dla baterii, która w zasadzie miała w zaprzęgu kasztanki.

- Panie kapral - woła Wicek głośno, aby zakrzyczeć tamtych - panie kapral, ale jadą, niech ręka boska broni...

- A wam, Wicek, podobno nawet i myśleć o koniach nie wolno...

Stopił się Wicek, zwany "ułanem". Zamilkł.

- Łunę widać - zakomunikowało hrabiątko.

Jakoż istotnie, przed nami, w lewo od zielonego dachu cerkiewki, rozlewała się niedobra czerwień, tłumiona ulewą. To właśnie wydawało mi się poprzednio czymś w

rodzaju przedświtu.

- Będzie nam ciepło - rzucił Drobniakowski i nie wiadomo było, czy uwaga dotyczy pożaru, czy możliwości bliskiej bitwy.

Wreszcie noc pochłonęła zgietk roztrzęsionych dział, światy, krzyki i wołania artylerzystów, i znów usłyszeliśmy jednostajny szept ulewy, wzmożony bębnieniem po blaszanym dachu cerkiewki.

Na koniu niebываłych rozmiarów podjechał jeździec, większy jeszcze od Carka z pierwszej czwórki, i krzyknął gardłowym głosem:

- J e h a ć! J e h a ć!

- Czego się ten pierun drze? - mruknął Wicek.

- J e h a ć! Jakem Szambor, ja was pogonię! - wściekał się olbrzym. Obrócił konia, wspinając go tak, że kopyta przez chwilę wisały nad głową moją i Wicka, po czym zginął w mrocznych i mokrych czeluściach.

Ruszyliśmy. Człap, człap, cmok, chlup, człap, człap, cmok, chlup - rytmika pochodu rozkołysała nas od nowa. Kapral Staszkowski zagadnął Wicka:

- Co, nastraszył was ten Węgier?

- A co pan kapral myśli? Taki koń...

- Powiedźcie, właściwie, jak to jest... dlaczego nie jesteście w kawalerii? Dlaczego koni nie lubicie? Przecie wiem, że za Austryjaka toście w huzarach służyli...

- Panie kapral, nie chciałbym opowiadać nawet w cztery oczy...

Staszkowski przysunął się ku naszej czwórce, zwolniwszy kroku. Poprawił rzemienie na piersi szerokiej jak bęben i znowu zaczął:

- Mnie tam o plotki nie chodzi. Ino żebym aby wiedział, co myśleć.

- Panie kapral, to chodziło o Cyganów. Ale więcej już nic nie powiem. Przez Cyganów ja straciłem serce do koni. I co ukrywać, boję się...

- To wszyscy wiemy. Jak kobyła parskie, to was drzączka bierze - zaśmiał się Knysz z pierwszej czwórki - i zaraz dodał, ale to już pod adresem Nysia: - A ty czego zęby szczerzysz, adriatycko małpo?

- Knysz - upomniał kapral - żebym ja wam nie powiedział czego...

Człap, człap, cmok, chlup. Długi czas maszerowaliśmy w milczeniu.

Znałem dzieje Wicka. Opowiedział mi je kiedyś Zastawski, bo Wicek był synem kowala z tej samej ordynacji. Opowiedział, jak wiele innych spraw zastawskich, w długie noce koszarowe, gdy nie mogąc zasnąć szeptaliśmy o domach rodzinnych, o całym porzuconym przez nas życiu: ludziach, książkach, okolicach. Póki pułk nie wyruszył w pole, gawędziliśmy co wieczór przynajmniej z godzinę, nie mogąc zasnąć w sali, w której spało stu kilkudziesięciu mężczyzn; sali tak dobrze znanej, z okrągłym piecem w kącie i z kratami w oknach. Skoro świt na tle tych krat widziało się Carka śpiewającego nabożne pieśni z modlitewnika. Pierwszego dnia, gdy przy wieczornym apelu w koszarach szef kompanii wywołał nasze nazwiska, pomylił się przy Zastawskim i zawołał:

- Zastawka.

Nie było odzewu. Wówczas przysunąwszy listę kompanii do oczu, a zarazem i do lampy, zawołał nieco głośniejszym głosem:

- Zastawka!

- To chyba was wołają.

- Nazwisko! - krzyknął w tej chwili sierżant, znalazłszy się tuż obok nich. - Wasze nazwisko!

- Zastawski!

- To dlaczego się nie odzywacie, jak was wywołują! Kpiny sobie stroicie? Ochotnik,

cholera...

- Pan sierżant wywołał jakieś inne nazwisko...

- O, do stu ran z karabinu maszynowego, jeszcze tu będziecie dogadywali! Zastawka czy Zastawski, mnie wszystko jedno! Różnicy nie ma! Ja jestem sierżant, a wy jesteście szeregowiec i wystarczy! A o tytułach, herbach tu trzeba zapamięć! Zrozumiano?

- Tak jest, panie sierżancie. Po to tu przyszedłem, aby zapamięć.

- Dla ojczyzny i tak dalej... Chwali się, chwali się wam, ochotniku. Ale pamiętajcie, że w wojsku Zastawka czy Zastawski to może być wszystko jedno...

- Hrabiaćko - mruknąłem wtedy. Lecz sierżant dosłyszał: - No, no, wy tam, nie pozwalajcie sobie... Hrabiaćko nie hrabiaćko, nawet więcej, bo księżaćko... I wiecie co? Wyście takie inteligenckie dziecko, musicie być bliżej tego małego. Na pewno się zaprzyjaźnicie, po oczach to widzę. Kapralu, dopilnujcie, żeby im dano postania obok siebie.

Od tego to czasu sypialiśmy razem i gawędziliśmy w chwilach wolnych od ćwiczeń, a potem od marszów. Zaprzyjaźniliśmy się istotnie. Od niego po raz pierwszy słyszałem o muzyce wielkich artystów, bo dzieciństwo moje minęło bez muzyki. Kiedy byłem mały, mdlałem w kościele przy dźwiękach organów, i najbliżsi moi, spostrzegłszy to, chronili mnie przed muzyką. Nie chodziłem na koncerty, nie biegałem za wojskową orkiestrą jak inni chłopcy, nie lubiłem śpiewu, z lekcji muzyki obowiązkowych w szkole, do której uczęszczałem, ratowałem się ucieczkami przez okno. Za oknem był parkowy ogród i ukryty w rozgałęzieniu drzewa tom Nietzschego...II

WICEK

Zastawski opowiadał mi o muzyce, otwierając nowy świat. Po wielu wieczorach widziałem w sobie wielki salon muzyczny pałacu w Zastawiu, odbłask świec w ciemnym pudle pianina i lekkie dłonie jego matki na czarnobiałej klawiaturze. Znałem wszystkie konie ich stajni, uśmiech *miss* Steward, Angielki uroczej, wesołej i psotnej, dzieje Jana z kredensu, który się powiesił, zawiłe historie o rybakach z wielkich stawów Zastawia, opowieść o upadku i podniesieniu się ordynackiej cukrowni, plotki o Tarnowskich, Tyszkiewiczach i innych sąsiadach, wreszcie - legendę Wickowego żywota.

Człap, człap, cmok, chlup - gwarzyły buty nasze z drogą, słotą i beznadziejnością, a wspomnienie ukazywało inny świat, nie zadeszczony, nie przewiany mokrym chłodem.

.....

Wicek miał do czynienia z końmi od maleńkości, jak to w kuźni. Kiedy podrósł, wywędrował w świat z handlarzami koni i dał o sobie znak życia dopiero podczas wielkiej wojny, pisząc do rodziców list na kartce polowej poczty austriackiej. Wynikało z jego pisania, że jest huzarem i że dobrze mu się dzieje, bo służy w honorowym szwadronie generał-gubernatora okupacji.

Ale to tylko lekko zahacza o właściwą "sprawę Wicką". Zaczęła się ona wtedy, gdy Wicek wrócił już z wojaczki, osiadł z powrotem przy ojczym, budząc początkowo rozczulenie ich, a potem złość i żal. Okazało się bowiem, że w wojsku prawie nie wyrósł. Jak był drobny i szczupły, tak też drobny i szczupły pozostał, co starego Wickę gniewało coraz więcej. Sam był chłopem na miarę kowali dawnego czasu i

choć siał już, choć chorował, lecz jeszcze walił wielkim młotem z taką mocą, na jaką syn nie mógł się zdobyć, a kto wie, czy i dwóch takich synów by się zdobyło.

- W kogoś ty się wdał? - dogadywała i matka, kobieta dorównująca wzrostem mężowi. Oboje zauważyli wkrótce, że syn nie tylko nie wdał się w nich, ale i pracować nie nauczył się między ludźmi. Choć nie wylegiwał się, robił tam coś w kuźni, ale mu to wszystko nie szło. - O g n i a w sobie nie miał. Przynajmniej tak się kowalowi wydawało. Lecz ogień w nim był, tylko inny.

W pewien majowy dzień zjawili się w Zastawiu Cyganie. Wielka to była atrakcja dla osady. Obóz stanął u rzeczki za cukrownią: Cyganki jak barwne motyle pofrunęły między opłotki, Cyganie bili w kotły, obiecując naprawę metalowych garnków, ostrzenie noży i nożyc oraz wiele innych pożytecznych robót, a przy wielkim ognisku siedziała milcząca stara królowa obozu i wałęsały się nagie, brzuchate dzieciaki, bardzo kędzierzawe.

Kiedy Zastawski z *miss* Steward wybrali się do Cyganów na wróżby, pokazało się, że Wicek tam przesiaduje. Niby - rzemiosła kotlarskiego się uczy. Ale to było co innego. Opętała go i w bezpamiętny stan wtrąciła młodzianka Cyganka, wnuczka starej królowej - lekka, smukła i mająca właściwość odmieniania rzeczy swoim wewnętrznym blaskiem. Bywają tacy ludzie, którzy wszystko odmieniają: łachman noszą jak delię, oprą się o koślawy stołek, a ten stołek robi się podobny do tronu, staną pod chuderławą drzewiną z pięcioma listkami na czterech gałązkach, a ta drzewina chwieje się jak najpiękniejsza z palm rajskich.

Wicek zapomniał o świecie. A kiedy Cyganie wychodzili z Zastawia, uciekł nocą z nimi i przystał do obozu. Nie było go z pół roku. Wreszcie powrócił do kuźni ku zachwytowi rodziców, którzy witali go, jak to się zwykle synów marnotrawnych wita: zarzęnięciem cielaczka i ucztą w gronie miłych sąsiadów.

Wicek powrócił chory. Z półsłówek dowiedziano się, że był w szpitalu, że kurował się, bo miał złamaną rękę i dwa żebra. Dużo czasu upłynęło, nim wyzdrowiał na dobre. Odmienił się też niemało. Milczący leżał na sofce pod oknem i patrzył w ogródek zasypyany śniegiem. Potem zaczął czytać. Pożyczał książki od dworskich pań, pożyczał i z fabryki. Jakoś na wiosnę rzucił książki, a wziął się do roboty z ojcem. Bił w kuźni młotem może nawet silniej niż przed chorobą, ale w ojcu serce upadało, bo wiedział, że to tylko desperacja. Wreszcie oznajmił w domu, że idzie do wojska polskiego na ochotnika.

- Ułanem będziesz, synku - powiedziała matka i łzy zaszkliły jej oczy. Chłopi ordynaccy mieli s w o j e pojęcie o Polsce i s w o j e wspomnienia z powstań, odmienne od tych, które w reszcie kraju wyrażały się słowami: p a n o w i e wojowali...

- Pójdę do piechoty - rzekł na to, patrząc w podłogę.

.....

I oto idzie teraz obok mnie, w czwórce, którą stanowimy on, ja, Drobniakowski, co szewcem był w cywilu, oraz młody Zastawski, "hrabiątko" naszej kompanii.

Co się działo z Wickiem na cygańskim szlaku? Może mu rywale tak ciężko dogodzili, może czarodziejska cyganicha zdradziła go i wplątała w jakąś krwawą kabałę, a może koniokradem został - dla niej - i pobito go przy samosądzie, jak to na wsiach bywa...

- Dlaczego s z e tak wleczenie? Dlaczego? Jakem Szambor? - zagrział w pobliżu głos gardłowy, błoto bryznięto kilkakrotnie i konny cień olbrzyma w ciemnej mokości pogalopował ku przodowi taboru.

- Diabli go noszą - mruknął Wicek.

Drobniakowski szedł z podniesioną głową. Wpatrywał się w łunę przed nami. I głowę bym dał, że mroczne myśli nurtowały go jeszcze mocniej niż o zmierzchu.

Doszliśmy do nowego skrzyżowania dróg i tu znowu tabor rozdzielił się na dwie części. Pierwsze furgony przejechały, a potem między nimi a resztą przewinął się potok jeźdźców, tym razem cichy i widmowy. Lance bez proporczyków, czapy futrzane i nahajki z surowca zaniepokoiły jakoś Wicka:

- Co to? Kozunie?

- To swoi. Ukraińcy - objasniłem. - Jeśli się dobrze przypatrzyacie, to zobaczycie na rękawach trójzęby.

- Co?

- T r ó j z ę b y. Znaki takie.

Widocznie wyjaśnienie to nie przemówiło do Wicka, bo wysforował się z gromadki i ruszył ku jeźdźcom. Po niedługiej chwili doleciały do nas z bocznej drogi okrzyki, przekleństwa polskie i niepolskie, kwik zdenerwowanego konia i parskania jego towarzyszy, odpowiadających długo, przeciągle, w całym chyba oddziale. Kapral Staszkowski kopnął się w tę stronę i zniknął za ścianą ulewy. Potem zjawił się znowu w polu widzenia, wołając:

- Sanitariusze! Nosze! Żywo tam, żywo, łapiduchy!

Potem znów się pokazał z sanitariuszami niosącymi człowieka. Jeszcze nie wiedzieliśmy, kto to, ale z góry było wiadomo: Wicek.

- Doigrał się - powiedział kapral w formie informacji. - Jak poszedł do koni, a machnął kocem, koń się spłoszył. No i masz...

- Ale co mu do głowy przyszło z tym kocem? Co mu jest? Dlaczego nie na noszach? Nie żyje?

- Co mu jest i co mu jest? Co ma być? Nogę ma złamaną, wicie? Kobyłka przetrąciła, tera już wszystko wicie?

- Ale z kocem...

- A wy, Drobniakowski, po coście koc na łeb założyli? Żeby wszy nie pomarzęły. No to może i on miał takie samo życzenie... No, sanitariusze, co stoicie, cholera by was wzięła! Nie wicie, gdzie wóz ambulansowy? Nieść mi tę ofiarę, ale już, biegiem!

Poprzez te połajania, gniewy i dąsy, czuliśmy jednak, że kapral nie jest w złym humorze. Rażno poprawił rzemienie na piersiach, łyknął czegoś tam z manierki i popatrzył w stronę, gdzie zniknęli ludzie z noszami. Dobiegł stamtąd głos:

- Wolna droga! J e h a ć ! J e h a ć , p s z a k r e w !

- Diabli go noszą - mruknął kapral i urwał. Domyśliłem się, że przypomniał sobie Wicka. Wicek przecież przed kilkoma minutami wypowiedział te same słowa i to o tymże Samborze. - Ale się koni bał... nie z darma racji... - dokończył Staszkowski, a wiadomo było, że tym razem nie Szambora to dotyczy.

- Panie kapral - odezwał się milczący zazwyczaj stary Carek - czy my dziś nigdzie na nocleg nie staniemy? Idziemy i idziemy. Już nie wiem czy to dzień, czy noc.

- Dzień. Słoneczko przygrzewa - uprzejmie wyjaśnił Knysz.

- Nic nie wiem o noclegu.

.....

.....

Zaczął się najgorszy etap wędrówki. Błota przybywało, zmęczenie czuł każdy już nie w kościach, ale wprost w całym sobie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie chodzi o marsz, lecz o deszcz, przebrzydły deszcz. Milczeliśmy.

Przechodziły przez głowę myśli o Wicku, o domu, o przygodach stryjecznego brata na polach Szampanii, także i o tym, że na postojach Zasławski już prawie nie opowiada, już z niego wojowanie wyciągnęło liryzm wspomnień. Z a s t a w k a - przypomniałem sobie i nie mogłem się nie uśmiechnąć.

Zarysy furgonów zgubiły się zupełnie, gdy weszliśmy między chałupy i stodoły na pozór opuszczone, bo ciemne, lecz w rzeczywistości pełne wojska. Nocowały tam jakieś oddziały, które pierw od nas dotarły do wsi. Ognie nie wolno było palić. Widzieliśmy więc poza łałdami deszczu ruch pojedynczych ludzi, jakieś gromady przycupnięte pod okapami stodoł, bo wewnątrz miejsca nie starczyło, jakieś psy bezpiecznie wałęsające się w deszczu i plusze. Tabor sunął naprzód. Mijaliśmy ostatnie domy i cmentarz tuż przy drodze, zwieszający warkocze brzoź pomokłe, ciemne, żałosne, gdy nagle wybuchł głos Szambora:

- Stać! Stać!

Kolumna znieruchomiła.

- Tu nocujemy! - krzyknął jeszcze Szambor.

- Na deszczu? - zapytał któryś.

- Nie, skądże znowu, w hotelach - pośpieszył z odpowiedzią Knysz.

Roztasowaliśmy się jak kto mógł: na wozach, pod wozami, a także pod osłoną cmentarnego muru i pod gankiem żałobnej kaplicy.

Usnąłem dziwnie szybko i bez widzeń, mając nad sobą brezent furgonu, a ostatnie pasemko łuny przed oczyma.

O świcie zbudziły mnie strzały. Na wschodzie stał blask, lecz teraz był to blask słońca wznoszącego się powolnie nad mokry świat. Niesamowita okolica nocna w jasności pogodnego dnia ukazała się nam jako zwykła, dość duża wieś pośród gliniastych nieco pól.

- Michał! - zawołałem, przecierając oczy. Spod kół wozu uniosła się głowa Zasławskiego:

- Strzelają!

Zdołaliśmy dostrzec, że u pobliskiej studni myje się stary, olbrzymi Carek, myje się i śpiewa godzinki, a potem chwycił nas zwykły młyn czynności żołnierskich: zbiórka, apel i odczytywanie rozkazów popartych objaśnieniami oficerów.

Po kwadransie, przy trajkotaniu karabinów maszynowych naszych i tych tam, z t a c z a n e k, okopywaliśmy się na gliniastych miedzach. Ciężka gleba lepiała się do łopat, kule świstały, za dalekim miasteczkiem przelatowały pociski artyleryjskie, przy czym odległość sprawiała, iż osobno widziało się wybłyski, osobno zaś dolatywały huki odstrzałów i wybuchów. Równocześnie widziałem opodal jasną od słońca i wody drogę (naszą nocą drogę) i słyszałem jakiegoś ptaka z cmentarnego gaju.

Cóż to za ptak tam śpiewał w ostatnim dniu sierpnia?

KOŃ RYDZY

I

Pagóry, brzeziny, trawy, karabiny
nad szerokim a krętym Niemnem,
któż to trapi ciebie, o, człowieczy synu,
wołaniem ciemnym?

Że Knysz się boi, zrozumiałem dopiero po wielu dniach obcowania z tym wesołym i kpiarsko uosobionym żołnierzem, chłopcem na schwał, pod którym - zdawało się - ziemia jęczy.

Niepodobna było odgadnąć jego tajemnicy. Nie tylko nie zachowywał się gorzej niż inni w obliczu niebezpieczeństwa, ale może nawet poczynał sobie bardziej zuchwato i nonszalancko. Podziwiałem go zwłaszcza w tym okresie mojej wojaczki, gdy jeszcze kłaniałem się kulom, nie mogąc opanować instynktownych pochyleń głowy przy ich bliskim świście.

Lecz pewnego dnia, jakoś pod wieczór, dostrzegłem w nim coś, co było niezgodne z obrazem, jaki sobie skleciłem.

Kwaterowaliśmy właśnie w niewielkiej osadzie nad Niemnem. Postój zapowiadał się na dwa, a może i trzy dni, więc rozluźniło się frontowe napięcie, twarze z sępic i jastrzębich przeobraziły się w bardziej ludzkie, słowem, daliśmy sobie folę.

Nyś pisał listy, mnóstwo listów zasłanych drobnym maczkiem, jak dyrwany nadniemeńskie listkami brzoź. Kapral Staszkowski był niewidzialny. Całymi godzinami krążył gdzieś po uliczkach tej dziury, zabitej deskami, Zasławski leczył dłonie poparzone przy wybuchu, Całek przesiadywał pod kościołem obtłuczonym przez kule; ten kościół przedwczoraj ostrzeliwaliśmy zawzięcie, ponieważ bolszewicy na jego wieży umieścili karabin maszynowy.

Mnie urzekła rzeka. Nad wodą naprawdę błękitną włączyłem się rozkręcony i bynajmniej nie żołnierski. Piękna kresowa jesień darowała mi, bo umiałem patrzeć, linię ciemnego boru, przerywaną tu i ówdzie żółtymi wybuchami brzeziny, role brunatne, grubo skręcone w pagóry na podobieństwo olbrzymich, uśpionych ciał, krzaki podwójnie rosnące: ku niebu i w wodzie, w dół.

Raz podczas takiej wędrówki znalazłem Knysza. Siedział na tratwie, którą przycumowano u pniaków świeżych, jeszcze mokrych, jeszcze złotych na przekroju słoju.

Nogami w owijaczach i buciorach dotykał fali, mącąc odbicie bladych obłoków, głowę opuścił między ramiona. Na pewno nic nie myślał, czuł tylko. Ale jakże to nazwać w ubogim języku ludzkim: może właśnie "zadumanie"?

- Cóż wy tak? - zagadnąłem i pożałowałem. Knysz obrócił swą dużą i jasną twarz, lecz nie było w niej zwykłego ironicznego uśmiechu.

- Zostawcie mnie - poprosił.

Odszedłem. Z dala spojrzałem na siedzącego wśród wody, słońca, mokrych kłód i tknęło mnie coś, chyba intuicja, bo na przenikanie ludzkich spraw byłem jeszcze za młody.

Tknęło mnie: Knysz się boi...

Ośłona to była przed grozą i straszliwością, ów nieustanny, drażniący humor, wesołe przekpinki ze wszystkiego i wszystkich, a może nawet i ta odrobina brawury, jaką wykazywał? Prawdopodobieństwo domysłów i przeczuć kazało mi uważniej patrzeć na kolegę. Zapowiadały się rzeczy ciekawe.

Znałem już opowiadania żołnierzy o tych, co nadrabiali miną i nie dawali się zmorom, póki nie nadszedł wyjątkowo zły dzień. A wtedy wszystko rwało się i załamywało w formach niedobrych, ponurych, nieludzkich. Wstawiwszy raz Knysza w schemat urobiony z tych opowieści czekałem na rozwój wypadków, przyznając, ciekawie, a beznamiętnie. Gdybym nawet miał w sobie cień chęci pomocy, cóż mógłbym pomóc?

II

Drogi nieskończone, nieskończone,
wojna wam powierza tyle skarg!
wam oddaje swoje łyzy czerwone,
wam poddaje martwy uśmiech warg...

Przy najbliższym marszu natknęliśmy się na transport rannych. Myśmy szli ku bitwie, a oni stamtąd wracali. Na szerokich wózkach kresowych, na telegach, których niziutkie koła skrzypiały monotonnie w jednym rytmie z wahadłowymi ruchami końskich łbów, wieziono tych, którzy już krew swą przelewali. Maszerowaliśmy, starając się nie patrzeć w twarze, nie przejmować się jękami przechodzącymi niekiedy w skowyt lub głośny krzyk.

Mimo to ten i ów nie wytrzymał i słychać było w szeregach półgłosy:

- Ale broczy! Pokrwawił całą drogę...

- O, to Jaśkowiak z pierwszej kompanii! Jaki żółty! Pewno go ogłuszyło! Wybuch, czy co...

- Chorąży z dowództwa baonu... Kula w środeczek czoła. Już ci, biedota, podporucznikiem został...

Knysz nie mówił nic. Patrzył w dół, pod stopy, gdzie snuła się w czarnobłociu nasza droga obrzeżona paprociami, błyskająca mokrością w głębokich koleinach.

- Nie mogę patrzeć - powiedział wreszcie do Zasławskiego.

- Trudno patrzeć - przyznał najmłodszy z naszej kompanii ochotnik.

- Ja, wiecie, mam taki dar, że jak spojrzę na chorego albo rannego, to od razu widzę, który nie żyje...

- O, i po czym tak poznajecie?

- Sam nie wiem. Chyba po dziąsłach. Ale nie mylę się nigdy.

- Ciekawe.

- Nie chcę patrzeć, bo może oni poznają z moich oczu, że... że koniec.

Minął nas ostatni wóz i dalej marsz odbywał się jak zwykle, z myślą o postojach i kuchni polowej, z chęcią, spoczynku bodajby na przydrożach.

Tego dnia marsz był wyjątkowo długi. Z krótkimi przerwami parliśmy naprzód nie czując już plecaków, ładownic i karabinów, nie wiedząc, jak stąpają nogi, otumanieni zawieją barwnych plam przed oczyma. O zmierzchu z zagajników i rojstów wynurzyła się przed nami wieś wyznaczona uprzednio na nocleg. Lecz strażę z opaskami

czerwonego krzyża na ramionach ostrzegły nas:

- We wsi cholera. Idźcie dalej.

Poderwaliśmy więc obolałe nogi do dalszej wędrówki skroś noc i białawe tumany wypełniające świat i w półjawie kołysaliśmy się, pochód wpółuspionych. Gdy czoło kolumny stawało, następne czwórki obijały się głowami o plecaki poprzedników, trzeźwiały na moment i zapadały w drzemkę stojąc. Ruszaliśmy, gdy przednie czwórki rozpoczynały znowu marsz. W jaki sposób się to działo, że stopy przytłoczone znużeniem do drogi wprawiały się na nowo w rytm pochodu? Szliśmy z czołami tkwiącymi w niewyraźnych obłokach, zawierających domy rodzinne, sceny nonsensowne a męczące jak sam marsz, widoki niby to znane, a nie widziane nigdy.

- Pięćdziesiąty kilometr! Może dość na dziś! - krzyknął ktoś obok mnie ze złością, zdaje się, że stary Całek. I w tej chwili usłyszałem drugi okrzyk, krótki a rozpaczliwy:

- Matko!

- Co wam? Co się stało, Knysz? - zapytałem skwapliwie. Bo to był jego głos.

- Nic, nic. Śniło mi się coś... Czy ja krzyczałem?

- Krzyczeliście.

Na tym nasz dialog się urwał, bo właśnie doszliśmy do innej wsi i padły komendy rozsypujące naszą gromadkę po zagrodach. Ocknąłem się w chacie. Ktoś krzątał się koło komina, ktoś skrobał ziemniaki, ktoś pytał mnie:

- Mały, będziecie jedli kartoflankę?

Ale ja nie mogłem nawet odpowiedzieć. Westchnąłem tylko i zatopiłem się we śnie, choć ława pode mną była bardzo twarda, a plecak menażką uwierał mi skroń.

III

Widziano jeźdźców na rozdrożach.

Rżał bez ustanku rydzy koń.

To była wojna. I dłoń Boża

krwawiła tak jak ludzka dłoń...

Przypomniało mi się wszystko dopiero następnego dnia, po południu. Kolumna wojsk zatrzymała się w cieniu starych drzew, na gościńcu szerokim, białym, gładkim, pnącym się po wzgórzach. Dymiły kuchnie, pachniała jakaś zupa, ni to krupnik, ni to kawa, bo kucharze nie mieli czasu kotła wymyć.

Siedziałem z Zastawskim i dwoma telefonistami na długiej skrzyni saperskiej. Łyżki pracowały zawzięcie. Nie interesował nas złożony smak potrawy.

- Już nie mogę - powiedział nagle Zastawski. Wylał resztkę zupy, otarł łyżkę i jakby nie wiedział, co dalej robić. Było w jego opuszczeniu rąk i głowy coś takiego, co przypominało mi scenę nad Niemnem.

- On mi odbiera apetyt - rzucił Michał, jakby wyjaśniając rzecz. - Ale nie podniósł głowy. Rozejrzałem się dokoła. Któż to mógłby sprawić, że my, zgłodniałe wilcze wojny, odsuwaliśmy wonne menażki?

Ujrzałem kompanię zajętą pochłanianiem jadła. Żołnierze stali, siedzieli na szkarpie gościńca, na przyzmacz żwiru przygotowanego do naprawy drogi. Niektórzy pożywiali się przykucnąwszy pod cieniem wielkich drzew. Był to widok codzienny, zwyczajny.

- Michał, o co ci chodzi?

- No wiesz... ten... na rydzym koniu...

Wtedy spostrzegłem, że stojący w pobliżu Knysz patrzy przed siebie, na pola, gdzie pod bladym słońcem jesieni widniał samotny jeździec.

Nieopisanego barwy koń (a najbliższe określenie brzmiałoby chyba: koń rydzy), stąpał powolnie i majestatycznie, dźwigając człowieka chudego i pokasłującego. Nawet przy tej odległości, jaka nas od niego dzieliła, nietrudno było zauważyć, że mundur zwisa po prostu na tym chudzielcu, a hełm niemiecki ciąży na nim jak grobowe sklepienie.

Znaliśmy go. Przemierzał pobojoziska tuż za oddziałami walczącymi, przystawał nad ciałami poległych, zabierał ich dokumenty, listy, fotografie, drobiazgi, nieraz długo coś notował w czarnej książeczce, którą potem krył w kieszeni siodła: - obcujący tylko z martwymi, milczący jak oni, działał na wyobraźnię wszystkich nas, młodzików i starych żołnierzy, szeregowców i szarż. Żandarm śmierci - to było jego popularne miano, a w skrócie - choć czy to był rzeczywiście skrót? - mówiliśmy: ten na rydzym koniu.

Michał miał specjalną awersję do ponurego jeźdźcy, więc nie dziwiłem się, że nie je. Ale Knysz? Knysz stał zapatrzony, nie mrugając, osłupiały jakiś, ogłuszony, a przecież w menażce miał jeszcze sporo zupy, w której tkwiła pokaźna i bynajmniej nie goła kość.

- Knysz! - zagrzemiał głos kaprała. - Wrona wam do gęby wpadnie!

- To będzie mój gołąbek, moje drugie danie. Bardzo lubię drób, ptaszki - odpowiedział zagadnięty, wchodząc widocznie w tor swego normalnego błaznowania, które się kapralowi tym bardziej podobało, im mniej było dowcipne naprawdę. Toteż i teraz wielka pierś Staszковского zatrzęsa się od śmiechu!

- A niechże was! Ha! Ha! Ha! Drób! Gołąbki!... - i przecierał załamane od śmiechu oczy chustką, wydobytą z tej kieszeni bluzy, na której miał przypięty krzyż, ciemny krzyżyk za waleczność.

IV

Kto nigdy ludziom nie ufał,
przed obcym serce rozedrze,
gdy cisza nastanie w lufach,
a zaświergoce świerszcz - mędrzec.

- Słuchajcie... niedobrze jest... czuję to... - zwierzał mi się Knysz, choć w głowę do dziś zachodzę, dlaczego wybrał na powiernika akurat mnie, który byłem od niego dwa razy młodszy.

A działo się to w mrocznej stodole tegoż samego wieczora. Układający się do snu koledzy wzbili nad nami i sobą tuman siennego pyłu, który teraz osiadł powoli, odsłaniając w ciszy i ciemności październikowe deszcze gwiazd w szczelinach ścian.

- Sen mara, Bóg wiara - starałem się go pocieszyć, zdając sobie sprawę, że to, co mówię, nie ma dla niego znaczenia. Dla mnie zresztą także nie miało, a mówiłem tak, bo nie wiedziałem, jakich perswazji użyć, jak zlekceważyć groźne sprawy, owijające mu się dokoła szyi śliską pętlą.

On zaś dyszał, trochę od kurzu, a trochę pewno z wysiłku, jaki robił, aby przełamać skrytość i być szczerym. Noc była. Mrok ułatwiał mu wyznanie oraz pokrywał mnie, a tym samym niejako niszczył realną osobę, zostawiając jedynie jakiegoś "ogólnego" spowiednika.

- Słuchajcie... ja to czuję... ja to wiem... ostatnie dni moje...

- Uspokójcie się, przecucia złe miną. Jutro wszystko się wam pokaże inaczej...

- Nie, nie... słuchaj mały - przeszedł nagle "na ty" - sny mam okropne... z domu nie piszą do mnie zupełnie... ten na rydzym koniu podjechał do mnie wtedy we wsi... po tym najdłuższym marszu... Spałem na ganku chaty... księżyc świecił... ten żandarm stał nade mną... ten żandarm gadał: masz blade dziąsła...

- Ja też się boję śmierci - szepnąłem, aby go wciągnąć w bliskość ludzką, aby nadać akcent szczerości słowom, które zamierzałem wypowiedzieć: - może ten żandarm też się wam przyśnił? Bo z tymi dziąsłami to przecież tylko wasz sekret, prawda?

- Nie, o nie... nie śniło mi się... - trząśł się duży Knysz - i głupstwa pleciesz o tym strachu śmierci... Co mi tam kule, pociski... Mogę iść na maszynki, mogę... Ach, nie to... nie o to chodzi... Jest coś strasznego... przej-mu-ją-ce-go... Ja nie umiem ci tego wytłumaczyć! - wykrzyknął na końcu na wpół głośno z rozpaczą.

- Spać tam, spać! Nie gadać - odezwał się z kąta głos kaprała.

Milczeliśmy. Gwiazdy gorzały w szparach między belkami, sypały się ukośnie i gasty.

Spyływały na mnie strachy niedawnego dzieciństwa, w którym za ciemnymi o wieczorze oknami widywałem widmowe dłonie pukające w szybę. Pamięć wywołała nieuchwytnie cienie w lustrach matczynego domu albo mało dostrzegalne ruchy postaci na obrazach. To była jak ciężka chmura. Poprzez nią starałem się pojąć stany towarzysza, którego chciałem rozumieć jak kogoś bliskiego, mimo że dotychczas mało obcowaliśmy ze sobą.

- No, śpij. Już nie myśl, bo jeszcze co wymyślisz - słowa Knysza miały dobrze znaną nutkę pokpiwania. Z nocnej rozmowy naszej zostało jedynie to, że mówił do mnie "ty", co w kompanii na ogół nie było przyjęte.

Usnęliśmy. Jak w blasku wybuchu gwiazdne szpary zamieniły się z nagłą w słoneczne i już zrywaliśmy się do dalszego marszu na wschód.

V

Wśród ostatnich wrześniowych traw

widziałem go po raz ostatni.

Nie miał braci w nas. O, losie, spraw,

by przynajmniej dół miał bratni...

„Śniło mi się tej nocy, że śpię – Śniło mi się, że leżę pod krzakiem na ziemi. Ta ziemia we wnętrzu swoim pełna jest trupów. Przez szklaną skorupę widziałem stopy okropne martwych, zabitych. Matka moja chodziła po szklanym globie, łamała ręce, wołała mnie, a ja nie mogłem odpowiedzieć, że żyję...”

Czytałem tę notatkę w zeszycie Knysza, wśród zapisków o jakichś kamienicach, wśród adresów, cyfr, co wyrażały żołąd.

Knysz leżał koło krzaka, skurczony, na lewym boku. Zachodzące słońce błyskało w ciemnej a wielkiej kałuży krwi. Zachodzące słońce opadało niżej i niżej, jakby chciało zajrzeć w głąb nie domkniętych oczu zabitego.

Kłęczeliśmy koło niego ja i Zasławski, zbierając papiery Knysza, pamiątki żałosne, fotografie. Ręce Michała drżały. Kapral Staszkowski stał nad nami olbrzymi, zasępiony, równie wielki jak to nieruchome ciało. Jeszcze jeden olbrzym, stary Catek,

patrzył w słońce i szeptał coś. Pewno modlił się.

- To wasz przyjaciel? Chcecie zatrzymać te rzeczy po nim? - zapytano mnie. - Przyjaciel? - wahałem się. Przyjaźń? Czy miałem prawo? Podałem zeszyt i kopertę z papierami. Przedmioty ujęła dłoń chuda, okryta włoskami rozłożonymi przez zachód.

Dłoń ta wsunęła swą zdobycz do torby przy siodle, potem osłoniła na chwilę blade, kaszlące usta. Jeździec poprawił się na rydzym koniu, obrócił go łbem do słońca i pojechał ku rzeczce, ku mostowi.

W tamtej stronie dymiła jeszcze bolszewicka pancierka, której strzały dosięgły Knysza. Już było po bitwie. Już z wagonów wysypywali się ludzie w granatowych rubaszkach i skórzanych kurtkach, niektórzy w bieli bandaży i szmat. Z rękami wzniesionymi do góry wyskakiwali na nasyp, między gromadkę naszych żołnierzy.

- Ano, nie ma Knysza! - tak kapral zamykał, zaśrubowywał sprawę. - Szkoda go. Wesoly był chłop!

KWIATEK

(wspomnienie z 1920 roku)

I

Na wysokościach nocy spękane chmury płynęły szybko niby kra. Pies wył w okolicy.

Stanęliśmy we czterech na ganku białoruskiej chaty, wahając się: wejść czy nie.

Pragnęliśmy noclegu w ciepłe, bo chłodno nam było poprzedniej nocy pod chmurami - a we wszystkich domostwach wioski, na klepiskach, ławach i piecach leżeli pokotem nasi, bracia żołnierska, utrudzona wielogodzinnym marszem. "Nawiązanie łączności z nieprzyjacielem" nie udało się. Uciekał tak, że ledwo go kawaleria dywizji dopędzić zdołała, a i wtedy rozpraszał się, rozsypywał w grupki, ginące pośród zagajników. My, czwartacy, machnęliśmy już ręką na cel marszu. Ciąta chciały spoczynku - i snu, snu!

- Dlaczego porucznik mówił: Nie radzę wam iść do tej chaty na uboczu?

- Co też tu może się dziać?

- Kupić nie kupić, potargować można! Wchodzimy!

- Zaczekaj, Nyś. Cóżeś to taki śmiały? Może lepiej przez okno zajrzeć do izby?

Kapral stanął na kamieniu, bo okienko było wysoko i przez chwilę patrzył uważnie w kwadracik lśniący bursztynowym blaskiem.

- No co? - zapytał plutonowy Egger.

- Co? Nieboszczyk leży na ławie. Bab dużo. Płaczą.

- Więc wchodzimy. Dziwię się porucznikowi...

Wraz ze zgrzytem niskich drzwi powiało na nas zaduchem śmierci, czadem świecy i modlitwami kobiet. Wynędzniałe, z zapadniętymi oczyma, siedziały pod ścianami i klęczały pośród izby, wokoło ławy, na której leżał umarły. Gdy uspokoił się płomień jednej, jedynej w tej izbie świecy, a blask jej równomiernie ozłocił czoło trupa - zrobiło się nam bardzo smutno i zrozumieliśmy, d l a c z e g o oficer odradzał nam nocleg w tej chacie. Rosły, żółtolicy chłop na ławie miał twarz uderzająco podobną do twarzy Knysza, który poległ przed tygodniem.

Podobieństwo było łudzące. Widziałem, że nerwowemu Eggerowi prawa brew skoczyła do góry, i widziałem, że na obliczu Nysia pojawił się dziwny wyraz żałości czy goryczy - któż by to mógł odgadnąć?...

Nocować z nieboszczykiem? Ach, nocowało się już na pobojuwiskach, gdy kurz opadał po przemarszach w otwarte usta zabitych. Ale co innego tu, gdy obcy chłop jest na wpół tylko obcy, gdy sami siebie pytamy bezgłośnie: cóż to jest?

- Czy?... - zacząłem.

- Zostajemy - zdecydował plutonowy. Od jego mocnego głosu zrobiło mi się raźniej, jakby rozstrzygnęły się jakieś niepewności. Ostatecznie, zwyczajne, przypadkowe podobieństwo.

- A panoczki, jakżeż wam tu nocować, kiedy tu u nas "pusta noc", ha? - zapytała jakaś starucha.

Ale my, nie bacząc na gospodarzy, ułożyliśmy się na ławach ulepionych wokół pieca wystającego na środek izby. Podkładając kurty pod głowę, luzując na sobie odzież i buty, ale tak, aby się móc ubrać w razie alarmu, słyszeliśmy zawodzenia bab i mamrotania oburzonej starki: - *Kab ich wouki*! Ot, jeraciki łobatyje...*II

Spałem niespokojnie, w pewnym momencie wydało mi się, że słyszę głos Knysza. Na wpół rozbudzony uniosłem głowę, z trudem uświadamiając sobie - co widzą moje

oczy.

A było na co patrzeć.

Płomień świecy stał nieruchomo, baby spały po kątach i przy umarłym. Jedna wsparła się czołem o brzeg ławy i tak śniła o czymś z czerwoną pręgą na skroni. Inna miała ręce rozkrzyżowane i głowę odchyloną ku tyłowi, drzemiąc u nogi stołu.

Plutonowy spośród tego królestwa uśpiania bosi, skupiony, groźny skradał się ku nieboszczykowi. Zrozumiałem od razu, że nie ma mowy o jakiejś kradzieży - bo i cóż by ukradł trupowi w siwej parciance - lecz o czymś więcej. Nie mogłem jednak pojąć, co to będzie, i kolano zaczęło mi drżeć, a potem i całe ciało. Miałem lat siedemnaście, umiałem spać przy armatniej kanonadzie, lecz n i e z n a n e zawsze przejmowało mnie jak nic na świecie, aż do fizycznego bólu.

Drżałem więc i patrzyłem.

Plutonowy ciszej niż wiatr podszedł do ławy, minął ją i stanął nad Nysiem. Ten także spał. Twarz miał zwróconą ku światłu świecy, usta półotwarte, ciemny kędzior na czole. Egger wyciągnął rękę, zasłonił świecę i znowu odstłonił zniecka. Powieki żołnierza drgnęły. Wówczas szybkim a cichym ruchem podoficer wsunął mu rękę do kieszeni i wyjął stamtąd kopertę.

Nie rozumiałem, o co chodzi. Nyś był równie biedny, jak spoczywający w złocie blasków nieboszczyk. Przynajmniej my, towarzysze z jego plutonu, wiedzieliśmy, że pieniędzy nie ma i że nawet chętnie pali cudze papierosy. Więc - także n i e kradzież...

Drżałem nadal, zły sam na siebie - i dlatego, że drzę, i dlatego także, że nic oprócz tego głupiego: kradzież - nie kradzież, nie przychodziło mi na myśl. A przecie wiedziałem dobrze: Egger nic nikomu nie ukradnie!

I wówczas, jakby usłyszawszy te myśli, plutonowy spojrzał na mnie i kiwnął palcem. Cicho, cichutko zlałem z ławy i wyszedłem za nim na ganek. Chmury, krze lodowej podobne, wciąż jeszcze gnały na wysokości, przesłaniając mglisty księżyc.

- Czytajcie to, Mały, wiem, że umiecie po rosyjsku... - i podał mi kartę wyjętą z koperty Nysia. W pierwszej chwili szeregi liter wydały mi się rosyjskie, ale wkrótce przekonałem się, że to pomyłka. Pismo było bułgarskie czy też serbskie i o ile mogłem wyrozumieć, przywołując na pamięć arkana cerkiewnośłowiańskiej mowy, było to pismo miłosne, list kobiety.

Powiedziałem to Eggerowi z pewnym zawstydzeniem, a on mruknął tylko:

- Hm, no, to idźcie spać...

Jednak nie zasnąłem już do świtu. Tłukły mi się po głowie różne myśli i oderwane strzępki myślenia, póki się to wszystko nie ułożyło w wyraźne formułki: plutonowy podejrzewał Nysia o stosunki z wrogiem. A Nyś jest naprawdę tajemniczy i można go o Bóg wie co podejrzewać...III

“Moja prwa myśl pri sbużdanieto...” - “Moja pierwsza myśl po przebudzeniu...”

Tak, to chyba po bułgarsku - rozważałem nocne sprawy następnego dnia, gdy rankiem zarządzono zbiórkę w marszu i kolumna piechoty ruszyła znów na piaszczyste bory.

Dokoła widniały ślady niedawnej walki. Oto j a s z c z armatni ze strzaskanym kołem porzucony w jałowcach krzaków, oto “b e r d a n k a” bez kolby, długa, wbita bagnetem w omszały piach. I taśma kul z karabinu maszynowego. I zakrwawiony chlebak...

Nyś! Nysia nie było w czwórce przede mną. Widocznie, jak to nieraz bywało, przysiadł się na jakiś furgon lub kuchnię polową. Może z zaprzęgiem działa podąża za

nami? Często tak robił, gdy mu dokuczał ból w płaskich stopach, utrudniający marsz. Próbowałem wyobrazić sobie Nysia. Nie było to trudne: oliwkowy, kędzierzawy, przysadzisty - cóż jeszcze o nim powiedzieć!? Patrzący spode łba. Tak. To właśnie nadawało mu wygląd ponury i śmieszny zarazem, a bardzo wyszydzany przez Knysza. Póki żył Knysz, towarzysz jego nie miał spokoju. Cokolwiek robił, kpinkujący wiecznie Knysz przedrzeźniał go tak, że już w końcu nie zauważyliśmy wcale ponurości Nysia, tylko same zabawne cechy.

Mimo to, za mgiełką naszego żołnierskiego humoru, Nyś pozostawał człowiekiem tajemniczym. Zamknięty w sobie i cichy, nie rozmawiał prawie z nikim. Często na postojach i noclegach wpatrywał się w jakieś zatłuszczone kartki, wyciągane z kieszeni wielkich jak czeluście. Albo ta lektura, albo przepadanie Nysia na długie godziny, gdy jechał na armacie, furgonie lub kuchni, musiały naprowadzić naszego poznańczyka na niedobre myśli.

„”

Co się stało z podejrzeniami plutonowego? Czy ich zaniechał? Czy wpadł na inny trop?

Wszystko to zajmowało mnie bardzo, a jeszcze więcej ciekawość - j a k i jest Nyś naprawdę. Mundur na krępych człowieku, spojrzenie świadczące o dolegliwościach fizycznych i innych nie ukazywały nic poza tym.

Drobniakowski stuknął mnie łokciem!

- Idzie nasza kosołapa z mora...

Z bocznej ścieżki, ocienionej rdzawymi drzewami, wyłonił się Nyś. W cieniu i gęszczu widziałem za nim jedynie odblask na żelaznym okuciu koła. Lekko utykając, wsunął się Nyś na swoje miejsce w oddziale - zapytany przez nas, czy go bardzo stopy bolą - odpowiedział:

- Wcale nie bolą.

- To dlaczegoście jechali, zamiast maszerować? - zapytał plutonowy, starając się nadać swojemu schrypłemu głosowi ton wyrzutu. Widocznie dojadło mu, że żołnierz, ż o ł n i e r z z j e g o p l u t o n u, ł a z i k u j e. A Egger był prawdziwym żołnierzem z dawnej armii cesarza Wilhelma i czcił rygory, porządki oraz tym podobne zaszczyty służby mundurowej więcej niż my, wolontariusze.

- Jechałem, żeby dogonić kompanię, panie plutonowy. Musiałem się zatrzymać w wiosce na chwilę.

Tu wzrok plutonowego musnął w przelocie moje oczy, a ja natychmiast przetłumaczyłem to sobie na jedno słowo: podejrzenia. Maszerowaliśmy. Trzaskały leciutko raz po raz menażki, objijając się o żelazo łopat. Szliśmy, nie bardzo trzymając krok na "odtrąbiono", więc nie było w tym trzaskaniu rytmu. Unosiło się nad pochodem jak delikatna chmura brzęku. Wreszcie Egger nie wytrzymał:

- Po co zatrzymywaliście się we wsi?

- Szukałem kwiatka.

Tu koledzy gruchnęli śmiechem i nieład jeszcze większy zburzył najbliższe szeregi.

- Nyś szukał kwiatka!

- Nie, to zdechnąć można ze śmiechu... trzymajcie mnie! Kwiatka!

- Kwiatek, kwiatek! - huczało po kompanii.

Plutonowy nie wiedział, co czynić. A i mnie się wydawało, że Nyś rzeczywiście coś knuje, a teraz beczelnie drwi sobie z podoficera. Wdał się w to kapral. Wyciągnął wielką dłoń do Nysia:

- Dawajcie ten kwiatek - ale już!

Głos olbrzyma, na którym, zdawało się, mundur pęka, uciszył świadków zajścia, a

drżąca dłoń Nysia sięgnęła w zanadrze, wydobyła stamtąd kopertę, z koperty list, który poznałem od razu z daleka, z listu zaś zeschył kwiatek. Spod nisko opuszczonego czoła, spod ciemnej grzywy, błysnęły ponuro oczy:

- Zgubiłem to na noclegu. Musiałem wrócić i odszukać.

Plutonowy znów dotknął mnie wzrokiem. Wydało mi się, że w jego spojrzeniu jest jeszcze większa niż przedtem rozterka.

Wymowne oczy plutonowego, jego drgająca niekiedy prawa brew i teraz stają mi przed oczyma, gdy myślę o minionych dniach.

Czułem się wówczas jak współnik jakiegoś niecnego czynu i unikałem Nysia. Bo to może ja nieostrożnym ruchem wytrząsnąłem z listu kwiatek? Może nawet, nie wiedząc o tym deptałem nogami ową pamiątkę na ganku białoruskiej chaty?

Nyś po dawnemu zniknął na kilka godzin z kolumny, po dawnemu czytywał karteluski, których miał pełne kieszenie, i sam coś pisał. A na nas spoglądał ciemnymi oczyma jak zranione zwierzę.

Pewnego wieczora po zaciętej bitwie, w której głównym punktem oporu był obronny kościół w Szydłowicach, leżeliśmy przy ogniskach. Kuchnię naszą rozbił pocisk artyleryjski, więc sami staraliśmy się o jadło. Zastawski z niezwykle skupioną miną mieszał w wiaderku kluski, które sporządził Drobniakowski z mąki "wykopanej spod ziemi" przez kaprała. Jak się potem okazało, kluski były bez soli, a próby przyprawiania ich prochem, według praktyki żołnierzy napoleońskich, dały okropny rezultat. Nikt tego jeść nie mógł, choć wielki apetyt nas napadł, jak zwykle po emocjach bitwy.

Póki jeszcze te tajemnice się nie odkryły, póki pachnąca strawą woda parkotała w wiaderku, pożyczonym od ułanów, grzaliśmy się wokół ognia, pełni dobrych myśli i nadziei. Senność rozbierała mnie, gdy czułem żar przed twarzą, a chłodną ziemię pod sobą i wiatr za plecami. Senność to była nierzeczywista, zasnutą wonnym dymem igliwia, widokiem czerwonego płomienia, melancholią gwiazd migocących zza mroku.

- Zastawski, długo jeszcze?

- Sam nie wiem - odpowiedział zagadnięty i uśmiechnął się. - Przecież dopiero po raz pierwszy w życiu gotuję...

Kaprał podniósł się, rzucił okiem znawcy w głąb wiaderka i rzekł:

- Za chwilę.

Podniósł się i Nyś. Widziałem, że podobnie jak ja wszedł w jakieś granice nierzeczywiste, w dur, dym i wymiar ognia. Poblask czerwony oświecał go od dołu i przydawał twarzy wyrazu ponurości, pogłębiając oczodoły.

- Dosyć już - wykrzyknął zapatrzony w płomień. A ja od razu poznałem, że nie o wieczereź chodzi, ani o jakąkolwiek ze spraw dzisiejszych, żołnierskich. To, co mówił, samo się wydzierało z dna, z głębokości:

- Dosyć - powtórzył. - Niech zginie wszystko, niech się spali!

Milczeliśmy zdumieni i zaskoczeni słowami Nysia, który przecież tak rzadko mówił, który był przez nas wielokroć wyśmiewany, co prawda z sentymentem. Lecz on nie widział otoczenia. Ręką drżącą - poznałem ten ruch tak wiernie powtórzony - sięgnął w zanadrze, wyjął garść papierosów i rzucił je w żar.

- Niech to będzie już koniec! - szepnął i oddał ogniowi niewielką fotografię. Potem długo coś trzymał w dłoni, aż i tego się pozbył. Lekki, zasuszony kwiatek kołysał się w ogrzonym powietrzu nad ogniskiem, kołował, nie chciał opaść w płomień, aż wreszcie i on opadł. Spłonął jak ćma - szybko, od razu - i tylko srebrnawa plama została na czerwonej głowni.

Nyś nagle drgnął, spojrzał na nas po swojemu, spode łba, i odszedł w mrok.

Kapral mruknął:

- Kluski gotowe...

Zaczęły się kłopoty z ich prząsnym smakiem, przekleństwa, przedsenne gwary gromadki. A Nyś nie wrócił do rana. Nie wrócił zresztą nigdy i wpisany jest w księdze naszej kompanii jako zaginiony bez wieści.

Gdym odjeżdżał do Kielc, do kadry, po zawieszeniu broni, aby wejść znowu w swoje codzienne ubranie i zasiąść do nauki, Egger podał mi rękę i powiedział:

- Uszy do góry, nie dajcie się zjeść w cywilu. Mały... A kwiatek Nysia pamiętacie?

- Tak jest, panie plutonowy!

A właściwie pamiętam dobrze tylko srebrną plamkę pośród żaru, i nie umiałbym określić nawet, czy to był fiołek, czy bratek...

SMUTNY FELIETON. PADA DESZCZ

Za cieniutkimi strużkami przedwiosennej ulewy widać dom. Jest to dom jak tysiące innych, stłoczonych w śródmieściu stolicy i prezentujący się przechodniom również jak tysiące innych domów, załawionych witrynami.

Patrzę i podziwiam wykwit naszych czasów, kamienicę wielką, imponującą, z pretensjami, ozdobioną u szczytu nawet czymś w rodzaju posągu. Kolosalna figura Fortuny, Cerery czy innej bogini wywija się tam z secesyjnych ornamentów, samotna i ponura, na linii dzielącej dom od deszczu.

Niełatwa to rzecz spoglądać w górę, gdy woda z upustów niewielkich dąży ku ziemi tak gorliwie...

Może by zyskały więcej wyrazu, gdyby zatknięto je nie na drewnianych klockach, lecz na krwawych lancach. Wówczas snadniej by przypominały przechodniom ponure hasło: *memento mori*... Tylko - dlaczegoż fryzjer? Dlaczego nikt nie widzi ohydy tego rodzaju reklam? Drugi sklep należy do właścicieli bardziej znających się na sztuce zwabienia gawiedzi ku swym wystawom. Wielkie okna tego składu fatałaszków, pończoch kosztujących więcej niż całotygodniowe utrzymanie rodziny biedaków, ugarntuował artysta-dekorator pstrą zawieją lekkich jak marzenie jedwabi, barwnych jak wschodnia noc tkanin syntetycznych i czymże jeszcze? Uciętymi nogami. Tak. Ucięte, straszliwie jednakowe nóżki w przezroczystych pończoszkach stoją parami, grupują się w wachlarzyki, półkola, trójkąty. Można i tak.

Jeszcze jedno okno. Rękawicznik też sobie nie żałuje. Stada uciętych rąk, dłoni, jakby wykrzywionych skurczem przedśmiertelnym, rozłożą się po całej wystawie. Przypomina to raki, pełzające po dnach jezior czy stawów.

Może dosyć?

Bo przecież więcej byłoby interesujących zbrodni w dziennikach naszych, podających tak stereotypowo: siekierą, kwasem siarczanym, nożem sprężynowym, tęym narzędziem, wreszcie - wystrzałem z rewolweru...

Cywilizacja. No tak.

Deszcz.

Była kiedyś wiosna ludów. Wśród jej ech padły przerażające a natchnione słowa wieszczka, o którym! niepodobna zapomnieć:

...ręce za lud walczące sam lud poobcina...

Już na tym chyba skończę smutny felieton.

JAMA

Nigdy bym nie straszył dzieci...

Są tu czy u nas, to wszystko jedno,
naturalnie, lecz po cóż je tak
śmiertelnie przerażać? Starzeją się
w jednej chwili o wiele lat...
(Czasu jutrzennego)

I

Z pieca, z ciemnej wysokości, odezwał się drżący głos baby Iwy:

- Kiryk, a Kiryk, daj wody...

Kiryk spał pod oknem, na ławie, obrócony wąską twarzą ku maleńkim jak kafle szybkom, na których w wątym świetle letniej nocy wyginał się kontur mirtu. Zajęcze zęby chłopca były w izbie leśnej przedmiotem najblijszym, najbardziej wyrazistym. Baba Iwa uniosła się nieco na legowisku. Nie chciała umierać. Czuła jednak w mroku chaty coś czającego się, coś strasznego jak ryś i bagno zarazem. Zdawało się jej, że krzyczy, ale to był szept:

- Kiryk...

Ognie gorączki rosły w niej. Nasłuchiwała szumów przepelniających obolałą głowę, nasłuchiwała długo, wreszcie, zapomniawszy już o wnuczku, opadła na piec. Dogorywała milcząc, bardzo spragniona wody i zdumiona jak gdyby, że oto umiera, już umiera, choć w jej rodzie żywoty dłużyły się bardzo, a dziadźko Mikołaj, Boże uspokój jego duszę gołębią, dokonał dni swych niedawno jako starzec równo stuletni.

Paliło ją w kościach, ręce objęte płomieniem chorości poruszały się same po chropawej powierzchni pieca, a wewnątrz baby Iwy przenikał jak gdyby gorejący wiatr. I to było właśnie to, co czaiło się po kątach izby. Weszło w staruchę, wtargnęło w nią, zabierało jej światło pamięci okruch po okruchu. A cóż się stanie z Kirykiem? Na swoje dwanaście lat niewyrośli i blade po wielu "bolączkach" nędznego dzieciństwa, nie zda się do służby. Ludzie z wioski nie przyjmą go także. Ilekroć stąd, z lasu, poszedł do wsi, wracał z płaczem, bo przeklinano go i wyzywano, jako że był wnuczkiem wiedźmy.

Zapomniawszy o chłopcu czepiała się resztką pamięci wspomnień o swych praktykach. Widziała w sobie zamieć prawdziwą węzełków i szmat czerwonych płątanych dla uroku, węgielków przepasanych słomą na krzyż, płonącego Inu i pęków ziół. Lecz i to mrok pochłonał. Całe jej wnętrze ogarnęły ryś i bagno, uspokajając nawet szumiącą głowę. Wówczas oczy, same oczy, jakby ożyły. Nie widząc omamów i przywidzeń, obróciły się ku prawdziwości. Baba Iwa przy ostatnim westchnieniu ujrzała, co prawda już niewyraźnie, maleńkie okienko i na nim mirtowe listeczki na tle szybko rosnącej czerwieni łun. Pierwszy wystrzał armatni obudził chłopca. Jak wszyscy dokoła bał się rubinowych nocy, strzelających piorunami raz po raz, bijących ogniem w drzewa i wody. Więc kiedy podniósł mętne jeszcze ze snu spojrzenie, a drugi grzmot potoczył się po okolicy, Kiryk zawołał z lękiem:

- Babko...

Na piecu było cicho. Pomyślawszy więc, że starucha wyszła, aby zbierać przy księżycu trójziele i cary, usiadł na ławie. Sen go odstąpił. Zobaczył czerwone okno i

poblask na belkach pułapu i znów usłyszał huk, jednak niepodobny do huku gromów.

Wstał. Wybiegł na pagórek przed chatę. Sióło jarzyło się ogniem, dymiące, piekielne, pełne zamętu i bieganiny. Czarne, drobne postacie zwijały się, ładując wozy, zaprzęgając konie i łapiąc rozbiegane bydło. Skrzydła czerwieni i mroku trzepotały wysoko, przesłaniając gwiazdne niebo, niby dziwaczny krzak. Zapatrzone w straszliwe widowisko chłopak zrobił krok i dwa, i trzy. Nie wiedząc dlaczego, zaczął iść do pożaru wśród niskich świerków.

Gdy już mógł słyszeć krzyki i trzask płomieni, przystanął na miedzy, potem kucnął. Patrzył beznamiętnie, ani się nie ciesząc, ani smucąc. Paliły się chaty jego wrogów: Jermalonków, Dragunów, Wowczuków i Ławrenków. Jednakże nie dawało mu to zadowolenia. Ogień przeobrażał świat znany od maleńkości, trawiał wszystko, z płotami, stodołami i nawet z drzewami rosnącymi w obrębie zagród. Nie będzie starej lipy. Nie będzie krzyża koło Dragunów, bo właśnie wóz ich ładowany po cygańsku odjeżdża, a klacz i źrebię biegną za kołami wystraszone. I pies, łaciaty Burka, także ucieka stąd.

Kiryk nie mógł sobie wyobrazić, co będzie dalej.

Przycupnąwszy na miedzy nie czuł nawet, że go kolana boją, że ścierpły mu stopy zaparte w sycki grunt półka. Patrzył na wielki *exodus* tych, co tworzyli jednak jego świat, choć nawet i zły, choć okrutny, lecz stały i prawdziwy.

Przypomniał sobie, że baka Iwa dokądś poszła, i naraz poczuł, że jest sam i że dziwne grzmoty dochodzą zza pagórów. Zapłakał. Krótco to trwało. Przetarł oczy rękawem parcianej koszuli, poprawił sznur podtrzymujący również parciane portczyny i poszedł ku pagórom na nogach sztywnych od długiego kucania.

Tu noc wydawała się czarniejsza, niż była naprawdę. Gwiazdy mrugały nad garbami pól, nad szeroką doliną strumienia, ku której schodziły ściany boru. Daleko, daleko, w stronie miasteczka, widniała jeszcze jedna łuna, dogasająca, a na połowie drogi między rzeką a łuną odzywała się raz po raz bateria armat. W mroku wybłyskiwały czerwone jęzory odstrzałów, po czym gwizdało coś i chichotało w powietrzu niemało czasu, wreszcie rozpadało się z grzmiotem gdzieś za miasteczkiem.

- Kiryk, baczysz?

Chłopiec ujrzał leżącego w bruździe. Poznał go od razu.

- Sławczyk? Dlaczego nie z rodzicami? Odjeżdżali, widziałem.

- Nie chcę ich znać. Bili mnie wczoraj, tak bili, w stodole, że już nigdy do nich nie wrócę. Kiryk zadrzał z radości. Wreszcie znalazł się ktoś, kto z nim razem poniesie ciężar zmian dokonywających się nocy. Z początku oczekiwał, że na pytanie jego Sławczyk odburknie, jak i inni chłopcy z sióła, więc nie pomyślał o tym. Lecz przy odpowiedzi równolatka, prostej i szczerzej, nagle poczuł się jego przyjacielem, pokornym przyjacielem.

- Sławczyk, może... - tu zawahał się. Chciał powiedzieć: może do nas pójdziesz, u nas zamieszkasz. Ale zorientował się, że przypominanie chaty babki, co za wiedźmę uchodziła, może zepsuć wszystko, więc kończył inaczej - może zamieszkamy w lesie? Będziemy jedli ptaszki, ryby...

- Wczoraj założyłem sidła na Złej Polanie - Sławczyk na to, chociaż wydawało się, że to nie odpowiedź.

- Znam kryjówkę dobrą dla dwóch, a nawet trzech. Wiesz, tam, gdzie się dąb wyrócił. Taki dół wyrwało!

- Zostałbyś ze mną w lesie?

- Zostanę.

- A baba Iwa?

- Niech sobie żyje zdrowo i beze mnie. - Te słowa własne przypomniały chłopcu, że babka od kilku dni choruje, ale nie mógł dalej tego wątku rozwinąć, zajęty ważną rozmową.

- Twoja babka to wiedźma - rzekł surowo nowy przyjaciel.

Tego się obawiał Kiryk, wykrzyknął więc żarliwie, wierząc we własne kłamstwo:

- Nie lubię jej! Dlatego i ja chcę z domu uciec.

- No, to będziemy żyli razem. Ale pamiętaj... - W tych ostatnich słowach krył się ton przewagi gospodarskiego syna nad wnuczkiem czarownicy.

Kiryk, już jako przyjaciel, położył się w bruździe obok Sławczyka i chwastu rozchodnika. Patrzyli na przelatujące w tle nocy pociski. Pruły powietrze, jak niebawale jakieś ptaki, a gdy wiatr wionął od strony miasteczka, słychać było stamtąd nie tylko ich wybuchy, ale i palbę karabinów.

- Ty, ale tam będą robaki...

Po chwili namysłu Kiryk wiedział, że mowa o wykrocie, który miał im odtąd służyć za legowisko.

- No, to co? A w izbie nie ma karaluchów?

- U mnie już nie ma. Spaliły się pewno razem z chatą! - zaśmiał się Sławczyk.

- A widzisz. I tak byś nie miał gdzie spać.

Zanim wstał dzień, omówili już szczegóły leśnego życia. Będą żyli sami. Nie potrzeba im nikogo. Kiryk, jako cierpliwszy, będzie łowił ryby, myślistwo zostanie przywilejem jego przyjaciela. Prócz tego Kiryk będzie gotował, bo jemu to nie pierwszozna, gotował przecie stawę dla chorej baby Iwy. Naturalnie, muszą się postarać o jakiś kociołek czy garnek, o łyżki, a co najważniejsze o nóż, dobry nóż. Może się przydać i do oporządzania ryb, i do wycinania leszczynowych pręci na wędzisko. Ach, zresztą nóż jest zawsze potrzebny!!

Między ciepłymi jeszcze zgliszczami wioski sterczały osmolone kominy i aż dziw brał, że są takie duże. Gdy były osłonięte ścianami chat, wydawało się, że tylko to, co sterczy nad strzechą, że tylko to jest komin. A teraz oczom chłopców ukazały się wielkie masywy ceglane, niekiedy większe jeszcze od pieców, co przecież nieraz połowę miejsca w izbach zajmują.

Wśród niepokojącego swądu spalenizny szli ulicą wiejską i z trudem rozpoznawali, gdzie było czyje domostwo.

- To tu. Widzisz kamienie przy wrotach?

Gruzy jakieś, belki złuszczone od ognia, jeszcze ciepłe, jeszcze czerwone na kantach, gdy je wiatr odmuchał, to było ongi chatą Sławczyka. Chłopak wyciągnął z rumowiska ławę i usiadł na niej, rozglądając się dokoła. Część ściany stała, osłaniając widok na pagóry, za którymi zresztą już o świcie ucichła kanonada. Jeden obraz wisiał na tej ścianie, a oblicze Chrystusa niewidoczne było za szkłem spękanym i stęczowiałym od żaru ognia. Drugi obraz leżał na ziemi, rozgnieciony cegłami z obwalonego komina.

- Bożenka - wyszeptał Kiryk. Bóg z obrazów był przecież widomym znakiem czyjejs opieki wyższej, co i nad babką panowała, i nad całym światem. Teraz - w poniewierce.

- Aj - krzyknął w tej chwili Sławczyk - piecze!

Zbliżając się do wywróconego stolika swojej roboty, zapatrzonemu w nieudolnie skleconą i wiecznie zacinającą się szufladę, nastąpił na żar. Poślinioną dłonią otarł bosą stopę, skinął na przyjaciela i we dwóch zaczęli szamotać się z ową szufladą.

Chrobotąło tam coś i brząkało. Gdy się wreszcie poddała ich przemocy, wyleciał z niej duży nóż i drugi mniejszy, a prócz tego wąski rzemieniak, narzędzie egzekucyj nad krnąbrnym Sławczykiem. Chłopak dziabnął nożem w pasek, nacinając nieco twardą powierzchnię, ale Kiryk zmitygował go:

- Nie tnij. To nam się przyda.

Znaleźli pośród zgliszcz nadłuczony garnek i skarb prawdziwy, króbkę doli ziemistej; chcieli wziąć świtkę szarą, prawie nową, która się tu nie wiadomo skąd wzięła.

- To nie wasze? - zapytał Kiryk. - Może lepiej nie brać?

- Niby... nie nasze... nie wiem czyje... - wahał się Sławczyk - takiej świtki w domu nie było. Ale weźmiemy. Przyda się do okrycia, jak będą zimniejsze noce.

- Cudze. Ja nie kradnę.

- Weź, głupi, bo zgnije tu na deszczach. Czyje by to mogło być? Wieś pusta - mówiąc tak Sławczyk nie brał jednak świtki do rąk, chcąc, aby złodziejstwo nie do niego przyłgnęło, ale do Kiryka. Ten jednak również się nie kwapił:

- Słuchaj, a jeśli to zadane? Na wspomnienie o czarach Sławczyk spochmurniał. W czary wierzył i nie wierzył, no, ale jeśli wnuczek wiedźmy mówi... Dziwne mu się wydawało, kto i kogo by chciał oczarować w taki czas ognia i wojny, pamiętał jednak, jak ojciec jego chorował ciężko pewnej jesieni, jak go skręcało z bóleści, a ludzie orzekli, że to złe oczy, urok.

Trzasnęły węgielki zgliszcz, znów się zrumieniwszy od powiewu wiatru. Strach spadł na chłopców. Ta pusta wieś, ta świtka nie wiadomo skąd, może uroczona...

- Boisz się? - przyciszonym głosem zapytał Sławczyk.

Oczywiście Kiryk nie mógł pokazać, że go tchórz obleciał. Choć sam przecież poruszył przed chwilą sprawę czarów, teraz wyciągnął rękę i rzekł krótko:

- Biorę.

- Bierz, bierz, to ci łapy poprzetrącam! Widzicie go, szczeniaka parszywego, cudzej świtki mu się zachciało - rozległ się obok nich trzeci głos.

- Hnat! - krzyknął Sławczyk prawie radośnie.

A Kiryk spojrzął z wyrzutem na przyjaciela, a z niepewnością na wyrostka, co naprawdę mógł go poprzetrącać. Hnat bowiem nie był na oko groźny, przeciwnie: raczej szczupły i smukły, ale chłopcy wiedzieli, że w niepokaźnym ciele tkwiła wielka siła i że nawet dorośli parobcy nie zaczepiali tego piętnastolatka.

Hnat odwinął rękaw koszuli, parcianej i siwej tak samo jak koszula Kiryka. Opalona, węzłasta ręka podniosła się ku chłopcom:

- Widzicie? To jest siła! Jak nogę u tej ławki ścisnę, to sok popłynie!

- Nie popłynie. Pożar wysuszył.

- Popłynie.

Po czym Hnat z powrotem zapiął rękaw.

- Coście stąd zabrali?

- Com zabrał, to moje. Moja chata.

- Twoja? To po coś z niej uciekał? Myślisz, że ci nie dam po zębach, jak tak będziesz odszczekiwał? Ojciec cię zostawił, nawet nie szukał odjeżdżając, to kto cię obroni, co? - i następował bliżej, czupurny i groźny, z białym od wody i słońca kosmykiem włosów na czole.

Ale chłopcy i tak wiedzieli, że bójka nie pomoże, a co gorsza, napastnik może odebrać im skarby znalezione. Więc nagle, jak na komendę, czmychnęli w różne strony, parząc się na pogorzeliśku i raniąc o gwoździe oraz skorupy. Zdyszani, zgrzani, zwłaszcza chuderlawy Kiryk, stanęli nad brzegiem rzeczki, wypadając na

siebie niemal równocześnie z olszyn.

- Znalazłem cię! - wydyszał Kiryk, starając się powiedzieć to wesoło.

Przyjaciela jego zajęty był innymi myślami, które też zaczął snuć głośno:

- Po co go tu licho przyniosło? Dlaczego został, kiedy wszyscy ze wsi uciekli?

- Może pieniędzy szuka?

- Zbój - odrzekł Sławczyk.

- Może czeka na kogo?

- Ach! A ty skąd wiesz? - zaperzył się Sławczyk.

- Ja? Nie, nic nie wiem.

- Kłamiesz!

- Sławczyk, Sławczyk, naprawdę tak tylko powiedziałem; nic nie wiem, jej Bohu!

- A wiesz, za co mnie bili?

- Nie.

Chłopak popatrzył na jasne oczy Kiryka, na jego białe, zajęcze zęby i naraz roześmiał się. - Durniu, durniu u babki chowany, to ty nic nie wiesz! No, masz tu chleba...

Podał Kirykowi łaskawie glon czarnego chleba zbrudzonego okruciami z kieszeni i sam także zaczął jeść. Zjedli jeszcze kilka główek cebuli, które Kiryk biegnąc przez ogrody uszczknął z ziemi.

- Ale wiem, dlaczego nas Hnat nie goni! - odezwał się z nutką triumfu, czując, że ma szansę podniesienia się nieco w oczach przyjaciela. Ów podjął z ziemi mały patyczek i złamał go w palcach bez słowa.

- Hnat jest kulawy.

- Kulawy?

- Kiedy pokazywał nam pięść, zauważyłem, że ma nogę obwiązaną szmatką.

- No to dlaczego ja tak goniłem po bruzdach? Nie mogłeś powiedzieć? Ech, ty...

Trudna była zgoda ze Sławczykiem, ale trzeba ją utrzymać za wszelką cenę, bo świat się odmienił i nie można żyć samemu, gdy nie ma wsi, nie ma krzyża koło Dragunów, a popalone i potrzaskane obrazy leżą w dymie spaleniźny. Że jest przecież opiekunka, baba Iwa - chłopak nie wiedział o jej śmierci - zapomniał zupełnie wobec odmian. Mózg lat dwunastu zapomina o tym, co było, skoro tylko stopa wstąpi w nowy czas.

- Kąpiesz się?

Za całą odpowiedź Kiryk zaczął ściągać przez głowę koszulę, a potem rozparał sznur i dwoma krokami wyszedł z odzieży, co opadła mu do nóg jak biały cień. Sławczyk też się rozebrał i razem wbiegli w rzekę. Skóra Sławczyka od chłodnej wody sczerwieniła się lekko. Wystąpiły na niej znaki po ojcowskich razach. Przepłynąwszy kilkanaście kroków chłopak stanął na płyciźnie i rzekł:

- Aleś ty chudy!

Bo Kirykowi, nawet gdy płynął, żebra było znać i to go czyniło podobnym do ryby. Usta otwarte z tymi zębami ostrymi - no, szczupak! Sławczyk zaczął się śmiać i wołać:

- Chudy szczupak, chudy szczupak!

- Gdzie? - zapytał tamten, również stając w wodzie, gdy tylko poprzez szum piany postyszał okrzyki.

- O tu! - śmiał się Sławczyk i bił dłonią po srebrnej powierzchni obryzgując przyjaciela. Przez chwilę bawili się beztrosko i wesoło, zanosząc się od śmiechu wśród łaskotliwych uderzeń kropel.

- Aleś ty chudy! - powtórzył Sławczyk.

- Nie paśli mnie tak jak ciebie... Ja nie z bogaczy.

- I prawda. Biedak jesteś, łach!

Kiryk stracił cierpliwość i chciał odszczeknąć, gdy nagle obu ogłuszył daleki, lecz straszliwy huk. Nad horyzontem stanął bukiet czarnego jak sadza dymu. Skąd mogli wiedzieć, że most na Kołyży wysadzono w powietrze? Poznali jednak, że głos wybuchu inny był niż głos dział, i małe serca ścisnęły się lękiem. W chwili zabawy zapomnieli o zmianach, co przeobraziły świat, a oto obcość przypomniła im się i narzucała bezlitośnie. Zjednoczeni jak niedawno, bez uraz, ubierali się śpiesznie, by uciec stąd do upatrzonego wykrotu.III

Była może piąta rano, kiedy Kiryk się przebudził. Wylazł spod płataniny korzeni starego drzewa, otrzepał ziemię z koszuli, podrapał się i wśród tych mechanicznych czynności ocknął się do reszty.

Późno wstał, to prawda, ale przecież odespał poprzednią straszną noc i dobrze się czuł we śnie, bo nie marzyły mu się strachy, ale cicha izba baby lwy. Naturalnie, skoro tylko spojrzął w słońce, zostało w nim tylko wspomnienie spokoju, krzepiące, rodzinne.

Pić mu się chciało.

Wczoraj, idąc do wykrotu, znaleźli w lesie zabitego żołnierza, który miał chlebak pełen dobrej jeszcze ryby, wobły, i kilka sucharów. Zabrali mu to, jako rzecz niczyją, bożą. Potem wrócili jeszcze i Sławczyk ściągnął z niego szynel, a Kiryk podniósł z igliwia papachę kudłatą. Niedługo się nią cieszył. Sławczyk wymanił od niego tę czapę w zamian za prawo sypiania na żołnierskim płaszczu.

Wobła była smaczna, lecz pić się po niej chciało i pragnienie uciszone przez sen teraz odezwało się u Kiryka z siłą wyższego nakazu.

Spojrzął jeszcze na dno jamy, w której Sławczyk spał zarumieniony, brudny mimo niedawnej kąpeli. Sporo ziemi osypało się spod korzeni na szynel. Pełznął po niej także jakiś owad podobny do chrząszcza, ale nieduży.

“Niech pełźnie, niech ugryzie Sławczyka” - pomyślał ze złością Kiryk, bo ostatnie jego spojrzenie padło na kudłatą czapę, spoczywającą u boku śpiącego.

Poszedł przed siebie.

Na skraju boru, wśród wielkiej ciszy poranka, nie przerywanej głosami sioła, które milczało i dymiło dotąd, przystanął na moment. Psy nie czekały, bydło nie ryczało. Hnat nie poganiał koni stojąc zuchowato na sołtysowym wozie. Cisza.

No, Hnat na pewno jest gdzieś pośród tego milczenia, ale gdzie? Na pogorzeliśku pewno nie siedzi. Co by tam robił?

Zaszeleściło w krzakach i Kiryk, który nie bał się spać w lesie między znanymi sobie drzewami i robactwem, przeraził się nie na żarty tego nagłego odgłosu w słonecznej ciszy. Nogi same go poniosły aż na brzeg rzeki. Tam upadł na kolana, zniżył spieczone wargi nad wodą i pił, póki maleńka srebrzysta rybka nie napłynęła, nie zamigotała mu z bliska w oczach.

Ocierając usta już był w innym kręgu. Już ślad w nim nie został po leśnym strachu ani po ciepłych snach. Wyjął z kieszeni nóż, duży, szczerbaty, i podrzucił go na dłoni. Jak to dobrze, że Sławczyk nic nie powiedział o tym, kto ma ten nóż nosić. Bo czyj on jest wiadomo, Sławczyka. Ale posługiwać się nim mogą obaj. Są przyjaciółmi. Jeszcze raz zaszeleściło coś w pobliżu, między olszynami, jakby lekkie stopy tamtędy przebiegły, i zdawało się Kirykowi, który nagle odwrócił głowę, że czerwona jak pożar spódznica mignęła pośród pni. Przeżegnał się. W pustce to coś, co powiało czerwoną szmatą, mogło być złe. Zachwył nad nożem przycichł w chłopcu.

Bocząc się na krzaki i zarośla wyszedł ku pagórom, skąd widać było szeroki świat i gdzie nic go - jak sądził - nie mogło dopaść znienacka.

I tu jednak nie zaznał spokoju.

Nie wiedzieć skąd wypadło w galopie kilku jeźdźców z lancami gołymi, bez proporczyków. Siekli powietrze biczami, pędzili dyszące konie pod górkę i przeminęli jak złowrogie jakieś widmo w krzykach, kurzu, poświście nahajek.

Widząc nadbiegających Kiryk zamiotał się po wzgórzu, szukając osłony, lecz nie było gdzie uciec. Przypadł więc do bruzdy, koło tego samego chwastu cykorii, który już raz użyczył mu przyjaźnielstwa. Znowu bose stopki zaryły się w grunt, a oczy stuliły się mocno, mocno, by nie widzieć śmierci. Lecz ona nie przyszła. Kopyta, nahajki, strzemiona przewaliły się burzą tuż obok, ale nie nad chłopcem, więc otworzył powieki i znowu był w słonecznym poranku.

Coś się w nim podnosiło, coś buntowało.

Dokoła działy się sprawy niepojęte. Epizody wojny dotyczyły tylko rąbkiem szaty jego świata, a świat ten walił się w otchłanie. Pod miasteczkiem był bój, ale jego, Kiryka, sióło spłonęło i opustoszało. Teraz był już poza burzą, jak mu się zdawało, już mógł sam sobą rządzić (bo jednak Sławczykowi nie da dłużej przewodzić, choćby się mieli rozstać), a właśnie przybyli diabelscy jeźdźcy, pędzący bez myśli i o mało go nie stratowali.

Że pędzili tak z głupoty. Kiryk był pewny. U nich, we wsi, konno jeździło się tylko na paszę albo do rzeki, na pławienie. Jeśli kto gnał rżące zwierzęta, to chyba jedynie mali chłopcy, dla zabawy. Żołnierze - to czuł - nie bawią się, więc cóż to, jeśli nie głupota, bezmyślność?

W głębi pejzażu zagrzecotały wystrzały karabinowe, co jednak nie zrobiło na Kiryku wrażenia, bo właśnie gryzł zadrę u paznokcia, pogrążony w niedobrych myślach i uczuciach. Natomiast kiedy uczył na swoim ramieniu łagodne, miękkie dotknięcie, wzdrygnął się i obejrzał piorunująco szybko, choć zazwyczaj bywał znacznie powolniejszy w ruchach.

Piękny koński łeb wisiał tuż nad jego głową. Gęba pachnąca ciepłem i zieleniną szczypała jego ramię delikatnie. Mądre oczy konia spoglądały przyjaźliście na Kiryka. A on, jak w natchnieniu, ujrzał w sobie z nagłą promienną wizję: nie potrzebuje Sławczyka, co mu tam, ten koń to będzie prawdziwy przyjaciel i bogactwo zarazem! Niejasno kojarzyły mu się w myślach obrazy zabierania papachy i płaszczka zabitemu żołnierzowi. Rzeczy niczyje, boże. Teń koń pewno też niczyj. Przyjaciel! Czułość, którą dziecko ubogich nieczęsto przeżywa, wezbrać musiała w Kiryku. Przytulił koński łeb.

- Nie kopiesz? Nie kopniesz mnie? - zapytał bułanka drżącym głosem.

- To mój koń - krzyknął Hnat nad uchem chłopaka. Marzenia Kiryka rozpadły się w jednej chwili i to napełniło go złością. Że też Hnat chodził jak duch i umiał tak zaskakiwać człowieka w różnych sytuacjach! W rozżaleniu błysnęła Kirykowi nowa wielka myśl, olśniewająco prosta: wskoczyć na konia, uciec od Hnata, który kuleje! Ukośny rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że brudny i krwawy gałgan wciąż jeszcze powiewa przy stopie wroga. Już był na koniu, już poderwał go do cwału, ale o kilka kroków zatrzymał się i krzyknął do Hnata:

- To nie twój koń! Nigdy nie miałeś konia! Przecież służyłeś u sołtysa! Tylko za chleb! Tylko za chleb i portki!

Kulejąc podchodził Hnat, a zaciskał po drodze muskularne pięści. Mówił jednak spokojnie!

- Widziałem, jak spadł żołdat z tego konia. Leży tam we krwi. Dobro po zabitym to

tak jakby nie cudze, sam wiesz... nie trzeba ci tłumaczyć... nie jesteś taki malutki...

- Sługa idzie! - wykrzyknął nagle.

Gdy Kyrk obejrzał się w lewo i spostrzegł, że istotnie ktoś zbliża się od rzeczki, twarda dłoń Hnata trzymała chłopca za nogę, a to było, jakby żelazo wpijało się w mięśnie.

- Teraz cię ściągnę i nogę wykręcę, a koń będzie mój... - syczał Hnat.

Nie było ratunku.

- Puść, zbój!

- I wiedźma ci nie pomoże, suczy synu! Raz uciekłeś ode mnie, to myślisz, że i drugi raz ci się uda? Masz!

Ostry cios kułakiem pod żebra zwałił Kyrka na ziemię. Koń przestąpił jeden krok i uniósłszy łeb zarżał do zbliżającego się żołnierza. Kyrk wstawał z ziemi pełen zaciętości i rozterki. Wiedział, że nie da rady wyrostkowi, ale wiedział też, że jeśli odstąpi bez protestu, to i do Sławczyka wróci, i będzie mu podlegał i zawsze, zawsze będzie na szarym końcu. Chwiejąc się, podniósł z miedzy spory kamień.

Hnatowi oczy błysły.

- Tak? - powiedział. - No, jeśli ty kamieniem, to ja nożem...

- Mały jestem - zawołał Kyrk - z nożem rzuciłbyś się na dziecko?

- Połóż kamień. Suczy syn ty jesteś, a nie dziecko, zębalu głupi! No, rzuć kamień!

Ale Kyrk nie mógł tego zrobić. Oskoczył, wziął zamach i już w następnym ułamku sekundy miał puścić pocisk w nieprzyjaciela, gdy straszliwy cios nahajki owinął mu przegą ognia prawą rękę i policzek, i skroń, kończąc się gdzieś pod okiem. Zapadł więc w mrok niepamięci, chociaż to był ranek i ptak jakiś wyśpiewywał na gałęzi nad nimi jak oszalały.

Dwa uderzenia nahajki przejechały na krzyż przez plecy Hnata, który nie mógł uciec, i który także upadł twarzą w brudę, z trudem utrzymując się na powierzchni świadomości.

Żołnierz otarł krew z czoła, gdzie gałąź w galopie otworzyła mu ranę sprzed tygodnia, świsnął biczem w powietrzu i wsiadł na konia. Bułanek zaprychał czując swego jeźdźcę, swego naprawdę. Przez chwilę jeździec patrzył na rzekę, skąd dochodziły rzadkie odgłosy wystrzałów. Potem bicz świsnął raz jeszcze i cisza wróciła w pobliże leżących nieruchomo pod sierpniowym niebem. Ptak świergotał i zachłystywał się w rdzewiejących od spiekoty liściach.

- Kyrk...

Chłopiec jęknął tylko, ale nie drgnął. Więc Hnat wstał, przykuśtykał do niego, stanął na zdrowej nodze, a chorą kopnął Kyrka w bok, celując w to samo miejsce, w które ugodził go przedtem pięścią. Nie mógł mocno kopnąć, bo mu noga dolegała, postarał się jednak o bolesność uderzenia należytą. Trafił. Kyrk zwinął się na ziemi, zagarnął dłonią po brudzie, po rżysku i odwrócił twarz do słońca z nowym jękiem. Ujrzał ciemne, śniade jego plecy połyskujące w strzępach koszuli rozciętej nahajką.

Wstał z trudem i smutny, obolały, powłókł się do leśnego wykrotu, by poleżeć przy Sławczyku, choć przecież chciał go porzucić. Wiedział, niestety, że musi mu się pożalić na wszystko, co go spotkało. Wiedział też, że Sławczyk będzie się śmiał z jego niedoli.

Właściwie cóż mu strzeliło do głowy z tym koniem. W obrębie tego horyzontu Hnat znalazłby go prędzej czy później i zrobiłby z nim bezkarnie, co by mu się podobało. Sławczyk nie obroniłby go, może by w ogóle nie bronił. A dalej? Dalej okolica zalana jest wojskiem, brutalnymi, obcymi ludźmi, gorszymi jeszcze niż Hnat. Oni od razu by poznali, że koń jest wojskowy, i odebraliby. I dołożyliby jeszcze parę batów.

Tu chłopak dotknął ręką skroni i poczuł bolesne zgrubienie. Zbadał je palcami, które wędrowały za śladem ciosu i stwierdziły, że pręga szła od łokcia prawej ręki do ciemnych brwi.

- Boli mnie! – krzyknął niespodzianie dla siebie samego, bo właśnie w tym słówku „mnie” objawiła się właściwa treść. Od macania palcami, od świadomości, że otrzymał cios nie byle jaki, pręga zapiekła jeszcze mocniej.

- Boli! – krzyknął ponownie i zabrakło mu tchu, bo pod żebrami odezwał się ból, dar Hnata.

Kiryk pomyślał o babce, lecz poczuwał się także do związków ze Sławczykiem. Wróciłby do chaty, ale jakże? Zostawi kolegę i legowisko? Co Sławczyk pomyśli?

- Stchórzyłeś – powie, spotkawszy go gdzie. – Zląkłeś się leśnego życia! – Szedł więc Kiryk i łyzy cisnęły mu się do oczu, ale wstrzymywał je. Tylko jedna stoczyła się z rzęs. Upadła zaś, jak słony potop, na mrówkę wędrującą po rękawie jego koszuli.IV

Reszta dni upłynęła im dość spokojnie. Kiryk poweselał opowiedziawszy przyjacielowi, co go spotkało, zwłaszcza że Sławczyk się nie śmiał, nawet nic nie mówił. Razem poszli na Złą Polanę, wyjęli tam z sideł ptaka, a wróciwszy do koczowiska, rozpalili ogień i ugotowali zdobycz. Nie żalowali sobie soli, naturalnie. Toteż jadło wydało im się lepsze niż w domu. Zjedli także resztę wołby po zabitym żołnierzu i resztę sucharów. Rozmarzeni ciepłotą rozchodzącą się po ciele od pełnych żołądków, układali nowe plany na przyszłość.

- Jutro ugotujemy obiad we wsi – powiedział Sławczyk.

- Dlaczego?

- Tam zostały niektóre piece. Całe piece. To będzie prawdziwy obiad.

Obaj nie pomyśleli o tym, że gotowanie u ogniska czy przy palenisku białoruskiego pieca niewiele się różni.

- No... a Hnat?

Nie było odpowiedzi. Sławczyk i wtedy, gdy mu przyjaciel opowiadał o swych przygodach na pagórkach i nad rzeką, dlatego się nie śmiał, że położenie jego wobec przemocy wyrostka było takie samo jak Kiryka. Przyszło mu nawet do głowy, czyby nie przystać do Hnata, porzucając Kiryka. Niech wraca do baby lwy. Ma do kogo.

- Może byś wrócił do babki?

Powrót, wycofanie się z leśnego życia? Cóż on, Kiryk, byłby wart, gdyby opuścił przyjaciela? Toteż zaprzeczył gorąco:

- Nie! Nie!

Sławczyk zadumał się, patrząc na ciemną brew chłopca, przeciętą siniejącą już pręgą. Coś w tym chuderlawcu siedzi, kiedy tak nie chce wracać do babki. Może po prostu coś zbroił? Ale – jak nie, to nie.

- Wiedziałem, że nie pójdziesz do starej czarownicy.

Kiedy padły te życliwe, lecz okrutne słowa, Kiryk pomyślał z goryczą: czarownica, wiedźma, ona czaruje, a on musi wysłuchiwać od każdego i nawet odszczeknąć się nie może, bo prawda: wiedźma.

- Kiryk, twoja babka nie żyje.

Głos Hnata, który znów jak duch zjawił się między chłopcami, poderwał ich obu na nogi. Hnat mówił tym razem bez złości.

- Wracaj, głupi, do chaty, pochowaj staruchę, bo już cuchnie, Sławczyk ci pomoże.

- Ja?

- Ty – stwierdził ostro Hnat – a jak nie pomożesz, to pożałujesz. Dostanę ja cię w swoje ręce, na płocie sznurkami przywiążę! Potem psem poszczuję!

- Nie masz psa! – wykrzyknął pobladły Sławczyk.

- Nie mam. Ale może będę miał... No, pomożesz?

- Pomogę.

- To dobrze. Ty teraz Kiryka szanuj. On pierwszy bogacz we wsi. Tylko jego chałupa stoi, reszta fiut, z wiatrem-dymem poszła... A ja dziś tego bogacza kopnąłem, aż mi coś w kostce trzasło. Kiryk westchnął i poczuł kłujący ból w boku, tam gdzie dwukrotnie uderzył go ten piekielnik.

- No, dosyć! Won z tej jamy. Ja tu będę mieszkał!

- Hnat! – krzyknęli obaj.

- Powiedziałem. O co wam chodzi? Będziecie żyli w chacie, a ja jak wilk w lesie. I jeszcze wam źle?

- Może... może ty byś zechciał... w mojej chałupie... – bąknął Kiryk, sam nie wiedząc, czemu ten wykrót stał się mu drogi. Lecz musiało tak być: skoro babki nie ma, Sławczyk i jama są tym najbliższym znanym, co chroni przed wszystkim nieznanym. Nie w takiej formie świtało to chłopcu, ale niemniej właśnie o to chodziło.

- Ja bym zamieszkał tam, tylko Naścia nie zechce.

Sławczyk zaśmiał się, parszając przy tym śliną, i śmiał się dalej w obliczu groźnego Hnata, wprost tarzał się po leśnej ścieżce.

- Ty... – zaczął Hnat, ale jakoś niepewnie.

Kirykowi ostre zęby odsłoniły się, bo twarz przybrała wyraz zdumienia. Nie rozumiał, dlaczego Hnat coś plecie o Naści i dlaczego Sławczyk chichocze jak szalony. Nie przyszło mu na myśl powiązać w myśli osobę dziewczyny z osobą Hnata. Owszem, wiedział, domyślał się, że chodzi o starszą siostrę Sławczyka, którą nazywano głupią Naścią, choć nie była tak znów głupia, tylko milcząca, płochliwa i niepokojąco dziecinna jak na swój wiek. Natomiast zestawienie: Hnat i Naścia nie podsuwało mu wcale zasadniczych wniosków. Bystra, ale w innym kierunku, myśl Kiryka pochłonięta została jaskrawym domysłem: ta czerwona sukienka, którą straszyla go na skraju boru i u rzeczki, to chyba Naścia.

- A może... może wszyscy zamieszkamy w mojej chacie?

Sławczykowi śmiech przeszedł w jeszcze wyższe regiony. Sławczyk trzymał się za boki, parskał, prychał, wreszcie wykrztusił:

- A co? Ty byś patrzył?

W tonie tego zapytania było coś, co uderzyło chłopca. Dostrzegł także, że Hnat się śmieje z zażenowaniem, nieszczerze, nie tak jak Sławczyk. Chociaż ten odcień dotyczył raczej faktu, że Naścia była głupia i związanie się z nią nie było tak bardzo zaszczytne, Kiryk tłumaczył to sobie inaczej. „Hnat się wstydzi – myślał – a Sławczyk się śmieje...” I zrozumiał. Podjął z ziemi igłę sosny, wziął ją do ust, rozgryzł, znalazł cierpki, miły smak. Odwrócił się. Poszedł ku chacie bez słowa.

Przez czas jakiś dolatywały go głosy kłótni między tamtymi. Potem zatętniły drobne stopy i ciągle jeszcze śmiejący się, rumiany Sławczyk zawołał:

- Patrz! Mam kule, prawdziwe kule! Hnat musiał dać!

Kiryk rzucił okiem w bok i zobaczył na brudnej dłoni przyjaciela garstkę rewolwerowych nabożów.

- Mało – zawyrokował.

- I szynel wymaniłem! I papachę! – cieszył się Sławczyk.

No, pewno. Skoro to siostra Sławczyka, Hnat nie będzie dla niego taki ostry jak dla Kiryka. Ale kto, kto na wielkim świecie będzie dobry dla niego? Na wielkim świecie... Świat jest duży, a gdzieś, mimo to, musi się kończyć. Tam pewno ziemia się obrywa nad ciemną przepaścią, z której bije mróz. Ciekawe, czy ziemia jest grubą warstwą?

Czy tam, gdzie jest skraj świata, można by podleźć po drabinach pod spód, obejrzeć od dołu? - Wiesz, Hnat powiedział mi także, gdzie stoi jego łódka. Może chcesz pojeździć?

Owszem, Kiryk chciał. Ale także chciało mu się zajrzeć do chaty, zobaczyć, czy to prawda, że babcia nie żyje, a jeśli nie żyje, to czy wygląda podobnie jak ten zabity żołnierz, którego wobłą jedli przez dwa dni.

Kiedy podeszli ku zapadłej w ziemię chatynce, zatrzymali się za wielkim jałowcem:

- Widzisz?

- Widzę.

Szepecząc tak, nie odwracali oczu od człowieka, który, w koszuli tylko i granatowych spodniach wojskowych oraz długich butach, zakopywał w ogrodzie jakiś dół. Ciemna grzywa zwisała mu nad czołem, a to czoło przy chyleniu wydawało się jeszcze niższe niż w rzeczywistości. Był śniady, nietutejszy. Ukończywszy robotę odrzucił łopatę pod płot i z dwóch brzeziniowych gałęzi sporządził krzyż. Ustawił go.

- Babka - domyślił się Kiryk. Lecz śmierć jej ciągle uznawał w sposób niepełny. Przecież nie widział ani trupa, ani pogrzebu z księdzem i chorągwiemi, nie śpiewano, nie było pustej nocy, nie palono gromnic...

Obcy podszedł ku chacie, wziął z wysokiego progu kurtkę mundurową, zieloną, i szablę, po czym zmiął tę kurtkę, rzucił gniewnie w pokrzywy. Szablę wyjął z pochwy, a wydawało się, że i ją odrzuci.

- Ja wezmę! Niech będzie dla mnie! - nie wytrzymał zachłanny na wszelkie dobro Sławczyk. Obcy obrócił się, spojrzął na osłoniętych jałowcem, ale nic nie powiedział. Wzrok jego długo i nieufnie wodził po obu chłopcach, rozeznając kolejno, że jeden jest chudy, blady, w lnianej bieliźnie, a drugi rumiany, w takiejże bieliźnie, ale ze szlaczkiem u kołnierza i oszewek, w rosyjskim płaszczu narzuconym na ramiona i wlokącym się po ziemi, ba, w kudłatej czapie baraniej, mimo upału pachnącego tu mocno żywicą. Ten pierwszy był jasnowłosy, lecz brwi miał ciemne. Aha, i pręgę na skroni. Drugi, rumiany, połyskiwał jak słońce kosmykiem rudawozłotym, wymykającym się spod papachy.

Chłopcom zrobiło się nieswojo. Cóż on tak patrzy?

Naraz intruz usiadł na progu, chwycił się za głowę i jęknął:

- Głowa... głowa... Gdzie bateria?

Czekali, czy spod palców zatopionych w kędziory nie ukaże się krew, lecz nie. Na koszuli, na piersiach były jakieś plamy rdzawe, ale ręce żołnierza nie dotykały wcale tego miejsca, tylko ścisnęły i ścisnęły głowę.

- Czego chcecie?

- To moja chata - rzekł śmiało Kiryk. Zdecydował się, że nie należy się bać tego człowieka.

- To jego chata - potwierdził Sławczyk.

- Przenocuję u was. Już bym spał... Głowa mi pęka... Oj, głowa... - jęknął znowu i znów rękami ujął skronie.

- A my popływamy łódką - oznajmił Kiryk uznając sprawy z artylerzystą za załatwione. - Chaty nie ubędzie - zwrócił się do towarzysza. Podskakując beztrudno i popychając się po drodze pobiegli do rzeki. Nawet nie spojrzeli na ruiny kominów sioła. Olszyniec przywitał ich miłym cieniem. Gdy znów spod drzew wyszli na słońce, Sławczyk chciał zrzucić z ramion swoją dumę, płaszcz z naszywkami, ale naraz jego wzrok padł na leżący w trawie strzaskany karabin. Chwycił go i zaczął nim wywijać nad głową:

- Sołdat jestem! Sołdat!

Tak dobiegli do łódki zaszytej w trzciny.

Srebrna, obłokami pokryta rzeka poniosła ich z prądem między wąskimi brzegami, ku miasteczku. Kiryk zagarniał wodę ręką, przepuszczając ją przez rozstawione palce; na płycznach wypatrywał, gdzie są raki, gdzie ślad węgorza na mulistym dnie; z głębin też miał pociechę: kwiaty grążeli mięsiste, odporne, które trzeba było urwać z łodyg całą siłą, aż się łódź chybotą. Sławczyk bawił się inaczej. To celował do ptaków, to skakał do łodzi, kołysząc nią na boki, albo stawał na rufie i pochylał się rytmicznie, odpychając się karabinem od dna rzeczki, przy czym karabin przestawał być sobą, a zamieniał się w „szest”, drąg wioślarski.

Nagle uszy chłopców ożyły, wróciły do rzeczywistości. Po brzegach rzeki odbijało się echo strzałów. Nieszczęścia Kiryka wróciły do niego z niedobrym odgłosem. Skurczył się w sobie, kucnął w łodzi i zawołał do Sławczyka:

- Wracajmy!

Ale Sławczyk wyskoczył znowu na rufę i podrzucił swój karabin do góry, wołając:

- Sołdat, sołdat jestem!

- Wracajmy!

Ledwo to Kiryk powtórzył, z bliska buchnęły strzały. Sławczyk nagle zachwiał się, upuścił swoją broń, chciał coś powiedzieć, ale zabełkotał tylko, a kątów jego warg cienkimi strużkami spłynęła krew. Zrobił jeszcze krok ku struchlałemu Kirykowi, potem upadł w wodę i już się nie pokazał. Bańki powietrza i plama krwi wyszły z głębin, po czym znów potoczył się niezmacony nurt wody.

Chłopiec siedział zmartwiał, a drżącą ręką trzymał się trzciny, by łódź nie wysunęła się bliżej, ku miasteczku, gdzie strzelanina znowu przycichła, chłopiec wszedł w wodę i marszcząc się ze strachu, że może dotknie nogami krwawych warg Sławczyka, przebrnął ku brzegowi. Łódź uwolniona zwróciła się bokiem ku prądowi, potem okręciła się dokoła i popłynęła w stronę miasteczka.

Galop dla nóg dwunastoletnich to coś zwyczajnego, nieomal jak strawa i sen. Biegając zapomniał chłopak o tym, co się stało, bo drobne mięśnie pracowały przyjemnie, wysiłek podniecał, pęd powietrza rzeźwił, rozwiewał koszmary. Ostatnia myśl związana z wypadkami na rzece była: - Bolało go...

Tu Kiryk zwolnił biegu, bo uświadomił sobie, że i jego dotąd bok boli od uderzeń Hnata. Przeszło to już w następnej minucie, gdy powziął postanowienie: trzeba opowiedzieć o wszystkim Hnatowi. Nastka nawet jako osobna postać nie zjawiła się w Kirykowej wyobraźni. Toteż nie tyle się zgorszył, ile zdziwił, trafiając w wykrocie na oboje.

Stanął nad jamą. W jej głębi leżała śpiąca dziewczyna, puciołowata, podobna do Sławczyka i tak samo jak on rumiana. Hnat, gdy mu cień chłopca przesłonił zachodzące słońce, podniósł głowę, lecz nie zdjął dłoni z piersi dziewczyny.

- Czego? - zapytał półgłosem.

- No, czego? - zapytał raz jeszcze, bo Kiryk gapił się na śpiącą i na niego, uderzony wyrazem twarzy wyrostka, nieznanym, złagodzonego i jakby prześwieconym czułością. Naraz przyszło mu do głowy, że w zgubie Sławczyka był i jego udział. Razem przecież poszli na łódkę i razem popłynęli jak durnie pod kule. Hnata co prawda Sławczyk niewiele obchodził, ale to brat Nastki. Nastka namówi Hnata i wtedy...

- Bezwstydny! Popatrzeć przychodzisz? - zapytał Hnat.

Chyże nogi znowu wybawiły Kiryka z opresji. Źle będzie, jeśli Hnat go zbije za podglądanie „takich” rzeczy, ale gorzej byłoby chyba, gdyby się mścił za śmierć

Naścinego brata. Na pewno by zrobił tak, jak mówił: przywiązałby do płotu i bezbronnego szczułyby psem! Okropność tej sceny przestoniła w umyśle Kiryka fakt, że nie jemu grożono taką katuszą. Było to tak bolesne w wyobraźni, że nie mogło być sprawą cudzą.

- Świnia! - goniła za chłopcem wyzwisko wroga.

- Świnia! - usłyszał za sobą i głos Nastki.

Biegł, biegł i zwolnił kroku dopiero na ścieżce, między opłotkami swego ogródka. Był u siebie. Podskoczył ze dwa razy, poprawił sznur i opadające portczyzny, potem wyrzwał pięścią w garnek schnący od wielu dni na kołku furtki. Skorupy posypały się i to uświadomiło chłopakowi bezkarność i swobodę postępowania: baba Iwa nie wybiję go za szkodę gospodarską. Baba Iwa nie żyje.

Przez chwilę nasłuchiwał, czy głos jej drżący, lecz miły nie odezwie się w obejściu. Potem rozbił jeszcze dwa garnki. Żal go ogarnął. Już lepiej, żeby go nawet zbiła, ale żeby była, żeby była! Dokądże on pójdzie, sierota, jak będzie na tym zagonku gospodarzył, niedorośli, bezradny! Już lepiej niechby się gniewała, niechby słowa nie mówiła, ale żeby była! Zapragnął jej uścisku dobrego, jakim go przygarniała do kolan, gdzie nieraz mu się zdarzało usypiać. - Babciu! Babciu! - wybuchnął płaczem wielkim, rozładowującym niedole ostatnich przeżyć, grozę śmierci przyjaciela - ach, prawda, stracił przyjaciela! - strach przed Hnatem, ból w senej pędze na ręce i twarzy.

- Babciu, no babciu! - zanosił się, chlapał i ryczał.

Słońce zachodziło między sosnami, odbłyскиwało od ich miedzianej kory i świeciło czerwienią w łzach rozmazanych po ostrej twarzyczce chłopca.

Z chaty wyszedł żołnierz, tępo spojrzawszy zaspanymi oczyma.

- Cicho, cicho - rzekł - głowa mnie boli.

Ale Kiryk nie mógł się uspokoić. Więc żołnierz wziął płaczącego na ręce i zaniósł do izby. Położył go obok siebie na ławie, w ciepłe wyleniatego kozucha, westchnął kilka razy, jęknął i usnął. Kiryka zmęczyło łkanie i żal, cały nadmiar uczuć zbyt wielkich, mimo to zasnąć nie mógł. Przytulał się do żołnierza, oddany marzeniu, że to ciało babci obok niego tak oddech porusza równomiernie, ale rzeczywistość odbierała mu złudzenia. Babcia pachniała ziołami i suchą starością, tego zaś, co tu spał, czuć było gryzącym potem znużenia i choroby. Chrapał. Oczy miał nie domknięte, straszne.

Póki resztki blasków zachodu pełzły po ścianach i belkach pułapu, zdawało się Kirykowi, że zaśnie, że jutro będzie lepiej, że ten żołnierz może jest dobrym człowiekiem i pomoże mu. Lecz w miarę, jak świat przeobrażał się z dziennego w nocny, zmieniały się i kąty widzenia spraw wszelkich. Babci nie było. Ochrona przed zmrokiem izby o tyle straszniejszym od mroku boru, że zamkniętym, ograniczonym ścianami nie istniała. Podniosły się więc Kirykowe jasne włosy od trwogi i buntu, bo nie chciał się bać, nie chciał, żeby babki nie było, żeby Hnat go bił i męczył, nie chciał obcego chrapania w chacie! Nie chciał! Nie chciał!!

Tymczasem nowy blask wypełnił okno, słaby, sinawy. Półksiężyc zajrzał do izby i sunął wolno ku górze nad listeczkami więdnącego mirtu, przestaniającymi okno. Pustka świata ogromnego, wypełniająca go aż do obrywistych krawędzi, ogarnęła Kiryka tak ostro, że przytulił się znów do śpiącego i przerzucił mu chudą rękę przez pierś. Drobne palce natrafiły na rozcięcie koszuli i z wahaniem, niepewnie, wsunęły się w nie. A tam była blizna świeżej rany. Obmacywał ją Kiryk, podobnie jak niedawno obmacywał i badał nasobie samym ślad ciosu.

Żołnierz poruszył się, stęknął.

Dłoń chłopca zastygła nieruchomo na jego piersi, choć palce trafiły w kroplę

wilgoci. Krew – pomyślał Kiryk i wzdrygnął się, wspomniawszy czerwień w kącikach ust Sławczyka, chwiejącego się na rufie łodzi.

Srebro księżycy nabierało bieli w miarę, jak sierp unosił się ponad kwiatem. Niósł się słup blasku w mroku izby, przesuwając krzyżyk ramy okiennej i cień badyła, z obrazów – niżej, do wiadra z wodą, potem do stołeczka pod piecem, aż załśnił w gołej szabli na podłodze. Skrzywiona klinga zwabiła do siebie oczy dziecka, napełnione rozpaczą i zamętem. Wydawało się, że nie ma już izby, światła i mroku, tylko pustka biała, czcza, ssąca. Kiryk przelazł przez śpiącego, wstąpił w strugę światłości. Jeszcze nie wiedział, co robi, czuł tylko, że go porywa szła jakiś i że jest ostatnia chwila, aby się szaleństwu nie poddać. Jednak żale i wszystko, nawet cichy blask księżycy pchały go do szabli.

A gdy ją już schwycił oburącz, zaczął bić dokoła, po śpiącym, po ławie, po stole, po wiadrach i szybach, objęty jakimś wichrem zniszczenia, obłokiem nienawiści, co z nawiązką odpłacała mu słabość i strach, podlizywanie się Sławczykowi, groźby Hnata. Równocześnie niewyraźnie puszyło się w chłopcu coś jak wstyd, jak przypomnienie Naści, śpiącej z dłonią Hnata na okrągłej piersi.

Ocknął się, usiadł na podłodze, pośród sprzętów poszczerbionych jego ciosami, a wtedy uderzyła go cisza w izbie. Chrapania nie było słychać, ani westchnień uśpionego. Kapało tylko coś w ciemności, tam, pod ławą, gdzie nie dochodziła biel bijąca z okienka...

Od tego nastuchiwania do błyskawicy uświadomienia: zabiłem – daleka była droga i długi czas. Kiedy się to wreszcie stało, drobne dłonie same podniosły się do oczu i znów popłynęły łzy, okrzyki, chlipy dziecka:

- Babciu! Babciu! Babuniu!

Hnat przestąpił próg. Popatrzył na Kiryka, tonącego w histerycznym łkaniu, co tworzyło dokoła niego atmosferę nieprzenikliwą dla spraw spoza obrębu jego ciała, popatrzył na ławę pod oknem i złowił czujnym słuchem kapanie. W rozpaczach chłopca siedzącego na podłodze, w poświacie księżycy, były bowiem przyciszenia, a nawet ta straszna rytmika była dostłyszalna.

- Przestań hołosić! – powiedział Hnat i postąpił krok naprzód.

Kiryk płakał i zanosił się jękami po dawnemu, nie wiedząc, co się dzieje. Kulejąc podszedł Hnat do ławy, dotknął szybkim ruchem głowy leżącego i otrząsnął palce z krwi:

- Oho – mruknął.

Nachylił się nad nieruchomym człowiekiem, położył mu rękę na sercu, a gdy to robił, kosmyk włosów zwisał mu z czoła bielszy w księżycu niż za dnia, bławy, puszysty. Po chwili dłoń Hnata zaczęła błędzić po kieszeniach zabitego. Brzęknęły pieniądze. Jeden krążek potoczył się po podłodze do Kiryka.

- Nie rycz! – uspokoił go wyrostek. Przykucnął przy chłopcu, podniósł pieniążek i pogłaskał Kiryka po kolanie.

- Nie rycz, nie rycz, głupstwo to wszystko...

Ale rozpacz małego nieszczęśliwca nie chciały się uśmierzyć. Bezradny chyba po raz pierwszy w życiu, usiadł Hnat na podłodze, otulił chłopaka ramieniem i myślał, długo, bardzo długo. Gdy cień nasunął się na nich, na płaczącego i milczącego, wyraźniejsze się stało kapanie kropel.

- Chodź, dzieciątko – powiedział Hnat, a głos miał dobry, niemal słodki. Widząc, że Kiryk nie słyszy go, powstał i wziął go z podłogi na ręce, bezwładnego, wyczerpanego aż do kresu. Dźwignął wiotkie i lekkie ciało chłopca. Objęcie Hnata suche, wiejskie, pachnące Inianą koszulą jak baba Iwa, wydało się Kirykowi echem rajy. Przycichł od

wewnątrz, ale oczy nieutulone płakały dalej rzewnie. Dał się nieść i widział przez strugi łez kołyszące się przy nierównym chodzie Hnata gwiazdy, wierzchołki sosen, olszyn, kity trzciny, potem latarnie miasteczka.

U krańca tej wędrówki był świt i rampa kolejowa, a na rampie długi pociąg z czerwonymi krzyżami na drzwiach wagonów.

DWA KIERUNKI

I

W otwartych drzwiach wagonu siedzieliśmy, zwiesiwszy nogi nad umykającymi spod kół podkładami. Podkłady, gdy pociąg szedł woniej, migały rytmicznie ciemnymi plamami na szafranowej smudze piaszczystego nasypu, a gdy przyśpieszał biegu, zlewały się z nią w jedną ciemnożółtą wstęgę. A że kręciło się w głowie przy nazbyt długim patrzeniu w dół, podnosiliśmy oczy i wówczas ociemniało je pasmo bliskiego lasu. Mroczny był, jednostajny, z rzadka poprzerwany złotem koron młodych brzóz, co świeciły w słońcu popołudnia.

Wyżej trwało niebo, piękne niebo, błękitne zimnym błękitem, nie takim jak w dniach wiosny. Szły chmury, obłoki, widma sinawe i białe, podbite od dołu mieniącą się barwą, trudną do ujęcia. Nie było to złoto, ani szkarłat, ani odcień bursztynu, tylko blask zawierający w sobie wszystko razem, promienny na obrzeżeniach wysp firmamentu, głębiami matowymi grający dalej, u kłębowisk strzępiastych, przechodzący w siność i fiolet tam, gdzie kontrasty były silne.

Za nami, w wagonie, chrapał kapral, Całek odmawiał różaniec, Nyś i Knysz grali w warcaby, zrobione z chleba i cegły, inni leżeli na słomie z oczyma utkwionymi w drugich drzwiach wagonu, co był otwarty na przestrzał jak stodoła jesienią. Wicek odzywał się głosem organki: coś tam wybierał w tonach, melodię jakąś przypominał sobie i tak przerywał kołyszający, mocny takt podróży.

Siedzieliśmy, Zasławski, ja i plutonowy Jawrzos, każdy inny, każdy czym inny zajęty, a mimo to zjednoczeni wspaniałymi obrazami ziemi i nieba, odwijającymi się przed oczyma z nieobjętych kresowych obszarów.

Zasławski myślał o czymś cichy, przygarbiony, a oczy miał pod długimi rzęsami czystsze niż to chłodne niebo.

Plutonowy, w owijaczach, lecz bez butów, w rozchełstanej na piersiach koszuli, przysiadł na stoliku trójnożnym, ręce opuścił między kolana, a głowę uniósł ku górze, tak ścigał wzrokiem fantastyczne pejzaże, piętrzące się w błękicie po to, by w następnych już chwilach rozwiać się, rozproszyć, niby płynne nadzieje człowieka.

A ja, wsparty o futrynę drzwi, patrzyłem na nich obu i na tor, las, obłoki.

- O czym tak dumasz? - zapytałem Zasławskiego.

Ocknął się, uśmiechnął wstydliwie i rzekł:

- Wiesz, o domu. Właściwie o pewnym przedmiocie w domu.

- Skąpy jesteś w objaśnieniach.

- Nie myślę - ciągnął - przypominam sobie raczej pewien przedmiot, no... obraz.

- Był obraz, ale oblażł - rzucił z głębi wagonu Wicek, tylko że nas to nic a nic nie obchodziło. Wyczekał chwilę, nie doczekał się żadnego efektu dowcipu, więc znów wziął się do organki.

- W sypialni miałem taki obraz, duży, w ciężkiej ramie. Stary. Czy ja wiem, może czternasty, może piętnasty wiek. Trochę jak Benozzo Gozzoli, trochę jak Gentile da Fabriano. Obraz przedstawiał pochód rycerzy. Droga kręta wśród skał i drzew pióropuszkowych, pokryta była tłumem pieszych landsknechtów i konnych bohaterów. Ach, te konie białe, strojne w atłas i blachy! Ci rycerze w półpancerzach, giermkowie murzyńscy z hełmami rzeźbionymi najprzedniejszą robotą! Jawrzos nie słuchał, o czym mówiliśmy. Słuchał czegoś, co było w nim samym, bo oczy miał martwe, a szczęka opadła mu w dół, jak u trupa.

- I niebo było nad tym świetnym pochodem trochę podobne do tego. Chmury jak wyspy niebywałe, zjawienia, jakieś w promieniach, strzały blasków...

- Czy dlatego ci się to przypomniało?

- Nie. Przez chwilę spać mi się chciało, a ile razy jestem senny, widzę mój pokój w Zastawiu i ten obraz przed sobą, na wprost łóżka. Dawniej, gdy zasypiałem, zmęczone oczy nadawały ruch pochodowi malowanemu. Konie wspinały się parskając, jak nasze, jak z naszej stadniny, lance kołysały się, sztandary powiewały i wtedy zasypiałem.

Pomyślałem, że i ja mam nad łóżkiem obrazek. Nie dzieło sztuki z piętnastego wieku, to prawda, lecz stary obrazek jarmarczny z Ukrzyżowanym i dwoma aniołami, a gdym zapadł w sen, anioły poprawiały szaty nie wstając z klęczek, wyrównywały fałdy i poruszały ciężkimi skrzydłami. Tylko Ukrzyżowany nie drgnął nigdy.

Chciałem opowiedzieć przyjacielowi, bo nie mówiłem o tym jeszcze nikomu, ale rozległ się głos plutonowego:

- Dzieciuchy, dzieciuchy...

Umilkliśmy, bo w głosie tym była twardość i współczucie zarazem. Bałem się, że plutonowy powie słowa już raz w tej podróży zasłyszane, kiedy na jakiejś stacji szła wzdłuż pociągu naszego obłąkana panienka, której rozstrzelano dziadka, ojca i trzech braci.

Szła w podartej sukieneczynie, w skrzywionym na bakier kapelusiku i zaglądała nam w oczy ze słowami:

- Na śmierć was pędzą. Na śmierć was pędzą...

A mówiła to głosem zawziętym, jasnym, nie przełamanym, choć twarz miała zalaną łzami.

Wtedy to Wicek krzyknął do niej:

- Fora stąd! Nie strasz!

I został kopnięty przez Knysza, z czego wynikła okropna „na cały transport” awantura. Zresztą, choć nie jestem tego pewny, chyba od tamtego zdarzenia zaczęły się niesnaski między Knyszem i Nysiem.

- Śmieszne - podjął znowu Zastawski - przypuszczam, że ów pochód rycerzy odegrał niemałą rolę w moim zaciągnięciu się do szeregów ochotniczej armii. Naturalnie, nie jako pobudka, ale...

- Rozumiem.

W istocie rzeczy nie bardzo rozumiałem, raczej przypuszczałem, o co mu chodziło. Uważałem to jednak za rzecz mało ważną. Tyle przecież spraw i zdarzeń oddziałuje na każdy nasz postępek! - Jak szybko niebo gaśnie! - zauważył Zastawski.

Stawało się ciemnawe, szarawe, chmury nabierały ciężaru i mroku, zwisały monumentalnymi bryłami, niepodobne do tych korwet lotnych, które przed chwilą jeszcze w jasnościach coraz czerwieńszych żeglowały po błękicie.

- Dzieciuchy... - pokiwał głową stary plutonowy.

Chciałem jakoś odparować ten jego ton, jakoś zniweczyć dystans dzielący opiniodawcę od nas, od ocenianych tak lirycznie. Zapytałem wręcz:

- Panie plutonowy, a pan dlaczego wstąpił do wojska?

- Też pytanie? O Polskę, „mały”.

Już tylko nad lasem paliło się wąskie pasemko niebiańskich łądów i morz. W wagonie stojąca okratowana latarnia przyświecała graczom w warcaby.

- Ale od czego to się zaczęło? Kiedy pan o tym pierwszy raz pomyślał?

- Ach, tędy cię wiedli, to i gadaj od razu. A to było, dzieciuchy moje - jeszcze raz zgnął nas z uśmiechem tymi „dzieciuchami” - to było tak. Wyrośłem we wsi, a w tej

wsi to były i ruskie chłopcy, i nasze. I jeszcze trochę kolonistów, olendrów. Przeżywalimy się z maleńkości i wieczna wojna między nami się kotłowała. Pastuchy nasze klęty tamtych Iwaśków, Andrijów i Hansów, a oni nam na złość śpiewali po polsku:

Pod Niewiaszem,
pod wiatrokiem,
tam się Polok bił,
jod kiełbasę, wódkę pijoł,
po żytach się krył...

Jak poznałem, że to wykpiśna śpiewka, zapytałem ojca, kiedy się tak Polacy bili i powiedział mi, że to w powstanie. A chodził u nas po wsi dziad Tydrych, co z Sybiru przyszedł. Po proszonym łąził, bez ręki był, chudziak wielgi. Przed samą wojną mu się zmarło i nie miał go nawet kto pochować. Chleb mu dawałem i biłem się o niego, bo wołali za nim: Głupi, coś zwojował! Wołali i ruscy chłopcy, i nasi. Bez ręki – to był dla mnie znak, że nie wszyscy się po żytach kryli, że wielu wielu i prosto na kule szło. Choć ten dziad nierad o powstaniu mówił, bo i pamięci na starość nie miał, ja wiedziałem swoje. No, pewno, nie przez dziada poszedłem do legionów, ale, wiecie, zawsze to jakoś... – tu plutonowy umilkł, zaplątawszy się w objaśnieniach.

Zawsze tak bywało. O konkretnych zdarzeniach i rzeczach wykład miał jasny, wzorowy, gdy tylko o komentarz chodziło, brnął w zawłości językowe nie do rozplątania i najczęściej urywał mowę, gdy ta chwila nadchodziła.

Nie przywykliśmy do takiej szczerości szarż. Toteż patrzyliśmy obaj z Zastawskim na gibką postać starucha, teraz, bez munduru, przywodzącą na myśl tych zasuszonych chłopów, co o przedwiośniu chodzą po miedzach, rozplanowując sobie sprawy gospodarskie nie na rok, ale na lat kilka, choć sześćdziesiątka za pasem. Wielu takich widuje się pod rodzinnym moim Lublinem, pod Kazimierzem, Puławami, nad rozlewem szarej Wisły. Z kosturkami w dłoniach wędrują, nierzadko kapelusze słomiane mają na plecach i czuprynę podciętą, ledwie, ledwie siwiejącą. Czasem taki dziadzius podemie z roli kamuszek, jakby był chłopaczkiem, pasturkiem...

Zapachniała mi ziemia rodzinna, matczyzna i ojcowa. Opuściłem oczy z plutonowego, z wygasłego nieba, z czarnej linii boru, co wciąż jeszcze biegła wzdłuż horyzontu to bliżej, to dalej.

Utkwiłem wzrok w smudze nasypu, co mknęła, co mknęła pod nogami, zasłuchany w turkot kół:

- Na front! Na front! Na front!!!

- Dojeżdżamy – Jarzyk szarpnął mnie za ramię.

Ale pomylił się, bo to, co brał za światło miasta, było garstką lamp cukrowni stojącej w polach ciemnych, pełnych wichru i listopada.

Wagon trzeciej klasy, latarnia z nierówno topniejącą świecą, czarne poblaski w szybach, głowy ogolone, głowy z wargami otwartymi, senne, rybnie, straszne. To nasz powrót. Oczyma rozpalonymi przez oczekiwanie i bezsenność wpatrywałem się w mrok. Za oknami niewyraźnie migotały kontury zarośli, drzew odartych z liści, choin, co chciały gałęziami jak sztandarami nocy.

Ssało coś pod sercem i radość powrotu mniejsza była, niż to się dawniej marzyło.

- Cieszysz się? – właśnie zapytał Jarzyk.

- Tak. Cieszę się – odpowiedziałem obojętnie.
- Coś mi się zdaje, że nie bardzo.
- Nie? Dlaczego...

I naprawdę, nie miałem powodu, by się nie cieszyć. Wracałem cały i zdrowy do domu, do książek, do ulic rodzinnego miasta, którego słoneczność, procesje, kościoły, zaułki, parki i przedmieścia lubiłem go tak bardzo. A przecież nie mogłem wykrzesać z siebie tego, co gnało mnie na każdym postoju do pisania listów, które poczta polowa przekazywała moim bliskim.

Jarzyk spojrzął po otaczających nas żołnierzach. Spali ciężko. Z półki zwieszała się lewa noga Drobniakowskiego (prawa widniała poprzez siatkę, gruba, biała od bandaży). On sam zakrył twarz przed blaskiem latarki rękawami płaszcza, wystrzępionymi i lśniąco od brudu. Wszyscy byliśmy w łachmanach, bo odjeżdżając z frontu oddaliśmy pozostającym tam kolegom, co kto miał całego i przyzwoitego. Po co nam mundury? Trzeba tylko wytrwać jakoś te trzy czy cztery dni na stacji zbornej i – do cywila.

Na ławce naprzeciw nas śpią: Urman z III plutonu i Franek – jakżeż mu na nazwisko? – ordynans dowódcy kompanii. Urman położył mu głowę na kolanach. Braterstwo. A dokoła jeszcze kilka znanych twarzy. Są i nieznane, z innych kompanij, z innych batalionów. Wszyscy jedziemy do domów.

Zastukały koła pociągu na jakimś mostku kolejowym i Jarzyk znów się ocknął:

- Pamiętasz kwiatek Nysia?
- A czy wiesz, że *Biblię* wiozę ze sobą?
- *Biblię*?

- Tak, tę od bolszewika.

- Teraz słowo „bolszewik” już nic nie będzie dla nas znaczyło.

- No...

- Będę się uczył. Ale jak? Myślę, że ze stronic książek patrzeć będą na mnie twarze zabitych. Knysz...

Zabici – nie można zapomnieć – zabici – usta pełne krwi, oczy zasypane kurzem marszu, ręce przebite kulami, stygmatyczne, tułowia podarte! Teraz rozświetlają się okna wagonu uśpionych, bowiem księżyc wychodzi nad pola. Jest jeszcze nisko, ciemny, czerwony, wojenny. Koło miedziane malejące wśród gwiazd bardzo nikłych. Bania magiczna – to ona puste serce ssie. Pokolenie wracające z placu bojów śpi, wagon niesie nas pod kula ognistą i jest w tym coś z symbolów niedomówionych, coś z fantazji cofającej się przed granicą. Jarzyk i ja nie śpimy, to jednak nic nie znaczy, bo w sobie, wewnątrz, tacy sami jesteśmy, jak ci, których zamknięte powieki przypominają świeże drewno raczej niż ciało. Praca w stolarni zakończona – może tylko zawieszona. Wióry, heblowiny, kłocę białe, co przeszły przez piłę to my, siedemnastoletni, osiemnastoletni.

Radość że wracamy – mała radość. Pewność, że trzeba było na tamtych polach padać i biec, i strzelać – twarda pewność: trzeba!

Na wiosnę czytaliśmy w klasie *Irydiona*. Cały czas myślę o tym, że czytałem go i czułem poezję, ale teraz już nigdy karty książki nie będą dla mnie tak świeże, tak piękne...

- Czas naprawi wszystko...

- Nie, „mały”. Ja już nigdy nie będę miał znowu siedemnastu lat.

- Otóż to.

Siedemnaście lat, osiemnaście lat. Jeżeli sny niezapomnienia stąd się wywodzą, jeśli tym właśnie są wzmacniane, że już nigdy tych lat nie będzie? I nie będzie. Kto

tak myśli, jak my, już daje dowód, że wiek dziecięcy minął bezpowrotnie.

Iskry z lokomotywy wionęły i stało się w atmosferze nocy przeobrażenie: wiecha dymu białego układała się na niebie jak olbrzym, a olbrzym ten miał stopy w bursztynowych skrach. Z dzieciństwa, z czasu, gdym jeszcze nie umiał czytać, a już to imię Irydion słyszałem, wyobrażałem sobie, że jest on wiecznie żyjącym olbrzymem z głową w chmurach, a nogami w ogniu. Imię samo tętniło ogromem.

On nad pociągiem.

Księżyc maleje, księżyc blednie, już tylko lekką różanością świeci.

Lampy sypią się na okno zrazu rzadkie, potem gęstsze, jak deszcz meteorów. Naprawdę dojeżdżamy.

- Lublin - woła Jarzyk w porywie.

W wagonie ruch. Zrywają się, przeciągają, poprawiają płaszcze, szukają plecaków. Raz jeszcze w uszy bije znany brzęk menażek, chrzęst rzemieni, brak sprzączek u pasów.

Wracamy.

Całek, Knysz, Nys, Gołowski, Koroś nie zobaczą tych murów, pochłonęła ich ziemia inna i czas inny.

Widzę, bez radości, w jakimś rozpadzie wewnętrznym, widzę zębaty zarys masywów domostw, kościołów, wież. Niejasno we mnie. Nic nie śpiewa.

I wagon w milczeniu pogrążony. Nie liczą się przecież te drobne głosy:

- Te, to mój pas!

- Jasiu, nie widziałeś mojego chlebaka?

- Psiakość, owijacz mi się drze...

Majestatyczna sylweta miasta przesuwana się po widnokregu. Poznają wszystko w czystej, smutnej nocy. Tam Trynitarzka Wieża, tam czworogran wieży kościelnej panien wizytek, tam błyszczący zegar Bramy Krakowskiej, majaczy topór na grubej baszcie Zamku. W rzędach dachów kryją się ulice i place zawierające powrót dzieciństwa, a chyba także i późniejszy wiek męski.

Miesiące frontu zostaną w życiu jak blizna i tylko tyle, Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Tak idą moje myśli, bo widzę, że Urman klęka na ławce i żegna się.

- Lublin, Lublin - wołają kolejarze.

Wychodzimy. Gromada szybko przybiera kształt zwartej kolumny i skierowuje się ku drewnianym płotom stacji zbornej.

Na bocznym torze dyszy zapomniany parowóz. Bez Irydiona. Inny, obok, wygasły i zimny, wypukłą tarczę czołową wysunął pod blask księżyca.

Co za noc!

ŁUDZIE W JARZE

Wspomnienie z r. 1920

Zawarczało w błękicie, potem zaczęło trzaskać – jak gęsty grad. Popadaliśmy więc, gdzie komu było bliżej: pod gruszą, u płota, na uwrociu, przy furgonie kompanijnym.

Z dna jaru widać było duży, niezgrabny samolot, plujący ogniem, który w bladym świetle popołudnia wyraźnie czerwieniał.

Wioska w jarze dobrze nas chroniła. Z osypiska brzegu pył posypał się pod wstęgą kul, które spruły ziemię. I tyle tylko, że rykoszetowa kula zraniła lekko gęsiarkę bosonogą, tam w górze, na wygonie. Stańto biedactwo, główkę zadarło do góry, palec wraziło w buzię, nieświadome okrucieństwa płynącego z błękitu. Krzyczeliśmy na nią, ale nie usłuchała nas. No, trudno.

Samolot pomknął dalej, zresztą na pewno nie po to tu przyleciał, aby nasz biwak garstką kul obdarować. Pomknął i uciszyło się pod obłokami, i usłyszeliśmy rzewny płacz dziecka.

- Trzeba zobaczyć, co tam z tym bachorem – rzekł kapral.

Czepiając się berbersowych krzaków, poleźli po zboczach jaru Zastawski i Drobniakowski. A Całek wołał z dołu:

- Ostrożnie, chłopaki, to przecie dziecko!

Znieśli ją na dół szczęśliwie i oddali w ręce matki, która właśnie biegła do obórki.

- Co ci to, córuś, co, skarbie złoty?

- Za trzy dni śladu nie będzie. Skórę jej tylko zdarło z ramienia, takie tam zadrapanie. Rykoszet – objaśniał Drobniakowski.

Nie znane słowo zaniepokoiło kobietę. Zsunęła bandaż z rączki dziewczynki i odstoniła się wówczas oczom nas wszystkich krwawa rysa. Dziewczynka zapłakała jeszcze rzewniej, patrząc z ukosa na ranę.

- I po coś tam laża! – wybuchł gniew matki, skoro nieszczęście okazało się niezbyt wielkie.

- Gęsi... gęsi... – łkała dziewczynka. - Ot to! A gdzie gęsi? – i zostawiwszy dziecko pośrodku drogi zaczęła się piąć pod górę.

Śmiech nas ogarnął przy tej całej scenie. Kapral podkpiwał sobie z babiny, stary Całek głaskał małą po główce, pewno przejęty wspomnieniami o własnej diatwie, a ja szukałem po kieszeniach bluzy, bo przypomniało mi się, że miałem gdzieś kostkę cukru. Może cukier uciszy płacz dziewczynki?

Cukier się znalazł i gęsi się znalazły. Przygnała je kobieta ścieżką serpentynową z drugiej strony wąwozu.

- Zapędź je w obejście – przykazała córce, a sama zwróciła się do nas. - Tam, wiecie, leży wojak swój, polski.

- Gdzie?

- Zabity?

- Na wygonie leży, głową do ziemi, ale gada. Żyje.

- Po niego, duchem! – krzyknął kapral. Więc Zastawskii Wicek ruszyli znów w gąszcz berbersu.

- Gada? A co gada? – spytał Całek.

- Chciał, żeby mu szmatę przynieść jaką. Wstydzi się.

Niewiele nam powiedziały te objaśnienia, ale podnieciły ciekawość. Cóż to za historia? Kobieta tymczasem odeszła ku chacie, ogarnianej powoli przez półmierzch, bo tu, w dole, światła pod zachód było mało, a czerwienie rozpalające się po obłokach nie rozjaśniły wioski na dnie jaru; przeciwnie, jakby przyciemniały ją.

- No, co jest, Zastawski?

- Nie chce iść, panie kapralu. Wstydzi się.

- Czego on się, ofierma boża, wstydzi?

- Nie powiedział, panie kapralu. Zostawiliśmy mu bandaż, bo prosił. Powiedział, że przyjdzie, jak się ściemni, może mu przejdzie do tej pory.

- Słuchajcie, mnie się to nie podoba. To jakieś faramuszkii: wstydzi się, nie zejdzie... Diabli go tam wiedzą, co on za jeden i co się za tym kryje... Czechowicz, Markowski, Jarzyk! Z karabinami po niego! Żywo!

Skoczyliśmy po broń do chaty, a potem objęły nas kłujące fale berbersowych zarośli. Droga pod górę była uciążliwa i nim stanęliśmy na krawędzi rozpadliny, dyszeliśmy ciężko.

W lekko pofałdowanym terenie czerwienił się pod ukośnym blaskiem wieczoru duży wagon. Na wygonie w przywędłej trawie siedział żołnierz. Kurtkę miał zarzuconą tylko na ramiona. Owijał sobie głowę bandażem. Podeszliśmy do niego:

- Chodźcie!

- Pierona! Spokoju nie dadzom!

- Chodźcie, nie gadajcie. Zamruczał cos tam nieładnego, wstał i nagle zachwiał się. Chwyciłem go pod rękę, aby nie upadł, a wtedy on stęknął:

- Uch! - pokazał białe zęby, tak białe, że im nawet łuna zachodu nie nadała różowego odcienia.

- Co, łaskotki macie?

- Ty mnie nie gabaj - krzyknął obcy do mnie, a do Markowskiego - a ty się nie śmij! Patrzcie, pierony!

I odwrócił się do nas plecami, zrzucając kurtkę z bark. Wtedy ujrzeliśmy, że koszulę ma czarną od krwi. Zwrócił się ku nam twarzą:

- No?

- Rana?

- Rana? Rana? Z niewoli, kamraci, zwiółem. Tam mie stemplami częstowali, octem polewali. Teraz wicie?

- T a k a sprawa - przeciągnął Markowski. - No, ale chodźcie. Kapral kazał was dostawić żywego czy umarłego. Możecie iść?

Żołnierz zrobił krok i znowu olśniewające zęby odłonił mu grymas bólu, tak podobny do uśmiechu. Potem ruszył z nami. Schodziliśmy w dół wolno. Widać było, że to dla niego męka, ale trzymał się w sobie i starał się nie pokazywać, jak mu bardzo to zejście dolega.

Czerwienił nas zachód, oślepił nam oczy, potem do połowy nas barwił, potem tylko głowy płonęły, wreszcie wstąpiliśmy w mrok wąwozu. W pewnej chwili zdawało mi się, że znowu widzę zęby Ślązaka. Potknął się bowiem i obsunął nieco, gdy mu kamień stoczył się spod stóp.

- Panie kapral, melduję posłusznie, jeniec zbiegły z niewoli wroga! - odraportował Markowski.

- Jeszcze jeden - stwierdził któryś z plutonu.

Bo w tych dniach, po wielkim pogromie hrubieszowskim, niemało ich przybywało od strony Bugu - obdartych, głodnych, umęczonych i bosych.

- Wasz przydział?

- Dziewiąta kompanija czwartego pułku piechoty legijonów.

- Dowództwo kompanii mieści się w Marianówce. To niedaleko. Ambulans Czerwonego Krzyża znajdziecie po drodze, przy kuźni. Jarzyk, odprowadźcie go.

- Rozkaz, panie kapralu!

- Ale, ale, przypomniałem sobie. Co to za fochy pokazywaliście tam, na górze? Ta gospodyni mówiła, że wstydzicie się, że takie tam różne...

- Ślązak milczał.

- I żołnierze nasi mówili... Hę? Co?

- Panie kapral, każą mi dać co do jadła...

- Pewno że o suchej gębie was nie puszczą. Nie uszlibyście może tego kilometra, a przecie nam każdy żołnierz potrzebny; no, nie?

To „no, nie?” odnosiło się do nas, więc przyświadczyliśmy chórem, zresztą niezbyt zgodnym, po czym wzięliśmy przybysza między siebie. Siadł na przyzbie pod chatą, a Zastawski przyniósł mu menażkę kaszy ze skwarkami, nim jeszcze rozdano spóźniony obiad z kotła, Zastawskiemu to nie sprawiło trudności. Z niewiadomych dla nas przyczyn kucharz bardzo szanował tego młodzika i traktował go niemal jak oficera.

- Cóżecie to kapralowi nie odpowiedzieli na pytanie? - zagadnął Ślązaka Drobniakowski, a prawie każdy te same słowa miał na ustach. - Może to coś nie dla szarży? - żartował Wicek. - Gadajcie śmiało, kapral poszedł do dowództwa baonu.

- Zaś tam! - mruknął nasz gość i wziął się za jadło, ale mu bandaż na twarzy przeszkadzał. Zdjął go więc, zwinął starannie i ułożył pod ręką.

- Co, już was zęby nie bolą? - nie ustawał w zaczepkach Wicek.

- Zaś tam... - burknął przybysz raz jeszcze i przypiął się do łyżki.

My tymczasem gadaliśmy o tym i owym, czekając na zbiórkę do kotła. Po zbiórce z dymiącymi menażkami obsiedliśmy płot i przyzbę, a kto nie znalazł miejsca, wprost na ziemi siadał. Pożywiliśmy się. Ślązak skończył jeść razem z nami, choć zaczął znacznie wcześniej.

- M a r n y j a d e l n i k - zaopiniował Wicek.

Uciekinier intrygował nas bardzo, lecz nie chcieliśmy pokazać po sobie, że jesteśmy aż tak ciekawi. Jeśli co ma na wątrobie, nie wytrzyma - sam powie.

Jakoż i powiedział. Najprzód rozejrzał się dokoła, potem ruszył ku studni z żurawiem i z wiadra stojącego na cembrowinie napił się wody, nachyliwszy je trochę. Gdy wracał przez podwórko, przeszedł przez smugę blasku bijącą z okna chaty, a w smudze tej spostrzegliśmy, że ma na policzku jakiś czerwony znak. W tejże chwili Ślązak skoczył w mrok:

- No, widzieliście! Widzieliście! - wrzasnął z wściekłością.

- Widzieliśmy - odpowiedział z mroku głos Wicka z niezmaconym spokojem. - Trzeba było bandaż znowu założyć, to nie widzielibyśmy.

- Dej pozór, co by tobie tak nie było! Pieronie! Widzieliście, to mi reszta za psiniec. Nie idem do kompanji! Z wami bedem, jag widzieliście! Swoim sie nie pokaże! Hańba!

- Cóżes się tak rozpieklił? - zapytał Całek. - Nie wiadomo, o co ci chodzi.

- O co? Nacajchowali mie jag bydlaka! Nacajchowali goruncem żelazem! Jag ja bedem po świecie chodził, jag?

Całek zaśwycił latarkę. W elektrycznym blasku ujrzeliśmy jasną, jakby uciętą w ciemności głowę przybysza, jego znów odstonięte w grymasie zęby, pałające oczy, usta spieczone i piętno na prawym policzku, piętno dosłownie takie, jakim się znakuje bydło.

- To mi zrobili! - krzyknął Ślązak, a wargi mu drżały jak w febrze.

Latarka zgasła. Milczeliśmy. - Tego bym, bracie, nie darował - rozległ się głos kaprała.

- I ja bym tego nie darował - dodał głos porucznika. - Rozumiem was i rozumiem,

dlaczego wstydziście się zejść. Kapral Stachurski opowiedział mi całą sprawę. Tylko ja myślę, że to nie wy powinniście się wstydzić, ale tamci.

- Kto to mówi? – zapytał przybysz, a głos mu drżał.

- Porucznik, dowódca kompanii.

- Panie poruczniku, a jag ja do dziedziny wrócę? Do mojej wsi?

- Doktorzy coś na to poradzą.

- Panie poruczniku, jagby można było... Chciałbym w tej kompanii zostać, do swoich nie iść... Panie poruczniku, niejednyn tak robi, przechodzi z oddziału do oddziału i fertig...

- Nie proście mnie o to. Właśnie dlatego jest tu i ówdzie nieporządek, że łaziki robią, co im się podoba. Wróćcie do dziewiątej kompanii. Zapłacić wrogom możecie i tam, prawda?

- Tag jest, panie poruczniku.

Narzucił mundur na ramiona, wziął w rękę bandaż (mignęła jego biel w ciemności jaru), potem jednak odrzucił w trawę. Z podniesioną głową ruszył do drogi. Poderwał się i Jarzyk, aby wskazać mu, którądy ma iść.

- Ostajcie, kamraci! – rzekł.

- Bywaj – oddały pożegnanie liczne głosy.

Gromadka nasza zaczęła się rozchodzić po chatach na odpoczynek, kiedy z głębi jaru dobiegł nas głośny okrzyk namiętności.

- Zapłacem sakramynckim dziadom! Zapłacem!...

BITWA I PO BITWIE

I

Ogniste i ziemne krzaki wybuchów wznosiły wśród huków, to tu, to tam, na pochyłym ściernisku, pionowe, grzmiące, piękne. Szerokość pól strzępił ciemny dym pożaru bardzo bliskiego, a kiedy wiatr zawiewał z nagle w tę stronę, wszystko tonęło w rudawym półmroku. Wówczas płomień rytmicznie rwący się z kulomiotu widać było bardziej wyraziście.

Taśmowy, z przyklejonym w zeschniętych wargach niedopałkiem papierosa, podstawił ręce pod wstęgę naboju wywijających się ze skrzynki w ostrych podrzutach, a ten jego ruch przypominał gest prządki motającej nici. Bo i tu nić się motała, złota, śmiertelna nić Parki.

Porembowski kierował ogniem „maszynki”. Dygotał cały od odrzutów kulomiotu, a przed nim drżało również i pole całe, bo dzień był gorący, jak to się z rzadka pod koniec września zdarza, i powietrze nagrzane, i dym przesłaniał linię horyzontu, i te nieustanne, częste wybuchy granatów.

Gdy się to zaczynało, kiedy rozwijał się nasz wielki taniec – wyrażenie porucznika Wójcika – było mi nieludzko i nieswojo. Lęk przed straszliwymi rozrywami armatnich pocisków i zaciętość, która mi się nie wiadomo skąd wzięła nie tylko w zębach, ale i w rękach, zwartych na karabinie, wtopienie się w to, i tylko w to, bez żadnej reszty, żołnierstwo nie mające nic wspólnego z całym dotychczasowym moim życiem w sumie stanowiło mieszaninę niezwyklej przemiany. Strzelałem, biegłem, krzychałem w dymie jak inni, nie widziałem w zapamiętaniu, kto biegnie, kto pada, żywił unosił mnie, a zmęczenie ostateczne w płucach i twardy stukot serca podniecały jeszcze bardziej. W tej to bitwie po raz pierwszy zdarzyło mi się rzucać granaty ręczne, co prawda, nerwowo, zbyt blisko, i w tej także bitwie dosięgła mnie dłoń wojny po raz pierwszy i ostatni.

Chwiejący się nacisk, załamujące się nasze natarcie, podtrzymywały wołania oficerów:

- Stać, stać! cholera jasna!
- Pluton tu zostaje! Maszynki na boki! Padnij tam jeden z drugim!

W chaosie, który próżno bym usiłował uporządkować w pamięci, bo czas wtedy jakoś inaczej mi się układał, burząc normalne odczuwania, zamajaczyło mi wyraźnie jedno: w rzadkim zagajniku, w smugach słońca, co spadały z wierzchołków drzew, a nasilały się od kurzu, dymu, pędziły wprost na nas postacie przekreślone na ukos liniami karabinów i ryczące nieludzko:

- Uraaaa! Uraaaa!

Przemknęło mi przez myśl: atak na bagnety. Równocześnie chłód opanował ręce od świadomości, że teraz zacznie się to, o czym opowiadał mi brat, to najstraszniejsze, gdy żelaza szczeka o żelazo, a ostrza drą z bliska ciało. Nagle oszołomienie bojowe zgasło w fali niepewności: czy będę mógł, czy zdobędę się na to, aby pruć komuś pierś czy brzuch?

- Uszy do góry! – krzyknął leżący niedaleko ode mnie podoficer.

Zdaje się, że to był głos plutonowego Eggera, zresztą nie jestem pewny, ale ktoś inny, jeśli nie on, mógł zauważyć to moje wahanie? Tylko on widział w bitwie wszystko, tak jak my na paradzie. On, weteran znad Sambry, Mozy i Mozeli, mógł wiedzieć, co się dzieje w młodych żołnierzach.

Już i na naszych karabinach błysnęły długie bagnety, już i nas poderwały rozkazy przeciw tej fali kontraktu bolszewików, kiedy z nagłą grom stanął między mną a światem, różowy ogień tępo trzasnął mnie z boku i dźwięknęło mi w głowie, i nie było już nic...II

Ocucony po ogłuszeniu, ujrzałem nad sobą pogodne niebo, kosmaty konar sosny i twarz sanitariusza Mrowickiego oraz jeszcze jakiegoś nie znanego mi kaprała. Ten ostatni machnął ręką i splunął:

- Nic mu! Kontuzja. Wiaterek go potłukł.

Po czym odszedł, a raczej odbiegł pochylony, nieco śmieszny z tym swoim wahadłowym ruchem zbyt długich rąk. Sanitariusz napił mnie raz jeszcze z manierki tchnącej wonią kawy. Ciepława woda zasycona tym zapachem wydała mi się jednak świetnym napitkiem. Że już raz piłem ją, choć bez pamięci, wnioskowałem z tego, że krople jej spływały mi po podbródku, czułem to. Naraz przeszło mnie własne w duchu postawione pytanie: krew?

Ale wobec niezniszczalnej pewności, iż jestem nietykalny wobec losów wojny, przesuniecie ręką po twarzy i sprawdzanie (istotnie – woda, nie „sok osobliwy”), były tylko formalnością. Woda, naturalnie woda!

- Kontuzjowało mnie? – zapytał sanitariusza, uprzytomniwszy sobie słowa kaprała.

- A jakże.

- Nic mi nie jest – orzekłem i chciałem wstać, ale tu okazało się, że się mylę. Naraz rytmiczne dzwony odezwały mi się w uszach i senna słabość opanowała ramiona, pierś, brzuch. Zdawało mi się, że za chwilę przestanę oddychać:

- O, bierze cię... Trzeba cię będzie zanieść gdzieś dalej...

Chwyć mnie za rękę, chcąc widocznie przerzucić przez barki i ponieść ku punktowi opatrunkowemu. Ale mnie zrobiło się zupełnie słabo. Szepnąłem:

- Zostaw, sam odżyję.

Kucnął wobec tego, przypatrzył mi się z bliska i zawyrokował:

- Odżyć to odżyjesz. Stuknęło cię wiatrem, ziemią zasypało ździebełko, ale nawet nie bardzo zielony jesteś na gębie.

- O, psiakrótko! – zaklął, wstając – jak to mnie w nodze rwie! No, leż se tu. Pójdę do innych...

I poszedł, lekko utykając, gdzieś między drzewa. Zostałem sam.

Leżałem sobie pod sosną nieswój, senny, obojętny. W oczach mi coś migotało, jakby iskierka czy gwiazda pojawiła się w oddali. Wiedziałem, że to było zmęczenie wzroku, ale znalazłem dla niej nazwę: gwiazda źródłana.

Dzwoniło mi w uszach. Obróciłem się na bok i podparłem głowę dłonią. Strząsnąłem grudki ziemi z munduru. Jedna rozsypała się, wpadła na pierś, bo mundur i koszulę miałem rozpięte. Spod ciężkich powiek patrzyłem na pola, na bitwę jak na obrazek. Czułem się poza nią, choć kule i tu świstały.

Samopoczucie miałem takie jak kilka miesięcy, gdy w błogości, leżąc nad rzeczką Bystrzycą, ścigałem wzrokiem obłoki na niebie i obłoki w wodzie. Ogniste wybuchy i ziemne fontanny tryskały z gruntu wciąż jeszcze, lecz przez ten czas, gdy spałem w omdleniu, zmieniła się sytuacja. Ze wzgórze, na którym leżałem, obszar pół widoczny był jak na dłoni. Z prawej strony płonęły gumna folwarczne i tam też kotłowało się najwięcej. Tam czekały Hotchkisy, tam grzechotała palba karabinów i grzmiały granaty ręczne. Na wprost przed sobą widziałem rzadką tyralierę naszych strzelców, leżącą w ścierni i również nie bezczynną w tej strzelaninie. W zagajniku, który tworzył

jak gdyby tylną dekorację pejzażu, zresztą niezbyt odległą, również strzelano z linii prowizorycznych okopów, wijących się na podwyższeniu. Dym wystrzałów unosił się nad tymi żółtymi kretowiskami. Z doliny, która spełzała w lewo ode mnie, dobiegały okrzyki oraz bliskie głosy dział. Poznawałem nasze polówki.

Podporucznik Janczar przebiegł tuż koło mnie i nagle zatrzymał się:

- Co wy się tu wylegujecie? Zwariowaliście?

- Kontuzjowało mnie, nie mogę się ruszać.

- No to leżcie, leżcie, czy ja wam każę się ruszać? – i trzasnąwszy szpicrutą po cholewach, zrobił dwa kroki w przód, ale nagle coś sobie przypomniał: - Nie widzieliście gdzie Eggera?

- Nie, panie poruczniku. Ale Porembowski pewno wie, gdzie on jest – wskazałem oczyma dygocącą od strzałów „maszynkę” przed sobą. Porucznik pobiegł tam wielkimi krokami, a ja przeprowadziłem go wzrokiem beznamiętnym. Dlaczego powiedziałem, że Porembowski wie coś o Eggerze? Do dziś nie wiem.

Zaświegotało w niebie: ciężki pocisk prześwidrował atmosferę i zwiastując swoje zbliżenie narastającym brzmieniem pędu, rozwalił się w dolinie z potwornym grzmotem, wyrzucił przy tym wielometrowej wysokości czarny kwiat brył ziemi.

Nic mnie to wszystko nie obchodziło.

Telefoniści z wielkimi szpulami drutu i tyczką przeszli między sosnami, jeden potknął się nawet o moje nogi, drugi krzyknął:

- Te, zgubiłeś furazerkę! – i rzucił czapkę, tak że trafiła mnie w usta.III

Ciągle jeszcze oszołomiony, lecz już świadomy całkowicie i wyzwolony z senności, tegoż wieczora brałem udział w gawędzie o bitwie, co minęła.

Biwak rozłożony szeroko wśród cichego czasu rozbrzmiewał nowinami:

- Podporucznik zabity.

- Kasznik zabity. I Ciężak Andrzej.

Tu stanęła w pamięci mojej niezgrabna postać chłopca spod Lubartowa. Miał bardzo jasne, jakby wyblakłe oczy w twarzy modelowanej grubo, w twarzy uderzającej wydatnością kości policzkowych, istic kałamucką. Lecz to był dobry człowiek i dobry żołnierz.

- A drugi Ciężak też ma za swoje! Dostał nielicho! Postrzał w pachwinę...

- Naszemu Staszkowskiemu zegarek rozbiło, a jemu nic!

- Pewno rykoszet albo niedolot. Jakem był pod Hrubieszowem, to...

- Łapiducha, wicie, także w pachwinę ugryzło, ale nie bardzo.

Ponad tymi wieściami, których udzielaliśmy sobie, unosiła się cisza wieczorna po ciepłym dniu, a ogromne niebo nad polami i zaściankami świeciło płomieniami zachodu.

Opowiadano i o przebiegu walki: baterię rozbiło, folwark nad rzeczką trzeba było podpalić, mostek wysadzić w powietrze. Telefoniści napracowali się i napocili, bo łączność, jak to w boju, ciągle się ruszała. Działa musiały walić, bo i wróg bił granatami raz koło razu: przypominały mu się boje artyleryjskie z czasu wołyńskiej kampanii szesnastego roku, czy co...

- Drobniakowski, co wam? – zapytał plutonowy.

Drobniakowski siedział koło mnie na belce, chudy, smutny, gdyby nie twarz dziobata, przypominająca układem brwi Mefista, podobny byłby do Zadumanego, co na polskich przydrożach siaduje w cieniu wierzb, topól czy brzoź.

- Co, co? Nic. Ja, panie plutonowy?

- Chorzy jesteście, czy tak tylko... Przejdzie, przejdzie...

Drobniakowski uśmiechnął się męczyńsko i rękawem otarł pot z czoła. Plutonowy przyjrzał mu się uważnie, pomyślał chwilę i poszedł ku stodole, a kiedy szedł przez zniszczony, stratowany ogródek, sprężysty jego krok musiał zastanowić każdego widza.

- Chodzi jucha jak fryga.

- Tego nic nie zmoże! Teraz ja zwróciłem się do Drobniakowskiego:

- Coś niedobrze wyglądacie...

- Wy lepiej wyglądacie! Bładziście jak piekarz!

- Zasypało mnie trochę. Akurat wtedy, kiedy szliśmy na bagnety...

Drobniakowski trzasnął palcami, pokiwał głową. Westchnął:

- Patrzę ja na was i nieraz myślę: ot, ma chłopak szczęście? Może każdy młodziak ma szczęście? Mnie już trzydziestka stuknęła...

- Ciężak zginął.

- Co tam Ciężak! Ciężak! Jedna jaskółka to nie wiosna. Młodzi mają szczęście... Starość tchnęła nie tylko ze słów kolegi, ale i z całej jego postaci, i teraz dopiero uświadomiłem sobie, że to, co wyróżnia Drobniakowskiego w szeregu, to starość, dziwna starość tego niestarego przecież człowieka. Wysoki, długonogi, zapadły w piersi, wiecznie znużony – ależ tak, Drobniakowski jest stary! Jakie to niezwykle: ja także po latach będę stary, czterdziestoletni, sześćdziesięcioletni...

- Czy to takie szczęście być kontuzjowanym?

- Innego by rozerwało. A wy i ten cały hrabicz, i Porembowski, choćbyście trzy dni leżeli pod ogniem, to was najwyżej ziemia zasypie, za kołnierz wam się naprószy. Jakbyście przez rzekę szli, to tam, gdzie ja utonę, wy znajdziecie bród... – Szczeniuchy! – rozjuszył się spokojny Drobniakowski, machając przy tym ręką, w której nie wiadomo dlaczego tkwiła łyżka. – Szczeniuchy! On... – na chwilę przerwał i znów otarł pot z czoła – jego zasypało i leży sobie! Na świat patrzy, a nie widzi! Ty, człowieku, pchaj się za niego wprzód, rznij, wywalaj cudze bebechy bagnetem.

Tu Drobniakowskiemu zrobiło się niedobrze. Odwrócił głowę, schował ją za krzak i tylko długie nogi na belce drgały.

- Nerwowy – stwierdził któryś, zdaje się, że Zielonka.

- Delikatny – dołożył inny – czy to wypada, żeby szewc był taki delikatny?

Towarzystwo gruchnęło śmiechem, kapral Staszkowski korzystał z okazji i śmiał się z serca, z duszy, ile wlało.

Zobaczyłem, że plutonowy Egger wywlókł ze stodoły karabin maszynowy i coś tam przy nim majstrował, a w naszą stronę spoglądał. Nie śmiał się.

Wreszcie podszedł ku nam.

- Staszkowski – zaczął – mieliście przed wieczorem rozdać rezerwę naboju, prawda?

- Robi się, panie plutonowy! – odkrzyknął kapral.

- Furgon stoi pod tamtym drzewem, widzicie? Inne plutony już fasują...

- Pluton, w dwuszeregu zbiórka!

Kiedy już zlepił się dwuszereg, Egger kazał Drobniakowskiemu wystąpić, a mnie polecił: – Weźcie tam za Drobniakowskiego te naboje...

Odchodząc z gromadką ciągle jeszcze roześmianych (choć nie brak było i zamyślonych, jak blady Zasławski, jak Małaj, kuzyn Ciężaków), widziałem, że plutonowy ruszył wolnym krokiem wraz z żołnierzem na ścieżkę między krzywe jabłonki. Słyszałem też pierw:

- Słyszałem, że macie dzieci...

- Dwóch chłopaków, panie plutonowy!

- To i kłopotu pewno trochę jest. Wiem, wiem. Mam jednego, nawet nieduży

jeszcze, ot, pięciolatek, skrzat, a piszą z domu, że urwis, nie daj Boże... Wrodził się we mnie...

- Chciałbym ja, żeby moje chłopaki w pana się wrodziły, panie plutonowy...

- No, no...

Chodzili sobie po ścieżce, gałęzie jabłonek nisko nad nimi szemrały jakoś niewojennie, jakoś tam, jak w zwyczajnym ludzkim losie, w zwyczajnym ogródku.

I krok plutonowego nie był już tym sprężystym krokiem starego żołnierza, który znaleźliśmy tak dobrze. Objawiał mi ten nowy jego krok perspektywy żołnierstwa pojętego głębiej i szerzej, niż to mogłoby się wydawać z gromkich komend, służbistości oraz bojowości Eggera.

- Cie choroba - zadziwował się idący obok mnie Porembowski - cie cholera... przyjaciele... za pan brat świnia z pastuchą...

- A ja ci powiem, bracie, żeś niechcący prawdę powiedział: plutonowy to przyjaciel nas wszystkich - to głos za mną. Głos starego Całka.

- I morus chłop, no nie, chłopaki? - dorzucił kapral.

Trzydzieści kilka głosów, cały pluton, wrzasnęło, aż wróble zerwały się z wielkiego drzewa, aż porucznik Wójcik wybiegł z za furgonu i patrzył na nas mrużąc jedno oko i przechylając głowę:

- Niech żyje plutonowy! Morus chłop! Swój! Swój!

FELIETON O KONIU

W białym blasku lamp cyrkowych krążą lśniące srebrną sierścią konie. Wszystko jedno, ile ich jest. Wszystko jedno, czy chodzą czwórkami, czy kłusują wokół areny. Ich krok, gromka muzyka, klaskanie bicia, gardłowy okrzyk trenera i ten blask, ta biała łuna reflektorów dają razem zespół oszałamiający i mający w sobie coś ze snu.

We śnie także widuję konie i to dość często. Niekiedy wchodzą w wodę (a rozlewiska wód, szerokie rzeki wśród leśnych brzegów, zalewy płytkie jak po powodzi są najczęstszą scenerią moich marzeń nocnych), niekiedy ukazują mi się anioły z końskimi łbami zamiast głów, kiedy indziej znów ciemne przestrzenie wypełnione falującymi tysiącami galopujących tabunów. Wówczas sen bywa męczący. Przy głuchym odgłosie kopyt, czy może jakiegoś wodospadu, godzinami całymi pędzą rumaki z ciemności w ciemność. Ma to w sobie posmak fantasmagorii, a zarazem wspomnienia.

We wspomnieniach dzieciństwa konie i słońce zawsze są razem. W ostrym blasku lata pławią się, gdy bryzga fala, polatują nad obrazem łąki krzyki chłopców i żołnierzy. Dzieje się to nad Bystrzycą, nad Wisłą, nad jeziorami.

Wspomnienia młodzieńcze inne nasuwają zjawienia: oto w ciężkim pędzie, od którego ziemia drży, przelatują baterie dział, oto przy czerwieni zachodu samotny koń na wzgórzu, oto żałośnie rżące zwierzęta uplątane w kolczastym drucie, oto smutne koniki białoruskie z wielką cierpliwością ciągnące nasze podwoły wśród piachów tysiąc dziewięćset dwudziestego roku.

Koniec, koniec!

Lat temu kilka siedziałem nad metalicznym nurtem Sekwany, w którym odwrócony wizerunek katedry paryskiej migotał, a że obłoki w tym odbiciu szły pod wieżycami, zdawało się, że kościół leci w nie jakoś dziwnie, nie wiedzieć, w górę czy w dół.

Po nadbrzeżu włókł się kasztanek, zaprzężony do dużej platformy pełnej pak. Pochylał głowę przy każdym kroku, ścięgną grały, nozdrza dyszały, w oczach widziałem nie tylko zmęczenie, ale i dobroć.

Wówczas w ciemnym biegu rzeki zaczęły przesuwać się przede mną różne konie, widziane w życiu i śnie. I te igrające w wodzie, i te, co na łąkach spokojnie drzemią, wzajem położywszy sobie łby na szyjach, sielsko i sentymentalnie, i te, co kwiczały rozpaczliwie pod ogniem granatów. Czułem wiele, ale tego wyrazić niepodobna, bo odczuwanie formuje zaledwie strzępy myśli, materiały zdań, mgławicę nie ukształtowaną. Mógłbym najwyżej określić ogólny temat tego: konie są bardzo ludzkie.

Było w tej burzy uczuć coś ze współodczucia i wzdargy równocześnie, bo wówczas gardziłem ludźmi za ich jednakowość, stadność, głupotę i głupstwo, za to, że żyją w schemacie, który ukrywa pustkę. Porównanie koni z ludźmi miało w sobie nie tylko cechy wysokiej oceny, ale i smutku, że tak piękne zwierzęta związane są elementami człowieczymi, małością ludzką.

Siłą kontrastu przerzuciłem się wówczas do ziem wyobraźni i natychmiast samolot w obłokach wodnych Sekwany podsunął mi marzenie o koniach mechanicznych. Przecież one są ukryte w każdym silniku! Rozwinęła się wizja feeryczna: samoloty ciągnięte po niebie przez rumaki skrzydlate i metalowe, lecz cwałujące jak żywe wyścigowce. Słońce – to z dzieciennego lata – pałało, stada maszyn walczyły ze sobą, konie mechaniczne roztrzaskiwały się w boju, ginęły w oślepiających błyskawicach, a ognisty deszcz odłamków i szczątków sypał się na ziemię, na wieże miasta. Było to

miasto Paryż, a może biblijna Sodomia niesprawiedliwych. Unosił mnie zachwyty tak silny jak pycha, patrzyłem w wodę widząc wspaniały, nieziemski bój, aż wreszcie ukazało mi się coś nowego: przezroczysta ściana olbrzymich rozmiarów stojąca obok łoża, na którym ktoś spał. To łóżko było błękitne i ceglaste. Za ścianą trwał wielki srebrny koń z zamkniętymi oczyma i wiedziałem, że łóżko i koń z zamkniętymi oczyma i wiedziałem, że łóżko i koń znaczą śmierć.

O mało z tego wszystkiego nie powstał poemat (to i owo nawet naszkicowałem w brulionie) pod tytułem *Zagłada Sodomy*.

Lecz odbiegła mnie „nieczłowieczność”, za ubóstwem życia bliźnich upatruję dziś czegoś, co mi się jeszcze nie odkryło, lecz co wiele znaczy. Żal mi za siebie i za wszystkich.

Konie, piękne konie wszech czasów, tabuny ze snu, widma mechaniczne, konie srebrne, oznaczające śmierć, może usłyszę któregoś dnia, nutę, co dźwięczy mocno i ostro, a niebo całe dźwiga jak sosnąb...

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Ja, Marcus Quintus Cascellius, syn rycerza, co w amfiteatrze zaraz za senatorskimi ławami siadał, zrodzony w Pestum różanym, opowiedzieć chcę o zdarzeniu z lat, gdy niszczyłem niepotrzebne książki, zwój pergaminowy zapisując po drugiej stronie zadaniami szkolnymi.

Zdarzenie to wiąże się z pewną zabawą, mało u nas znaną, niemniej jednak słyszałem, iż na północy, a zwłaszcza u podnóża gór, nieraz dzieci igrają tak właśnie. Pewnego dnia, gdy wyszliśmy ze szkoły, żegnając naszego bakałarza szyderczymi okrzykami, bowiem Greczyn to był z charakterem osłabionym przez falerneńskie wino, o czym nam dobrze było wiadomo, umyśliliśmy nie iść do domostw rodzicielskich, lecz udać się za miasto.

Troje nas było, Septima, z rodu Cynnów, ja i Earinnus, z którym na połowę żywot dzieliliśmy jako serdeczni przyjaciele. Sukienka Septimii powiewała lekko, równie lekko, równie lekko chwiały się drzewa nad drogą, która nas wywiodła z murów wiecznego grodu w stronę wzgórz. Z tej drogi zeszliliśmy na krętą ścieżką, co kluczyła w pobliżu strumienia wśród gęstych zarośli, a pięła się ku górze, wyżej i wyżej.

Wołaliśmy nad strużką, aby się nam nimfa ukazała rzeczna, lecz próżne było to wołanie. Tylko jętki polatywały nad tonią i jaskółki, napętniające okolicę srebrnym świergotem.

Potem znaleźliśmy pośród pagórów domek pasterski, bardzo sielski, a w nim dwoje staruszków. Kozy tam beczwały i pies szczekał do wilka podobny, a nad warzywnikiem wznosił się się postrach złodziei, Pryap cyprysowy.

Okazały był wielce ów kloc, sęk smolny miał na lewej pachwinie, motyle zaś uganiały jeden za drugim wokół roześmianej twarzy strażnika ogrodów. Earinnus nazbierał kwiatów, po które zresztą tylko schylać się trzeba było, taka tu ich mnogość, a potem Septima uwiła z tego kwiecia gruby wieniec. Zawiesiliśmy go Pryapowi na biodrach, aby nie był taki straszny, skoro uśmiech rozszerza mu twarz.

- Boże, ubierz się! - wołałem.

- Boże, goń mnie! - woła Earinnus i udawał, że ucieka. Strażnik ogrodów uśmiechał się nieruchomo po dawnemu, a my, figlarze, wiedzieliśmy, że nie będzie nas gonił taki drewniany kloc, cokolwiek by o tym bajali kapłani i niewolnicy.

Pod wieczór się już miało, gdy znużeni bieganiem, rozlicznymi zabawami i swobodą usiedliśmy na jakimś gładzie, co po strzaskanej budowli etruskiej został, i zaczęliśmy gawędę o wydarzeniach dnia.

Choć dzień ten przeżywaliśmy razem, miło było opowiadać o jego godzinach od początku przerywając sobie nawzajem. Paplaliśmy o grze w piłkę, o lekcji szermierki, o gramatyce, o wyjeździe ojca Earynnowego, który z flotą wielką wyruszył do Afryki po zboże, śmialiśmy się z niewolników, co mieli nas odprowadzić do domów - gracko udało się nam zmylić ich czujność!

Powoli przesunęło się słońce na drugą stronę nieba, aż wreszcie stanęło nad zachodem. Ja i Earinnus rzucaliśmy stilusami do celu, trafiając w narośl na starym platanie, dziewczynka zaś siedziała na kamieniu chmurna, gryząc źdźbło kwiatowe w pięknych, bardzo białych zębach.

- Czarownica - szepnął do mnie Earinnus, uchwyciwszy jej dziwne spojrzenia. A krążyła w szkole opowieść, że w rodzie Septimii kobiety na czarach się znają, trucizny warzyć umieją i leki, i lubczyki. Nas, chłopców, niewiele to obchodziło, co prawda. - Dwa razy nagabywaliśmy dzisiaj bóstwa - rzekła naraz Septimia - lecz

aby sztuka się udała, trzech prób trzeba.

- Co masz na myśli?

- Chcę się zabawić z wami w rozmowę z Sybillą.

- Coś o tym słyszałem, ale powiedz, o co chodzi – prosił Earinnus.

Lecz ja wiedziałem, że to ma być grzeszna zabawa, której oddają się dzieci z północy, a której matka mi zakazywała surowo, mówiąc:

- Nie trzeba niepokoić umarłych, cóż dopiero tych, co na wpół umarli...

Byłem więc przeciwny planom Septimii, ale, niestety, przyjaciel mój zapalał takim pragnieniem tej zabawy, że musiałem obojgu ustąpić. Zresztą są sprawy, przy których bardziej bezpiecznie jest być we dwoje niż samemu, a lepiej we troje niż w dwójkę.

Czyż mogłem opuścić powinowatą i przyjaciela?

Septimia na samym niemal progu potknęła się o starą, porzuconą flaszkę i wówczas, widziałem to dobrze mimo rumianych odblasków z nieba, pobrała nieco, bowiem za dobrze nam się wiodło: butla potrzebna do zabawy wpadła nam w ręce.

Miałem nadzieję, że zbraknie powroza, lecz Septimia rozpasła Earinnusa i umocowawszy flaszkę na jednym końcu złotego sznura, drugi poleciła mi przyczepić u sufitu. Uczyniłem to nie bez trwogi. Nabrawszy z klepiska dwie garście ziemi, dziewczynka przesypywała ją przez palce, a gdy wszystkie grudki i drobinki z powrotem znalazły się u jej stóp, dała nam znak. Wtedy chóralnie trzy głosy nasze zapytały:

- Sybillo, czego pragniesz?

Cisza wieczorna była nam odpowiedzią. Niebo gasło szybko, mroczyło, odmieniało kolory na coraz ciemniejsze i chyże chmury napłynęły nie wiadomo skąd.

- Nie udadzą się te dziecinne czary – powiedziałem – przecież przedtem trzeba dwa razy wołać bóstw. Wołaliśmy nimfę, wołaliśmy Pryapa, ale Pryap to nie Olimpijczyk, a nimfa...

Septimia uśmiechnęła się:

- Zagadnijmy Sybillę raz jeszcze!

Znowu posypała się ziemia przez jej smukłe palce i ponownie rozległy się nasze głosy:

- Sybillo, czego pragniesz?

Z drżenia tych słów w ustach przyjaciela poznałem, iż zaczyna się bać. Ale teraz za późno było, aby się cofać. Próba raz podjęta musi być przeprowadzona do końca, inaczej nie byłibyśmy godni miana Rzymian i rówieśniczka gardziłaby nami w szkole i w ogrodach, i zawsze.

- Sybillo, czego pragniesz?

Kiedyśmy zapytali po raz trzeci, mgła zielonawa zakłębiła się w egipskim szkłe, a chłód pieczar olbrzymich opadł nam na barki. Długa była chwila milczenia, lęku i mroku, wreszcie z głębi pustej butli doszedł nas głos pełen rozpacz:

- Umrzeć pragnę! Głos kilkusetletni sparzył nas jak gdyby. Poderwaliśmy się i pobiegliśmy przed siebie bez opamiętania, a nie oparliśmy się aż na progach domów naszych. My, to znaczy ja i Earinnus, który żył połową mego życia, jak to o przyjaciółach filozofowie powiadają.

Po drodze pies podobny do wilka pogryzł mnie boleśnie, gdym pędził, skacząc przez płoty, towarzysz mój zgubił szatkę i nagi przebiegł przez gwarne wieczorem miasto. Obaj nigdy nikomu nie powiedzieliśmy, co się owego dnia stało.

Niełatwa to była rzecz, bo rodzice pytali nas i ojciec Septimii, stary Cynna przy wigilach dopytywał, gdzie jest [jego] córka, bowiem nie wróciła już nigdy potem do

domu ni do miasta.

Opowiadać o grzesznej zabawie nie chcieliśmy, raz, że cóż by to pomogło Septimii, którą widać obce jakieś moce porwały (lubo po latach doszedł mnie słuch, że żyje w Bitynii jako wdowa po barbarzyńskim jakimś królu i wielkie poważanie ma w tamtej okolicy), po drugie, że przysięgliśmy jeden drugiemu, iż póki życia, nikt się nie dowie szczegółów wydarzenia, w którym dwaj Rzymianie, cóż z tego, że trzynastoletni, ulegli lękowi.

Dziś, po latach, gdy druh mój, Earinnus, trybun legli Warrusa nie żyje, gdy ja sam wkrótce opuszczę żywych, bo przyszło mi truciznę wypić z rozkazu cesarza, niewolny skryba opowieść tę z ust mych spisuje, bo winien to jestem zgrzybiałym rodzicom Septimii.

W ostatnich godzinach żywota wspominając tę chwilę wieczorną wśród wzgórz, idąc tam, gdzie wszyscy błędzić będziemy jako cienie, ja, Marcus Quintus Cascellius, tuszę sobie, iż boska Sybilla kumejska wybaczy mi zabawę z lat chłopięcych, którą zamąciłem jej i tak zmacone istnienie.

Ona, która wedle Heraklita „dzięki swemu bogu opiekuńczemu głosem sięga lat tysiąca”, zna w wielkiej mądrości swojej dusze dziecięce i wie chyba, że Ignęliśmy do tego, co straszne jeno z pustoty samej, a bez okruszyny złej myśli. Na błoniach zaziemskich usłyszę jej głos i tym razem ja będę cieniem wywoływanym, ona zaś zapyta:

- Marku, czego pragniesz?

Odpowiem:

- Boska Sybillo, pragnę twego przebaczenia...

Jeśli się zdarzy, że głos wieczystej usłyszę, teraz, podnosząc do ust puchar sokratejski, będę mógł odpowiedzieć jej własnymi słowami:

- Pragnę śmierci.

A zaraz potem nasyci się i pragnienie moje, i śmierć.

SAMOTNICY

(fragment z powieści *Podróż do Lublina*)

Krótki w tych okolicach zmierzch zaczynał się od osobliwego zjawiska. W ciągu kilku sekund chaszcze wybrzeży czerniały, zębaty zarys gąszczu, dzielący niebo od reszty krajobrazu, stawał się z nagłą wyrazisty i smutny przez żalobę delikatnych konturów, które ujawniały poszczególne korony drzew, liany, pióropusze i grona. Równocześnie gładkie a ciężkie niebiosa skwaru wypełniała złota lekkość i to samo światło wypełniało gładziznę wokół statku.

Odmiana przyniosła ulgę po rozpalonym dniu.

O takiej porze Henryk Pan siadywał na krawędzi luku, aby dłonie znużone odpoczęły, aby wzrok opadał z codziennych przedmiotów i rozjaśnił się podwójnym blaskiem z dołu i z góry. Chwilami wydawało mu się, że czeka na coś. Lecz było to złudzenie. Opętanym nic się przydarzyć nie może. Linia, po której płyną, jest równie żalobna i niezmacona jak granica między przestworem wyzłoconego nieba a puszcza. Z wybrzeży dochodziły jakieś dźwięki. Na drodze pnącej się ku osiedlu wśród leśnych pagórków nosowy głos nucił zwyczajną piosenkę mulników:

tSabe que es pulque?
Licor divino
Lo beben los angelos
En el sereno...*

Tego wieczora chory ocknął się. Spojrzał przez okienko kajuty dokoła, obwiódł zapalonymi oczyma brzegi kipiące ciemnością zarośli, zadziwił się niepojętym blaskiem stojącym nad gęstwiną i pod nią. Wreszcie wyszedł na pokład. Na ostatnim stopniu schodów przystanął, aby przypatrzeć się dobrze Henrykowi.

Był średniego wzrostu, ale siedział przygarbiony, wydawało się, że jest mały. Czarne włosy, złota od blasku i opalenizny twarz, chustka związana niedbale na szyi, grubym węzłem obciążające pierś, koszula naddarta pod prawym ramieniem – cóż można było z tego wywnioskować?

Kiedy zrobił krok pierwszy, głowa Henryka nagle odwróciła się i wtedy zabłyśły orzechowe oczy, których spojrzenie ostre i zarazem jak gdyby zamglone czy zaszklone, niepokoiło. Wrażenie było tym silniejsze, że dokoła rozlewała się słodycz i łagodność sama, i cisza, co przywodziło na myśl raj, jak *pulque*.

- To pan? – skonstatował krótko Henryk. – Jakże się pan czuje?

Chory podszedł bliżej. Po kołyszącym się kroku można było poznać, że to żeglarz.

- Już wszystko w porządku. Tylko bardzo słaby się czuję, bardzo lekki...

- Nic dziwnego, leżał pan w kajucie trzy tygodnie.

- Trzy tygodnie? Mam taką pustkę w mózgu, jakbym był nieprzytomny trzy wieki.

- Niechże pan usiądzie. Nie, nie tu, na linach będzie panu niewygodnie... Zaraz każę przynieść leżak, Juan!

Lekkim krokiem podbiegł młody marynarz o bezczelnym wyrazie twarzy, podłużnej jak migdał.

- Przynies leżak dla pana... dla pana...

* Czy wiesz, czym jest „pulque” (wódka z soku agawy)? To napój boski, który anieli spijają w raju.

Chory patrzył tępym wzrokiem w jasną powierzchnię rzeki.

- Nie - szepnął - nie mogę panu podpowiedzieć swego imienia. Nic nie pamiętam...
Wyraz twarzy marynarza uległ przemianie, nabrał charakteru drwiącego.

- Juan - rzekł wówczas Henryk bardzo spokojnie, lecz w akcencie było coś takiego, że nieznajomy wzdrygnął się i splótł ręce, aż w palcach trzasnęło.

Gdy już wyciągnął się na leżaku, mrok pogłębił się, błyszczące wspaniałości przygasły i nad statkiem zajaśniał Krzyż Południa.

- Dawno nie widziałem gwiazd - rzekł chory.

- Kiedy pana zabrałem z brzegu, chodził pan z głową opuszczoną nisko, rozgarniając zarośla, badając jakieś ślady na ziemi, niemal węsząc...

- Cóż to było? Rozgarniałem zarośla, powiada pan?

- Mówił pan o jakichś ogniskach, o bławatku...

- Nic nie pamiętam. I nie rozumiem, dlaczego miałbym w tutejszych puszczech szukać bławatka.

Przez chwilę milczeli. Plusnęła w wodzie jakaś duża ryba, zatrąbiło coś w gąszczu, może trąbka rybacza, może głos różowego ptaka wagaja.

- Właściwie... chciałem panu podziękować za opiekę w chorobie i pomoc, już od pierwszego słowa, ale rozmowa nasza jakoś inaczej się zaczęła...

Henryk sięgnął po fajkę, a przez głowę chorego przemknęła myśl, wniosek zbyt pośpiesznie wyciągnięty z powierzchownej obserwacji: to prosty, dobry człowiek, szuka fajki, gdy ja mu dziękuję, aby pokryć zakłopotanie.

- A teraz, czy wolno mnie z kolei stawiać pytania? - zapytał.

- Naturalnie, winien panu jestem wiele wyjaśnień.

- Co to za statek i dokąd płynie?

- Motorowiec „Performance”, czyli „Spełnienie”. Elektryczny. A płyniemy do Europy.

- Pan jest Europejczykiem?

- Tak, wracam do Polski. Choć nie jestem rdzennym Polakiem, tam jest moja ojczyzna. Ściślej mówiąc, tam leży miasto Lublin, w którym się urodziłem i które chcę przeobrazić przy pomocy... ale to chyba pana nie interesuje, po co tam wracam?

- Lublin? Nie, nie słyszałem.

- A oto reszta informacji: nazywam się Henryk Pan, byłem kiedyś żołnierzem, dziś jestem człowiekiem niezależnym, w niczyjej służbie. Co prawda, do żadnej służby już się nie nadaję, wyschło we mnie wszystko, wegetuję ożywiony jednym tylko: pragnieniem powrotu i spełnienia obietnic złożonych przed laty... Poza tym nie wiem, co dalej, nie widzę przyszłości...

- Uzupełniamy się wzajem. Ja nie mam przeszłości. Nie wiem o sobie, nic nie pamiętam - tu machinalnie dotknął dłonią głowy, ostrzyżonej przy samej skórze. Palce wyczuły zablizniającą się ranę i natychmiast cofnęły się. Chory patrzył tępym wzrokiem w jasną powierzchnię rzeki.

- Nie - szepnął - nie mogę panu podpowiedzieć swego imienia. Nic nie pamiętam...
Wyraz twarzy marynarza uległ przemianie, nabrał charakteru drwiącego.

- Juan - rzekł wówczas Henryk bardzo spokojnie, lecz w akcencie było coś takiego, że nieznajomy wzdrygnął się i splótł ręce, aż w palcach trzasnęło.

Gdy już wyciągnął się na leżaku, mrok pogłębił się, błyszczące wspaniałości

przygasty i nad statkiem zajaśniał Krzyż Południa.

- Dawno nie widziałem gwiazd – rzekł chory.

- Kiedy pana zabrałem z brzegu, chodził pan z głową opuszczoną nisko, rozgarniając zarośla, badając jakieś ślady na ziemi, niemal węsząc...

- Cóż to było? Rozgarniałem zarośla, powiada pan?

- Mówił pan o jakichś ogniskach, o bławatku...

- Nic nie pamiętam. I nie rozumiem, dlaczego miałbym w tutejszych puszczech szukać bławatka.

Przez chwilę milczeli. Plusnęła w wodzie jakaś duża ryba, zatrąbiło coś w gąszczu, może trąbka rybacza, może głos różowego ptaka wagaja.

- Właściwie... chciałem panu podziękować za opiekę w chorobie i pomoc, już od pierwszego słowa, ale rozmowa nasza jakoś inaczej się zaczęła...

Henryk sięgnął po fajkę, a przez głowę chorego przemknęła myśl, wniosek zbyt pośpiesznie wyciągnięty z powierzchownej obserwacji: to prosty, dobry człowiek, szuka fajki, gdy ja mu dziękuję, aby pokryć zakłopotanie.

- A teraz, czy wolno mnie z kolei stawiać pytania? – zapytał.

- Naturalnie, winien panu jestem wiele wyjaśnień.

- Co to za statek i dokąd płynie?

- Motorowiec „Performance”, czyli „Spełnienie”. Elektryczny. A płyniemy do Europy.

- Pan jest Europejczykiem?

- Tak, wracam do Polski. Choć nie jestem rdzennym Polakiem, tam jest moja ojczyzna. Ścisłej mówiąc, tam leży miasto Lublin, w którym się urodziłem i które chcę przeobrazić przy pomocy... ale to chyba pana nie interesuje, po co tam wracam?

- Lublin? Nie, nie słyszałem.

- A oto reszta informacji: nazywam się Henryk Pan, byłem kiedyś żołnierzem, dziś jestem człowiekiem niezależnym, w niczyjej służbie. Co prawda, do żadnej służby już się nie nadaję, wyschło we mnie wszystko, wegetuję ożywiony jednym tylko: pragnieniem powrotu i spełnienia obietnic złożonych przed laty... Poza tym nie wiem, co dalej, nie widzę przyszłości...

- Uzupełniamy się wzajem. Ja nie mam przeszłości. Nie wiem o sobie, nic nie pamiętam – tu machinalnie dotknął dłonią głowy, ostrzyżonej przy samej skórze. Palce wyczuły zablizniającą się ranę i natychmiast cofnęły się.

- Muszę pana jakoś nazwać – rzekł Henryk, poprawiając fajkę.

- Proszę. Mnie samemu cięży bezimiennosc.

- Ale wpierw mały eksperyment. Niech mi pan da odpowiedź na jedno pytanie, odpowiedź natychmiastową, bez namysłu. Dobrze?

- Nie wiem, czy potrafię. To zależy od pytania.

- Będzie bardzo łatwe, szkolne po prostu.

- Zgoda.

- Ile to jest sześć razy siedem?

- Sorok dwa.

- Domyślam się, że jest pan Rosjaninem, choć w gorączce plótł pan różne rzeczy i po angielsku, i po hiszpańsku. Ustaliliśmy więc, że jest pan Rosjaninem, wobec czego trzeba panu wybrać jakieś rosyjskie imię. Jakie panu dogadza: Sergiusz? Dymitr? Igor?

- Pierwsze lepsze, niech będzie Sergiusz?

- Juan! Przynieś whisky. Aha, o której godzinie masz służbę dzisiaj?

- Psia wachta, panie kapitanie.

- Postaraj się więc o whisky i coś do jedzenia. Potem nie będziesz mi potrzebny.
- Dobrze, panie kapitanie.

Powiał nocny wiatr, dosyć chłodny, zburzył wodę. Statek zaczął lekko kołysać się na kotwicy.

Kłęb dymu z fajki Henryka uniósł się w górę. Gęsty, masywny tak bardzo, że aż przesłonił kilka gwiazd. Potem fajka spoczęła w okuciu łuku.

- Wypijemy zdrowie pańskie, Sergiuszu.
- Coś jakby chrzciny...
- Właśnie.
- Panie kapitanie - to głos marynarza.

- Juan! Przyniosłeś whisky, możesz iść spać. Nie mam zamiaru wdawać się w rozmowę z tobą.

Sergiusz ledwo widział w ciemności postać marynarza, ale gotów by był przysiąc, że po słowach kapitana ten zuchwały wzruszył ramionami. Równocześnie uświadomił sobie, że on sam nigdy by się na to nie zdobył. Henryk mimo prostoty obejścia onieśmiał i trzeba było dużej odwagi, aby go tak lekceważyć. Gdy wypili, Sergiusz zaczął monolog:

- Wie pan, to bardzo dziwne uczucie, kiedy się jest bez przeszłości, a przyszłość jak zawsze, niewiadoma...

- Musi być w tym coś z boskości. Bez początku i bez końca. Przedwieczność.

- Otóż to, a poza tym bardzo jasno zarysowuje się granica między ja i nie - ja. Cały świat należy do kategorii „nie - ja” i tylko ja - do tej drugiej. Przez to samo już nabiera ona specjalnego znaczenia i dobrze pan określił rzecz, blisko mi do boskości. Chyba zresztą każde ja to coś w rodzaju małego boga...

- Jeszcze jedną szklaneczkę, za... świat bogów!

Wypili i Sergiusz ciągnął dalej:

- Widzę siebie jako bóstwo pogięzione, bo nieludzkie. Brak łączności z ludźmi, absolutna różnica jaka zjawia się w takim jak ja, pozaczasowym człowieku, tworzą ów akcent przegranej. Banitą jestem, bez winy ukaranym. Bo czy może być mowa o winie, gdy nie ma świadomości niczego?

- Rozumiem, do czego pan zmierza. Rana niszcząca pamięć była także i raną dla pańskiej duszy. Samotność, izolacja niedobrowolna...

- Mam do pana prośbę... Daj mi pan imię...

- Drobiazg, załatwiliśmy to, że tak powiem, czysto technicznie.

- ... dał mi pan imię, niech mi pan da i okrucuch ludzkości, braterstwo...

- Już nalewam szklanki. Wypijemy. Tym razem za braterstwo.

- Ale... czy to także będzie tylko formalność?

- Sergiuszu, wiele ode mnie żądasz. Skreśliłem swoją przyszłość dobrowolnie, a wiązanie się sentymentami choćby niewielkimi, lecz prawdziwymi, zniszczy tę nicość lat następnych, w którą uwierzyłem i którą skonstruowałem w imię własnej przeszłości.

Człowiek bez pamięci znowu splótł dłonie.

KOŚCIÓŁ NA ZAMKU W LUBLINIE (1925)

Kościół Świętej Trójcy jest budową kazimierzowską z drugiej połowy XIV wieku. Duża, kwadratowa nawa ze sklepieniem, dźwigany przez jeden potężny słup, nadmiernie wydłużone prezbiterium - cechy tak bardzo charakterystyczne dla polskiego gotyku z owej epoki.

Wnętrze dość ciemne. Przez wąskie i niewielkie okna skąpo świeci dzień. Wrażenie półmroku podsycają ściany polichromowane scenami ewangelicznymi i apokryficznymi od wysokości człowieka aż do żeber sklepionych.

Ostrołukowe przykrycie nawy, powiązane w przecięciach się żeber prymitywnymi zwornikami, jest ciemnym tłem, na którym sylwetkowo zarysowują się bizantyjskie, sześciokrzydłe głowy aniołów, gryfy i smoki.

Zebrane z całego sklepienia, subtelnie profilowane żebra zbiegają się pionowo ku ośmiokątnemu słupowi i giną, jakoby spływając w jego głąb. Każde jest drążone półokrągłymi i ostrymi liniami, każde malowane wielobarwnymi wstęgami. Te barwy, te świąteczne desenie byłyby na wpół martwe, rozwinięte na jakiejś płaszczyźnie! Tu zaś śpiewają po prostu, oplatając łuki i mieniąc się na nich w zagłębieniach, kanelurach i smugach. Na słupie i tych wytwornych, delikatnych łukach spoczywa cały ciężar sklepienia kościelnego. W prezbiterium inaczej. Żebra dźwigające wparte są w ściany boczne i umocnione na maleńkich, gotyckich konsolkach. I tu, i tam dół ścian zakrywają sztywno-fałdowane zasłony, malowane w tonach ciepłych, lecz ciemnych.

Kiedy się ze stopni ołtarza spojrzy w głąb kościoła, widzimy galerię chóru nawieszoną na ciężkich belkach pod masywną, prymitywnie zbudowaną basztą, w której kryją się kręcone schody. Wejść tam można przez niziutkie, ostrołukowe odrzwia, obwiedzione ciemnym, posępnym ornamentem. Zewnętrzna, pękata, ścianę tej dziwnej klatki schodowej zdobi fresk, na którym Jagiełło adoruje ciemnociałą bizantyjską Madonnę. Jest to malowidło odkryte przez malarza Józefa Smolińskiego, gdy jeszcze cały świat innych fresków niszczał powoli pod wapienną, powłoką.

Przez szereg lat pracowano gorliwie nad restauracją fresków. Mozolnie zarabiano kitem miejsca, w których powierzchnia malowideł rozbita była uderzeniami kilofów, a następnie, stworzywszy w ten sposób jedną płaszczyznę, nasycano fresk chemikaliami, które przywracały im żywość kolorytu, utraconą w ciągu wieków. Praca szła cał za calem, gruntownie, bez pośpiechu. Juliusz Makarewicz, Edward Trojanowski, Janusz Świeży, Stefan Matejko trudzili się przez cały niemal czas trwania wojny, a nawet dłużej, bo do roku 1923, starając się przywrócić dawną, świetną postać spłowiałym cudom.

Na sklepieniu nie wszystkie malowidła międzyżebrowe udało się odtworzyć, równie niektóre sceny na bocznych ścianach nawy musiały pozostać niekompletne. Za to prezbiterium jest odrestaurowane całkowicie. Tylko na lewej ścianie, gdzie wmurowana była kiedyś długa poprzeczna belka, pozostał pas nie zamalowany. Pas ten zakrywa zupełnie zniszczone przez owo wmurowanie głowy Chrystusa i łotrów z Ukrzyżowania.

Pod tęczą, również z lewej strony, widnieje napis uszkodzony tu i ówdzie, głoszący, że kościół ów malowano w 1415 r. pod kierownictwem mistrza Andriuszki. Mistrz ów był prawdopodobnie Rusinem, na co wskazuje jawnie wschodni charakter fresków. Nie są one zresztą pozbawione naleciałości z Zachodu, co się da wytłumaczyć

współpracą miejscowych jagiellońskich malarzy. Prócz tego cechy wspólne z tak zwanym nowogrodzkim zdają się potwierdzać to przypuszczenie o pochodzeniu mistrza.

Na ścianie przeciwległej grają kolorami najpiękniejsze freski kościoła: *Ostatnia Wieczerza* i *Chrystus karmiący lud chlebem i winem*. Na pierwszym, przy stole bliższym ołtarzu, spoczywają apostołowie. Stół jest okrągły, nakryty suto drapowanym obrusem.

W podobne draperie i fałdy układają się białe szaty apostołów i materie, którymi są okryte ławy. W głębi naiwne perspektywy architektoniczne - widok Jerozolimy pod niebem bardzo pogodnym. Od stołu wstał i odchodzi gnany spojrzaniem Judasz. Małeńki, brunatny diabeł siedzi mu na karku. Ten szczegół jest bardzo charakterystyczny, bo średniowieczna ikonografia kościelna rzadko kiedy zdobywa się na odwagę przedstawienia złego ducha.

Na fresku sąsiednim grupa stojących figur: Bóg Ojciec, dwupostaciowy Chrystus i ludzie przyjmujący komunię w chlebie i winie. Zbawiciel pochylony ku prawej stronie podaje kielich, zaś jego sobowtór na lewicy tamie chleb dla wiernych.

Poszczególne freski rozgraniczone są ciemnymi pasami. Rozczłonkowane w ten sposób powierzchnie ścian nie nużą monotonią. Urozmaicają je prócz tego cudnie ornamentowane wnęki okien, otwory kilkorga drzwi i u góry wzorzyste żebrza gotyckiego sklepienia.

Po bokach prezbiterium stoją zamiast bocznych dwa ciężkie bloki muru, mensy na ciosanych z gruba stopniach. Ta pustka ołtarzy, to przedziwne opuszczenie kościoła, do którego rzadko kto zagląda, wymowniej mówią niż słowa, że tłumów nigdy tu nie było i nie będzie.

Słyniemy przecież z tego, że nie wiemy, jakie skarby są w naszym posiadaniu.

LUBLIN - MIASTEM LEGEND (1930)

O początkach starego Lublina nie wiemy nic pewnego. Już dla kronikarzy dawnego wieku: Kadłubka, Długosza, Kromera są one czymś bardzo odległym, osnutym mgłą legend. Myliłby się jednak bardzo, kto by sądził, że legendy tego miasta kończą się w epoce ściśle historycznej, bynajmniej - jest ich bardzo wiele, przywiązane są do każdego niemal zabytku lubelskiego, do każdego prawie kościoła czy pałacu. Bowiem Lublin jest miastem legend.

Niska, zielona trawa porasta dziś to wzgórze, na którym ongi stał polską sztuką, murowany kościół św. Michała. Jeszcze dawniej, przed lat tysiącem, na tym samym wzgórzu było uroczysko słowiańskie, święty gaj dębowy z olbrzymim starym dębem pośrodku. W roku 1282 zatrzymały się tu wojska Leszka Czarnego znużone pochodem za cofającymi się Jaćwingami. Leszek usnął pod starym dębem, niepewny, czy ma do Krakowa wracać na roki królewskie, czy dalej wrogów ścigać. We śnie stanął przed nim archanioł Michał, zjawiony na ognistym koniu i dał królowi miecz.

Ocknąwszy się, Leszek uznał sen za wieszcz i rozumiejąc ów miecz jako symbol wojny, spiesznym pochodem dopadł obozu Jaćwieży i stoczył z nią straszliwą walkę, gromiąc dzicz tak, że nigdy się już z pogromu nie podniosła i od owego roku cicho o Jaćwingach w historii.

Zwycięski król wyciął gaje na wzgórzu lubelskim i z powalonych dębów wznosił kościół ku czci archanioła. W sto czy dwieście lat potem w tymże miejscu wymurowano piękny kościół gotycki z bardzo wysoką wieżą, dziwnie do Wieży Mariackiej w Krakowie podobną. Zabytek cały rozebrać musiano z nakazu władz rosyjskich w latach 1853-1858, ponieważ nachylenie wieży zagrażało rzekomo bezpieczeństwu okolicznych domów.

Podanie o wieszczym śnie Leszka Czarnego dotyczy wieku XIII. Legenda o założeniu lubelskiego kościoła i klasztoru ojców Bernardynów mówi o czasach znacznie późniejszych, o latach panowania Kazimierza Jagiellończyka. Kościół wzniesiono między 1464 a 1473 z cegły i z kamienia, ale już w roku 1460 istniało porozumienie między kapitułą zakonu w Opatowie a władzami miasta w sprawie założenia w Lublinie klasztoru. Fundusze i grunta dali rajca Jakub Kwanta, uczoney Mikołaj, syn Krzysztofa Lubelczyka i inni mieszczanie.

Legenda głosi, że jednej ciemnej i burzliwej nocy, gdy miasto całe nie spało, patrząc z trwogą na częste pioruny i błyskawice, pachotkowie miejscy, mający izbę na dole w ratuszu, usłyszeli turkot ciężkiego wozu. Mimo nawałnicy wyszli przed gmach zaciekawieni, kto w taką pogodę jeździ po świecie. Ujrzeni przed ratuszem wielki wóz, zaprzężony w woły, a przy wozie ani żywej duszy. Czekali, czekali, sądząc, że właściciel zaprzęgu odszedł gdzie i ma powrócić. Doczekali jednak do białego rana - nikt nie przychodził. Zbadano więc zawartość wozu. Okazało się, że jest na nim skrzynia z jednego pnia drzewnego zrobiona, ciężko okuta żelazem, pełna srebrna, złota i różnych kosztowności. Na skarbach leżał list do rajcy Jakuba Kwanty. Przywołano rajcę, który list odczytawszy oświadczył, że nieznany ofiarodawca skarb wszystkim przeznacza na budowę kościoła i klasztoru oo. Bernardynów.

Rzecz ciekawa, że na poparcie legendy w zakrystii klasztornej pokazują ową

skrzynię, rzeczywiście bardzo starą, ale jednak nie sięgającą, jak się zdaje, poza początki XVII w. Są pewne dane, że była ona ongiś skrzynią bractwa św. Iwona, które istniało w Lublinie przy tym kościele.

Niezwykle ciekawą, a mało na ogół znaną legendę słyszeć można wśród ludu żydowskiego Lublina.

Za czasów Zygmunta Augusta żył w Lublinie uczony w piśmie, Szot Wahl, człowiek wielkiej nauki i gołębiego serca. Zyskał sobie uznanie nie tylko swoich współwyznawców, ale i całego mieszczaństwa lubelskiego, a nawet sam, bawiący często w Lublinie, Zygmunt August, rad rozmawiał z Wahlem i prośby jego spełniał. Podobno to Wahl właśnie wyjednał u króla zezwolenie na budowę szkoły zwanej "jeszywot", z której niejeden potem rabin wyszedł.

Gdy pewnej nocy lipcowej w 1572 r. doszły wieści o śmierci ostatniego z Jagiellonów, motłoch miejski okrzyknął królem polskim starego Wahla. W triumfie poprowadzono go na zamek przy blasku pochodni, ale już o świcie dnia następnego wojska kasztelańskie usunęły stamtąd "króla jednej nocy".

Szot Wahl jest postacią rzeczywistą. Wybudował na Podzamczu wielką synagogę, która do dziś istnieje. Grób jego znajduje się na cmentarzu żydowskim, na górze zwanej "Grodzisko", wśród grobowców z XVI wieku, z których najstarszy sięga 1541 r.

Do najbardziej rozpowszechnionych legend lubelskich należy opowieść o sędziu diabelskim, w której znaleźć można co następuje:

Żyła w okolicach Lublina pewna uboga wdowa, a nieszczęściem jej życia był proces z wielkomożnym magnatem. Choć sprawa była jasna i każdy widział, że słuszność jest po stronie wdowy, Trybunał koronny wydał wyrok przychylny dla magnata, który potrafił sędziów pozyskać sobie złotem i błotem, prośbą i groźbą. Wdowa załamała ręce, usłyszawszy o swej krzywdzie, klękła przed Trybunałem i wyklinała w głos. W żalu i rozpaczce wyrzekła między innymi i te słowa: "O, gdyby mnie diabli sami sędzili, osądziłiby bardziej sprawiedliwie!"

I oto tejże nocy zajechały przed gmach sądowy tajemnicze karetki, pełne eleganckich panów w perukach, fraczkach, kartuszach. Gromadą całą, weszli do izby trybunalskiej, jeden objął urządowanie jako marszałek, inny jako prezydent, jeszcze inni wzięli rolę adwokatów, woźnych, pachotków. Zwleczono z posłania śpiącego o piętro niżej pisarza, któremu polecono "pióro dzierżyć". Ni żyw, ni martwy patrzył nieszczęśliwy pisarz na rogi i ogony sędziów, ale sprawę gorliwie spisywał. Na podstawie aktów diabli rozpatrywali sprawę ubogiej wdowy, aż po wysłuchaniu głosów pro i contra wydali naprawdę sprawiedliwy wyrok. Akta podpisywali, przykładając zamiast pieczęci płonące ogniem wiecznym łapy. Ślad jednej łapy pozostał na stole trybunalskim.

Legendę tę zanotowano w r. 1637. Obecnie jedynym świadkiem owej strasznej historii jest krucyfiks, słynny z tego, że Chrystus na nim ma twarz odwróconą od ludzi. Chrystus miał głowę odwrócić w czasie, gdy w Trybunale, gdzie ów krucyfiks na ścianie wisi, diabli okazali się bardziej sprawiedliwymi niż ludzie. Pamiątkę tę przechowuje się obecnie w katedrze lubelskiej w kaplicy św. Stanisława Kostki, z napisem: "Krzyż ten cudami słynący za dawnych czasów zostawał w Trybunale Lubelskim, w 1794 roku przeniesiony do kolegiaty św. Michała, 1832 roku w tejże kaplicy umieszczony. Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami".

Według aktów archiwalnych konsystorza lubelskiego Chrystus na tym krzyżu płakał krwawymi łzami, co liczni świadkowie stwierdzili w 1728 r.

W kościele św. Ducha znajduje się znów obraz Matki Boskiej, podobnym cudem

wstawiony i również po komisyjnym zbadaniu obrazu i świadków zapisany w starych dokumentach. Obok wielkiego ołtarza w kościele tym wiszą dwa wielkie obrazy przedstawiające to zdarzenie z 1642 roku. Na jednym "Jakub Jaczowski, Student, ucząc się tu w kościele tę pirwej wizią ze strachem widzi". Obraz przedstawia prócz tego kilka innych momentów tej sprawy. Na drugim przedstawiona jest "Inqvizicia", badająca winowajców.

MIASTO UMARŁYCH (1930)

Dla ludzi przywykłych do wielkomięjskich cmentarzy, pełnych sztywnego, urzędowego nastroju, lubelskie miasto umarłych dziwny ma urok. Nie ma tu murów z czarnej cegły ani okazałej, lakierowanej bramy. Za wejście służy furtka umieszczona między słupami murowanymi, z których każdy w inną pochyła się stronę. Ich niesymetryczne ustawienie, chropawa powierzchnia, niewymyślne urny u szczytu są przejawami samorodnego, swojskiego piękna.

"Oto teraz w prochu zasnę" i "A w dzień ostateczny wstanę z ziemi". Dalej, w schludnych alejach ocienionych starodrzewiem, w istnym morzu zieleni wznoszą się grobowce. U wejścia nie ma budowli żadnej, ani rusztowania, ale romantyczne wprost nadrzewie, między dwoma konarami zawieszony dzwon sygnalizuje zbliżanie się pogrzebów. Gdy cisza, gdy na cmentarzu pusto, ptaki obsiadają gałęzie dokoła dzwonu.

Aleje równe, szerokie, biegną w różne strony, zamykając prostokąty trawników zastawionych pomnikami. A pomniki tu przeważnie stare. Leżą pod strzaskanymi kolumnami, pod urnami żałobnymi, godni obywatele sławetnego miasta Lublina. Tu sędzia ziemski, tam kapitan byłych wojsk polskich, ówdzie napis na pomniku głosi: "kawaler wielu orderów". Przy wąskiej, bocznej drożynie okazały, stary pomnik, na którym czytamy nazwisko pułkownika Gnatowskiego i datę 1817. W innej monument patetycznym czterowierszem sławi generała brygady Eydziatowicza. Na skrzyżowaniu dwóch bocznic stary grobowiec z nieczytelnymi napisami przyciąga oko widza prymitywnie wykutą w kamieniu postacią, ustawioną niedbale na ziemi.

Początek cmentarza należy odnieść do epoki 1816, którą to datę nosi najstarszy z grobowców, zawierający prochy Tomasza Dederki. Istnieją tu co prawda głazy grobowe ludzi wcześniej zmarłych, są to jednak pomniki wystawione już po r. 1816, lub też przetransportowane z cmentarzy przykościelnych, które przetrwały początek wieku XIX. Że przenoszono szczątki śmiertelne z takich kasowanych cmentarzy, najlepiej świadczą mogiły zbiorowe, opatrzone napisami, z których wynika, że złożono tu kości z cmentarza parafii św. Michała, istniejącej ongi przy zburzonym w 1856 r. kościele.

Nowy cmentarz, powstały z przyłączenia kilkunastu morgów ziemi folwarku Rury, szybko przybiera charakter podobny, drzewa rosną, a coraz ich więcej, zieleń się krzewi dołem, tylko że drzewa młode - to słońca dużo. I tu leżą dobrze zasłużeni: pisarze i działacze, jak Klemens Juriosza-Szaniawski lub dr Gustaw Doliński, obok żołnierzy wielkiej wojny. Groby ocienione brzozą, kaliną, klonem są ostatnią przystanią bezimiennych biedaków i tych, co mają imię w narodzie.

Tu leży świetny znawca literatury polskiej, ks. Cezary Pęcherski, tu spoczywa jeden z pierwszych regionalistów lubelskich, malarz Konstancy Rayski, tu mogiła weteranów z 1863 r. zamknęła wielkie serce Henryka Wiercieńskiego.

Dokoła, za murem cmentarnym, rozciąga się kraina słońca. Sfalowane pola, przecięte wąwozami polnych dróg wspinają się na pagóry i spływają z nich szerokimi zagonami.

U swoich, pod swoim niebem - nie smutno.

SŁOWA O LUBLINIE - DAWNYM MIEŚCIE (1931)

O DUSZY STARYCH MIAST

Kroki błądzące w murach Wilna, Lublina czy Krakowa, wszystko jedno zima to, lato lub jesień złotolistna, powolne są jak zmiany pór roku. Bo czy podobna szybkimi stopami przemierzać wąziutkie chodniki zaułków, przy których dom patrzy domowi przeciwległemu z bliska w twarz, gdzie arki klamrami spinają mur z murem, gdzie szkarpa wysuwa się na chodnik pochyła, wysoka, niby noga olbrzyma w dostojnej pozie zastygłego.

Powolność, spokój, echo niepowrotności czasów sprawiają wspólnie, że po starym mieście chodzimy cicho, poważnie. A chodząc tak, przystając, na piętra, załomy, cienie, napisy patrząc, ani wiemy, kiedy i jak zaczyna do nas mówić dusza starych kątów. Słuchajmy.

MURY LUBELSKIE

Przy kościołach, cmentarzach, jakże wabią oko stare ogrodzenia murowane. To przy kościele ewangelickim, niziutkie, tu wyższe, tam niższe, nierówne jak szereg rekrutów, zamglone cieniem starych kasztanów, liczy sobie lat sto kilkadziesiąt.

A mury misjonarskie od ulicy tejże nazwy, również asymetryczne, tylko bardziej okazałe, zdobią niepozorną ulicę niebywale. Ci, którzy przechodzą obok cerkwi ulicą Ruską, mijają obojętnie jej ogrodzenie murowane i piękny w nim murowany występ, zdobiony geometrycznym fryzem. Któż pamięta, że ten występ, to dawna furta z czasów, gdy jeszcze ulica przebiegała o trzy łokcie niżej.

A dalej jeszcze, ku Kalinowszczyźnie, w odwiecznym murze kirkuta, ileż uroku. Linią kapryśnie łamaną jak ramię otacza on wzgórze ciężkie od wielkich drzew i masywnych głazów grobowych, które czas oddalił od pionu ku starości. Powierzchnia odwiecznych cegieł szara i chropawa, ukosy wsporników, romantyczne latarnie gazowe bez szyb i świateł, na wskroś przebijane przez wiatr - ileż mają uroku. Nie mijajmy ich obojętnie.

RZECZY, KTÓRYCH NIE MA

Odbudować w wyobraźni rzeczy, których już nie ma i dopełnić nimi obraz rzeczywistości - to piękne zadanie. Spróbujmy.

Gdzie ulica Rybna krzyżuje się z Grodzką, była ongiś arkada pod dwupiętrowym domem. Tamtędy, w cieniu łukowatego sklepienia wchodziło się na Rybną *alias* Menniczą. Bezmyślność czyjaś obdarła Lublin z tego pięknego motywu architektonicznego.

Znamy wszyscy zachwycające kościoły drewniane (Rabka, Sękowa), ale mało kto wie, że pod Lublinem, jeszcze w końcu XVIII wieku, na polach między Czechówką a Czwartkiem stała taka właśnie urocza drewniana budowla, jak to w piosence: "kościółek z descutek, a dzwonnica z tarcic"... Być może, że znajdował się on na

gruntach zwanych Lemszczyzna, w pobliżu samotnego pomnika "szwedzkiego".

Ongi plac pochyły za kościołem św. Ducha zajmowały szpital i cmentarz szpitalny, a dalej nieco, w nimbie grozy i złej sławy jarzyły się po nocach wąskie okienka domu, który zamieszkiwał mistrz, kat miejski.

A teraz?

DROBIAZGI

Garść piasku rzuć na wiatr - zagra kolorami. Piach rozsypie się, a każda jego drobinka inna, odmienną naznaczona barwą. Wspominki drobne o dawnych rzeczach niech rozpadną się sypką tęczą jak piasku garść. Więc:

... Znana kamienica Sobieskich w Rynku ma teraz tylko 2 piętra. Drugie dwa górne piętra rozebrano w czasach Królestwa Kongresowego.

... Wielka ilość starych budowli zmurowana jest z opoki lub z cegły zmieszanej z opoką. Łatwo to sprawdzić na walącym się domostwie obok wieży Grodzkiej.

...Sierpiński pisze w r. 1839: "nie słychać dzwonek zimowych jak w Warszawie i innych miastach stołecznych; dotąd bowiem ani jednej publicznej dorożki miasto nie posiada".

...Ulice przemianowano. Nie tak się za wieku starego nazywały: Dzisiejsza Bramowa - dawniej Przyrynek. Dzisiejsza Rybna - dawniej Mennicza, Lipowa zwała się Grabową, Namiestnikowska - ulicą Maryi Panny, Królewska - to Przedmieście Korce, Aleje Racławickie zwano ulicą Warszawską.

...Kompleks budynków wieńcem otaczający górę zamkową nie tylko był poza jurysdykcją miasta Lublina, ale nawet miał osobnego wójta, którego wójtem podzameckim (że to na Podzamczu) zwano. Ostatniego wójta mianował tam Stanisław August. A jeszcze przypomnieć warto, że Podzamcze i herb miało własny: łeb barani bez rogów, pod złotą koroną.

Ot, drobiazgi, drobiazgi.

DOLA ROŚNIE

Na Białorusi mówią: "ty śpisz, a dola twoja rośnie". Otóż tak. Dola rośnie, mijają lata. Kiedyś, w sto lat po nas, ze wzruszeniem będą nowi ludzie oglądali ślady naszego czasu. Historia Polski urośnie, nowymi faktami obciążona, dzieje Lublina wzrosną razem z nią. W zimowy wieczór, w subtelnym blasku neonowych lamp będą wówczas chodzili po Lublinie, jak dziś, młodzi entuzjaści. Zatrzymają się na ulicy: "To tędy Beliniacy wjeżdżali do miasta witani kwiatami, to w murach tej szkoły zrodził się strajk 1905 roku, to tu urzędował Rząd Republiki Ludowej, to tu Piłsudski, wielki Marszałek, przemawiał wśród sztandarów i tłumów".

I z pożółkłych gazet, z wystrzępionych dokumentów zbierać będą nowe drobiazgi, o ludziach i murach, o rzeczach, których już nie ma, o duszy starego miasta.

WSPOMNIENIE

1

Wiosną z ulic nieba wzbijają się słupy bladego światła. Na wilgotnych placach, w przezroczystym powietrzu trwa ta blada jasność, opływa kamienice, tramwaje, pomniki i wodotryski. A najblidsze są ranki przytulone do białawego nieba, smutne, ospałe, monotonne.

Paryż jest sobą dopiero w nocy, gdy płoną zielone i złote neonowe litery i fantazje: gdy czarny asfalt zdaje się rozwijać elastycznie jak sprężyna spod kół samochodów, a głośniki przed gmachami kin przepętniają powietrze muzyką.

Teraz jest ranek, jest półsmutne światło. I krzyki na rogach ulic: „L'Ami du Peuple”!, „L'Intransigent”! Chodniki połyskują srebrną wilgocią. Policjanci w pelerynkach mieszają się z tłumem, który płynie podwójnym nurtem: w prawo i w lewo.

Przez bladą jasność, szmer gromad i turkot pojazdów przebija się śmieszny głos trąbek tramwajowych, przypominający dziecinne piszczałki.

Nieskończony potok twarzy. Miliony odbić własnej postaci w zwierciadlanych witrynach magazynów. Chaos, nudnawe niebo i chłodne piekło Paryża. Piekło – to chyba podziemie? Tak. W podziemiach mkną setkami wagonetki metra, kolejki elektrycznej, natłoczone ciżbą największą. Wśród białych, oszklonych ścian widnieją głowy drżące od stuku kół, ręce trzymające się sztab, pasków rzemiennych i wieszaków, ręce z papierosami, ręce w rękawiczkach, ręce z gazetami francuskimi, angielskimi, włoskimi i polskimi. Twarz Murzyna lśniąca jak asfalt obok jasnowłosej midinetki, fez żołnierza kolonialnego przy zmiętym, bezkształtnym kapeluszu tragarza. Jadą do pracy, do biur, do fabryk, składów, sklepów i koszar. Jadą na dworce, za miasto, pod zamkniętą w kamienie Sekwaną lub gruntem obciążonym kościołami, a ciągle pod chłodnym piekłem złego miasta Paryża.

W tunelach tłą się czerwono żarówki, przechodzą sznurem reklamy Dubonnet, potęgując monotonię podróży. Zalane oślepiającym światłem przystanki drgają ruchem ludzkich mas, huczą zgrzytem wind i ruchomych schodów, zioną zmieszaną wonią ciżby ludzkiej i taniego mydła.

Mignęły stacje Les Halles, Palais d'Eau. Oto ludne przystanki przy dworcach kolejowych, oto przystanek Père Lachaise. Kolejka podziemna wypada na wiadukty nad ulicami. Pejzaż miejski z lotu ptaka: dachy, kominy, dymy, pruje kolejka ostro jak łódź motorowa falę. Wreszcie przystanek, wysoko na drugim piętrze żelaznej, masywnej konstrukcji. Rue Chevaleret.2

Przez chwilę stoję na tej wysokości ogłuszony ciszą. Przedmieścia nie słychać zupełnie. Łoskot pociągu zgasł w dalekim tunelu.

Przez kraty, przęsła, obłoki przewleka się światło łagodne, blade jak chora dziewczyna. W ulicy Chevaleret bezbarwna pogoda i smutek. Domki przeważnie jednopiętrowe, przy oknach żaluzje szare i zielone, tynk poobijany. Takiego przedmieścia nijakie słońce nie rozweseli. Cóż, że za domami ogródki, jeśli na nich leży dym, a drzewa zza płotów wysuwają się jak mogą. Tęsknią do ucieczki, choć nigdy nie będą zbiegami.

Zza kępy nieco większych drzew widać dzwonnice kościółka, który przypomina wioski słodkiej Francji. Podwójne oblicze zegara białe jest jak to słońce paryskiej

wczesnej wiosny.

Pusto.

Postukuje sabotami po bruku ślepy dziad żebrak, prowadzony przez małą dziewczynkę. I jeszcze – ogrodnik pcha dwukołowy wózek z jarzynami. I jeszcze – duży, szary kot przemyka się wzdłuż ścian. Oczy ma złote.

W głębi na narożniku przecznicy-zaułka stoi dom trzypiętrowy. Jest jeszcze bardziej szary i surowy niż otaczające go mniejsze budynki. Kilkadziesiąt okien zupełnie jednakowych, płaszczyzny muru koszarowe, nijakie. Na górnym gzymsie, w tympanonie, w pośrodku, symetrycznie, duży, prosty krzyż.

W tym domu pod krzyżem, w przytułku św. Kazimierza dokonał żywota tragiczny geniusz polski, Cyprian Kamil Norwid.

Stoję w ulicy zasypanej pustką i białawą, nieruchomą światłością. Patrzą, patrzą na dom bolesny. Gdzieś na piętrze miał Norwid izdebkę – a którą? już nawet nie wiadomo – i tam dogorywał na gorzkim łaskawym chlebie. Może modlił się przed Madonną Towiańskiego w kościółku św. Seweryna? Może w wędrówkach błdził na wybrzeża, na cmentarz Père-Lachaise, gdzie pod kamieniem grobowym dawno już uspokoił się Słowacki. Może siadywał w ogrodach Luwru, wśród młodzieńczych posągów i szmeru fontann.

Ale na pewno z okna swojego azylu widział Sekwanę łamiącą brzegi w zawiłych skrętach, na pewno monotonię jego dni w rytm ujmowały gwizdy lokomotyw. Bo po drugiej stronie ulicy Chevaleret za niskim murem rozłożyły się tereny kolejowe, składy, remizy. W dzień słychać tu miarowe uderzenia młotów, donośny głos żelaza, a nocą lokomotywy syczą w obłokach pary, koła dudnią na zwrotnicach.

Teraz jest tak samo i tak samo rozplywa się to w pustej i głuchej ulicy. Z bistro przez drzwi szklane przebrzękują akordeony. Na wieży kościółka bije godzina. Godziny, tygodnie, lata spalał się Norwid.

A potem? Skromny, nędzny grób w Montmorency, na cmentarzu biedaków. Poeta wielki, człowiek wielki, życiem zmęczony, spoczął wraz z dziesięcioma ubogimi. Głaz na wspólnej mogile przycisnął go ciężko. Na płycie wryto nazwiska, daty śmierci, krótkie objaśnienia. Przy jednym nazwisko: b. kapitan wojsk polskich, przy innym – inwalida. O nim nie pisano tak czy inaczej, litery głoszą: NORWID, a obok nich fałszywa data śmierci.

Wiem. W Montmorency rokrocznie, na wiosnę, odprawia się nabożeństwo za Polaków, śpiących tam snem wiecznym. Pokrocznie mówi się: Norwid. Spoglądające n ator kolejowy okna szarego przytułku mówią smutniej i więcej.

3

Nie mogę odejść od tych murów. Jeszcze godzina i godzina. Okna. Pustka. Głos lokomotyw, harmonia zgłuszona, dzwon. Okna. Któreż z nich?

Po dwunastej zagrzmiał tłum. Paryż wdarł się na przedmieście. Robotnicy, wracając na obiad, szli gwarnie, rażno, zwycięsko. Szli tłumem, jak na bulwarach, kołysali się, jak w metro. Gwar tutaj?

Odchodzę.

GWARA ULICY LUBELSKIEJ

(1932)

Niektórych dziennikarzy ceni się jedynie dlatego, że umieją władać językiem ulicy i języka tego używają w kronice, co publiczność bawi jako dowcip. Niektórzy poeci, szczególnie tzw. proletariacy, chętnie sięgają po te wyrażenia dla nadania rumieńców swoim "suterynom", "sutenerom" itp. utworom, z których marksizm kapie jak łój.

Istotnie, jest w języku ulicy pewien swoisty urok. Pierwszość określenia, świeżość, daje nowe cechy pojęciom, remontuje je gruntownie. Poza tym specyficzne warunki życia ulicy sprzyjają tworzeniu się nowych pojęć i modyfikowaniu już istniejących, co pociąga za sobą znowu wzbogacenie języka. Zasadniczą cechą języka ulicy jest jego elastyczność i żywotność. Zmiany, które w języku literackim dokonują się w przeciągu kilku dziesięcioleci, w tym wypadku zachodzą na przestrzeni kilku lat.

Przed 5, 6 laty mówiło się powszechnie na lubelskich przedmieściach "jugać" (kraść), teraz ma to samo pojęcie czasownik "jumać" i ostatni legion ulicy nie rozumie tamtego powiedzenia.

Lublin, którego obszar jest stosunkowo niewielki, wykazuje słabe różnice między gwarami poszczególnych przedmieść. Mniej więcej te same zwroty, które są w użyciu na Wieniawie, kursują i na Kalinowszczyźnie. Rozsadnikiem wyrażen i zwrotów używanych powszechnie wśród proletariatu ośrodków przemysłowych są przedmieścia Bronowice i Cukrownia, na których istnieje ożywiony ruch ludności w związku z ich przemysłowym charakterem.

Ostatnio język ulicy przedostał się na Krakowskie Przedmieście, na którym spędza dni całe gromadka chłopców pod dowództwem Olka z Chełma. Od członków tej gromadki "pętających" (żebrzących) uzyskałem większość materiału do niniejszego szkicu. Całokształt języka ulicy w Lublinie wraz z jego subtelnościami fleksyjnymi i stylistycznymi to zagadnienie zbyt obszerne na łamy "Trybuny". Ograniczmy się więc do słownika.

Wśród źródeł tego swoistego słownictwa jedno z pierwszych miejsc zajmuje gwara złodziejska, tzw. "blatna muzyka", co wynika z bliskości świata przestępczego, napiętnowanego wyrokami, ze światem ulicy, balansującym na krawędzi rzeczy zakazanych. Drogą psychologiczną, przez którą przenikają owe dawne i nowe wyrażenia z "blatnej muzyki", jest stosunek dzieci i młodzieży przedmieść do przestępców, którzy z jednej strony zohydzeni przez tzw. wychowanie, z drugiej są imponującymi, bo żywymi przykładami wyrośnięcia ponad otoczenie. Zabawy w policjantów i złodziei, tak popularne wśród dzieci wszystkich sfer, mogą być momentem osnowy językowej.

Słowa: ment - policjant, sztory - karty, sitwa dola - dzielić się, opchnąć - sprzedać, jardyga - starszyzna, fichować - blagować, wałówka - żywność, melina - mieszkanie, kosa - nóż, wreszcie powszechnie znane: wsypa, dolina, spluwa, poruta - wzięte są bezpośrednio z "blatnej muzyki".

Jedzenie jest ważną rzeczą dla ulicy, toteż istnieje duża ilość związanych z tym wyrażen, a nawet niektóre pojęcia określone są przez kilka równoległych terminów. Jeść to nie tylko wtrajać, ale i frygać, wpulać, ćkać. Kolba - kiełbasa, chleb - dynamit albo koks, wacha - woda są najwięcej używanymi w tej dziedzinie słowami.

Życie na ulicy, jako przeciwieństwo zorganizowanego życia szkolnego, ma dla swoich entuzjastów cenny dar: samodzielność. Na ulicy z gromadą towarzyszy, ze swoją "ferajną" nie jest się malcem, którego starsi raz po raz pouczają i strofują. Żyje się pełnią życia, ma się głos w swoim społeczeństwie, przeżywa się wzloty i upadki, jest się wodzem lub szeregowcem legionu, jest się sobą dla siebie, nie dla przyszłości, ku której droga daleka. Rozbrat ze szkołą podkreślają specjalne wyrażenia: wagary, labować. Człowiek samodzielny musi mieć pieniądze. Różne są sposoby ich zdobycia: pętanie czyli żebranina, chodzenie na kójło - kradzież węgla z wagonów kolejowych, sprzedawanie podręczników szkolnych w żydowskiej księgarni ("opchnąłeś knipy"?, "spuściłeś cyrkiel"), niekiedy są to rzeczy mające jeszcze mniej wspólnego z ogólnie przyjętą moralnością. "Forsa" to ważna rzecz. Złotówka nazywa się katniak lub katusz, 10 groszy - dyska, 5 groszy - pinder lub pindrak. Na Kośminku nie mówią "forsa" lecz "sarmaki".

W związku ze zdobyciem "sarmaku" idą przyjemności z posiadania pieniędzy, można "siepać" sztory (grać w karty), jarzyć dulce - palić papierosy, uderzyć w popijochę - pić wódkę, taranić się do kiniaka - iść do kina, kupić koki (gołębie) albo skawyrka (pieska), wreszcie zapałki, aby na łakach podmiejskich "garadyczyć" - palić ognisko. Przyjemności darmowe: bachać się - kąpać, cykać - grać w piłkę, pyrgać mondzie (inaczej "guzica") - grać w guziki, no i... wchodzenie do kina lub cyrku "na słońia" - za darmo.

O nieprzyjemnościach, wynikających z negatywnego stosunku do szkoły, moralności społeczeństwa dorosłych etc. świadczą terminy: tendo drzyj fraka, mento a manto, rajzować - określające ucieczkę oraz efektowne wyrażenia: kuca - boi się, nawalunek - niebezpieczeństwo, smalić - bić, knaga albo paragraf - kij, pyrgać się - rzucać, kopsy - bójka, karnal - kamień, podfanarzyć - podbić oko itp.

O ludziach można mówić rozmaicie: obojętnie, pogardliwie lub z odcieniem pochwały. Ten ostatni typ reprezentują określenia: szemrany, oblatany, morus, cwaniak, fetniak, swój. Pogardliwych jest znacznie więcej, np.: frajer, garbuła, zołza, łach, oprych, walet, pała itp. Obojętny charakter, mimo pozorów, mają wyrażenia: brejdak - brat, brejdaczka - siostra, fary - ojciec, faroka - matka, gorący krewny - bliski krewny i zimny krewny - daleki krewny, kinder - dziecko, kierdos - kierownik szkoły.

Że kiejda to kieszeń, zyrgać - patrzeć, lipko - oko, kimerka - czapka, skoki - buty, grabuła - ręka, a posy to duży - warto wiedzieć.

Życie ulicy odzwierciedla się w tym słowniku wyraźnie i niemal bez reszty. Oczywiście takie błahostki, jak np. przerzucanie charakteru semazjologicznego z rdzenia na rdzeń (wymiać - jeść, napulać - iść, odpulić - uderzyć), nie mącą snu twórców nowej gwary. Nie troszczą się oni zbyt nawet o rodzaje rzeczowników, a odmiana bywa nieraz zgoła fantastyczna, ale to właśnie jest siłą atrakcyjną tego żywego języka, to właśnie uderza świeżością poetów nie zdobywających się na własne składnie i fleksje oraz dziennikarzy z tej kategorii, która w braku talentu publicystycznego i defektów wykształcenia czepia się efektu gwary brukowej, posługując się nią, niestety, nie tak jak legion ulicy.

Z CYKLU „SŁODKA FRANCJA”

I. ROUEN – OKRUTNE MIASTO

W uliczkach okalających katedrę błdzić – to lubię. Wilgotny, kościelny chłód odchodzi od zakurzonych murów, owija twarze i ręce wszystkich, którzy przechodzą tędy. Jest jak w zapomnieniu, jest jak w zamuleniu.

Rouen! Rouen!

Powtarzając nazwę tego dziwnego miasta nie wywołam niczego ponad rzeczywistość. Zakląć nie ma. A patrzyłem na to: kościół opuszczony przez wiernych, mimo że bardziej od innych gorliwy w modlitwie, bo balustradami z gotyckich liter głoszący wielkość Tego, który jest strasznego majestatu Panem. I na przedmieściu stare domostwa z gliny, z belek szarych jak ta glina. Rozpadały się i marły nad gnijącą rzeczką, śmiertelne.

Czarna woda, zwana L'Eau de Robec, odbijała w sobie siwe głązy bulwarków, czerwień zwietrzałych dachówek, srebro stromych facjat łupkowych – a wszystko w jednym tonie barwy oksydowanego metalu.

Inna rzeka, Sekwana, płynęła w szerszych brzegach, ale także obmurowanych. Chodziły po niej wielkie statki, a gdy stawały w porcie, tęczowe plamy smarów pojawiały się na wodzie. Mały, oberwany chłopaczek pokazywał je palcem, wołając:

- Motyle, motyle!

Matka nie zwracała nań uwagi. Odrzuciwszy z lewej ręki chustę, zbierała dalej węgiel. Sporo go było między stosami skrzyń, beczek i koszów. Najwięcej zaś na torach kolejowych.

Patrzyłem na to. Patrzyłem też w jednej z ulic za opactwem na to, co we wspomnieniach swoich nazywam miejscem smutku prawdziwego. W progu starej jatki, dymiącej surowym oparem, stała kobieta w białej sukni. Niewidoma. Dłoń chudą położyła na głowie dużego, kudłatego psa, a ten, zamknąwszy oczy, stał pod ostrym słońcem nieruchomo. Nie otwierał oczu. Może umyślnie. Dobry, wielki pies.

A ja wzroku oderwać nie mogłem od tych obojga, od ich słonecznego konturu. Gdzie indziej znów tak: niska krata w zieleni. A na kręgu murawy, w pośrodku, pęk lilij. Czemuż odmienne od tych, które widuje się na świętych obrazach, w dłoniach dziewic i męczennic? Są duże i przez to bliskie człowieczeństwu. Pulsują wprost krwią białą i zieloną, pyszną się wspaniałymi głowami, wysuwają szmaragdowożłote żądła. Jaśnieją – dumą promienną; jeśli kształt ich w śpiewie dałby się wytłumaczyć, byłby to hymn natchnienia, jeżeli nie ulatują wzwyż, mieczowe i pancerne jak archanioły, to tylko dlatego, że ulgnęły w bursztynie południe i ulgnęły w świetle, i nie masz dla nich zmiłowania.

Rouen, Rouen!

Ostatnie spojrzenie znów na katedrę. Blask słońca z kontrastowym cieniem pospołu wydzierają brutalnie portal. Więc wychodzi z niebieskiej przestrzeni kamienne belkowanie, postacie królów jawią się w mocnych liniach rzeźby, zwisają nad placem kwiatony i pinakle. W bitwie blasku i mroku stoi oślepiająca, wspaniała świątynia. I jak wszystkie dzieła gotyku ma w sobie coś z fantastycznego snu drapieżcy. II. DESZCZ W CONCARNEAU

Nisko, nad lądem, chmury zwinięte w pięść. Dziewczyna białe wiadro zanurza w zatokę. Trzepece się falami horyzontu część, żagle zakryły drugą przed patrzącym

okiem.

Spoza skały wiśniowej wiatr prychnął jak zwierzę. Obtarłem o liść ręce. Burza! Czas mi odejść.

Gdy barka rozhuśtana gniotła w pianach wodę, płótna jej się wydeły dziewczęco i świeżo.

Niby bitwa daleka na budynku wiatr zagrał. Znikły kontury rzeczy. Zaszumiło z nagła: deszcz spadł niby kurtyna w eliptycznych fałdach.

III. Z MONT SAINT MICHEL

Miała sklepik z pamiątkami. Kupowano u niej te drobiazgi banalne i wzruszające zarazem. Na porcelanowych pieśkach, złożonych kubeczkach, na dzwonekch z mosiądzu oczy kupujących odpoznawały napis: pamiątka z Mont Saint Michel.

Deszcz mżył, wicher dął czy pogoda błyskała słońcem w porcelanie, mosiądzu i pozłotce, cudzoziemcy odliczali drobne sumy pieniędzy i wsuwali je w pomarszczoną dłoń staruszki.

Tak było. A dokoła pluskały fale morskie, ilekroć przyptyw rzucał masę wód na piach zatoki.

Ona jednak mieszkając w osiedlu na skalnym półwyspie, rzadko widywała morze. Sklep był w wąskiej, pnącej się pod górę uliczce, zaś okna izdebki, którą zajmowała wraz z synem, zasłaniało rosochate a gęste drzewo akacjowe. Uliczką cudzoziemscy turyści dążyli do zamku i opactwa. Przystawali, czytali napis na pieśkach i dzwonekch. Kupowali te pamiątki. Odliczali pieniądze.

O jednej porze roku było gwarniej, o innej – mniej.

Drzewo za oknem izdebki żyło podobnie. Wiosną pachniało jak kadzielnica słodyczy samej, jesienią gubiło liście, w zimie czarne, mokre, bezlistne szamotoła się z wichrami.

Syn staruszki, trzydziestoletni, szarooki, żył jak drzewo, jak świat. Jednakowo. Wychodził do pracy wcześniej, wracał zmęczony, padał ciężko na łóżko, spał. Tak mijały dni powszednie.

W niedzielę brał matkę pod rękę i odświętnie ubrani szli do kościoła Świętego Auberta, by wysłuchać mszy. Nie wiedzieli, że łacina starego księdza ma włoski akcent. Modlili się w gromadzie sąsiadów, potem rozmawiali z nimi czas jakiś na cmentarzyku. Po południu matka otwierała sklep, a on w mrocznej izdebce grał na skrzypcach. Nieudolna to była muzyka. Niby wesoła, niby skoczna. Grał tak do zmierzchu.

Gdy już przyptyw grzmiał o mury i bastiony, wychodził, a matka z troską patrzyła odchodzącemu w szare oczy.

Błądził po murach i rampartach, zaglądając z ich wysokości w oświetlone okna mieszkań. Widział posiłki wieczorne, kłótnie i gniewy, śmiechy i pocałunki. Wracając do domu myślał, że wraca do matki, skrzypiec, izdebki, w której się urodził. Chodził tam tani, a głośny zegar, pachniała morzem sieć na ryby.

Ale jej – jej wysmukłej, złotowłosej, która porzuciła go, która z bogatym, cudzoziemskim kochankiem wyjechała do dalekiego Paryża – jej nie było.

Nazajutrz, w dzień powszedni, brakło czasu na żal. O świcie wychodził do pracy. Matka również wcześniej otwierała swój sklepik z pamiątkami, bo turyści przybywali o różnych porach dnia. A przecież trzeba było sprzedawać porcelanowe pieśki, złożone kubeczki, mosiężne dzwonki.

IV. PONTORSON

Ósmą godzinę znaczy zegara terkot. Dzieci w sabotach śmieją się. Biegną do szkoły. Odprowadza je sad brzoskwiniowy, pachnący cierpko. Jest tu i ranek jasny jak lusterko, wesoły.

To on z siekierą z bursztynu podcina drzewa nocy, że walą się ciemnymi koronami na zachód. W uliczce kościół ma srebrne oczy. Domy na kolanach modlą się bez strachu.

Pole w ciepłych okrzykach, bo tam żółty łubin swoim mocnym kolorem się upił, a jeszcze słońce połyka, ramieniem pijanym otacza najmniejszą zabawkę swą: miasteczko płaskie jak taca, stare jak zgrzyt zegara - Pontorson...

DAWNA CHWILA

(1936)

Złote było lato tamtego roku. Pogoda płynęła po jasnym niebie, nad sadami, dachami, nad strzelistością baszt, wieżyczek i sygnaturek. Jeśli i szły deszcze, to lekkie, równoczesne ze słonecznym blaskiem, jak to bywa w maju. A przecież miały upalne dni sierpniowe.

Widywało się na ulicach szare mundury legionistów, a czasem beliniackie czako. Krążyła plotka, że żal, że bardzo żal, bo "tamci" wrócą.

Ale to były sprawy lekko, jak cicha fala obijające się o słoneczne, choć na wpół głodne, życie trzynastolatka z czarną grzywą nad czołem.

W te dni wojenne, dni wielkie, czytałem *Wyspę skarbów* i nawet uroki iluzjonu nie mogły zgłuszyć we mnie barw tej pięknej książki. Starszy brat już odszedł w pole jako legionista Pierwszej Brygady. Byłem sam. Więc rozpałałem wyobraźnię samotniczą dziejami wyspy skarbów: czekałem na coś nieokreślonego. Samotność, czy może ciężar złotego upału, stojącego jak słup nad miastem, sprawiły, iż chwile nużyły, były nie do zniesienia. Musiało się coś stać.

Pewnego dnia - w białych płomieniach południa - biegłem ku kościołowi Panien Brygidek. Dobrze jest biec lekkiemu chłopcu z upału w cień, z płomieni w cień - na przemian - pod drzewa i na słońce. Tylko w biegu przewiew ciepłego powietrza kładzie dobrą dłoń na oczy. Oto i cień kościoła. Pod murem wieży dwa dzwony. Większy i mniejszy. Jeden stoi na płytach chodnika, drugi wsparto o mur i ukazuje w przechyleniu bezwładne serce.

Oba są pokryte inskrypcjami. Zdobniki, medaliony, figury opasują szczerze te dzieła dawnej sztuki ludwisarskiej. Dzwony. Ciemny połysk metalu wywołuje echo wyspy skarbów. Tak to w płóciennej grocie leżały zapewne bogactwa piratów. Może i dzwony złote albo srebrne. Może i dzwony.

Słońce jest nad kościołem. I gołąb leci. I rozpalony do białości obłok. I cicho.

Ale z wolna w ulicę zalaną żarem spiekoty wsączać się zaczyna odgłos. Idzie z dalekości. Jakby kropla po kropli padał z głębokiej studni.

Odwróciwszy się od dzwonów ujrzałem dorożkę. Kopyta konia smutnego i bardzo chudego ledwie uderzały w bruk. Brodaty dorożkarz trząsał się na koźle sennie. Bezlitosny blask słoneczny właczał swe złote palce - jak niewierny Tomasz - we wszystkie dziury wehikułu. Ubóstwo wyglądało na świat pękami morszczyzny czy siana, wydobywającymi się spod siedzenia. Zaniedbanie objawiało się w spękanej farbie na blaszanych błotnikach dorożki. A także i w melancholii konia.

Zza zgarbionych pleców dorożkarza - dym. Pasażer palił papierosa. Dym to strużka sinawa, ginąca bez śladu w białym upale południa. Strużka wychodziła spod ciemnych wąsów, sączyła się - o dziwo - wzwyż, ponad krzaczaste brwi, zwiwnym floresem omijała orzełka na maciejówce i wtedy dopiero rozwiewała się nagle, bezpowrotnie.

Pasażer był w szarym mundurze legionowym, w sztylpach, jak wielu oficerów wielkiej wojny. Lecz choćby był w najlichszym odzieniu człowieka z tłumu - poznałbym go.

Nieraz z bratem oglądałem ukrytą w okładce łacińskiego słownika podobiznę Brygadiera.

Patrzyłem, oparty dłonią o chłodny dzwon. Musiało się coś stać? Musiało. Stało się

tak niewiele: dorożka brudna i obdarta wiozła ulicą kogoś, kto palił papierosa. Ale patrzyłem długo i uważnie, aby zapamiętać to pierwsze spotkanie. Z wyspy skarbów, z cienia kościoła, z niepamięci chłopięctwa chciałem utrwalić w sobie to - historię.

Dorożka minęła kościół. Przejechała. Kopyta konia smutnego i chudego spadały niby rzadkie krople deszczu.

I słońce trwało w górze, nad rozpalonym do białości obłokiem.

KOŚCIÓŁ NIEWIDZIALNY (1936)

W starej dzielnicy Lublina jest takie zielone miejsce, które wiekowi mieszkańcy grodu nazywali zawsze Farą. Leży ono między ulicami: Grodzką i Archidiakońską. Z jednej strony ten płat zieleni otaczającej niewysoki kamienny krzyż przytyka do kamienicy, w której ongiś mieszkał Kraszewski, gdy był uczniem, z drugiej - do narożnego domu, gdzie przyszedł na świat Wincenty Pol. Od wschodu, z obrywu wielometrowego wzgórza roztacza się piękny widok na Zamek lubelski, podzamcze i pierścienie łąk.

Przed niedawnym czasem rozkopano wzgórze zwane Farą. Miejscowy konserwator zabytków, p. dr Dutkiewicz, chciał dotrzeć do fundamentów kościoła św. Michała, do resztek owej świątyni farnej, wystawionej ponoć jeszcze przez Leszka Czarnego. Po wielu pracach wstępnych w półtorametrowym wykopie ukazały się głązy posadzek kościelnych, potrzaskane progi kaplic, szczątki murów odwiecznej budowli, tworząc jak gdyby plan Fary w naturalnej wielkości. Okazało się, że wielu progów z ciosanego kamienia, a i marmurowych, brakuje, oraz że w niektórych kamiennych domach rynku lubelskiego użyto ich przed laty na sporządzenie schodków, wiodących do groszowych sklepików, a czasem kawał marmuru leżał wprost w dziedzińcu któregoś z tych domów, służąc na oparcie dla miotły dozorczy...

Wszystkie wróciły na miejsce.

Teraz, kto przyjdzie na owo zielone i wysoko pod jesienne niebo wyniesione trawniki, ujrzeć może wzruszający zarys kościoła, którego nie ma. Jeśli umie wyobraźnią widzieć - z powietrza wyprowadzi sobie na tych fundamentach mury nawy i wieży, i wieńca kaplic.

Niezwykła to była budowla ów kościół farny świętomichalski! Nawę miał bardzo krótką a szeroką i wysoką tak, że w ścianie wejściowej dwa chóry, jeden nad drugim mieściła. Za nawą główną, tak dziwnie ukształtowaną, znajdowało się prezbiterium dosyć duże. I nawę, i miejsce kapłańskie otaczały w krąg kaplice duże i małe, stare i nowe, przylepiane do wielkiego kościoła w różnych czasach. Na przodzie wznosiła się dzwonnica, umieszczona hełmem, przypominającym koronę wyższej Wieży Mariackiej w Krakowie.

Tę dzwonnice królującą na pagórze widać w promieniu trzydziestu kilometrów od miasta!

Była jeszcze przed wieżą kruchta, jak się zdaje o kilka wieków młodsza od samego kościoła. Były też i stare topole, ocieniające fronton świątyni, zwrócony ku ulicy Grodzkiej. Posadzki zdobił gęsty szyk nagrobnych płyt z herbami i znakami rodowymi tutejszego patrycjatu. Ściany, o czym świadczą ułamki muru, kryła barwami barokowa polichromia.

Dlaczegoż to został jeno niewidzialny kościół? Gdzież się podział tamten, z cegieł, granitu i marmuru?

Oto zarys dziejów Fary. Jak się już rzekło, erygowano świątynię z rozkazu Leszka Czarnego. Miało to być darem władzy dla archistratega wojsk niebieskich, Michała, za zwycięstwo nad Jadźwingami. Nie wiadomo jednak, czy już wtedy był to kościół murowany, czy też drewniany. Tak czy inaczej fundamenty i posadzki, które zostały, nie są chyba śladem pierwotnego, Leszkowego kościoła, bo świątynię tę wielokrotnie niszczył pożar, prawdziwa plaga dawnego Lublina. Przy tym najczęściej ogień palił

dumną strażnicę Fary, jej dzwonnice.

Wieki istnienia probostwa lubelskiego udarowały kościół wieloma instytucjami związanymi z nim bardzo silnie. Wiadomo, że istniała tu szkoła, muzyczny zespół kościelny, chór, bractwa itp. Były one zespolone z Farą jak owe kaplice stare i nowe, kryte kopułami szklanymi i gontem, i dachówką karpową, co rozsiadły się wokół świątyni.

W połowie ubiegłego wieku, gdy mur z wieży kawałami odpadać począł, a strzała jej pochyliła się w stronę kamienic ulicy Grodzkiej, rozebrano odwieczną budowlę, przy czym majstrowie musieli rozsadzać prochem ściany nawy głównej i prezbiterium, bo niepodobna było ich zwalić przy pomocy narzędzi, tak były mocne. Świadectwem starożytności kościoła pozostała chrzcielnica z XIII wieku, obecnie zdobiąca katedrę lubelską, ulana z brązu w kształcie olbrzymiego kielicha, obwiedzionego staroniemieckim napisem.

Nie ma już i topól, nie ma dzwonów archaniołowi poświęconych. Na zielonym skwerze nocą gwiazdy przeświecają przez gotyckie żebra kościoła z powietrza.

O MIEŚCIE RODZINNYM LUBLINIE (1938)

Jak łatwo jest uchwycić chwilę bieżącą i określić jasno jakąś cechę miasta, które jest! Jak trudno zmieścić w jednym ujęciu zmienność zależną od epoki i obszaru!

Wychowałem się w Lublinie i pamiętam to miasto z tych czasów, gdy baniasta cerkiew soborna gnioła ciężarem swoim podziemne gruzы klasztoru Bonifratrów na Litewskim Placu. Dzieciństwo moje minęło wśród ulic, których rynsztoki były rzekami ognia w dniach imienin cesarza Wszechrosji lub cesarzewicza. Tysiące kaganków ustawiano wówczas w suchych ściekach, tysiące kolorowych latarek zawieszano u domów, a o bruki Krakowskiego Przedmieścia klaskały podkowy czerkieskich sotni. Pamiętam też Lublin późniejszy, w chmurach i dymie, w wybuchach niszczących tory kolejowe i mosty, miasto wyzwalające się, miasto 1915 roku.

Koło południa matka moja modliła się, siostra szyła coś na maszynie, brat leżał w łóżku, niezdrowy jakiś, zgorączkowany. Wybiegłem na ulicę i trafiłem wprost na tę chwilę, gdy pierwsza czwórka Beliniaków z karabinkami gotowymi do strzału wjeżdżała do Lublina. Pędem zawróciłem do domu, trzasnąłem drzwiami i krzyknąłem: Polacy!

A potem wraz z tłumami, które wyległy na ulicę płacząc i śpiewając, znaleźliśmy się wszyscy pod bastionami Krakowskiej Bramy, gdzie trębacz beliniacki odegrał *Boże coś Polskę...*

Miasto dzieciństwa miało tyle omszałych płotów, tu gdzie teraz piętrzą się wysokie kamienice! Miasto dzieciństwa miało w mokrych, wiosennych liściach skoczne muzyki z tzw. "ogródków-kawiarń". Bary z wyszynkiem piwa i wódki popularnie nazywano wtedy bawariami; tereny, na których dziś wznoszą się młode dzielnice, obok garnizonowego kościoła i Szkoły Budowlanej, za Saskim Ogrodem, były dla nas, kilkunastoletnich, ulubionym miejscem wagarów. Skowronki tam śpiewały, tarnina kwitła po dołach... Czyż najmiłsza nawet szkoła mogła się z tym równać w kwietniu i maju? Rzeka Bystrzyca wiła się wśród łąk zarosłych mokrą a bujną trawą. Tkwiły one w pierścieniu zabudowań miasta i przedmieść, dzikie, bagniste, zachwycające jak kraina z Mayne Reide'a, jeszcze nie odwodnione rowami, nie rozcięte nasypem alej.

Tego "mojego" obrazu Lublina - nie zapomnę.

Ani procesyj Bożego Ciała, ani widoku z Wieży Trynitarzkiej, gdy pomagaliśmy dzwonić na Zmartwychwstanie w dzwony, które nazywały się: Jan, Zygmunt, Rafał i Szarpacz. Nie zapomnę i wędrówek z ojcem po drogach podmiejskich, ani sanek z janczarami, związanych dla mnie na zawsze z jedną Pasterką, dawno minioną, dawno rozchwianą w obłoku przeszłości.

Taki był mój Lublin. Inny nieco wygląda z dawnych druków. Oto co pisze o swoich do tego miasta sentymentach powstaniec z r. 1863, Stefan Brykczyński:

"Kochany Lublinie! Kto spędził zaranie młodości w twoich starożytnych murach, ten cię do śmierci pamiętać będzie.

I teraz żywo stoi mi w pamięci twoja starożytna Krakowska Brama, z której w czasie pożaru rozlegały się groźne dźwięki dzwonu na trwozę, co się nazywało spuszczeniem zegara, i o godzinie 9 wieczór, wśród opustoszałego już i na wpół

uśpionego miasta, brzmiały przeciągłe dźwięki trąby, dającej znak gaszenia ogni:

Już dziewiąta na zegarze,
gaście ognie, gospodarze!...

I starodawna katedra z historyczną zakrystią, zamek, kościół dominikański z tajemniczymi lochami, i odwieczne kamienice w Rynku z tak grubymi murami, że okna i drzwi prawie pokoiki stanowiły. A były to ulubione miejsca dla poufnych pogawędek i pierwszych zwierzeń narzeczonych, tak iż «być z kimś w okienku» - używane było jako techniczne określenie wzajemnego uczucia młodych par.

Na wiosnę z góry spoglądało się na wezbraną Bystrzycę, przepływającą szerokie pasmo łąki, a w maju odbywały się spacery na Dziesiątą, śliczny lasek zaraz za Bystrzycą leżący lub na sąsiedni Sławinek z kąpielami mineralnymi.

W cieplejsze dni majowe wyrajali się dawni żołnierze napoleońscy z medalami św. Heleny, Legią Honorową lub krzyżem *Virtuti Militari* na piersiach. Zasiadali koło siebie na ławkach obok pomnika Unii Litwy z Polską i gwarzyli z cicha, przyjaźnie się uśmiechając, gdy my, licealiści, przechodząc koło nich, stawaliśmy frontem salutując..."

Niby domy te same, ten sam zamek, katedra, a wszystko to w mgiełce lat sześćdziesiątych ma zupełnie inny nastrój, inny charakter, staroświecki.

"W widoku Lublina - pisze Antoni Wieniarski w swym szkicu o tym mieście (*Księga świata*, 1855) - z którejkolwiek bądź strony zechcemy mu się przypatrzeć, jest coś majestatycznego, zachwycającego powagą, a nie przerażającego zgrzybiałością, obudzającego poszanowanie, a przyjemnego gustem i różnorodnością obrazów. Cóż dopiero, jeśli zechcemy jeszcze przypatrzeć się mu z folwarku Tatar albo z Dziesiątej? Olśniony wzrok nie będzie wiedział, gdzie odpocząć i co prędzej schwycić i w czym więcej zasmakować. Dziwić się należy, że który z malarzów nie przeniósł na płótno tych widoków; miałyby szerokie pole do popisania się talentem, a miło by było powitać ulubione rysy starego grodu..."

Wieniarski nie umiał nic ciekawego powiedzieć, dał tylko wyraz własnemu umiłowaniu grodu, nie przemawiając do wyobraźni czytelnika.

Za to w korespondencji Kraszewskiego, który tu, w Lublinie, nauki pobierał, będąc, jak pisze: "dzieckiem płochym i marnotrawnym", niejedno znajdziemy, co nas zbliży do lat 20-tych XX stulecia: "...calutki prawie Lublin nosi kapelusze słomkowe a la bergère, roboty jednego w kajdanach, bardzo ładne i bardzo tanie... A co to będzie z tym, że babunia sama mi przyznawała potrzebę kapelusza, którego nie mam i podobno obejść się muszę, pomimo nawet furażerki mocno podartej..."

"P. S. Ale przypomniałem sobie: co tu wiśni w Lublinie!..."

Miasto rodzinne, któreś widziało carów Szujskich w kajdanach i lwy przysłane na sejm unijny przez księcia Lignicy i klęczącego przed królem polskim Albrechta Fryderyka pruskiego i tumulty przeciwności! - przed wiekami! - zagony Jaćwieży dzikiej...

Miasto sadów wiśniowych, bram obronnych i Acerna Klonowicza!

A w topograficznym opisie dzisiejszym mówi się sucho i prosto: długość geograficzna od Greenwich na wschód 22°34'13', szerokość na północ od równika

51° 14'53".

Od młodości pierwszej jak odmierzyć oddalenie.

NOTATKI PAMIĘTNIKOWE 1920 ROKU

8/VIII w Lublinie. Zapisuję się do wojska jako ochotnik w biurze werbunku ochotniczego przy ul. Krakowskie Przedmieście 39.

Potem udaję się do koszar. Barak nr 61 przy ulicy prowadzącej do Kraśnika.

9/VIII. Ranek w koszarach. Napychamy sienniki. Poznaję najbliższe otoczenie: Kapral Stachurski, Czerwonka, Siesicki, Romaniuk, sierżant Kowalski, Cieślak, Ficek, Gnyp.

9 VIII/29/VIII. Ćwiczenia. Porucznik Sarnowicz, porucznik Wójcik, Chorąży. Plutonowy Megger

29/VIII Wymarsz z Lublina. Ładują nas na pociąg. Otwarte platformy wloką się straszliwie, stoją godzinami na małych stacyjkach. Podróż trwa do 1/IX. Por. Mamczur i podpor. Strutyński. Rany w nogach.

1/IX. Postój nocny w Krasnym stawie, w dworku mieszczańskim z gankiem. Śpię na podłodze. Słomy nie ma. Rano wyruszamy w stronę Zamościa.

2/IX. Marsz w deszczu. Nocuję na wozie, skrzynie uwierają mnie kantami.

4/IX. Noc pod dachem. Nocleg w Wólce Kraśniczyńskiej, w chacie na słomie. Dostałem żołąd półpolowy. Doszły wieści o pogromie 4 i 24 pułku piech. przez Budionnego. Jem śliwki. Nachodzą mnie refleksje, że z taką kompanią jak nasza niewiele da się zrobić na froncie. Do rozpaczki mnie doprowadza, że inspekcyjny upuścił mój list w błoto: adres może się zamazać i list nie dojdzie do Matki.

5/IX. Wyruszamy dalej. Deszcz i glina. Nocleg przy cerkiewce.

6 /IX. Grabowiec zdobyty. Nocleg w Grabowcu, w zrujnowanej plebanii, gdzie kupy śmieci w pokojach oraz poplątane druty telefoniczne, a mebli nie ma.

7/IX Wieczorem wkraczamy do Zamościa. Rany na nogach.

8/IX. Przy ogarku czytam *Zaratustrę*. Na strychu koszar znajduję zepsutego Hotchiessa oraz piękną ikonę. Objadam się marmoladą amerykańską. Chodzą wieści, że pułki ponad liczbę 200 mają być zniesione. Więc nasz 208 ten los także czeka.

12/IX. Już jesteśmy przydzieleni do 4 p.p. Leg. który się tu w Zamościu uzupełnia. Jestem w 9 komp. Nowy szef komp. sierż. Michoński Józef. Projekty wydrukowania opowiadania w „Żołnierzu Polskim”. 14/IX. Byłem w mieście. Kupiłem sobie zeszyt mały, wąski, jak do słówek francuskich i notuje w nim uwagi oraz koncepcje do pisanía.

15/IX. Od kilku dni noszę się z projektem napisania dramatu o ks. Henryku Pobożnym, który bije się za nic. I ginie za nic pod Lignicą, bez wiary w zwycięstwo. Naturalnie wiąże się to z moim odczuciem obecnej wojny. Nie wieżę w zwycięstwo,

ale uważam, że należało pójść na wojnę, jak szli powstańcy 1863 roku, przed którymi również nie było zwycięstwa. Ale trzeba:

W zeszyciku moim dawnym, dzieciennym pismem zapisane: „Henryk żyje bardzo związany z matką swoją, Jadwigą. Zbliża się ku Śląskowi groza tatarska. Henryk wyjedzie w pole, lecz wie, że nie zwycięży, i to jest jego smutek. W izdebce Salomei, dwórki, zjawia się archanioł Gabriel i zwiastuje jej, że tej nocy po cichu będzie na świecie naszym Pan Jezus. O północy przed bitwą strażę wprowadzają ubogiego. To On. Zasiada do późnego posiłku z księciem i jego matką. Salomea i Jadwiga obmywają Mu nogi.

- Wprowadzę cię w raj męki – mówi Pan Jezus do księcia.

O świecie wyrusza rycerstwo z zamku (*vide* obraz Matejki”).

Na tym kończy się sprecyzowana część pomysłu.

17/IX Rozdano nam „żelazne porcje”, więc wymarsz bliski. Uzupelnia się wyposażenie techniczne kompanii, jest nawet wyznaczony podoficer gazowy, tylko masek nie ma. Poza sprawami żołnierskimi interesuje mnie biblioteczka kompanijna czwartaków. Zbłądziła nawet do niej jakaś niemiecka książka z licznymi a ładnymi reprodukcjami.

20/ IX. W południe załadowano nas do wagonów towarowych. Jedziemy na front litewsko białoruski. Znow długie postoje na stacyjkach, zatarasowanych sznurami transportów. Opary, wilgotne okolice, paszcze dział zakryte brezentem.

21/IX. Brześć.

22/IX. Białystok. Wyładujemy się z pociągu w Waliłach. Marsz do Gródka, potem [przez] Krynki, Roś, Piaski, Mosty, Różankę, Załudek, Bielicę do Niesiłowic, naturalnie nie w ciągu jednego dnia. Marsze, potyczki, bitwy etc. obejmują okres na tym terenie od 22/IX do 7/X roku.

8/X. Zostaję skierowany do kadry celem zwolnienia. Wędruję z czterema kolegami pieszo i podwodami do Mostów z powrotem. W Mostach koło godz. 16 łapiemy już ruszający ze stacji transport. Jedziemy do Kielc.

9/X. W Warszawie po raz pierwszy.

10 i 11/X. Dni w Kielcach, potem długa i zawiła podróż.

14/X. W Lublinie na stacji zbornej, skąd zwolniono mnie 17/X 1920 roku.

18/X. Powrót do Seminarium, na ławę szkolną.

PRZYPOMNIENIE TAMTYCH DNI

(Z notatnika studenta-ochotnika)

27 września – Dziś cały wieczór padał deszcz drobny i dokuczliwy. Plecaki i mundury nasiąkły wilgocią, a osuszyć się nie było gdzie. Postój na ugorze obok szosy. Zwinąłem się w kłębek na wózku karabinu maszynowego i taj zasnąłem.

28 września. – Rano, we mgle świtu, głos ostry, jak strzał: ruszać! ruszać! Zerwałem się z mego „łóża”. Nie wiem, co mi się śniło, ale pamiętam, że ile razy czujny sen przerywały mi jakieś szmery, widziałem nocne niebo i krzyże cmentarza na wzgórzu, a na twarzy czułem deszcz i mgłę. Ruszyliśmy bez śniadania. Marsz. Marsz. Marsz. Przez cały dzień nic się nie zdarzyło. Spotkaliśmy tylko artylerię n-tej dywizji. Obiad: krupnik z wonią kawy (bo w nie mytym kotle), zjedliśmy dopiero o 3 po południu. Deszcz pada.

29 września. – Cały dzień marsz, marsz, marsz. Zmęczenia nie czuję, chodzę jak mechanizm. Nasza czwórka kołysze się podobnie jak czwórki przed nami i za nami, i to pomaga iść. Drogi rozmokły. Gliniasta Hrubieszowszczyzna daje się nam we znaki. Są miejsca, które wprost przerażają: szerokie na kilka metrów bajory żółtej mazi, nie dające się obejść w wąwozie drogi. O zmierzchu, gdy wyszliśmy na gościniec i droga zaczęła się piąć pod górę, niebo przed nami okrył rumieniec łuny. Cały nocleg batalionu oświecała aż do późna w noc. Front blisko.

30 września. – Chmury idą. Deszcz ustał. Idziemy naprzód. Kilka armat z nami. Konie ciężkie, grubonogie, stawiają kopyta jak kolumny, a działa toczą się, podskakują, zarzynają się kołami w glinę. Minęliśmy trzy spalone, dymiące jeszcze wsie, z których została jedynie nie tknięta ogniem altana w ogrodzie dworskim, pyszniąca się szklanymi kulami: czerwoną i srebrną. Te jaskrawe błyskotki w ciężkim świecie marszów, niepogody i trudu zdenerwowały mnie. Cios kolbą wystarczył, by przysty. Nocowaliśmy tym razem koło cerkwi, której zarys w mroku podobał mi się bardzo. Prasłowiańska dzwonnica z wieloma okapami użyczyła mi ochrony przed nocnym niebem i wiatrem.

1 października. – Idę w gromadzie tyłu towarzyszy, a ciągle jakbym był sam. Trudno się dzielić z kimkolwiek myślami, bo one nie takie. Mówi się o marszu, o chlebie, papierosach, możliwości bitwy, ale nie o tym, co się myśli. I widzę, że inni – tak samo.

Postój pod cerkiewką dłuższy niż zazwyczaj. Kucharze ugotowali kaszy i – dziw – można ją było wypić na gorąco. Rozejrzałem się w okolicy. Cerkiew i dzwonnica piękne i stare, cóż, kiedy zieloną blachą kryte, a za cerkwią źródło i rzeczutka, spadająca w dolinę podmokłą. A dalej ciemny bór. Droga prosta, wchodząca w lasy. Po południu, gdy byliśmy już po 5-godzinym marszu i po jednym odpoczynku w rowach przydrożnych, echo przeszło las. Po południu, gdy byliśmy już po 5-godzinym marszu i po jednym odpoczynku w rowach przydrożnych, echo przeszło las. Sierżant powiedział: szrapnele gdzieś biją.

2 października. – Może tu walczyli ongiś powstańcy? Brzeziny żółkną, sosny za wiatrem pachną. Pewno tu umierali. Nad drzewami idzie huk detonacji, odbija się o pnie, ogarnia nas ze wszystkich stron. Czuję napięcie nerwowe. Spoglądam na blade

niebo październikowe. Po latach znów tu zadudnią armaty, a młodzieńcy dwudziestoletni będą, jak my, przeczuwali jutrzejszy bój. 4 października. – Wczoraj nie notowałem nic. Nie było czasu. Rano wprost ze snu ruszyliśmy na linię. Szeregami padliśmy wzdłuż popsutego toru kolejowego, na zboczu naszym. Szczękały „maszynki”. Widziałem obłoki i świat bardzo wyraźnie. Potem linie przed nami załamały się i splątały. Słyszałem grzmot ręcznych granatów, zarazem denerwujący i podniecający do tego stopnia, że gdy nas wreszcie zerwano z ziemi komendą, wrzasnąłem „hurra”! takim głosem, jakiego nigdy jeszcze dotąd moje słabe płuca nie wydały.

Reszta dnia była jak kołowrót zdarzeń! Sama potyczka była zdumiewająca. Nie przypuszczałem, że tyle rzeczy może się zdarzyć w tak krótkim czasie. Salwy, strzały, saperzy naprawiający mostek pod ogniem, ranni, ponury zachód słońca – wszystko się skotłowało, zmieszało, zlepilo. Wieczorem przy ogniskach jeńcy w brązowych szynelach grzali ręce w milczeniu, stojąc wielkimi gromadami.

5 października. – Myjąc się w studni zauważyłem, że mam na nadgarstku zdarty spory płat skóry. Jak to się stało i kiedy? Po obmyciu poczułem, że piecze, więc zawinałem bandażem. Marsz od szóstej rano do drugiej w południe. Przed nami znów bitwa. Ciągną wozy z rannymi. Na jednym chłopak może 18-letni, podchorąży, z przestrzelonymi kolanami. Ile razy fura ruszy gwałtowniej, kropelka łzy spada z kąta oka na prawą stronę. Obok żołnierz z obandażowaną piersią nerwowo kręci papierosa. A chłop obojętnie konia popędza. Zobaczyłem też kolegę z uniwersytetu. Leżał woskowożółty, z białymi ustami. I jeszcze jednego widziałem, z nogą rozbitą. Szedł opierając się na karabinie jak na szczudle.

Zerwałem ze wstydem bandaż z mojej ranki...

6 października. – Znów łuna przed nami. Przy drodze, w rowie, zabity. Leży twarzą ku ziemi, nie ma czapki. W tym miejscu, gdzie na głowie włosy rozchodzą się promienisto – mała ranka. Przeszedłem obok niego. Nie idziemy już czwórkami. Jest wolny marsz. Rzuciłem okiem na naszą gromadę, na trupa i na lasy hrubieszowskie. Pomyślałem patetycznie: rok ten nie jest mniejszy od 63-go. Nocowaliśmy nad Bugiem. Był księżyc.

Paweł Czechowicz i Małgorzata z Sułków wzięli ślub w Garbowie.

W chwili ślubu on miał lat dwadzieścia, ona — trzydzieści. Ta różnica wieku i to w takim właśnie stosunku (20 i 30 lat) była potem podłożem rozłamu w pożyciu małżeńskim.

W roku 1894 wyszły w starym kościele garbowskim zapowiedzi trzykrotne w dniach 25 września, 14 października i 21 października. Tegoż dnia o godzinie 14 pobłogosławiony został związek małżeński między Pawłem i Małgorzatą. Ślubu udzielił im nie proboszcz, którym był naówczas ks. Władysław Biernacki, lecz wikary, ks. Tomasz Słonecki, młody, żarliwy ksiądz. Tak więc ślub odbył się w niedzielę po sumie.

Oficjalnymi świadkami byli: Michał Węgrzyn (lat 50), dobry znajomy Katarzyny Czechowicz (matki pana młodego), który zresztą żył później z Pawłem i jego żoną w wielkiej przyjaźni, odwiedzał ich w Lublinie wielokrotnie, a w ciężkich czasach Wielkiej Wojny pomagał wdowie Małgorzacie, przywożąc jej ziemniaki, kapustę, masło.

Drugi świadek oficjalny, 30-letni Franciszek Podleszewski, podobnie jak Węgrzyn, był rolnikiem zamieszkałym w Garbowie.

Poza tym byli na ślubie: Aleksander Węgrzyn, syn wyżej wspomnianego Michała, Józefa Nakonieczna i Józef Nakonieczny (później poseł do Dumy), niejaki Wolski, trzydziestokilkuletni, mało znany rodzinie Czechowiczów, oraz Dobrzyńscy, którzy wówczas przebywali w Garbowie, nie zaś w Miesiącach. Wśród Dobrzyńskich był Ignacy, później głośny artysta ludowy, zaprzyjaźniony z Konstantym Kietlicz-Rayskim i Wiktorem Ziółkowskim (Julianem Kotem). W owym czasie Dobrzyński był dwunasto- czy trzynastoletni.

Wesele było huczne. Odbywało się u Węgrzynów w dwóch chatach, nowej i starej. W jednej tylko tańczono, w drugiej był poczęstunek. Rodziny i gości proszonych było około 40 osób. Poza tym wielu nie proszonych wstępowało na taniec albo na kieliszek. Z pieniędzy osiągniętych za mąkę w Lublinie, kupowano "u Morela" (w Garbowie) piwo i wódkę.

"Starzy węgrzynka gotowali"...

Wśród druhen były Julka Górka, serdeczna przyjaciółka Małgorzaty (panny młodej), dwórka z pałacu garbowskiego, oraz Jagusia Wójcikówna. Wśród družbów — wspomniany już Wolski.

Rolę starszej drużby odgrywała również wspomniana Józefa Nakonieczna, zaś starszym družbą był Ignas Wójcik, brat Jagusi.

Pradziadek ze strony matki, Kazimierz Sułek, zmarły około roku 1869, był uczestnikiem walk powstańczych w grupie puławskiej. W partii zaprzyjaźnił się z dwoma jakimiś panami, naówczas studentami Instytutu.

Gdy Kazimierz Sułek był ciężko chory, na kilka dni przed jego śmiercią przybyli konno w nocy dwaj panowie. Całą noc rozmawiali z nim na osobności, pisali coś. Odjechali ze świtem. Prawdopodobnie byli to ci sami przyjaciele z partii. Kazimierz

Sulek był dość zamożny, umiał czytać (do trumny włożono mu książeczkę do nabożeństwa). Podpasywał się wełnianym czerwonym pasem. Na podszewce świtki miał haftowany monogram, przedmiot ciekawości małej Małgosi Sułkówny lub Sułczychy, jego wnuczki.

Kiedy umarł, nie zdawała sobie z tego sprawy i twierdziła, że dziadek śpi. Trumna była w jej pojęciu jakimś oryginalnym łóżkiem. Żona Kazimierza Sułka przeżyła go o wiele lat. Zmarła dopiero około 1897 roku, niemal stuletnia.

Pewnego dnia na ogrodach w Młynkach spotkała Małgorzatę z Sułków Czechowiczową z córeczką (Katarzyną-Kazimierą). Była siwiuteńka i miała bardzo łagodny, pogodny głos.

- Kto to idzie — zapytała — bo niedowidzę...
- Wasza wnuczka, babciu, Sułczycha Małgosia.
- A czyje to dziecko, twoje?
- A moje, moje...
- Tom się już prawnuczków doczekała...

.....

Dziadek ze strony matki, Józef Sulek, ożenił się jako młodzik. Był to wesóły utracjusz i hulaka. Na tym tle często dochodziło do scysji między nim a ojcem jego, wyżej wspomnianym Kazimierzem. Ten bowiem był poważny, stateczny, nie pił, często chodził nad rzekę, rozmyślając w samotności.

Józef Sulek, ur. w r. 1844, pojął za żonę Katarzynę Kuciankę (z Kutów), o rok tylko młodszą od siebie. Katarzyna była wielkiej urody. Jasnowłosa, smukła i zgrabna. Oczy miała ciemnoniebieskie. Pobrali się z miłości wbrew woli rodziców. Po ślubie jednakże Kazimierz Sulek nie sprzeciwił się ich wyborowi, pogodził się z losem.

.....

Małgorzata Sułkówna urodziła się 8 kwietnia 1864 roku o godzinie osiemnastej. Nazajutrz ochrzcił dziecko o godzinie jedenastej rano ks. Aleksander Kiernicki, wikariusz końskowolski, w kościele farnym w Końskowoli.

Rodzicami chrzestnymi byli: Małgorzata Furtakowa, sąsiadka Sułków i Szymon Kuta, brat matki dziecka, Katarzyny z Kutów Sułkowej. Słynął on w okolicy jako wielki siłacz. Miał wówczas lat 23 lub 24.

Jako druga para chrzestnych wystąpili: Marianna z Sułków Kozakowa, siostra Józefa, ojca Małgorzaty i Jan Murat, trzydziestokilkoletni, który wkrótce potem zginął

tragicznie. Zabił go rządcą z Bronic.

.....

Stanisław Czechowicz, syn Pawła i Małgorzaty z Sułków, urodz. we wsi Młynki, pow. puławskiego 18 kwietnia 1899 roku, ochrzczony w kościele parafialnym w Końskowoli.

Jesienią 1908 roku przyjęty został do klasy wstępnej gimnazjum polskiego w Lublinie pod nazwą "8-klasowa filologiczna Szkoła Lubelska" na zasadzie egzaminu wstępnego (już w piątym roku życia St. Cz. czytał płynnie i ze zrozumieniem, za co sąsiedzi darowywali mu książki, zaczątek przyszłej biblioteki. Niejaki Ostrowski, właśc. sklepu mydlarskiego z ulicy Kapucyńskiej w Lublinie darował mu 24 obrazki Anczyca, Z. Piotrowska — powieść dla dzieci pod tytułem*).

20 paźdz. 1912 roku wstąpił St. Cz. do tajnego harcerstwa, wciągnięty w prace konspiracyjne przez kolegę z wyższej klasy, Jana Arnsztajna.

Przyrzeczenie harc. złożył 18 grudnia tegoż roku i otrzymał krzyż harcerski numer 923.

2 listopada 1913 roku otrzymał szarżę zastępowego.

.....

W roku 1911, St. Cz. wyjeżdża po raz pierwszy do Suchodołów. Właściciel tego majątku pod Włodzimierzem Wołyńskim, Paweł Gutowski, wziął go tam dla towarzystwa syna swego, Adzia. Chodziło o wpływ poważnego i myślącego jedenastolatka na starszego o rok awanturnika, któremu tylko strzelby a konie były w głowie.

St. Cz., którego Gutowscy otoczyli czułą opieką, tęskni jednak za rodziną, a przede wszystkim za siostrą, do której w tym okresie bardzo był przywiązany. Korespondencja tych dwojga była dość dziwna. On przepisywał całe rozdziały z *Ksiąg Pielgrzymstwa*, informował ją, co czyta i co ma zamiar czytać, ona zaś pisała mu o tym, co się dzieje w domu, interesowała się jego lekturą, ale w miarę, a z wielu zdań jej listów czytało się troskę o ojca, chorego już wówczas na dobre.

Wyobraźmy sobie jedenastoletniego chłopca w obcym mu, wielkopańskim świecie, gdzie "cugowe konie", "pałac", "kamerdyner" są czymś codziennym, a łatwo zrozumiemy, dlaczego tak garnął się ku książkom, zamiast używać letnich wyczasów. Zresztą książka, w szczególności zaś książka patriotyczna, miała w nim od dawna entuzjastycznego czytelnika.

Ale polował także. Jeździł z dziećmi wolantem do folwarków. Rysował ołówkiem

pejzażyk: *Widok folwarku Murawiec*.

Kiedy Adzio Gutowski z korepetytorem i matką wyjechał nad morze, St. Cz. został w Suchodołach sam (Gutowski doglądał gospodarki) i bobrował w bibliotece. W sierpniu odwiedził go sąsiad Gutowskich, Adzio Niemcewicz, namiętny jeździec, który według listu St. Cz. “najdzikszego konia ujeździ”.

Pod koniec sierpnia przyjechał mały Gutowski i znów zaczął się korowód polowań, jazdy konnej, tenisa itp., “tylko te trzy godziny mam wolne — skarży się St. Cz. — podczas których on robi lekcje”...

Ciekawy jest ustęp listu o książce Pawlikowskiego: “Już dawno ci pisałem, że mam do czytania *Mistykę Słowackiego* i... zgadłabyś? Ja się tej książki boję, jest tam tyle pojęć tak różniących się od moich, że gdybym tę książkę przeczytał, byłbym najzupełniej zmieniony i nie wiem, czy też na złe...”

W innym liście pisze o tęsknocie: “...myślę, że to jest takie uczucie, które czyni człowieka lepszym: a jednakże, tak mi dobrze jakoś, gdy ulżę tęsknocie i trochę zapłaczę”...

Korespondencja brata z siostrą miała cechy niewinnej egzaltacji. W jednym liście ona mu przesała zasuszony bratek, on jej w odpowiedzi — reprodukcję obrazka Bilińskiej (*Mój kolega*).

Józef Czechowicz, syn Pawła i Małgorzaty z Sułków, urodził się jako czwarte z kolei dziecko w rodzinie, czwarte i ostatnie.

(Katarzyna-Kazimiera, urodz. w dniu..., Stanisław, urodz. w dniu 18 kwietnia 1899 roku, Jan, urodz. w dniu... 1902 roku, Józef, urodz. w dniu 15 marca 1903 roku o godzinie 9 minut trzydzieści rano).

Urodził się w suterenie, w tej samej, w której zmarła jego matka, w domu numer trzy, przy ulicy Kapucyńskiej w Lublinie (obecnie dom Morajnego, naówczas — własność Banku Handlowego w Warszawie).

Ochrzczono Józefa Czechowicza w katedrze lubelskiej w nawie po prawej stronie, przy starej chrzcielnicy. Wisiał tam wówczas i długo jeszcze potem w ołtarzu baptycyjnym obraz Anioła Stróża, obecnie umieszczony w prawym przedsionku kościoła.

Obrządku chrztu udzielił Józefowi Czechowiczowi w dniu 19 marca 1903 roku o godzinie 19 ksiądz Józef Kobyliński.

Rodzicami chrzestnymi byli: Franciszek Zych, dozorca, lat 42, i Marianna z Sułków Aleksyńska, siostra Małg. z Sułków Czechowiczowej, lat około 35. Poza tym przy chrzcie asystowali: Katarzyna Czechowicz, babka Józefa, Jan Aleksyński, mąż Marianny, rodzina Franciszka Zycha i Bartłomiej Kołodziej, służący, lat 32.

.....

Pierwszą szkołą, do której uczęszczał J. C., była szkoła elementarna rosyjska jednoklasowa, czterooddziałowa, prowadzona przez A. N. Afanasjewa. Mieściła się w

rynku, w kamienicy Trejglowej, obok kamienicy Sobieskich, bliżej Trynitarzkiej Bramy.

Była tam jedna duża sala trzykondygnacyjna na pierwszym piętrze — izba szkolna dla wszystkich czterech oddziałów.

Matka zapisała tam J. C. jesienią 1913 roku. Chłopiec miał już wówczas lat dziesięć, był rozwinięty jak na swój wiek, płynnie czytał i nieźle, choć bardzo krzywo, pisał po polsku. Przez trudności języka rosyjskiego przebrnął i w czerwcu 1914 roku zdał z nagrodą do drugiego oddziału tejże szkoły. Kiepsko było tylko z “akcentem” rosyjskim i kaligrafią oraz śpiewem. W roku 1914, jesienią, już po rozpoczęciu działań wojennych, szkołę przeniesiono na ulicę, boczną od Bychawskiej.

Tam J. C. zdał egzamin w końcu roku szkolnego, otrzymał promocję do oddz. III-go, kiedy we wrześniu 1915 roku okupanci organizowali wspólnie z miejscowymi działaczami szkolnictwo polskie, J. C. zapisał się do szkoły polskiej przy katedrze i zdał egzamin do klasy szóstej (odpadły groźne przedmioty rosyjskie: *zakon bożij*, rachunki w obcym języku itp.).

30 czerwca 1916 roku promowano J. C. do klasy VII z nagrodą, w dniu 16 czerwca 1917 roku ukończył on Pierwszą 7-klasową Szkołę Miejską (męską) w Lublinie *summa cum laude*.

.....

Nazwiska nauczycieli owej szkoły: z klasy VI: J. K. Ludwiński, Leokadia Wołodko, ks. W. Uleniecki.

Wychowawcą był J. K. Ludwiński.

Z klasy VII: Leokadia Wołodko, Alina Kuncewiczówna, ks. Jan Szlachetka.

Wychowawczynią była A. Kuncewiczówna.

.....

Nazwa szkółki rosyjskiej: *Lublinskoje, gorodskoje, adnokłassnoje mužskoje naczałnoje ucziliszczje*.

Nazwa szkoły polskiej: Pierwsza ludowa 7-klasowa szkoła męska w Lublinie (tak w 1916 roku).

Pierwsza męska VII-klasowa Szkoła Miejska w Lublinie (tak w 1917 roku).

Najdawniejsze wspomnienie: w zielonym ogródku wózek dziecienny, na którym siedzę wraz ze Stasiem. Pszczoła latała dokoła nas. Płaczę. Dziś, w roku 1936, w tym miejscu, gdzie był ów ogródek, stoi budynek z czerwonej cegły. Przez kilkanaście lat było tam własne dynamo Banku Handlowego Warszawskiego. Pamiętam szary, stary płot ogródka. Okryty był jakimś porostami liszajami, których się brzydziłem.

Z drugiej strony podwórka, gdzie dziś murek oddzielający od hotelu “Victoria”, stał

również płot, ale ładny, opleciony dzikim winem. Za tym płotem skrzypiała studnia, pompa żelazna.

.....

Kiedy jeszcze chodziłem w ciemnoniebieskiej aksamitnej sukience (aksamit bardzo spłowieły...), nosił mnie ojciec na rękach po Krakowskim Przedmieściu. Między ludźmi chodziły maski niezwyklej wysokości w spiczastych czapkach astrologów, z plakatami na plecach i piersiach. To byli ludzie-sandwicze na szczudłach. Plakaty mówiły o wyborach do Dumy.

.....

Stanęliśmy z ojcem przed bramą domu. A ta brama wówczas była drewniana. Nagle w ulicy rozległy się krzyki i strzały. Uciekający Kapucyńską rewolucjonista czy opryszek strzelał na oślep z rewolweru w tył. Policjanci zasypywali go w biegu dosłownie gradem kul.

Nim ojciec oprzytomniał, nim skrył się w bramie, pociągając mnie za sobą, usłyszałem brzęk. Kula rozbiła szybę tuż obok nas, w pierwszym oknie sali bankowej. Następną wplątała mi się w sukienkę, urywając mi rąbek.

Nic mi się nie stało. Ani ojcu.

.....

W sąsiednim podwórku stali żołnierze. Czerkiesi i jakiś oddział piechoty. Brodaty *unteroficer* (pamiętam naszywki) przynosił mi często cukierki. W zamian za nie pozwalałem mu się wozić w wózku, choć w zasadzie bardzo stroniłem od obcych. Pewnego dnia deszcz padał. Ulicą szli żołnierze i brodacze z nimi.

Usłyszawszy, że idą na wojnę, zawołałem, ciągnąc matkę za spódnicę:

— Mamo, chodźmy na wojnę!

Był to rok 1905.

.....

Najmłodszego brata, Janka, nie pamiętam zupełnie. Podobno był jasnowłosy. Zmarł na dyfterytus.

Ojciec prenumerował gazety. Także i tygodnik "Świat".

Lampa naftowa paliła się na stole. Siedziałem na wysokim zielonym kufrze i oglądałem obrazki w "Świecie". Były niezrozumiałe, ale śliczne.

Za szafą płakał Staś. Nie chciał się ubrać w spodenki. Włożyłem je. Zdaje mi się po latach, że w tym zdarzeniu był cień rywalizacji ze starszym, pieśczonego przez matkę bratem.

.....

Już chodziłem w długich butkach i zielonej kapotce z kołnierzem wielkim jak karazja, gdy ojciec oprowadzał nas wieczorem po mieście iluminowanym gwiazdami płonącego gazu, mnóstwem świec i kolorowych, trójkątnych lampionów. Rynsztoki stały się wówczas liniami ognia od kaganków-kopciuszków, płonących blisko jeden drugiego. Ciepło biło od nich i swąd.

Podobne ciepło pamiętam i z innych dni. W Zaduszki tak samo grzały świece na grobie Janusia, mego brata. Zmarłem wtedy bardzo. Po drodze dopytywałem się, czy Rosjanie też mają zaduszki, a potem jak po rosyjsku: Kasia.

Powiedziano mi, że *Jekatierina*.

Wróciwszy do domu biegałem z kąta w kąt, aby się rozgrzać i wołałem na głos to dziwne, obce słowo, które mi się bardzo podobało:

— Jekatierina! Jekatierina!

Ale nie mogłem sobie wyobrazić, że moja siostra może mieć coś wspólnego z tym słowem.

.....

Z najdawniejszych wspomnień, z roku 1905 i 1906, to chyba wszystko. Nie, jeszcze był Józiek Franciszkowej, dozorczyńni, duży łobuz. Grywał na organkach i lubił się bawić papierowymi żołnierzami wycinanymi z arkusza. Tę manię odziedziczyliśmy po nim obaj ze Staszkiem.

1911 - Lublin.
Lato.

FAKTY (w domu)

Ojciec w szpitalu — chory — gorzej mu.

W domu zaczyna się bieda. Matka przyjmuje sublokatorkę. Katarzynę Gruszecką (ponura, zacięta i pyskata stara panna).

Mieszkamy znowu w suterenie, tej wielkiej, w której w r. 1936 jest skład hurtowni aptekarskiej.

Babka, Katarzyna Czechowiczowa, także chora, w szpitalu.

Brat Stanisław spędza lato w Suchodołach na Wołyniu, gdzie Gutowscy są dla niego bardzo serdeczni. Na wyjeźdnym obdarowują go dwoma skrzyniami ubrań, książek, bielizny i drobiazgów.

St. Cz. darowuje bratu, Józefowi, komplet farb i pędzelek, aby miał czym malować "żołnierzy". Podarunek z listu, nie z zapasów przywiezionych z Suchodołów.

W niedziele Matka z K. Cz. i J. Cz. odwiedza ojca w szpitalu. Ojciec jest przerażający: mówi od rzeczy, bawi się guzikami, chodzi w szpitalnym chałacie, a posługacze patrzą na niego wilkiem. Ogród szpitala pachnie spokojem i kwiatami.

Przyjaciółka domu, p. Kozakiewicz, często dokarmia głodnego J. Cz., a jej piękna córka, dorastająca, pokazuje mu książki, gra z nim w gry i loteryjki.

K. Cz., aby ulżyć rodzinie, wyjechała do Kiełczewskich, jako "panienka do dzieci". Uczy się tam mówić po ukraińsku, uczy się też wołyńskich piosenek. W listach z Chołoniowa skarży się na dzieci. Dokuczają jej.

Jest projekt, aby rodzina opuściła Bank Warszawski.

ZWIASTUNY

Będą to stare, ubogie wdowy albo dziadkowie starzy przy dzieciach żyjący z myślą codzienną, że są ciężarem w chacie. Będą to może ich wnuki. Lub młode kobiety, z drobiazgiem dziecięcym porzucone przez mężów, którzy o nich zapomnieli potem gdzieś w wielkim mieście.

Pójdą jedni za drugimi przez pola mijając krzyże, których o tej porze zieleń nie zdobi. Zostawiwszy za sobą lśniące, gładkie jak stal drogi, rozejdą się po siwych, monottonnych ścierniskach; dzieci, by zbierać kłosa, a starzy po zeszlóroczne badyle. Dziadek Michał także będzie szedł ze swymi wnuczętami, z dwoma chłopcami i Oksaną, najstarszą z rodzeństwa. Chłopcy jak źrebaczki to będą wyprzedzali dziadka, to pozostaną daleko. Oksana zaś zawsze będzie ze starcem. Dziadek będzie miał na plecach liche, czarne tobołek. Będzie pokasływał. Oksana będzie niosła na ręce chleb dla chłopców i dla siebie. To będzie samo południe, a dziadek powtórzy wielokroć:

- To słońce, dziecko, już nie grzeje.

Idąc tak, idąc długo zatrzymują się wreszcie na jednej niwie. Dziadek stanie koło miedzy. Oksana pójdzie środkiem, a chłopcy zaczną szukać wśród pól bacików i kozików zgubionych przez pasterzy, dmuchawców i źródełek jasnych.

Oksana każdy znaleziony kłosek podejmie i ujmie w lewą rękę, a gdy snopek zgrubieje, ułoży go nad rowem, by potem łatwiej znaleźć. Będzie wyszukiwała dolinki, bo tam kłosów najwięcej. Schyli się sto razy na minutę jak najpilniejsza robotnica. Wreszcie zaczną jej przed oczyma biegać żółte i niebieskie plamy albo też połowa niwy stanie się cała zielona, a druga będzie taka jak naprawdę. Zatrzyma się Oksana, dłoń położy na oczach i postoi tak chwilę. Potem szybko rękę od oczu odejmie i zjawy zginą. Albo też zaśpiewa piosenkę – sobie tylko – cichutko, nieśmiało, ale z jasną radością, że już może śpiewać. Złoży nutkę do nutki, słowo do słowa, drżąc a niepewnie, jak mała dziecina, która dopiero uczy się chodzić i radośnie na ziemi stawia białe nóżki.

A co kłosa podejmie, to piosenkę urwie i raz jeszcze zaczyna z nowym drzeniem głosu, cienkiego jak nić pajęcza, drżąca na rżysku. A kiedy dojdzie do końca, siądzie sobie na dróżce polnej i głowinę wesprze piąstką tak maleńką jak szypułka bodziaka, który zaszumi nad nią, całą przyszłość tak jej wróżąc... Dziadek zaś nie siądzie. Zegnije się tylko w pałąk i kasłać zacznie.

- I niewiada, co tam dychać nie daje. Doćbym pierś se rozerznon, by te krew zapiekłe stamtąd wyrzucić. Może jeszcze pożyłbym krzyne.

I znów do badyli się weźnie, pokasłując i przykucając. A przy robocie myśli nadlecą o wiosnie, o zimie i o jesieni. W głowie coś zakółuje, aż zapomni dziadek o kaszlu i badyłach.

- Kiej je czem przepalić w zimie, to nie tak się żyć chce. Wstań se rano, poodmitaj śnig spod proga, nabierz se ze sionki badyli, nasyp do gruby i już ci na izbie weselij. Katarzyna zładuje kulesze; dzieciśka się zerwo, a ot już dla nich je gorąca łyżka barszczu i ciepły piec. A i tobie, dziadu, między niemi ciepło. Kiej nie można lepij, to i tak dobrze. Oset, bele suchy, bardzo dobry...

I będzie rwał dalej ochotnie, z wielką siłą. Ale słowo dogania słowo i nie odpędzić ich.

- Bym ino nie zmar, póki chłopaki nie podrosną. Jej szczęście będzie, bo ja to wszystko między ludziami oddom, niech pracują na siebie. A głupia baba, co ona wie, ino płakać. Wykieruje ich na ludzi lepiej jak ona.

Teraz zawoła na chłopców. Przybiegną z wydłubaną dynią.

- Ciebie, cegój to nie pomagata dziwuszcze? A żyć chceta? Idźta z nią choć trochę, a bawta się, bo jej się kucy...

Chłopcy podejść do Oksany, a dziadek dalej będzie snuł swoje myśli.

- Chłopaki zdrowe, rośnie – beł się docekać. Mniejszy – mądry jak stary. W zimie o buty zawoła, bo, powiada, na piecu mu źle. A śmiechu z niego, że kiejby zmar, tobyswa się jak siroty ostali...

Popatrzy na słońce, czy nisko opadło, na badyle – czy dość go już nazbieał. Potem zawezwie Oksanę, żeby przysłała pomoc zbierać mu badyle i obijać je z gliny. Zniosą wszystko na jedno miejsce i zaczną bić witkami. Słup pyłu wzbije się nad nimi, więc dziadek zakaszle. Oksana oczy zmruży, a chłopcy wezmą się do chleba.

Słońce stanie już wtedy na zachodzie. Z siół pobliskich spłyną na niwę głosy dzwonów i spadną na rżyska wraz z rosą. Na drogach zabeczają owce, zaczną się pohukiwania pasterskie, oracze wyjmą z bruzd pługi, szykując się do powrotu z pól. Na doliny siwy tuman spłynie, wrony zlecą się do sadów na sioło. Psy będą biegły ku domom, nie mogąc dłużej łowić przepiórek na miedzach.

Dziadek Michał przeżegna się i zakaszle otrzepując pył z koszuli. Potem zwiąże z chwastów wielki tłumok, a wnuki zadadzą mu go na ramię. Zejdą na drogę. Oksana będzie niosła swe snopki kłosów, a chłopcy będą chowali za pazuchę badyle zgubione z tłumoka. Nim dojdą do domu, opuchlizna wypchnie te koszule, a ciało poczernieje od kurzu.

We wsi spotkają się wszyscy: biedne wdowy i ich wnuki, dziadkowie i młode żony, porzucone przez mężów. Wszyscy z chwastem i snopkami kłosów. Zwiastują, że jesień nadchodzi.

DZIECI GÓR

Fragment z powieści pt. *Cienie zapomnianych przodków*

Wracali już z cerkwi, a tato był trochę podpity. Nagle, na wąskiej perci między skałą a Czeremboszem powstał ścisk. Wozy, pieszo wędrujący mężczyźni i kobiety, jeźdźcy zatrzymywali się, zbijając się w gromadę. W gniewnym hałasie, który jak wicher wzbił się znienacka nie wiedzieć skąd, błysły żelazne ciupagi, zaskakały przed samymi twarzami. Niby krzemień i krzesiwo uderzały na siebie rody Guteniuków i Palijczuków, a zanim jeszcze Iwan zdołał wyrozumieć, o co im poszło, tato śmignął siekierką, uderzając kogoś obuchem w czoło, skąd bryznęła krew, oblała twarz, koszulę i śliczny keptar. Jęknęła czeladź, rzucono się, by ich rozdzielić, ale już człowiek z twarzą czerwoną jak jego portki ciął ciupagą wroga w głowę. I pochylił się tato Iwana jak smrek podcięty. Iwan rzucił się do bójki. Nie pamiętał, co robi – coś go poderwało. Ale dorośli podeptali mu nogi i nie mógł się docisnąć do miejsca bitki. Wciąż jeszcze rozpalony, rozjuszony gniewem wpadł z rozpędu na małą dziewczynkę, która trzęsała się ze strachu stojąc obok wozu. Aha! To pewno dziewczyna Guteniówków! I nie myśląc wiele uderzył ją w twarz. Skrzywiła się, koszulę na piersi rękami ogarnęła i zaczęła uciekać. Dopadł jej Iwan nad rzeką, szarpnął za oszewkę koszuliny, rozdarł. Upadły na ziemię nowiutkie wstążki, a dziewczynka z krzykiem rzuciła się, by je pozbierać. Lecz on wyrwał jej wstążki i na wodę rzucił. Wtedy dziewczynka, wciąż jeszcze nachylona, spojrzała nań spode łba głębokim wejrzeniem czarnych, matowych oczu i rzekła:

- To nic, mam inne... nawet ładniejsze...

Jak gdyby go pocieszała. Zdziwiony jej łagodnym tonem chłopiec milczał.

- Matula kupili mi nową zapaskę... i kerpce... i nahaftowane czepeczki... i...

Wciąż jeszcze nie wiedział, co rzec.

- Obuję się, jak się patrzy, będę jak panna...

Wtedy wstała w nim zazdrość:

- A ja już umiem grać w kiczki...

- Nasz Fedor zrobił sobie fujarę, taką, że to no! A kiedy zagra... Iwan odciął się.

- A ja już Licho widziałem.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ale dlaczego się bijesz?

- A dlaczegoś koło wozu stała?

Pomyślała chwilę nie wiedząc, co odpowiedzieć, i zaczęła szukać czegoś za pazuchą. Wreszcie wyciągnęła długi cukierek.

- Niechta!

- Odgryzła połowę, a drugą podała mu pełnym zaufania gestem.

- Na!

Zawahał się, ale wziął. Teraz już siedzieli obok siebie zapomniawszy o rozgwarze bójki, o gniewnym szumie rzeki. Opowiedziała mu, że się nazywa Marusia, że pasie już jagnięta, że jakaś Marcinowa – ślepa na jedno oko – ukradła u nich mąkę... i wiele innych rzeczy, ciekawych, a bliskich obojgu. Spojrzenie jej czarnych, matowych oczu zapadło cicho w serce Iwana.

Oto znów zatrąbiła trombigta o śmierci w samotnej chacie na wysokich

łysogórach: nazajutrz po bójce zmarł stary Palijczuk. Ciężkie dni nastąpiły po śmierci gazdy w rodzinie Iwana. Zagnieżdżył się nieład, spadały niedole. Sprzedawano pasterskie polanki jedną po drugiej, a gadzina ginęła gdzieś niby śnieg na górach z wiosną.

Ale w pamięci Iwana śmierć taty nie tkwiła tak długo jak znajomość z dziewczeczką, która niewinnie krzywdy od niego doznawszy, z taką ufnością podała mu pół cukierka. Do jego dawnych smutków bez przyczyny wlał się nowy strumyk. Mimo woli ciągnęło go w góry, nosiło po sąsiednich łysicach, lasach i dolinach, w których mogła być Marusia. I wreszcie spotkał ją: pasła jagnięta.

Przywitała go jak dawno spodziewanego – będzie z nią pasł owieczki. Pewno że tak! Niechże krasula i siwocha dzwonią dzwoneczkami, niech porykują w lesie, a on będzie pasł jej jagniętka. Ale bogac tam oni paśli!

Białe owce, zebrawszy się pod smrekami w cieniu, patrzyły głupim wzrokiem, jak dzwoniące w ciszy młodym śmiechem dzieci tarzały się po mchach. Zmęczone wdrapywały się na białe skały i lęklonie zaglądały stamtąd w przepaść, z której stromo wznosiło się ku niebu czarne widmo góry i skąd chłód dyszał, nie ginący w słońcu. W szczelinie między górami potok spadł w dolinę i trząsł po kamieniach siwą brodą. W odwiecznej ciszy, której strzegł bór, było tak ciepło, tak samotnie, że dzieci słyszały własny oddech.

Ucho łowiło jednak uparcie każdy pogłos, który musi żyć w boru, i wyolbrzymiało go do największych rozmiarów. Chwilami zdawało się im, że słyszą czyjeś kroki tajemnicze, głuche uderzenia obucha i westchnienie zmęczonej piersi.

- Słyszysz Iwa? – szeptała Marusia.

- Co nie mam słyszeć? Słyszę.

Oboje wiedzieli, że to błędzi po lesie niewidzialna siekiera, w drzewa uderza i wzdycha piersią znużoną.

Strach przeganiał ich stąd w dolinę, gdzie potok płynął spokojniej. Robili sobie kąpielisko w strumieniu, w głębokim miejscu. Rozdzielali się i pluskali w nim jak dwoje leśnych stworzeń, które nie wiedzą, co to wstyd. Słońce kładło się na ich jasne włosy, biło w oczy, a lodowata woda potoku szczypała ciało.

Marusią pierwszą przejmował ziąb i zaczynała biegać.

- Stój – wołał za nią Iwan – a skąd ty?

- Z Ja-wo-ro-wa – szczękała zębami siniejąca Marusia.

- A czyjaś ty?

- Kowalowa.

- Bywaj zdrowa, kowalowa! – szczypał ją Iwan i gonił, póki zmęczeni, ale rozgrzani na trawę nie padli. W cichym nurcie rzeczutki, nad którym płonął kwiatem słonecznym dziewięciornik i błękitniały pęki pantofelków „Tabusztanu”, żałośnie kumkały żaby. Iwan pochylał się nad potokiem i pytał żaby:

- Kumo, kumo, coś gotowała?

- Burrak, barszcz. Burrak, barszcz. Burrak, barszcz – rechotała Marusia.

- Buraki-ki-ki! Buraki-ki-ki! Buraki-ki-ki! – wrzeszczeli oboje, zamknawszy oczy. Żaby ze zdumienia milkły.

Pasąc tak, nieraz owce pogubili.

James Joyce

RANEK *

Dwa listy i karta pocztowa leżały na podłodze w przedpokoju. Schylił się i podniósł je. Mrs Marion Bloom. Chyże serce jego zaczęło bić wolniej. Nachalny charakter pisma. Mrs Marion.

- Poldy!

Wchodząc do sypialni zmrużył oczy i podszedł w ciepłym żółtym półmroku do jej rozczochranej głowy.

- Dla kogo te listy?

Popatrzył na nie. Mullingar. Milly.

- Jeden dla mnie od Milly - powiedziała wolno - a karta dla ciebie. I list także dla ciebie.

Położył kartę i list na pikowej kołdrze, przy jej zgiętym kolanie.

- Czy podciągnąć roletę?

Podniósłszy roletę ostrożnymi pociągnięciami do połowy, ujrzał kątem oka, że spojrzała na list i wsunęła go pod poduszkę.

- Czy dosyć? - zapytał odwróciwszy się.

Czytała kartę, wsparta na łokciu.

- Otrzymała rzeczy - powiedziała.

Wyczekał; położyła kartę i znów powolnie zwinęła się w kłębek, westchnąwszy błogo.

- Przygotuj prędko herbatę - powiedziała - wszystko się we mnie zapiekło.

- Woda kipi - odparł.

Ale został i sprzątnął z krzesła: jej pasiastą halkę, zmiętą, brudną koszulę; wziął to wszystko w ramiona i położył na łóżku, w nogach.

Kiedy schodził do kuchni, zawołała:

- Poldy!

- Co takiego?

- Wypłucz imbryk.

Gotuje się należycie: kita pary z dziobka. Przygotował wodę i wypłukał porcelanowy imbryk, i wsypał doń cztery pełne łyżeczki herbaty, potem napełnił go wodą przechylając kociołek. Odstawiając herbatę, aby się zaparzyła, zdjął kociołek i postawił na gorących węglach patelnię, a potem zaczął obserwować, jak ślizga się i taje kawałek masła. Podczas gdy rozpakowywał nerkę, zgłodniały kot miauczał obok niego. Jeśli mu dać za dużo mięsa, to przestanie łowić myszy. Powiadają, że oni nie jedzą wieprzowiny. Koszer. Masz. Spuścił papier poplamiony krwią i wrzucił nerkę we wrzące masło. Pieprz. Wziął w palce szczyptę z nadtłuczonego kieliszka do jajek i posypywał kolisto.

* Fragment NN rozdziału *Ulissesa*.

Potem otworzył list, prześliznął się oczyma po stronicy i odwrócił ją. Dziękuję: nowe futerko z tchórza: Mr Coghlan: piknik nad jeziorem Owel: młody student: kąpiące się dziewczęta Blazes Boylana.

Herbata zagotowała się. Nalał sobie filiżankę, podrabiana korona Derby, uśmiechając się. Podarowała mu ją ta głupiutka Milly na urodziny. Miała wówczas pięć lat. – Nie, przepraszam – cztery. Podarowałem jej nieprawdziwe bursztyny, a ona przerwała sznur.

Kładł dla niej do skrzynki pocztowej zgięty na pół brązowy papier. Uśmiechał się, nalewając herbatę.

O Milly Bloom, moja pieśczołko,
Ty dniem i nocą jesteś mym lusterkiem
I bez szeląga taka jesteś słodka,
Jak Katey Keogh z sadem i osiołkiem...

Biedny, stary profesor Goodwin. Okropny stary przyk. A mimo to był uprzejmym staruszkim. Jak staroświecko kłaniał się, sprowadzając Milly z estrady. I to jego zwierciadełko w lśniącym cylindrze! Pewnego wieczoru Milly przyniosła go do salonu. Popatrzcie, co znalazłam w kapeluszu profesora Goodwina! Śmieliśmy się wszyscy. Już wtedy odzywała się w niej płeć. To była bystra kruszyna.

Wetknął widelec w nerkę i przewrócił ją na drugą stronę: potem postawił imbryk na tacy. Pokrywka zaskakała, kiedy wziął tacę. Czy wszystko jest? Chleb z masłem, cztery kawałki, cukier, łyżka, śmietanka dla niej. Tak. Poniósł to na górę, przytrzymując dużym palcem uszko imbryka.

Otworzył drzwi, pchnąwszy je kolaniem, wniósł tacę i postawił ją na krześle obok łóżka.

- Tak długo to trwało - rzekła.

Kiedy się ostro wyprostowała, opierając łokieć o poduszkę, miedziane gałki łóżka zabrzęczały. Spokojnie powiódł wzrokiem od góry do dołu po jej tłustym tułowiu i między wielkimi, miękkimi piersiami, zwisającymi w nocnej koszuli jak kozie wymiona. Ciepło bijące od tego leżącego ciała mieszało się z wonią herbaty, którą sobie nalewała.

Koniuszek rozerwanej koperty widoczny był spod zmiętej poduszki. Już miał odejść, ale zatrzymał się: wygładził kołdrę.

- Od kogo ten list? - zapytał.

Nachalny charakter pisma - Marion.

- O, od Boylena - odrzekła. - Przysłał mi program.

- Co masz spiewa?

- *Là ci darem* z J. C. Doylem - powiedziała - i *Starodawną słodką pieśń miłości*.

Piła, lecz jej pełne wargi uśmiechały się. Po kadzidle zostaje na drugi dzień dość niemiła woń. Jak z przegniłej wody po kwiatach. - Może by na trochę otworzyć okno?

Wkładając do ust złożoną we dwoje kromkę chleba zapytała:

- O której pogrzeb?

- Zdaje się, że o jedenastej - odpowiedział - jeszcze nie czytałem gazet.

Patrząc, gdzie wskazuje jej wyciągnięty palec, wziął z łóżka za nogawicę brudne majtki. Nie? Więc zwiniętą szarą podwiązkę z pończochą: wytarta, świecąca się pięta.

- Nie, daj mi książkę.

Druga pończocha. Halka.

- Widocznie spadła - powiedziała.

Pomyszkował tu i tam. *Voglio e non vorrei*. To dziwne, że ona należycie wymawia

słowo: *voglio*. Na łóżku nie ma. Pewno się gdzieś zapodziała. Nachylił się i uniósł nieco frędzle. Książka leżała porzucona, rozpląszczywszy się na pomarańczowej okrągłości nocnego naczynia.

- Popatrz - powiedziała. - Założyłam to miejsce. Chcę się zapytać o jedno słowo.

Pociągnęła łyk herbaty z filiżanki, którą trzymała nie za uszko, szybko otarła palce o prześcieradło i zaczęła wodzić szpilką po kartce, póki nie znalazła słowa.

- Met... Ale co? - zapytał.

Tu - powiedziała - co to znaczy?

Nachylił się i przeczytał słowo obok lakierowanego paznokcia jej dużego palca.

- Metempsychoza?

- Tak. Kim był ten człowiek?

- Metempsychoza - powiedział, marszcząc się. - To po grecku, z greckiego. Oznacza to transmigrację dusz.

- Masz ci los! - powiedziała - opowiedz nam „swoimi słowami”.

Uśmiechnął się, zaglądając z ukosa w jej roześmiane oczy. Te same młode oczy. Ta pierwsza noc po szaradach. Dolphin's Barn. Przerzucił poplamione stronicę. *Ruby*: chluba areny. *Aha*. *Obrazek*. Rozwścieczony Włoch ze szpicrutą. A ta na podłodze, goła, to na pewno *Ruby*, chluba. Strona uprzejmie zagięta. „*Potwór Maffei porzucił swoją ofiarę i odepchnął ją przeklinając*”. U podstawy wszystkiego - okrucieństwo. Podniecone zwierzęta. Trapez u Henglera. Trzeba było odwrócić spojrzenie. Hołota gapiała się. Skręć kark, a my popękamy ze śmiechu. Całymi rodzinami. Od dzieciństwa wykręcają im kości, bo inaczej nie będzie metempsychozy. Abyśmy żyli po śmierci. Dusze nasze. Żeby dusza człowieka po jego śmierci. Dusza Dignama...

- Skończyłaś ją? - zapytał.

- Owszem - powiedziała - nie ma w niej nic plugawego. Ona cały czas kocha tego pierwszego?

- Nie czytałem przecież. Czy chcesz inną?

- Tak. Znajdź mi Paul de Kocka. Wspaniałe nazwisko.

Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę, popatrując z boku na strużkę. Trzeba odnowić abonament w wypożyczalni na Capel Street, bo inaczej napiszą do Kearney'a, mego poręczyciela. Reinkarnacja: oto właściwe słowo.

- Niektórzy sądzą - powiedział - że życie nasze przedłuża się poza zgon w innym ciele, że żyliśmy także przedtem. To się nazywa reinkarnacja, przeistoczenie. Że wszyscyśmy żyli już kiedyś, przed tysiącami lat, na ziemi albo na jakiejś innej planecie. Powiadają, że zapomnieliśmy. Niektórzy mówią, że pamiętają swoje minione żywoty.

Leniwa śmietana skręcała się w herbacie włóknistymi spiralami.

Niechże zapamięta słowo: metempsychoza. Dobrze by było dać przykład. Przykład? Kąpiel nimfy nad łóżkiem. Dodatek do wielkanocnego numeru „Photo Bits”: wspaniałe wielobarwne arcydzieło. Jak herbata bez mleka. Odrobinę podobna do niej, gdy rozpuści włosy: smuklejsza. Za ramkę zapłacił trzy i sześć. Powiedziała, że to będzie ślicznie wyglądało nad łóżkiem. Nagie nimfy. Grecja: i przykład - wszyscy ludzie żyjący wówczas.

Znów otworzył książkę.

- Starożytni Grecy nazywali to metempsychozą - powiedział. - Wierzyli, że człowiek może się przeobrażać w zwierzę lub drzewo. Albo choćby to, co oni nazywali nimfami, na przykład.

Jej łyżka przestała mieszać cukier. Patrzyła wprost przed siebie, wciągając powietrze rozszerzonymi nozdrzami.

- Czuć spaleniżną – rzekła. – Czyż wypadkiem nie zostawił tam czego na ogniu?
- Nerka! – krzyknęła nagle.

Niedbale wetknęła książkę w zanadrze i uderzywszy się w palce nóg o zepsutą komodę, pobiegł w stronę woni, śpiesznie przebierając po schodach żurawiovymi nogami. Gryzący dym wznosił się gniewnym promieniem z jednej strony patelni. Zahaczywszy widelcem nerkę, oderwał ją i obrócił, jak żółwia, na drugą stronę. Nie bardzo się przypaliła. Zepchnęła ją z patelni na talerzyk i polał brązowym sosem.

Teraz – filiżankę herbaty. Usiadł, ukroił i posmarował masłem kromkę chleba. Odciął przypalone mięso i rzucił je kotu. Potem podniósł do ust widelec z dużym kęsem i zaczął z zadumą żuć smaczne, jędrne mięso. Podsmażone tak jak trzeba. Łyk herbaty. Potem pokrajał chleb na kawałeczki, jeden z nich umoczył w sosie i włożył w usta. Co ona tam takiego pisze o studencie i pikniku? Rozłożył list przed sobą i zaczął czytać powoli, żując i maczając nowy kawałek chleba w sosie, podnosząc go ku ustom.

„Drogi Papsiu!

Dziękuję bardzo za cudny prezent urodzinowy. Bardzo mi do twarzy. Wszyscy mówią, że w nowym berecie jestem po prostu śliczna. Wspaniałe pudełko śmietankowych cukierków od Mamci także otrzymałam i mogę powiedzieć: wspaniałe. Bardzo mnie teraz interesuje fotografia. Mr Coghlan zrobił mi zdjęcie i jego żona pośle je wam, jak tylko będzie wywołane. Wczoraj mieliśmy mnóstwo roboty. Było święto i zjawiała się cała nasza banda. W poniedziałek zamierzamy udać się na piknik nad Owel. Pozdrów mamusię, a ciebie mocno całuję i dziękuję ci. Słyszę, jak na dole gra pianino. W sobotę w Grenville Arms będzie koncert. Czasem wieczorami przychodzi do nas młody student nazwiskiem Bannon, on ma stryjecznych braci czy coś w tym rodzaju i to są grube ryby, on śpiewa piosenkę Boylana (o mało nie napisałem Blazesa Boylana) o kąpiących się dziewczętach. Prześlij mu serdeczne pozdrowienia od głupiutkiej Milly. Kończę z głęboką miłością

Twoja kochająca córka
Milly

Ps. Wybacz brzydkie pismo, bardzo się śpieszyłam. Tymczasem.

M.” Wczoraj był piętnasty. To śmieszne, akurat piętnastego. Pierwszy raz urodziny poza domem. Rozłąka. Pamiętam ten letni dzień, kiedy się rodziła. Pobiegłem na Denzille Street, pukałem do Mrs Thornton. Rześka staruszka. Ileż niemowląt wyciągnęła na świat boży. Od razu zorientowała się, że biedny mały Rudy nie wyżyje. Bóg jest miłosierny, sir. Od razu się zorientowała. Gdyby żył, miałby teraz już jedenaście.

Smutno wpatrywał się w post scriptum. Twarz miał bez wyrazu. Wybacz brzydkie pismo. Śpieszyła się. Na dole gra pianino. Wykluwa się z jaja. Jakżeśmy pokłócili się w XL Café o bransoletkę. Nie tknęła ciastek, nie chciała rozmawiać, nie spojrzała. Bezwstydnicą. Umoczył w sosie jeszcze kilka kawałków chleba i kęs po kęsie zjadł nerkę. Dwanaście i sześć na tydzień. Nie tak wiele. Ale mogłoby być gorzej. Statystyka w musichallu. Młody student. Łyknął nieco wystygłej herbaty, aby popić jadło, potem przeczytał list dwukrotnie.

Nic to: ona wie, jak się ustrzec. A jeśli nie? Nie, nic się nie stało. Naturalnie, nie może się stać. W każdym razie należy poczekać do czasu. Obłąkana dziewczyna. Jak

smukłe wydają się jej nóżki, kiedy biegnie po schodach. Przeznaczenie. Teraz właśnie dojrzewa. Próżna: bardzo.

Wzruszony uśmiechnął się do kuchennego okna. Jak ją wtedy okryłem na ulicy – szczypała się w policzki, aby mieć rumieńce. Trochę niedokrwista. Za długo karmiono ją piersią. Albo wówczas, na *Królu Erynu*, w ten dzień dokoła Kisha. Przeklęta stara kufa ledwo się wlokła. I zupełnie się nie przestraszyła. Jej bladobłękitna szarfa unosiła się za wiatrem razem z włosami.

Dołki w policzkach i te kędziorki
Zawrócą w głowie od razu!

Dziewczęta kąpiące się. Rozdarta koperta. Ręce w kieszeniach, stangret śpiewa, mając wychodne. Przyjaciel rodziny. On wymawia: zawrócom. Molo i lampy, letni wieczór, kapela.

Ach te dziewczęta, ach te dziewczęta,
Te cudne dziewczęta w kąpieli...

Milly także. Pierwsze pocałunki młode. Dawno miniona przeszłość. Mrs Marion. Teraz leży na wznak, czyta, przebiera pasma włosów, uśmiecha się, splata je.

Lekki dreszcz współczucia przebiegł mu przez krzyże, wzmógł się. Będzie znowu, tak. Uprzedzić. Na próżno: nie ma rady. Słodkie jaskrawe wargi dziewczęce. Będzie znów. Poczuł, że dreszcz przenika całe jego ciało. Na próżno: nie ma na to rady. Wargi całowane, całujące, całowane. Pełne, lepkie wargi kobiece.

Dobrze, że ona jest tam, że wyjechała. Trzeba by ją zająć czymś. Chciała mieć psa dla zabicia czasu. Należałoby tam pojechać. W pierwszy poniedziałek września bank będzie zamknięty, bilet powrotny raptem dwa i sześć. Może dadzą dziennikarski bilet bezpłatny.

Kot, który wylizał już całe swoje futerko, wrócił do poplamionego mięsem papieru, obwąchał go i podszedł do drzwi. Odwrócił się i miauknął. Chce wyjść. Poczekaj u drzwi, otworzą się prędzej czy później. Niech czeka. Nie może usiedzieć na miejscu. Elektryczność. Burza wisi w powietrzu. Myje ucho, odwróciwszy się tyłem do ogona.

Uczuł się ociężałym, pełnym: potem kiszki z lekka rozluźniły się w nim. Wstał, rozpiął pasek od spodni. Kot miauknął ku niemu.

- Miau - odpowiedział - poczekaj, aż będę gotów.

Duszno: będzie upalny dzień. Nie warto iść na górę, na półpiętrze.

Gazeta. Lubił czytać w ustępie. Mam nadzieję, że nikt nie wlezie, zanim ja...

Wyszedł na ogród kuchennymi drzwiami: przystanął, aby posłuchać, co się dzieje w sąsiednim ogrodzie. Cisza. Pewno rozwiesza bieliznę, by wyschła. Służąca była w ogrodzie. Śliczny ranek.

Marcel Proust

LES PLAISIRS ET LES JOURS RÊVERIES COULEUR DU TEMPS

TUILERIES

W ogrodzie Tuileries tego ranka słońce zasypiało z wolna na każdym z kamiennych stopni jak jasnowłose młodzieniec, którego lekki sen przerywa także i przesunięcie się cienia. Na wprost starego pałacu zielenią się młode pędy. Tchnienie zaczarowanego wiatru wnosi w aromat przeszłości woń świeżą bzu. Posągi, które na placach miasta straszą jak obłąkani, tu, w bukowych alejach, pod lśniąca zielenią, która chroni ich białosc, podobne są mędrcom.

Baseny, na których dnie panoszy się błękit nieba, błyszczą jak spojrzenia. Z tarasu, znad wody widać huzara ze starej dzielnicy Quai d'Orsay na przeciwległym brzegu, jak wychodzi i przechodzi w inne czasy. Z urn obrzeżonych geraniami bujnie kipi powój. Rozpalony słońcem heliotrop kadzi swoimi zapachami. Malwy przed Louvrem strzeliły w górę lekkie jak maszty, szlachetne i smukłe jak kolumny, zarumienione jak młode dziewczęta. Skrzące się w słońcu i wzdychające z miłości wodotryski wznoszą się ku niebu. U krańca tarasu jeździec kamienny w szalonym galopie mknący na miejscu, przyciskając do ust róg radości, uosabia całą żarliwość Wiosny.

Lecz niebo ściemniało, deszcz będzie. Baseny, w których nie błyska już nawet strzępek lazuru, upodobnił się do oczu niewidzących lub urn pełnych łez. Bezsensowny wodotrysk, podcinany przez wiatr, wciąż szybciej i szybciej wznosi do niebios swój – tak śmieszny teraz – hymn. Bezżyteczna słodycz bzu to smutek niedokończony. A dalej rzucił cugle, przynaglając marmurowymi nogami konia pędzącego nieruchomym i przyprawiającym o zawrót głowy galopem, jeździec nieświadomy trąbi ustawicznie na tle czarnego nieba.

PRZYJAŻŃ

Tak słodko, gdyś smutny, zakopać się w ciepłe swego łóżka i zapomniawszy o napięciu woli, o wszelkich przeszkodach, głowę również ukrywszy pod kołdrą, oddać się całkowicie swemu cierpieniu, jęcząc jak konary na wicherze jesieni. Lecz istnieje też inne łóżko, lepsze, pełne boskich woni. To nasza słodka, nasza głęboka, nasza niedościgniona przyjaźń. Kiedy mi chłodno i smutno, otulam nią moje serce. Zakopując nawet myśl swą w naszą gorącą czułość, nie chłonąc poza tym nic z zewnątrz i nie chcąc już bronić się, bezbronny, ale przez cud naszej czułości znowu uzbrojony i niezwyciężony – płaczę z żalu i radości, że mam takiego, któremu mogę je powierzyć. POCHWAŁA ZŁEJ MUZYKI

Brzydziecie się złą muzyką, lecz nie lekceważcie jej. Bywa wykonywana częściej i z większym zapałem niż piękna i dlatego marzenia i łzy ludzkie nasyciły ją. Ceńcie ją za to. W dziejach człowieczych uczuć rola jej jest wyjątkowa, choć w historii sztuki tak mała. Szacunek – nie mówię o miłości – dla złej muzyki to nie tylko swoiste miłosierdzie dobrego smaku lub objaw sceptycyzmu. Nie, prócz tego szacunek ów świadczy o zrozumieniu wagi społecznej roli muzyki. Ileż to melodyj nie mających

znaczenia dla muzyka, ileż to takich melodyj jest powiernikiem uczuć tłumów romantycznych młodzików i zakochanych! Ileż *Złotych pierścieni*, których stronice co wieczora odwracają drżąc otoczone chwałą ręce i które rosą łzami najpiękniejsze w świecie oczy – a ich smutnym i słodkim darom rad byłby i wielki artysta – ileż „O, nie budź się...” to wypróbowani i natchnieni powiernicy, uszlachetniający cierpienie, sycący marzenie i za gorące wyznania uczynione przed nimi darzący oszałamiającą iluzją piękna!

Niekiedy nieznośna *ritornella*, której ucho znawcy i słyszeć nie chce, podbija tysiące dusz, strzeże tajemnicy tysiąca żywotów, bo pocieszyła je i dała im natchnienie, rozchylając karty na pulpicie pianina.

Niekiedy *arpeggio*, niekiedy uwertura zmuszają rajskie melodie lub głos ukochanej do zjawienia się w duszy wielu, bardzo wielu marzycieli. Zeszyt okropnych romansów, postrzępiony przy częstym użyciu, powinien wzruszać nas jak cmentarz. Cóż z tego, że na mogiłach wznoszą się niesmaczne nagrobki z inskrypcjami. Z prochu w wyobraźni pełnej współczucia i szacunku wzleci korowód dusz, trzymający w dziobie świeże jeszcze marzenie, które pozwala im radować się lub płakać na naszym padole.

OBCAS, NOSEK, RAZ, DWA, TRZY...

Pewnego wieczora Joe tak długo siedział, wsparłszy wzrok w białą kartkę papieru na maszynie do pisania, że ta biel zaczęła mu razić oczy. Wreszcie przysunął krzesło i zaczął pisać. Litery, postukując, zatańczyły na wałku i poprzez kartkę pobiegły słowa: „Żona: - Henryku, sprawdź czy drzwi zamknięto na noc...”

Joe zrobił odstęp i napisał: „Mąż”. Ale zanim jeszcze zdążył wystukać zjadliwą replikę, włożoną w usta męża, usłyszał, że ktoś skrobie po żelaznych prętach okiennej kraty. Odwrócił się wraz z krzesłem i ujrzał dwie ręce, trzymające pręty krat, a pomiędzy nimi twarzyczkę pomarszczoną, podobną do małpiej mordki.

- Czego? - zapytał Joe.

- Gospodarzu, jak trafić do jeziora? - powiedziała małpia mordeczka nie poruszając wargami. Odpowiedział:

- Idź dalej tą ulicą, to wyjdiesz nad jezioro. Trzeba minąć tylko trzy przecznice.

- A co to za ulica?

- Superiorstreet. East Superiorstreet - odrzekł Joe.

Włóczęga zdjął ręce z okiennej kraty i usiadł na schodkach tak, że głowa jego znalazła się na poziomie chodnika i okna suteryny. Teraz Joe spostrzegł, że kiedy tamten mówi, usta jego trochę poruszają się. Krzywiły się przy tym, jakby przytrzymując w kąciku warg cygaro. Włóczęga nie zamierzał odejść. Zamiast uczynić to, zaczął wyjaśniać tonem usprawiedliwienia.

- Na ogół nieźle znam Chicago, tylko nad jeziorem jakoś nie byłem dotąd. Chcę tam dziś pójść na nocleg. Jak myślisz, czy tam na brzegu są już ławki, aby się było można przespać?

- Naturalnie. Idź w górę wybrzeża, znajdziesz ich tam, ile zechcesz.

Joe odwrócił się i podszedł do maszyny. Włóczęga nie ruszył się z miejsca. Siedział nadal na schodkach, nieco przygarbiony. Joe drażniło, że tamten siedzi i zagląda do mieszkania; już chciał go przepędzić, gdy włóczęga zagadał:

- Co robisz, gospodarzu? Książkę piszesz?

- Nie. Piszę kalambury - odparł Joe. - Zarabiam pisząc kalambury dwuwierszowe.

Joe pysznił się tym, że zarabia na życie kalamburami. Włóczęga znowu zagadał, nie zwracając uwagi na to, co mówi Joe:

- Gospodarzu, wpuść mnie do mieszkania. Opowiem ci różne historie, a ty z tego potem książkę ułożysz.

- Historie?

- Rozmaite. Jakie tylko zechcesz.

Joe wstał, wyszedł do przedpokoju i otworzył zatrzask. Nie zdążył jeszcze otworzyć drzwi, gdy włóczęga zbiegł ze schodów i czekał, kiedy go Joe wpuści. Wchodząc nadeptał na kawałek sztukaterii, głośno trzeszczący na cementowej posadzce.

- Sza... - powiedział Joe. - Nie hałasuj. Gospodyni mieszka tuż, za ścianą. A jeżeli usłyszysz, że cię wpuściłem, to wyleje nas obu na bruk.

Gość szybko, lecz ostrożnie przeszedł przez pokój i mrużąc oczy przystanął pod żarówką. Przyjrawszy mu się przy świetle, Joe upewnił się, że nie ma się czego bać.

Włóczęga był chłopcem lat około szesnastu. Wygląd jego nie budził zaufania, ale poradzić sobie z nim nie byłoby tak trudno. Garbił się i odsuwał od siebie łokcie, jakby miał wrzody pod pachami. Okrągła, małpia mordeczka robiła miłe wrażenie, ale

powieka na prawym oku odchyłała się tylko do połowy. Natomiast lewe oko było czarne i lśniące jak żuk.*

Nie miałem jeszcze lat jedenastu, kiedy zacząłem rajzować. Staruszkowie moi mieszkali w maleńkim miasteczku w stanie Missouri. I teraz na pewno też tam mieszkają, jeśli nie umarli. Od tego czasu minęło sześć, a może i siedem lat. Mój stary mówił, że jeżeli kiedykolwiek ucieknę z domu, to on mnie wcale szukać nie będzie. Więc uciekłem. Wkrótce natknąłem się na Heavy Hendersona. Było to w stanie Idaho. Kiepsko mi się wówczas wiodło. Bez mocnego chłopca, który by mógł mnie obronić, trudno mi było się obejść.

Heavy był rostry, zgrabny i właśnie szukał pomocnika. Trafił na mnie i zaczęliśmy się włóczyć razem. Serce miał dobre, drugiego takiego już nie znajdę. Wszystko by dla mnie zrobił, tylko charakter miał taki okropny, nie ma czego ukrywać. Zawsze byłem krnąbrny i Heavy nielekko miał życie ze mną. No i często musiał mnie hiszpanką częstować. To od tego jestem taki poparzony.

- A... a... - powiedział Joe.

- A czy wiesz, co to takiego?

- Zdaje mi się, że wiem. Ale nie jestem pewny - odparł Joe.

- A co to takiego?

- Hiszpańska mucha to taki chrząszczyk. Jeśli rozduścis go na skórze, to piecze ciało jak ogień. Heavy często lał mi kwas na ręce i to również nazywał hiszpanką. Wystarczyło postawić się albo utaić coś z łupu, aby chwycił mnie za ręce i kapał kwasem. Podwójna korzyść. Po pierwsze ból o wiele silniejszy niż od bicia, a po drugie, kiedyś szedł do miasta na prześpiegi, to pokazywałem te rany kobietom i mówiłem, że się poparzył przy wybuchu, a teraz idę do domu, do rodziny. Skutkuje na pewniaka, a przy tym można i forsy złapać co nieco...

Próbowałem oddawać Heavy'emu, ale nie udawało się. To był silacz! Serce miał dobre i gotów jestem założyć się, że dla mnie poszedłby do samego piekła, ale, jak powiedziałem, burzył się bez miary. Jak nieraz zaczął się pieklić, to z rękami moimi robił diabli wiedzą co! Czasem zasłużyłem. Ale Heavy przeciągnął strunę. Niektóre rany dotychczas nie zagoiły mi się, a przecież ten balsam każdą ranę leczy...

Mimo wszystko poważalem go bardzo i lubiłem nawet. Lepszego gospodarza trudno było sobie życzyć. Nie bał się nikogo. Jak jeden chłopak złapał mnie za kark, to go tak walnął w mordę!... Lubiłem Heavy'ego, i to bardzo, ale naprawdę zrozumiałem to, kiedy było już za późno.

A zdarzyło się to tak. Pewnego wieczora - to było w Dakocie - Heavy nachlał się spirytusu. Tu u was może spirytus mocny, ale gdzie mu tam do tamtejszego! Jeden chłopak w moich oczach popił trochę, a za godzinę nogi wyciągnął. Oczywiście, Heavy'emu od tego nic się nie stało. To był chłop! Gaarbowane gardło! Czekaliśmy na pociąg i Heavy trzymał się znakomicie.

Pamiętam jak dziś. Księżyc świeci, a my leżymy sobie koło pompy, czekamy na pośpieszny. Krople z kranu śmiesznie cmokają, spadając na biały żwir. Tam, gdzie nie ma cienia, wszystko jakby srebrne od księżyca. Heavy przytulił się do słupa tej pompy i wyśpiewuje na całe gardło. Wkrótce usłyszeliśmy, że w oddali pociąg na szynach wypuszcza parę. Nie wiem, czyś widział, kiedy pociąg w periach... Bo pierwsze, co można zauważyć, to długie pasma białego blasku na szynach. Szumu nie słycać zupełnie, tylko biały blask i cisza. To bardzo ładne. Coś jak historie z Biblii, które mi matka czytywała... Potem, po małej chwilce, zaczynasz odróżniać stukot kół. Zaraz potem, kiedy pociąg zaczyna się zbliżać, mrok ożywia się i drży od

tego stukotu.*

Wiesz pewno, jak są urządzone zderzaki towarowych wagonów: haki są umocowane w występach, które sterczą akurat na tyle, że można na nich usiąść. Heavy jechał między dwoma wagonami, usiadłszy na zderzaku, a nogi umieściwszy na łańcuchu.

Zsunąłem się do niego. Co do mnie, to ulokowałem się na dachu, tuż nad nim i postanowiłem nie spuszczać zeń oczu. Zdaje się, że się jednak zdrzemnąłem i nigdy sobie tego nie daruję! Nagle ocknąłem się. Rozbudził mnie krzyk Heavy'ego.

Zasnął, noga mu się obsunęła i uwięzła między hakami. Wagonami targnęło, a wówczas haki się zbliżyły i zgmiotły Heavy'emu piętę. Dotknąłem jego trzewika – był we krwi. Zamiast stopy – kasza. Boże, jak się przeraziłem wtedy! Trzeba było zatrzymać pociąg. Przecież Heavy był dla mnie jak ojciec! Tak się przestraszyłem, że nie chciałem nawet myśleć o tym, co się stało. Wdrapałem się z powrotem na górę i pobiegłem po dachach ku parowozowi. I dziwna rzecz: w tejże chwili uwięzła mi w głowie jedna rzecz, od której dotychczas nie mogę się odczepić...

*

A uciekłem z domu oto dlaczego: tej wiosny, kiedym uciekł, uczono nas, dzieci szkolnych, tańca, bo przygotowywano jakieś przedstawienie. To znaczy próbowano mnie również uczyć, podobnie jak innych, ale według mego zdania to dobre dla dziewczynek, co do mnie, to nie znoszę takich bzdur. Nie chciałem tańczyć. Obito mnie za to. A stary mój zawsze mówił, że jeśli mnie w szkole obiją, to w domu on mi doda drugie tyle... i jeśli się brał do tego, rzecz pewna, bił, mało nie zatłukł. Dlatego też nie wróciłem do domu. Uciekłem z miasteczka.

I tego tylko brakowało, aby ów głupi motyw z nauki tańca w szkółce przyplątał się i nie wychodził mi z głowy przez cały czas, gdy biegłem jak oparzony po dachach wagonów do parowozu: obcas, nasek, raz, dwa, trzy... obcas, nasek, raz, dwa, trzy... tak się składało, że akurat kubek w kubek, gdy dobiegałem do końca wagonu, wypadało: trzy, sięgałem po następny i zaczynałem na nowo: obcas, nasek, raz, dwa, trzy... Wydawało mi się, że nigdy w życiu nie widziałem tak długiego pociągu i że do parowozu w ogóle nie dobiegnę. Nareszcie jednak dostałem się tam, przelazłem przez węgiel z jękiem i rykiem, potem jak nieprzytomny skoczyłem do budki maszynisty.

Ani rusz nie mogli zrozumieć, o co chodzi, lecz pociąg zatrzymali. Hamulcowy zeskoczył z pociągu i pobiegł wraz ze mną wzdłuż szyn. Nareszcie znaleźliśmy ów wagon. Heavy jęczał i kłął. Przy każdym jego jęku zdawało mi się, że krajają mnie brzytwą na kawałki. Ściągnęliśmy Heavy'ego stamtąd i przeniesiono go do służbowego wagonu. A ja powlokłem się za konduktorem i kierownikiem, a przy każdym kroku jedno z tych słów: obcas, nasek, raz, dwa, trzy – wystukiwało mi się w głowie. Nie przestawałem ich słyszeć ani na minutę.

A kiedy pociąg znowu ruszył, zdawało mi się, że koła stukają: obcas, nasek, raz, dwa, trzy...

Wieźli nas tak jeszcze z 15 kilometrów i wyładowali w maleńkim miasteczku, abym Heavy'ego odstawił do doktora. Nie wiem, jak mi się udało w nocy dobrnąć do tego oprawcy – byłem przecież jak obłąkany. Widocznie ten, do którego trafiłem, to był konował, bo spojrzawszy na zdruzgotaną piętę Heavy'ego powiedział: Hm, rdza się dostała. Trzeba będzie rznąć.

Nałożył mu na twarz całą maskę i pouczył mnie, jak mam łąć eter. Zacząłem łąć, a w głowie wraz z opadem kropel stukąło mi: Obcas, nasek, raz, dwa, trzy... Po kilku minutach oprawca zaczął pić. Gdy rozsunął brzegi rany, ujrąłem białą kość. Piła sunęła wzdłuż – zzzz!... a ja mówiłem w myśli: obcas. Zzz – piła cofała się, a ja mówiłem: nasek. A potem – zzz... i ja odliczałem: raz – dwa – trzy... Wówczas jednak również straciłem przytomność. W nocy czułem się bardzo źle, mimo to zasnąłem jakoś na kozetce, która stała w poczekalni. A nazajutrz, kiedy się obudziłem, oprawca powiedział mi, że Heavy umarł. Zapewniano mnie, że się udusił. Nie wiem. Nie płakałem. Leżałem milcząc, a ten idiotyczny motyw nie opuszczał mej głowy.

Pochowano Heavy'ego tegoż dnia.*

Kiedy podszedł do drzwi, Joe powiedział:

- No, do widzenia, kiedy tak.

- Do widzenia, gospodarzu. No, czy potrafisz coś spitrasić z moich opowieści?

- Pewno! – odpowiedział Joe. Niezwykłe opowieści. Można by z nich całą książkę spitrasić. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- No, do widzenia, gospodarzu. Porządny z ciebie chłop.

Kłapnęły drzwi wejściowe. Joe usłyszał, jak tamten stąpnął na dolny stopień schodków. Potem pauza. Potem krok. Nowa pauza. Potem jeden za drugim trzy szybkie kroki i gość wyszedł na chodnik uliczny. Joe podszedł do maszyny i wyrwał z niej kartkę z nie dopisaną odpowiedzią męża. Zmiał papier w kłębek i rzucił na podłogę. Potem usiadł, wsunął czystą kartkę i zaczął śpiesznie pisać: „Dobra, starsza pani: Biedaku, cóż mogło was doprowadzić do tak okropnego stanu?”

Joe zrobił odstęp i napisał: „Włóczęga”. Zatrzymał się, obmyślając zjadliwą odpowiedź włóczęgi.

Kroki, które było słycać z cichej, słabo oświetlonej ulicy, stawały się coraz bardziej głucho.

KOMENTARZ

I

Teraz, gdyś odeszła... Tekst drukowany po raz pierwszy według rękopisu, zachowanego w papierach po W. Gralewskim (obecnie znajduje się w Muzeum J. Czechowicza). Opatrzony jest on datą: „Grudzień 1922”. Tytuł, stanowiący incipit tekstu, pochodzi od wydawcy.

Gdy piszę to... Tekst ten pochodzi z brulionu młodzieńczej prozy Czechowicza. Brulion ten stanowi liliowany zeszyt szkolny, w którym autor zapisał 10 kartek, a cztery pozostały czyste. Ponieważ Czechowicz pomieścił w nim kilka utworów, każdy z nich u dołu otrzymał własną numerację stron. Fragment ten, pierwszy w kolejności, mimo pewnego pokrewieństwa z utworami następnymi, stanowi zapewne osobną całość. Powstał około grudnia 1922 r., ponieważ ta data znajduje się pod jednym z następnych utworów. Tytuł – od pierwszych słów tekstu – pochodzi od wydawcy. Tekst utworu ogłosił wraz z notą edytorską J. Zięba w publikacji pt. *Nieznane młodzieńcze opowiadania Józefa Czechowicza*, „Kamena” 1973, nr 5.

W moim sercu. Utwór ten – bez tytułu – znajduje się na drugim miejscu we wspomnianym brulionie. Pod tekstem znajduje się dopisany ołówkiem przez poetę plan projektowanej całości, obejmującej następujące tytuły:

1. *W moim sercu*
2. *Purpurowe: Nelly, Anna, Ola*
3. *Epoka sławy*
4. *Akord ostatni*

Trudno powiedzieć zresztą, czy miała to być pewna całość, czy też tyłkoustalał w ten sposób autor kolejność pisanych utworów. *Epoka sławy* i *Akord ostatni* nie zachowały się, albo też ich Czechowicz w ogóle nie napisał. Początek tekstu pozwala go utożsamiać z utworem, któremu we wspomnianym spisie dał pisarz tytuł *W moim sercu*. Tekst ogłosił J. Zięba w publikacji pt. *Nieznane młodzieńcze opowiadania Józefa Czechowicza*.

Purpurowa. Tekst pochodzi ze wspomnianego zeszytu (zob. informacje do tekstu *Gdy piszę to...*). Według notatki Czechowicza miał to być tryptyk obejmujący następujące części: *Nelly*, *Anna* i *Ola*. W realizacji autor dał poszczególnym częściom inną kolejność. Pierwszą część stanowi *Anna*, której poszczególne fragmenty otrzymały osobną numerację, a fragment drugi podtytuł *Jak Jasiński grał Hance*. Pod rękopisem *Anny* znajduje się adnotacja: „XII – 1922”. Natomiast cz. II *Purpurowego* nosi tytuł *Nelly* i opatrzona została na końcu rękopisu datą: „IX – 1923”. W tej części utworu Czechowicz wykorzystał w zmienionej postaci czwarty fragment opowiadania *Teraz, gdyś odeszła* z grudnia 1922 r.

Zeszyt Czechowicza zawiera w pewnych odstępach jeszcze dwa tytuły: *Ola* i *Lazurowe serce*. Pierwszy miał wchodzić do całości zatytułowanej *Purpurowe*, natomiast trudno powiedzieć, czy *Lazurowe serce* miało również do niej należeć, czy też miał to być utwór zupełnie samoistny. Jego tekst ogłosił J. Zięba we wspomnianej publikacji. *Opowieść o papierowej koronie* – prwdr. „Reflektor” 1923, nr 1 (czerwiec). Przedruk: „Kamena” 1960, nr 1, 2. Utwór ten wskutek przeoczenia ukazał się w „Reflektorze” bez nazwiska autora (zob. K. Bielski, *Most nad czasem*, Lublin 1963, s.

Opowieść o Hiramie Czarnoksiężniku (fragmenty). Są to urywki utworu, który pierwotnie miał tytuł *Henryk* (pojawia się on w listach do W. Gralewskiego z 14 V oraz 5 VI 1923), a następnie *Hiram* (wzmianka w liście do tegoż adresata z ok. 16 VI 1923, zob. J. Czechowicz, *Listy*, oprac. T. Kłak, Lublin 1977, s. 30-41). Nie jest rzeczą wykluczoną, iż były to skrócone tytuły, bowiem W. Gralewski (*Stalowa tęcza*, Warszawa 1968, s. 9) posługuje się zarówno tytułem *Hiram*, jak i rozwiniętym: *Opowieść o Hiramie Czarnoksiężniku*. Tę ostatnią wersję przyjęto i tutaj, a przemawia za tym również i to, iż utwór ten uznawał Czechowicz za „ciąg dalszy żywota i duszy Henryka Lignickiego”. (*Listy*, s. 31), głównego bohatera *O p o w i e ś c i* [podkr. T. K.] *o papierowej koronie*. Świadectwem tego był plan utworu o Henryku, obejmujący następujące części:

- I – *Opowieść o papierowej koronie*
- II – *Hymny Henryka o Złotolicym*
- III – *Dzieje bajeczne*
- IV – *Misterium – Co się komu w duszy gra...*
- V – *Droga w nieznanie*

Drukowane tu fragmenty, zachowane w archiwum W. Gralewskiego (obecnie w Muzeum J. Czechowicz) pochodzą najpewniej z części trzeciej utworu, z tej też części pochodzi poniższy urywek, dołączony do listu Czechowicza do Gralewskiego z 5 VI 1923 (*Listy*, s. 36-37):

„Na trasie było duszno od ciężkich zapachów, bijących z dolnego ogrodu. Noc księżycowa czerniała się na wysokim niebie. Błękitne i seledynowe gwiazdy spadały deszczem nieustannym.

Olbrzymie, szklane drzwi, płonące szkarłatnym blaskiem gasnącego już kominka, patrzyły na taras i w noc ciemną, na wierzchoły klonów, lip i czeremch. A gdzieś, na dalekim jeziorze, muzycznym rytmem śpiewały ciche fale. Ja zaś, przymknąwszy oczy, marzyłem, że widzę, jak czarna toń kołysze nenufary pachnące pod gwiazdami.

Obok mnie, zatopieni w głębokich fotelach, słuchali ciszy nocnej moi przyjaciele. Milczeliśmy wszyscy jak ta noc.

Potem przyszła ona. Stała wśród nas jak czarny cień na ognistym tle drzwi. Słuchała przez chwilę naszych dusz, wreszcie przyszła ku nam i siadła na tronie. Gdy szła, gronostaje jaśniały w ciemności, a srebrne, długie aż do ziemi kosy szeleściły jak liście jesienne.

Cała była jesienna i smutna, oczy miała tęskne jak wrzosowiska, zaś dłonie tak białomartwe jak półksiężyce. Lecz teraz nie widzieliśmy jej.

Zacząła swą opowieść głosem spod wołyńskiego rozstajnego krzyża. Gwiazdy ginące przeciągały po czarnym niebie jak struny. A na tych złotych pasach ona przygrywała sobie niekiedy milczeniem”. *Grudniowy marsz* – prwdr. w: *W dziesiątą rocznicę czynu legionowego*. Jednodniówka, Lublin 1924, s. 3.

Dawne dni – prwdr. „*Nowe Życie*” 1925, nr 4 z 1 VII pod pseudonimem Józef Leśniewicz.

W tawernie – prwdr. „*Okolica Poetów*” 1935, nr 9 z 15 XII. Przedruk: „*Akcent*” 1983, nr 2, s. 24-27.

W maju – prwdr. „*Okolica Poetów*” 1935, nr 9 z 15 XII. Przedruk: „*Akcent*” 1983, nr 2,

s. 22-24.

Rodzina – opowiadanie drukowane w „Pionie” 1937, nr 7 z 18 II oraz w „Studio” 1937, nr 10/12 (styczeń-marzec), w redakcji nieco pełniejszej i ona stała się podstawą niniejszego przedruku. Na podstawie tekstu w „Pionie” przejęto jedynie kilka drobnych poprawek. Przedruk: „Akcent” 1983, nr 2, s. 19-22.

Koła Archimedesesa – prwdr. „Apel”, nr 2, dodatek do „Kurierza Porannego” 1937, nr 274 z 3 X. Przedruk: „Akcent” 1982, nr 4, s. 7-11.

„*Sektanci*” albo „*Matka*” – prwdr. „Apel”, nr 6, dodatek do „Kurierza Porannego” 1937, nr 302 z 31 X. Przedruk: „Akcent” 1982, nr 4, s. 11-17.

Bajka dla pani St. H. – prwdr. „Czas” 1937, nr 319 z 21 XI. Przedruk: „Akcent” 1982, nr 4, s. 23-25. St. H. – Stanisława z G o z d e c k i c h H o r z y c o w a, żona krytyka, reżysera teatralnego i redaktora „Drogi”, Wilhelma Horzycy, zaprzyjaźnionego z Czechowiczem, S. Horzycowej dedykował Czechowicz także wiersz *pontorson z ballady z tamtej strony*.

Lelela – prwdr. „Apel”, nr 11, dodatek do „Kurierza Porannego” 1937, nr 337 z 5 XII. Końcowe zdanie tego utworu: „Lecz pod kwiatami nie było dna”, jak zresztą cały ten obraz, nawiązuje do młodzieńczego tekstu pt. *Nelly* z cyklu *Purpurowe*, gdzie znajduje się podobne ujęcie: „Pod masą kwiatów nie było gruntu... Przedarłszy się przez nie, pograżyłem się w otchłani bez dna... bez dna...” Motywem tym rozpoczął także Czechowicz wiersz *modlitwa żałobna* z tomu *nuta człowiecza*:

że pod kwiatami nie było dna
to wiemy wiemy

Wody niebios i ziemi – prwdr. „Wołyń” 1937, nr 52 z 26 XII, w kolumnie „Literatura i Sztuka”.

Wagon nr 16773 – prwdr. „Apel”, nr 20, dodatek do „Kurierza Porannego” 1938, nr 37 z 6 II. Przedruk: „Akcent” 1982, nr 4, s. 17-23.

Po latach. Nowela – prwdr. „Zwierciadło” 1983, nr 3 (marzec).

Bajka dla pani M. W. – prwdr. „Czas” 1938, nr 146 z 29 V. Przedruk: „Akcent” 1982, nr 4, s. 25-28. Pani M. W. – Maria z M a ć k o w s k i c h W y d r o w a (zm. 1961), zaprzyjaźniona z Czechowiczem żona jego przyjaciela, malarza Jana Wydry (1902-1937). Dedykował jej wcześniej poeta wiersz pt. *śpiewny pocałunek* z tomu *w błyskawicy*.

Pierścionek z majoliki. Bajka dla pani I. Śl. – prwdr. „Czas” 1938, nr 235 z 28 VIII. Przedruk: „Akcent” 1982, nr 4, s. 28-31. I. Śl. – Michalina (zdrobniale Inka) Ś l i w i c k a, córka Daniela Śliwickiego, redaktora „Ziemi Lubelskiej”. Czechowicz był z nią zaprzyjaźniony i drukował jej recenzje w redagowanym przez siebie „Miesięczniku Literatury i Sztuki”.

Litery – prwdr. *Księga pamiątkowa na 90-lecie dziennika „Czas”*, Kraków 1938, s. 138-140.

Zaduszki – prwdr. [w:] B. Kubski, F. A. Ossendowski, J. Czechowicz, M. Kotarbiński, *Wypisy polskie dla VI klasy szkół powszechnych 3 stopnia*, Lwów 1938, s. 27-32.

W miasteczku nad wodą – prwdr. „*Kamena*” 1966, nr 24. Tekst opowiadania opublikował T. Kłak (nota nie podpisana wskutek niedopatrzenia redakcji) na podstawie rękopisu zachowanego u Bronisławy z Kołodyńskich Mossego, kuzynki poety, ofiarowanego następnie do Muzeum J. Czechowicza. Opowiadanie to, jak zdaje się wskazywać umieszczona na pierwszej stronie rękopisu rzymska siódemka, przeznaczone było do wypisów szkolnych dla VII klasy szkoły powszechnej. W latach 1937-1939 Czechowicz współpracował wraz z B. Kubskim, M. Kotarbińskim, A. E. Ossendowskim i innymi przy układaniu wypisów dla różnych klas szkół powszechnych.

Ludzie, konie, deszcz... Wspomnienie z 1920 r. – prwdr. „*Na Szerokim Świecie*” 1939, nr 4, 5 z 22 i 29 I. Maszynopis utworu wraz ze skreśleniami i poprawkami autora znajduje się w Muzeum J. Czechowicza.

Koń rydzy – prwdr. „*Czas*” 1939, nr 36 z 5 II. Przedruk: „*Akcent*” 1938, nr 2, s. 7-13. Strofy poprzedzające każdą z części opowiadania zostały wyodrębnione, a następnie scalone w tekst opatrzone tytułem *Koń rydzy (wstawki poetyckie)* i opatrzone jako osobny utwór w tomie Czechowicza *Wiersze*, Lublin 1963, s. 271. *Kwiatek (wspomnienie z 1920 roku)* – prwdr. „*Na Szerokim Świecie*” 1939, nr 10 z 9 III. Przedruk: „*Akcent*” 1983, nr 2, s. 13-19.

Smutny felieton. Pada deszcz – prwdr. „*Czas*” 1939, nr 71 z 12 III.

Jama – prwdr. „*Pion*” 1939, nr 14/15 i 16 z 9 oraz 16-23 IV. Przedruk w tomie: *Z teki dwudziestolecia. Opowiadania*, Warszawa 1959, s. 169-200.

Opowiadanie to w kształcie słuchowiska zostało nadane 8 XI 1979 w Teatrze Polskiego Radia w ramach Studia Współczesnego wraz z tryptykiem słuchowiskowym pt. *Chwila poetycka*, opartym również na tekstach Czechowicza. Adaptacji *Jamy* dokonała Krystyna Nowicka, reżyserował Edward Płaczek, realizacja akustyczna była dziełem Stanisławy Grotowskiej. Obsada wyglądała następująco: Kiryk – Damian Damięcki, Iwa, babka Kiryka – Seweryna Broniszówna, Sławczyk – Janusz Bukowski, Hnat – Marian Kociniak, Żołnierz – Bogusz Bilewski, Głos Anioła – Zofia Mrozowska. Było to już nagranie archiwalne.

Dwa kierunki – prwdr. „*Czas*” 1939, nr 125 z 7 V.

Ludzie w jarze. Wspomnienie z r. 1920 prwdr. „*Na Szerokim Świecie*” 1939, nr 219 z 7 V.

Bitwa i po bitwie – prwdr. „*Myśl Polska*” 1939, nr 10 z 15- 30 V.

Felieton o koniu – prwdr. „*Czas*” 1939, nr 173 z 25 VI. Przedrukowany w „*Kamienie*” 1956, nr 9 na podstawie kopii maszynopisu z poprawkami autora, znajdującej się

obecnie w Muzeum J. Czechowicza. Pytania i odpowiedzi – prwdr. „Czas” 1939, nr 208 z 30 VII. W „Kamienie” 1960, nr 10 wydrukowano ten tekst, opierając się na kopii maszynopisu, zachowanej w zbiorach W. Mrozowskiego, obecnie znajdującej się w Muzeum J. Czechowicza. Maszynopis ten zawiera skreślenia i poprawki autora. Zniekształcenie tekstu w pierwodruku, wynikłe z wadliwego składu drukarskiego, usunięto na podstawie tej właśnie kopii.

Samotnicy (fragment z powieści *Podróż do Lublina*) – prwdr. „Kurier Literacko-Naukowy” 1939, nr 29 z 17 VII. II *Kościół na Zamku w Lublinie* – prwdr. „Przegląd Lubelsko-Kresowy” 1925, nr 4 z lutego.

Lublin – miastem legend – prwdr. „Kurier Literacko-Naukowy” 1930, nr 6 z 3 II. Tytuł poprzedzał nadtytuł: *Z Polski i o Polsce* oraz „tezy” artykułu: „Dzieje powstania miasta. – Kościół św. Michała. – Tajemniczy wóz ze skarbem. – Król jednej nocy. – Sąd diabelski. – Cudowny obraz M. Boskiej” i data: „Kraków, 2 lutego”. Z całą pewnością pochodzą one od redakcji, podobnie jak i wiele wyróżnień kursywą, nie spotykanych w praktyce pisarskiej Czechowicza, natomiast często stosowanych przy druku „Kuriera Literacko-Naukowego” oraz „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, do którego był on dodatkiem. Fragment o Szocie Wahlu wydrukowany był w postaci rozszerzonej pt. *Król jednej nocy*, „Express Lubelski i Wołyński” 1933 z 15 I, oraz przedrukowany w „Kamienie” 1963, nr 23/24 z notą WG (tj. Wacława Gralewskiego). Oto jego tekst:

„Parząc na basztę Zamku lubelskiego i niski a długi masyw jego murów, trudno jest pogodzić się z faktem, że dawne siedlisko chwały, gniazdo królów, siedziba Długosza, jest dzisiaj miejscem hańby i kaźni.

Zamek jak okręt wznosi się nad falą łamanych dachów Podzamcza. Majestatyczny i groźny, niejedno widział i niejedno zapewne przetrwał.

Wśród starych Żydów utrzymuje się legenda, że widział nawet pewnej nocy króla żydowskiego.

Miało to być tak:

W ciepły wieczór lipcowy umarł na Podhalu ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August. Pierwsza wolna elekcja zwoływana to do Knyszowa, to na polach między Bystrzyną a Lublinem, to znów w Środzie i Kaskach jakoś nie dawała rezultatu. Rok Pński 157 dobiegał końca, a w kraju trwało bezkrólewie.

Pewnego dnia gromada mieszczan i Żydów lubelskich udała się do wielkiego uczonego w Piśmie, a zarazem słynnego na całą Polskę bogacza Szola Wahla z zapytaniem, kto będzie królem. Wahl namyślał się długo i po namyśle wyrzekł własne nazwisko: «Wahl».

A słowo «Wahl» znaczy po niemiecku i po żydowsku «wybierajcie».

A tłum, znając Szola Wahla jako człowieka prawego, zrozumiał rzecz inaczej. Błysty pochodnie i oto poprowadzono na Zamek w triumfie nowego króla polskiego. Rządy jego trwały jednak tylko jedną noc, bowiem nad ranem przemaszerowało wojsko z kasztelanem lubelskim i zajęło Zamek Królewski.

Faktem jest, że Szol Wahl (właściwe nazwisko Szol ben Juda Katzennellenbogen) był za czasów Batorego i Zygmunta Wazy w wielkich łaskach, że często bywał u dworu oraz że dostąpił zaszczytu wypożyczenia pieniędzy tym monarchom, za co miał puszczone w pacht starostwo brzesko-litewskie.

Z czynów historycznych owego Szola Wahla wymienić by należało założenie starej synagogi w Lublinie oraz wyjednanie u króla przywileju na założenie «jeszywotu»,

czyli szkoły rabinackiej w tym mieście.

Król jednej nocy umarł w roku 1617, syt zaszczytów, wiedzy i bogactw". W istocie chodzi o Saula Wahla, o którym pisze M. Balaban, *Die Judenstaat von Lublin*, Berlin 1919, s. 89-90. W tekstach Czechowicza pozostawia się pisownię imienia bez zmian. *Miasto umarłych* – prwdr. pt. *Kraina grobów*, „Ziemia Lubelska” 1930, nr 296 z 1 XI pod kryptonimem R. H., przedruk: *Miasto umarłych*, „Kurier Lubelski” 1932, nr 69 z 9 III pod kryptonimem j. cz.

Słowa o Lublinie – dawnym mieście – prwdr. „Ziemia Lubelska” 1931, nr 25 z 26 I. Tekst podpisany kryptonimem J.C.

Wspomnienie – prwdr. pt. *Wspomnienie z bruku paryskiego*, „Kurier Lubelski” 1932, nr 5 z 5 I, pod kryptonimem J. C. W wersji rozszerzonej i z pewnymi zmianami oraz pod różnymi tytułami przedrukował Czechowicz ten tekst jeszcze trzy razy: *Wspomnienie*, „Zet” 1933, nr 5; *Wspomnienie o Norwidzie*, „Polskie Państwo Pracy” 1935, nr 11; *Wspomnienie*, „Miesięcznik Literatury i Sztuki” 1935, nr 5 (styczeń). Podstawą przedruku stała się ostatnia wersja tekstu.

Dawne pieśni młynkowskie – prwdr. „Kurier Lubelski” 1932, nr 17 z 17 I, pod kryptonimem J. C. Rękopis znajduje się w Muzeum J. Czechowicza. Pisownię tekstów pieśni oparto na autografie artykułu.

Gwara ulicy lubelskiej – prwdr. pt. *Legion ulicy i jego gwara*, „Trybuna” 1932, nr 4 z 20 IV, przedruk pod zmienionym tytułem w „Kurierze Lubelskim” 1932, nr 285 z 16 X, na którym opiera się niniejsza edycja.

Młynkowskie przyśpiewania – prwdr. „Ognisko Nauczycielskie” 1932, nr 6 (czerwiec), s. 221.

Z cyklu „*Słodka Francja*” – na cykl ten złożyły się utwory poetyckie i pisane prozą, drukowane uprzednio jako teksty samoistne. Podstawą przedruku jest tekst publikowany w „Miesięczniku Literatury i Sztuki” 1932, nr 2 (październik), obejmujący cztery części: I. *Rouen – okrutne miasto*, II. *Deszcz w Concarneau*, III. *Z Mont Saint Michel*, IV. *pontorson*. Części II i IV to wiersze, którym Czechowicz dał zapis prozatorski. A oto pierwodruki poszczególnych utworów: *Deszcz w Concarneau*, „Ziemia Lubelska” 1930, nr 295; *pontorson*, „Droga” 1930, nr 6; *Z Mont Saint Michel*, „Kamena” 1935, nr 10. *Deszcz w Concarneau* i *pontorson* weszły do tomu *ballada z tamtej strony*. Cz. I i III przedrukował autor pt. *O słodkiej Francji*, „Pion” 1937, nr 11, natomiast cz. I wydrukowano po śmierci poety pt. *Z cyklu: O słodkiej Francji. Rouen – okrutne miasto*, „Gazeta Lubelska” 1947, nr 52.

Dawna chwila – prwdr. „Kurier Poranny” 1936, nr 131 z 12 V. U góry po prawej stronie data: „Lublin w maju”. Przedruk [w:] *Wystawa ku czci Marszałka Piłsudskiego. Pamiątki, książki i grafiki. Prace plastyków legionistów*, Lublin 1936, s. 17-19.

Kościół niewidzialny tekst oparto na wycinku z czasopisma (1936) bez dokładnego adresu bibliograficznego. Kopia maszynopisu znajduje się w Muzeum J. Czechowicza.

O mieście rodzinnym Lublinie – prwdr. „Express Lubelski i Wołyński” 1939, 4 VI,

opublikowany niewątpliwie w związku z organizowanymi w dniach 3-11 czerwca Dniami Lublina, w których Czechowicz wziął osobisty udział. Pod tekstem pierwodruku znajduje się data: „1938 r.”. III *Notatki pamiętnikowe 1920 roku* – prwdr. „Kamena” 1966, nr 16, jako fragment większej całości pt. *Z dzienników i wspomnień*, poprzedzonej artykułem T. Kłaka *Czechowicz: wstęp do autobiografii*. Tekst ten znajduje się w papierach po poecie, które od W. Mrozowskiego przejęło Muzeum J. Czechowicza. Dziennik zachował się w odpisie maszynowym wraz z innymi materiałami o charakterze autobiograficznym. Składają się nań: 6 kartonów o wymiarach papieru maszynowego z notatkami zatytułowanymi Fakty, dotyczącymi rodziny poety, wspomnień z dzieciństwa i lat szkolnych oraz dziennik z 1920 i 1922 r. Wszystkie karty, zapisane jednostronnie, mają numerację 1-10, nie wiadomo jednak, czy pochodzi ona od autora, czy też spod ręki W. Mrozowskiego. W tej sytuacji trudno całość tę traktować jako jednolitą kompozycję. Wprawdzie układa się ona z grubsza w poprawny ciąg chronologiczny, ale obejmuje materiał z różnych okresów i o odmiennym charakterze. Za przyjętym stanowiskiem przemawia fakt, że poeta nie włączył tu dziennika z 1926 r. oraz że dziennik z 1920. przepisany był na innym papierze. Na arkuszach kartonowych pisał w tym czasie Czechowicz także inne swoje teksty. Z tych względów potraktowano fakty oraz oba dzienniki jako autonomiczne całości i włączono je do niniejszego tomu zgodnie z chronologią ich powstania.

Przypomnienie tamtych dni (Z notatnika studenta-ochotnika) – prwdr. „Państwo Pracy” 1933, nr 37 z 12 XI w kolumnie literackiej „Kohorta” pod pseudonimem w piśmie „Wołyń” 1935, nr 12. Jest to zapewne przepracowany tekst nie zachowanego fragmentu dziennika z 1920 r., bądź tylko stylizacja na dziennik, bowiem jego treść nie pokrywa się z kalendarzem wydarzeń z tego roku, w jakich Czechowicz uczestniczył. Dziennik stanowił lakoniczny i rzeczowy zapis zdarzeń i faktów, tu zaś mamy do czynienia już z tekstem o ambicjach literackich.

Z dziennika 1922 – prwdr. jako fragment publikacji *Z dzienników i wspomnień*. Jest to dziennik z okresu pracy nauczycielskiej w Słobódce na Wileńszczyźnie, gdzie Czechowicz był nauczycielem od 1 X 1921 do 1 III 1923. Nie wiadomo, czy tekst ten stanowi zamkniętą całość, czy tylko zachowany fragment dziennika. Motywy biograficzne, zawarte tutaj, zbieżne są z niektórymi motywami *Opowieści o papierowej koronie* z 1923 r. Tytuł pochodzi od wydawcy.

Z dziennika 1926 r. – prwdr. pt. *Dziennik nauczyciela*, „Kamena” 1968, nr 3 z notą edytorską J. Zięby. Czechowicz zaczął pracować w Szkole Specjalnej w Lublinie od 1 IX 1926. Rękopis dziennika znajduje się w Muzeum J. Czechowicza, obejmuje 16 nie numerowanych, jednostronnie zapisanych kart szkolnego zeszytu, pozostała część została oddarta. Tekst urywa się u góry stronicy, można więc przepuszczać, że nie miał on kontynuacji. Tytuł pochodzi od wydawcy.

Fakty – prwdr. w publikacji *Z dzienników i wspomnień* w nieco innym układzie. Oryginalny maszynopis znajduje się w Muzeum J. Czechowicza. Tekst ten pisany był na 6 arkuszach kartonowego papieru, jednostronnie, każdy opatrzony został tytułem *Fakty*. Układ tekstu jest w niniejszym przedruku zgodny z numeracją arkuszy, nie wiadomo jednak, czy dokonał jej autor, czy też W. Mrozowski. Jak świadczy wzmianka w tekście, powstał on wkrótce po śmierci matki poety, a więc najpewniej wiosną lub latem 1936 r., kiedy to Czechowicz przebywał w Lublinie przez dłuższy czas. Wtedy

chyba przeprowadził związane z pisaniem tego tekstu badania w archiwach parafialnych, dotyczące zwłaszcza rodziny matki, które uzupełniał tradycją rodzinną. IV Przekłady:

Wasył Stefanyk: *Z w i a s t u n y* – prwdr. „Zet” 1933, nr 14 z 15 X, podpisany: „Spolszczył J. Czechowicz”. Wasył Stefanyk (1871-1936), ukraiński prozaik i działacz społeczny. Opowiadanie pochodzi ze zbioru *Doroħa*, Lwów 1901.

Mychajło Kociubynski: *D z i e c i g ó r*. Fragment z powieści pt. Cienie zapomnianych przodków – prwdr. „Zet” 1934, nr 16 z 15 XI. Pod tekstem informacja: „Z ukraińskiego spolszczył J. Czechowicz”. Mychajło Kociubynski (1864-1913), ukraiński prozaik i działacz społeczny. Oryginalny tytuł powieści: *Tini zabutyh predkiw* (1911).

James Joyce: *R a n e k* – prwdr. „Pion” 1938, nr 8 z 27 II. Przekład podpisany pseudonimem Henryk Zasławski. James Joyce (1882-1914), pisarz irlandzki, jeden z twórców prozy nowoczesnej. *Ulysses*, z którego pochodzi tłumaczony fragment, wydany został w Paryżu w 1922 r. Przedruk: „Literatura na Świecie” 1973, nr 5, s. 342-367, równoległe z przekładem Macieja Słomczyńskiego. Czechowicz opuścił kilka zdań poprzedzających ostatni akapit tłumaczonego fragmentu, który w przekładzie Słomczyńskiego brzmi:

W szufladzie stołu znalazł stary numer «Perełek». Złożył go i wsunął pod ramię, podszedł do drzwi i otworzył je. Kotka pobiegła w górę miękkimi susami. Ach, chciała się znaleźć na górze i zwinąć w kulkę w łóżku.

Nasłuchując, usłyszał jej głos:

- Chodź, chodź, kiciu. Chodź.

Marcel Proust: *Le s p l a i s i r s e t l e s j o u r s . R ê v e r i e s c o u l e u r d u t e m p s* – prwdr. „Kamena” 1938, nr 8 (kwiecień), podpisany słowami: „Spolszczył Józef Czechowicz”. Marcel Proust (1871-1922), powieściopisarz francuski, autor wielkiego cyklu powieściowego pt. *W poszukiwaniu straconego czasu. Les plaisirs et les jours (Rozrywki i dni)* – to tom opowiadań i wierszy, którym Proust debiutował w 1896 r. Czechowicz (lub redakcja) zniekształcił podtytuł tekstu, który brzmiał: *Les regrest, rêveries couleur du temps*. Był to zresztą tytuł dużego cyklu drobnych utworów, oznaczanych kolejnymi numerami, którego trzy pierwsze pozycje zajmowały właśnie *Tuileries*, *Versailles* i *Promenade*. Informacje te opierają się na edycji, będącej przedrukiem wydania z 1896 r.: M Proust, *Les plaisirs et les jours*. Precede d’une preface par A. France, Paris 1924.

Georg Millburn: *O b c a s , n o s e k , r a z , d w a , t r z y . . .* „Apel”, nr 33, dodatek do „Kurier Porannego” 1938, nr 126 z 8 V. Pod tekstem znajduje się informacja: „Skrócił i przetłumaczył Henryk Zasławski”.

NOTA EDYTORSKA

Tom niniejszy, obejmujący utwory prozatorskie Józefa Czechowicza, zamyka całość jego pisarskiej spuścizny, udostępnionej Czytelnikowi za pośrednictwem Wydawnictwa Lubelskiego. Poprzedzały go osobne publikacje poezji, utworów dramatycznych, eseistyki oraz książkowa edycja listów.

Proza Czechowicza ukazuje się na ostatku, gdyż jej zebranie przyczyniało bodaj najwięcej problemów i trudności. Twórczość autora nuty człowieczej nie została bowiem do tej pory w pełni bibliograficznie rozpoznana i uporządkowana, nie ma także dotąd całościowej bibliografii międzywojennej prasy, a zwłaszcza literackiej zawartości ówczesnych dzienników. Ta sytuacja w dużej mierze utrudniała poszukiwania i dotarcie do pierwodruków tekstów Czechowicza, w tym także jego utworów prozatorskich. Szczególnie dotkliwie daje znać o sobie brak jego archiwum pisarskiego, a m.in. rękopisów i maszynopisów opowiadań oraz innych utworów prozą. Nie zachowała się również w zasadzie korespondencja Czechowicza z redaktorami i redakcjami czasopism, a mogłaby ona dostarczyć wielu wskazówek, śladów oraz ważnych dla tego wydania informacji. Na szczęście, dzięki Wacławowi Mrozowskiemu, uratowała się przynajmniej część owego archiwum, znajdująca się obecnie w zbiorach Muzeum Józefa Czechowicza w Lublinie, i dlatego można było je wykorzystać w toku prac nad przygotowaniem niniejszej edycji.

Czechowicz przywiązywał dużą wagę do swojej twórczości prozatorskiej, o czym świadczył m.in. zamiar opublikowania jej w kształcie książkowym, do czego jednak nie doszło. Zebrany w tym tomie materiał dowodzi, iż proza dominowała w pierwszym okresie twórczości Czechowicza, a więc w latach 1922-1923, oraz w jej fazie ostatniej, obejmującej lata 1937-1939. Oglądana jako pewna całość proza ta odznacza się dużą różnorodnością gatunków, form oraz podejmowanej przez pisarza problematyki.

Zamierzony przez Czechowicza tom miał nosić tytuł *Koń rydzy*, co zdawało się wskazywać, iż w książce tej pragnął autor pomieścić wyłącznie lub przede wszystkim opowiadania związane z doświadczeniami wojny 1920 r., a w każdym razie na pewno miały one stanowić jej dominantę. Nie wiemy jednak, jak miała wyglądać jej ostateczna zawartość. Przekazywany obecnie do rąk Czytelników tom, skomponowany przez wydawcę, zachowując projektowany tytuł Czechowicza, obejmuje – jak już powiedziano – całość jego prozy, bardzo pod wieloma względami zróżnicowanej. Z tego więc względu cały materiał ułożono w cztery grupy, obejmujące kolejno:

- 1) oryginalną prozę artystyczną,
- 2) utwory z pogranicza reportażu, wspomnienia i prozę opisową,
- 3) zachowane fragmenty dzienników oraz zapisy o charakterze pamiętnikarskim,
- 4) przekłady.

W obrębie każdego z tych działów utwory ułożone zostały w porządku chronologicznym. Wydawca starał się, by publikowane w niniejszym tomie utwory otrzymały – w miarę możliwości – postać jak najbliższą pisarskim intencjom Czechowicza. Różny ich stan zachowania (publikacje prasowe, rękopisy, maszynopisy lub ich kopie) sprawił bowiem, iż kształt zebranych tekstów daleki był od doskonałości. Większość utworów miała pierwodruki prasowe, które zostały skolacjonowane z zachowanymi rękopisami bądź kopiami maszynopisowymi

pochodzącymi z archiwum Czechowicza. Usunięto dzięki temu różne błędy zecerskie oraz inne zniekształcenia druku, postępowano zresztą podobnie i w odniesieniu do pozostałych tekstów. W niektórych utworach, gdzie nie było pewności, czy rzeczywiście zaistniał błąd, pozostawiono tekst bez zmiany. Na przykład w opowiadaniu *Wody niebios i ziemi* znajduje się zdanie: „Sny zaś tropiły go mętne i męczące”. Prawdopodobną jest rzeczą, iż powinien się tu pojawić czasownik „trapiły”, ale nie można wykluczyć, iż autor miał na myśli „tropienie” (tj. ściganie) bohatera przez sny. Podobnie przedstawia się sprawa z wyrażeniem „Gaarbowane gardło” z opowiadania G. Millburna *Obcas, nosek, raz, dwa, trzy...*, gdzie litera została – być może – podwojona ze względu na intonację. W teksty, w których Czechowicz posługiwał się gwarą, nie ingerowano, wychodząc z założenia, iż autorowi chodziło nie o wierność etnograficzną, ale o wyraz literacki.

Pisownię i ortografię tekstów dostosowano do obecnych norm i wymagań. Szczególne trudności przedstawiała z tego punktu widzenia *Opowieść o papierowej koronie*, gdzie – w duchu konwencji modernistycznej – autor nadużywał wielokropków i pauz (te pozostawiono bez zmian) oraz stosował często jednocześnie pauzy i przecinki. W tej sytuacji zachowywano najczęściej przecinek, chyba że były powody przemawiające za rezygnacją z przecinka na rzecz pauzy. Poza tym ujednolicono zapis obcych słów wyróżniając je kursywą, podobnie jak i tytuły pojawiające się w tekstach utworów, natomiast słowa bądź wyrażenia pisane w pierwodrukach lub w autografach kursywą oddano za pośrednictwem druku rozstrzelonego. W wielu, zwłaszcza młodzieńczych opowiadaniach, Czechowicz stosował akapity bez wcięcia, które – dla jednolitości – zostały tutaj wprowadzone. Uzupełniono także niekiedy przeoczoną przez autora numerację niektórych fragmentów utworu. Wątpliwe odczytania zostały zasygnalizowane za pośrednictwem znaku zapytania, zaś błędy autorskie opatrzone wykrzyknikiem.

Wydawca zdaje sobie sprawę, iż nie udało mu się rozwiązać wszystkich problemów, jakie niosło ze sobą przygotowanie niniejszej publikacji, jest np. przekonany, iż nie wszystkie pierwodruki udało mu się odkryć. Wyraża jednak przekonanie i nadzieję, że edycja ta otworzy drogę do przyszłej, prawdziwie pełnej publikacji prozy Józefa Czechowicza.

Tadeusz Kłak